

Wyspa skazancow

Lehane Dennis



calibre 0.7.28

Dennis Lehane

Wyspa skazancow

(Shutter Island)Przelozył Sławomir Studniarz Chrisowi Gleasonowi i Mike'owi Eigenowi. Ktorzy sluchali i nie pozostali obojetni.

Podziekowania Przede wszystkim dziekuje Sheili, George'owi Bickowi, Jackowi Driscollowi, Dawn Ellenburg, Mike'owi Flynnowi, Julie Anne McNary, Davidowi Robichaud i Joannie Solfrian.

Niezbedne dla powstania tej powiesci okazaly sie trzy teksty: Boston Harbor Islands, autorstwa Emily i Davida Kale'ow; Gracefully Insane, opis McLean Hospital dokonany przez Alexa Beama; oraz Roberta Whitakera Mad in America, ksiazka dokumentujaca stosowanie neuroleptykow w leczeniu schizofrenii w amerykanskich szpitalach psychiatrycznych. Te trzy ksiazki ze swym bogactwem faktograficznym dostarczyly mi mnostwa informacji, za co jestem ich autorom niezmiernie wdzieczny.

Jak zawsze, skladam podziekowania mojej redaktorce, Claire Wachtel (oby kazdy pisarz mial szczescie miec takiego redaktora), a takze mojemu agentowi literackiemu, Ann Rittenberg, za inspiracje.

...mozna wiec snic sny i ziscic je tez?

Elisabeth Bishop,

Questions of Trave Prolog

Z ZAPISKOW DOKTORA LESTERA SHEEHANA

3 maja 1993 Nie ogladalem tej wyspy od kilku lat. Ostatni raz mialem okazje ujrzec ja z pokladu lodzi nalezacej do mego przyjaciela, kiedy wypuscilismy sie na szersze wody Zatoki Bostonskiej; spowita w letnia mgielke, rysowala sie w oddali, za pierscieniem blizszych wysepek, niczym smuga farby rozmazanej niedbale na niebie. Nie odwiedzalem tej wyspy od ponad dwudziestu lat, ale Emily powiada (czasami zarzem, czasami nie), ze ma watpliwosci, czy w ogole stamtad wyjechalem. Kiedys oswiadczyla, ze czas to dla mnie nic innego jak ciag zakladek, za pomoca ktorych przemieszczam sie tam i z powrotem po ksiedze zycia, powracajac raz po raz do pewnych wydarzen, wskutek czego, zdaniem mych bardziej przenikliwych kolegow, wykazuje wszelkie znamiona klasycznego melancholika.

Emily pewnie ma racje. W tak wielu sprawach ma racje.

Niebawem ja rowniez utrace. Zostalo jej zaledwie kilka miesiecy, oznajmil nam w czwartek doktor Axelrod. Wyjedzcie stad, poradzil. Wybierzcie sie w koncu w te upragniona podroz. Do Florencji i Rzymu, do wiosennej Wenecji. Poniewaz, dodal, ty tez nie wygladasz najlepiej, Lester.

I chyba sie nie myli. Ostatnio wciaz zapodziewam rozmaite rzeczy, najczesciej okulary. Kluczyki do samochodu. Wchodze do sklepow i nie pamietam, co mialem kupic; ogladam przedstawienie w teatrze i po chwili zapominam jego tresc. Jesli czas naprawde jest dla mnie ciagiem zakladek, to odnosze wrazenie, jakby ktos potrzasnal ksiega mego zycia i powypadaly z niej pozolke paski papieru, etykiety pudelek z zapalkami i splaszczone mieszadelka do kawy, a strony z pozaginanymi rogami zostaly wygladzone.

Dlatego chce te wydarzenia opisac. Nie po to, aby zmienic tekst ksiegi i przedstawic siebie w korzystniejszym swietle. Nie, nie. On by nigdy na to nie pozwolil. Na swoj osobliwy sposob nienawidzil klamstwa bardziej niz ktokolwiek ze znanych mi ludzi.

Zamierzam tylko utrwalic tekst, przeniesc go z obecnej przechowalni (gdzie, nie ma co ukrywac, narazony jest na powolne niszczenie) na te strony.

Szpital Ashecliffe wznosil sie na rowninie posrodku poludniowo-zachodniej strony wyspy. Wznosil sie z wdziekiem, mozna by dodac. W niczym nie przypominal zakladu dla oblatanych przestepcow, a jeszcze mniej wspolnego mial z wygladu z koszarami, za ktore wczesniej sluzyl. W istocie kojarzyl sie nam raczej ze szkola z internatem.

Tuz przed ogrodzonym glownym zespolem budynkow stal dom komendanta strazy, zbudowany w stylu wiktorskim, z mansarda, oraz piekny, ciemny elzbietanski palacyk, podczas wojny secesyjnej siedziba dowodcy polnocno-wschodniego odcinka wybrzeza, a obecnie - kierownika personelu medycznego. W obrebie murow miescily sie kwatery pracownikow - urocze drewniane domki dla lekarzy, trzy przysadziste bloki mieszkalne z pustakow dla posluga, straznikow i pielegniarek. W otoczeniu trawnikow i starannie przystrzyzonych zywoplotow, poteznych, rozlozystych debow, sosen,

strzelistych klonow, jabloni, ktorzy owoce pozna jesienia spadaly na wierzcholek murow lub na trawe, stal budynek szpitalny, wzniesiony z duzych, ciemnoszarych kamieni i przedniego granitu, a po jego bokach warowaly blizniacze domy w stylu kolonialnym, z czerwonej cegly. Dalej rozciagaly sie urwiska i mokradla, a takze dluga dolina, gdzie tuz po narodzinach niepodleglych Stanow Zjednoczonych powstala - i niebawem upadla - farma zalozona przez wspolnote. Drzewa i krzewy posadzone przez dawnych gospodarzy - brzoskwinie, grusze, aronie, przetrwaly do dzis, lecz przestaly rodzic owoce. Nocne wichry czesto zapuszczaly sie do tej doliny i potepienczo wyly wsrod konarow drzew.

Rzecz jasna, jest jeszcze fort, ktory wznosil sie tam na dlugo przed przybyciem pierwszych pracownikow szpitala i wznosi sie do dzis, uczepony poludniowego skalnego urwiska. A za nim latarnia, zamknieta jeszcze przed wybuchem wojny secesyjnej, bezuzyteczna, odkad uruchomiono latarnie w Bostonie.

Od strony morza calosc nie przedstawiala sie zbyt imponujaco. Trzeba wyobrazic sobie widok, jaki ukazal sie oczom Teddy'ego Danielsa tamtego spokojnego ranka we wrzesniu 1954 roku. Skrawek ziemi rysujacy sie w oddali na wodach zatoki. Nie tyle wyspa, mozna by pomyslec, ile jej idea. Czemu ona sluzi, zastanawial sie pewnie.

Czemu sluzi?

Najliczniej wystepujacym na naszej wyspie gatunkiem zwierzat byly szczury.

Chrzescily w zaroslach, noca w dlugim szeregu wysiadywaly nad brzegiem, wdrapywaly sie na mokre skaly. Niektore wielkoscia dorownywaly plastudze. W pozniejszych latach, po wydarzeniach tych czterech niesamowitych dni wrzesnia 1954, prowadzilem obserwacje szczurow ze szczeliny w zboczcu opadajacym na polnocne wybrzeze wyspy.

Zdumialo mnie odkrycie, ze niektore osobniki wyprawialy sie wplaw na Paddock Island, wlasciwie naga skale, osadzona w garsci piasku, zanurzona pod woda przez dwadziescia dwie godziny na dobe. Kiedy podczas odpływu poziom oceanu obnizal sie maksymalnie, wysepka wylaniala sie na godzine czy dwie i szczury czasami probowaly do niej doplynac; nigdy wiecej niz tuzin smialkow naraz, zawsze znoszonych z powrotem przez nurt przybrzezny.

Napisalem "zawsze", ale to nieprawda. Bylem swiadkiem, ze jednemu sie udalo.

Raz. Podczas pelni ksiezycy pewnej pazdziernikowej nocy 1956 roku. Ujrzałem jego czarny, podluzny ksztalt mknacy po piasku.

Albo tak mi sie zdaje. Emily, ktora zreszta poznalem na tej wyspie, zawsze powtarza: "Lester, to niemozliwe. Ta wysepka jest za daleko".

I ma racje.

Ale ja wiem swoje. Widzialem jeden ciemny ksztalt przemykajacy po piasku barwy perlowoszarej, juz zapadajacym sie pod wode, albowiem znow nadciagala fala przyplywu, zeby pochlonac Paddock Island i tego szczura, jak sie domyslam, gdyz nie dostrzeglem, by plynal z powrotem na wyspe.

A gdy patrzylem, jak sunie po brzegu (naprawde go widzialem, pal licho odleglosc), przyszedl mi na mysl Teddy, Teddy i jego nieszczesna, zmarla wczesniej zona, Dolores Chanal, i ta przerazajaca para, Rachel Solando i Andrew Laeddis. Przypomnialem sobie, jakiego spustoszenia dokonali w zyciu nas wszystkich. Pomyslalem tez, ze gdyby Teddy siedzial tam u mego boku, na pewno rowniez zobaczylyby tego szczura.

I wiecie, co by zrobil?

Bilby mu brawo.

Dzien pierwszy

RACHEL

1

Ojciec Teddy'ego Danielsa byl rybakim. W 1931 roku, kiedy Teddy mial jedenascie lat, jego lodz przejal bank i odtad do konca swego zycia ojciec zaciagal sie na inne kutry, gdy wyplywaly w morze, a jesli nie wyplywaly, nosil ladunki w dokach; z reguly wracal do domu przed dziesiata rano, a potem wychodzil na dlugie spacer, wysiadywal w fotelu, wpatrywal sie w swoje rece wzrokiem wyrazajacym zagubienie i niekiedy mruclal cos do siebie. Zabral Teddy'ego na przejazdke po zatoce, kiedy ten byl jeszcze malym chlopcem i na niewiele przydawal sie na lodzi. Potrafil jedynie rozplatywac liny i wiazac haczyki.

Skaleczył się przy tym kilka razy, a krew spływała mu po palcach i rozmazywała się na dloniach.

Wyruszyli przed świtem, a gdy słońce weszło nad krawędź oceanu, podobne do tarczy z kości słoniowej, z rozpraszającego się mroku wynurzyły się wyspy, zbite w gromadkę, jakby przyłapano na wstydlwym uczynku.

Teddy oglądał niskie zabudowania o pastelowych barwach, ciągnące się wzdłuż plaży na jednej wysepce, sypiąca się posiadłość z wapienia na drugiej. Ojciec wskazał reka wieżenie na Deer Island i dumny fort na Georges. Na Wyspie Thompsona chmury ptactwa wydierały się w koronach wysokich drzew, a ich wrzaski przywodziły na myśl gradobicie i pekające szkło.

Nieco dalej wysepka zwana Shutter

[(ang) "okiennica", ale również coś, co zamyka lub służy do zamknięcia.] unosiła się na wodzie niczym pamiątka po hiszpańskim galeonie. W tamtych czasach, wiosna 1928, kiedy nikt się jeszcze o nią nie troszczył, tonela w bujnej roślinności i nawet położony na najwyższym wzniesieniu fort ginał w objęciach winorośli i pod zieloną czapą mchu.

-Dlaczego tak się nazywa? - zapytał Teddy. Ojciec wzruszył ramionami.

-Ty i te twoje pytania. Wieczne pytania.

-No dobrze, ale dlaczego?

-Po prostu... ktoś nadaje nazwę, a ona się przyjmuje. Pewnie od piratów.

-Piratów?

Teddy'ego urzekła ta myśl. Staneli mu przed oczami - krzepcy faceci w butach z wysokimi cholewami, z czarnymi przepaskami na oku i lśniącymi szablami.

-Tam właśnie mieli kryjówki w dawnych czasach - mówił ojciec, zataczając reka luk w powietrzu. - Na tych wyspach. Ukrywali się. Trzymali lupy.

Teddy wyobraził sobie skrzynie wypełnione po brzegi złotymi monetami.

Później zrobiło mu się niedobrze, ciemne strugi chlusnęły do wody, kiedy wychyliwszy się za burte, kilka razy gwałtownie wymiotował.

Ojciec zdziwił się, ponieważ nastąpiło to dopiero po kilku godzinach pływania, a tafla oceanu polyskiwała wokół nich spokojnie.

-Nic się nie stało - pocieszał syna. - Pierwszy raz jesteś na morzu. Nie ma się czego wstydzić.

Teddy skinał głową, ocierając usta szmatką, którą podał mu ojciec.

-Czasami morze się porusza - mówił ojciec - a człowiek ani się spostrzeże... dopiero kiedy żołądek podejździe mu do gardła.

Teddy kiwnął jedynie głową, nie potrafił wyjaśnić tacie, że to nie od ruchu zebralo mu się na wymioty.

To sprawiła woda, otaczający ich zewsząd bezmiar oceanu, który przesłonił cały świat. Z łatwością mogłby wchłonąć niebo, w tej chwili chłopiec świecie w to wierzył.

Dotąd nie uświadamiał sobie, jak bardzo byli samotni.

Spojrzał na tatę zalawionymi i czerwonymi oczami.

-Nic ci nie będzie - rzekł ojciec i Teddy zdobył się na uśmiech.

Latem 1938 ojciec wypłynął z Bostonu na statku wielorybniczym i nigdy już nie wrócił. Wiosną następnego roku morze wyrzuciło szczątki statku na brzeg w Hull, rodzinnym mieście Teddy'ego. Odłamek stepki, kuchenke z wrytym u dołu nazwiskiem kapitana, puszki zupy, kilka pulapek na homary, nieszczelnych i zniekształconych.

W kościele pod wezwaniem św. Teresy, wzniesionym niemal na samym brzegu morza, w którego odmetach zginęło już tyłu parafian, odprawiono msze w intencji zmarłych czterech członków załogi. Teddy stał obok matki i słuchał mów

pochwalnych wygłaszanych pod adresem kapitana statku, pierwszego oficera i trzeciego rybaka, niejakiego Gila Restaka, wilka morskiego, który siał postrach w miejscowych knajpach, odkąd wrócił z wojny światowej z roztrzaskaną piętą i nadmiarem koszmarnych obrazów zachowanych w pamięci. Po śmierci jednak, jak rzekł barman, któremu Restak dał się we znaki, wszystko zostaje człowiekowi wybaczone.

Właściciel statku, Nikos Costa, przyznał, że słabo znał ojca Teddy'ego, który zaciągnął się w ostatniej chwili, gdy jeden z członków złamał nogę, spadając z ciężarówki. Lecz kapitan miał o nim pochlebne zdanie; znany był z tego, mówił, że potrafił się wywiązać ze swojego zadania. A czy można wyrazić się o człowieku z wyższym uznaniem niż w tych właśnie słowach?

W kościele Teddy wspominał ten pierwszy dzień spędzony z ojcem na morzu, gdyż nigdy więcej razem już nie wypłynęli. Wprawdzie ojciec obiecywał, że wybiorą się znowu, ale chłopak domyślał się, że mówi tak, by mu poprawić humor. Ojciec nie nazwał wprost tego, co zaszło, ale wymienili ze sobą znaczące spojrzenia, gdy płynęli z powrotem, zostawiając za sobą Shutter Island. Przed nimi rozciągała się Wyspa Thompson, a za nią wysoko strzelała w niebo nowoczesna zabudowa śródmieścia, budynki tak wyraźnie widoczne, tak bliskie, zdawało się, że można by dosięgnąć ich ręką, podnieść je za iglice.

-Widzisz - rzekł ojciec, głaszcząc syna po plecach, kiedy siedzieli oparci o rufę - jedni za morzem przepadają, a inni w nim przepadają.

I popatrzył na Teddy'ego tak, że chłopak domyślił się, do której kategorii będzie zapewne należał, kiedy dorosnie. Żeby dostać się na Shutter Island w 1954 roku, wsiadli w miejsce na pokład promu i przecieli pierścien zapomnianych wysepek: Thompsona i Spectacle, Grape i Bumpkin, Rainford i Long, hardych brył piasku, gietkich drzew i skał bielejących jak kości, dzielnie stawiających opór morzu. Prom kursował nieregularnie, z wyjątkiem wtorków i czwartków, kiedy przewoził zapasy, a jego główny pokład był zupełnie ogolony, jeśli nie liczyć okrywającej go warstwy blachy i dwóch stalowych lawek pod oknami. Lawki przykrecono srubami do pokładu i, dodatkowo z obu końców, do czarnych grubych drążków, z których zwisały się zwoje lincuchów z kajdanami.

Tego dnia na pokładzie promu nie było jednak niebezpiecznych pasażerów, tylko Teddy i jego nowy partner, Chuck, a ponadto kilka worków z listami i pudeł z lekarstwami.

Teddy rozpoczął podróż na kleczkach w toalecie, wymiotując do miski klozetowej; w tle posapywał i klekotał silnik statku, a nozdrza Teddy'ego drażnił ciężki, oleisty zapach benzyny zmieszany z wonią letniego morza. Wyrzucał z siebie strumyczki samej wody, lecz przelykiem wciąż targały nowe skurcze, żołądek podchodził mu do gardła, a w powietrzu tuż przy jego twarzy wirowały drobinki mrugające niczym oczy.

Ostatni skurcz uwolnił banke uwięzionego w żołądku powietrza, a Teddy miał wrażenie, że gwałtownie ulatując, porwała za sobą kawalek jego ciała. Siadł na metalowej podłodze, otarł usta chusteczką i pomyślał, że na razie dał się poznać nowemu partnerowi od nie najlepszej strony.

Wyobraził sobie, jak Chuck po powrocie do domu opowiada żonie - jeśli był żonaty, nawet tego Teddy nie zdarzył się jeszcze dowiedzieć - o spotkaniu ze sławnym Teddym Danielsem: "Facet tak się ucieszył na mój widok, że aż się porzygał".

Od czasu tej morskiej wyprawy w dzieciństwie Teddy nigdy nie czuł się dobrze na wodzie, nie sprawiało mu przyjemności oddalenie od lądu, od rzeczy, po które można było sięgnąć bez obawy, że ręka się w nich rozplynie. Nie pomagało tłumaczenie sobie, że to nieuniknione, że to jedyny sposób przeprawy. Na wojnie, podczas szturmowania plaży, Teddy najbardziej bał się pokonywania ostatniego odcinka, między łodzią a brzegiem, kiedy trzeba było wskoczyć do wody i różne oslizgłe stwory obijały się o buty.

Mimo to wolał wyjść na pokład, stawić czoło morzu na świeżym powietrzu, niż kisić się w toalecie, w mdlącym cieple.

Kiedy Teddy nabrał pewności, że torsje minęły, żołądek się uspokoił i zniknęło wirowanie w głowie, obmył ręce i twarz, po czym przejrzał się w przymocowanym nad zlewem lusterku, wyzartym przez sol morską do tego stopnia, że pozostał w środku jedynie niewielki owal, w którym Teddy dojrzał swoje odbicie - mężczyzny wciąż jeszcze dość młodego, ostrzyżonego na przepisowego jeza. Ale na twarzy wyrzyły się mu głębokimi zmarszczkami doświadczenia wojenne i lata służby; w jego spojrzeniu "smutnego psiaka", jak określiła je raz Dolores, kryło się zamilowanie do scigania przestępców i nierozłączanie z tym związaną przemocą.

Jestem za młody, pomyślał, na tak surowy wygląd.

Poprawił pas, przesuwając na biodro kaburę z rewolwerem. Nalozyl kapelusz, przekrzywiając go nieznacznie w prawo.

Sciagnal wezel krawata, krzykliwego, kwiecistego krawata, który juz z rok temu wyszedl z mody, co jednak nie miało dla Teddy'ego żadnego znaczenia, ponieważ był to urodzinowy prezent od Dolores: nasunęła mu go zniechęca na oczy, kiedy siedział w salonie, przycisnęła usta do szyi. Pamiętał jej ciepłą dłoń na policzku. Język pachnący pomarańczami. Siadła mu na kolanach, zdjęła krawat, a on przez cały czas nie otwierał oczu. Chciał ją czuć. Zobaczyc w wyobraźni.

Stworzyc jej obraz w myslach i tam go zachowac.

Nadal to potrafil - zamykal oczy i juz ja widzial. Ale ostatnio pewne szczegoly sie zacieraly - ucho, rzesy czy zarys wlosow; przeswitywaly przez nie biale smugi. Na razie nie przybieralo to groznych rozmiarow, ale Teddy bal sie, ze czas mu ja odbiera, wzera sie w portrety, ktore holubil w pamieci, burzy je.

-Teskanie za toba - rzekl i przeszedl przez poklad na dziob.

Powietrze bylo cieple i czyste, ale wode przecinaly ciemne rdzawe przebliski i unosil sie nad nia bladoszary calun, oznaka, ze w jej glebinach narasta, dojrzewa cos mrocznego.

Chuck pociagnal lyk z piersiowki i podsunal ja Teddy'emu, unoszac pytajaco brew.

Teddy pokrecil przeczaco glowa i Chuck schowal flaszke do kieszeni sluzbowej marynarki, obciagnal poly plaszcza i spojrzal na morze.

-Dobrze sie czujesz? - spytal Chuck. - Kiepsko wygladasz.

-Nic mi nie jest - odparl Teddy wymijajaco.

-Na pewno? Teddy skinal glowa.

-Musze sie oswoic z morzem, to wszystko.

Stali chwile w milczeniu, wokol roztaczal sie pofaldowany przestwor wody, wklęslosci w jej powierzchni byly ciemne, jakby wyscielane aksamitem.

-Wiesz, ze kiedys byl tam oboz jeniecki? - odezwal sie Teddy.

-Na wyspie? Teddy skinal glowa.

-Podczas wojny secesyjnej. Zbudowali tam fort, baraki...

-Co teraz miesci sie w tym forcie? Teddy wzruszyl ramionami.

-Nie mam pojecia. Na tych wysepkach bylo ich sporo. W czasie wojny artylerzysci wprawiali sie tam w strzelaniu do celu. Niewiele z nich zostalo.

-A szpital?

-O ile mi wiadomo, przejal dawne koszary.

-Przypomnimy sobie dobre czasy: "Witaj w szeregach armii, rekrucie" - zauwazyl Chuck.

-Nie chcialbym drugi raz przez to przechodzic - rzekl Teddy, opierajac sie o reling.

-Opowiedz mi cos o sobie, Chuck.

Chuck sie usmiechnal. Byl nieco tezszy i nizszy niz Teddy, mial ze 175 centymetrow wzrostu, szope czarnych, kreconych wlosow, oliwkowa cere i szczuple, delikatne dlonie, ktore wyroznialy sie w calej jego postaci, jakby zostaly wypozyzczone do czasu, kiedy wroca z naprawy prawdziwe rece. Lewy policzek przecinala lukowata blizna i Chuck musnal ja palcem wskazujacym.

-Zawsze zaczynam od blizny - powiedzial. - Predzej czy pozniej i tak wszyscy o nia pytaja.

-Niech bedzie.

-Nie nabawilem sie jej na wojnie - podkreslil Chuck. - Moja dziewczyna kaze mi, dla swietego spokoju, mowic, ze to z czasow wojny, ale... - Wzruszyl ramionami. - Wlasciwie to skutek zabawy w wojne. W dzieciństwie. Strzelalismy do siebie

z procy w lesie, ja i moj kolega. Kolega nieznacznie spudlowal, wiec mi sie upieklo, nie? - Chuck pokrecil przeczaco glowa. - Ale trafil w drzewo i odlupal kawalek kory, ktory przebil mi policzek. I stad ta blizna.

-Skutek zabawy w wojne.

-Wlasnie, zabawy.

-Przeniosles sie tu z Oregonu?

-Nie, z Seattle. Tydzien temu.

Teddy odczekal chwile, ale Chuck nie kwapil sie z wyjasnieniami.

-Dlugo jestes szeryfem federalnym? - spytal Teddy.

-Cztery lata.

-Wiec zdazyles sie zorientowac, jaki to maly swiatek.

-Jasne. Chcesz wiedziec, dlaczego sie przenioslem - odgadl Chuck, kiwajac glowa, jakby cos w duchu postanowil. - A gdybym powiedzial, ze sprzykrzyl mi sie deszcz?

Teddy rozlozyl dlonie nad relingiem.

-Gdybys tak powiedzial...

-Ale to maly swiatek, jak sam zauwazyles. Wszyscy mundurowi sie znaja. Totez kwitnie, jak to sie mowi, poczta pantoflowa.

-Wlasnie.

-To ty dorwales Becka, zgadza sie?

Teddy skinal glowa.

-Skad wiedziales, gdzie go szukac? Scigalo go piecdziesieciu chlopa, wszyscy ruszyli do Cleveland, a ty jeden do Maine.

-Facet spedzil tam raz wakacje z rodzina jeszcze jako chlopiec. A to, jak postepowal z ofiarami? Zupelnie jakby mial do czynienia z konmi. Rozmawialem z jego ciotka.

Powiedziala mi, ze jedyne szczesliwe chwile swego zycia spedzil w stadninie, niedaleko wynajetego przez nich domu letniskowego w Maine. Dlatego tam sie wybralem.

-Wpakowales mu piec kul - rzekl Chuck i spojrzal przez dziob w dol, na spienione morze.

-I jeszcze bym mu dolozyl - oswiadczył Teddy. - Ale piec wystarczylo.

Chuck skinal glowa i splunal przez reling.

-Mam dziewczyne, Japonke. Oczywiscie urodzila sie tutaj, ale sam wiesz... dorastala w obozie. W tamtych stronach - w Portland, Seattle, Tacomie - stosunki z japonska mniejszoscia wciaz sa napiete. Ludzi kluje w oczy, kiedy sie z nia pokazuje publicznie.

-Dlatego dostales przeniesienie.

Chuck skinal glowa, znowu splunal, odprowadzil wzrokiem slone, ktora przepadla w spienionych odmetach.

-Podobno zapowiada sie niewesolo - powiedzial.

Teddy wyprostowal sie, na twarzy czul wilgoc, na wargach smak soli. Dziwne, ze dosieglo go morze, skoro w powietrzu nie unosil sie pyl wodny.

-Co takiego? - spytal, przetrzasajac kieszenie plaszczka w poszukiwaniu paczki chesterfieldow.

-Sztorm. Gazety pisza, ze zapowiada sie nielichy. Potezny. - Potrzasnal reka w kierunku nieba, bladego jak piana rozbijajaca sie o dziob. Ale od poludnia nad widnokregiem rysowalo sie pasmo purpurowych klebow, rozlewajacych sie niczym kleksy na bibule.

Teddy wciagnal powietrze przez nos.

-Chyba pamietasz, jak bylo na wojnie, Chuck?

Chuck znow usmiechnal sie po swojemu, a Teddy odniosl wrazenie, ze juz sie do siebie dostrajaja, ucza sie wylapywac wysylane przez siebie sygnaly.

-Co nieco pamietam - odparl Chuck. - Glownie gruz. Cale rumowiska. Dla ludzi gruz jest czymś szpetnym, ale ja uwazam, ze spelnia swoje zadanie. Jest estetyczny, ma swoj urok. Moim zdaniem piekno rzeczy istnieje w umysle tego, ktory ja oglada.

-Ksiazkowa gadanina. Kto cie tego nauczyl?

-Podnioslo sie - zauwazyl Chuck, wychylajac sie za reling i przypatrujac sie morzu z lekkim usmiechem na twarzy.

Teddy poklepal sie po spodniach, sprawdzil kieszenie w marynarce.

-Wiesz, jak czesto prognoza pogody decydowala o tym, czy wojsko wyruszalo do walki i dokad.

Chuck potarl dlonia szczecine na brodzie.

-O, tak.

-A pamietasz, jak czesto te prognozy sie sprawdzaly?

Chuck sciagnal brwi, dajac Teddy'emu do zrozumienia, ze glęboko zastanawia sie nad odpowiedzią, po czym cmoknal ustami i powiedzial:

-W trzydziestu przypadkach na sto, przypuszczam.

-Najwyzej.

-Najwyzej - powtorzyl Chuck.

-Wiec teraz, kiedy wrocilismy do normalnego zycia...

-O tak, normalnego zycia - wtracil Chuck - mozna by rzec, niefrasobliwego...

Teddy stlumil w sobie smiech. Ten facet byl rozbrajajacy. Niefrasobliwego. To dopiero.

-Niefrasobliwego - zgodzil sie Teddy. - Dlaczego mialbys teraz ufac prognozom pogody bardziej niz podczas wojny?

-No coz, ja chyba nie potrafie stopniowac zaufania - odparl Chuck, gdy na horyzoncie wyrosil pochyly wierzcholek malego trojkata. - Masz ochote zapalic?

Teddy zastygl - po raz drugi juz przetrzasal kieszenie - i spostrzegl, ze Chuck patrzy na niego z wrytym na twarzy, tuz pod blizna, szelmowskim usmiechem.

-Mialem je przy sobie, kiedy wchodzil na poklad - zaznaczyl Teddy.

Chuck spojrzal przez ramie.

-Ach ta budzetowka. Oskubalby cie jeden z drugim do nitki.

Wytrzasnal z paczki lucky strike'a, podal papierosa Teddy'emu i podsunal mu plomien swej mosieznej zapalniczki Zippo. Opary nafty, niesione przesyconym sola powietrzem, wdzieraly sie Teddy'emu do gardla. Chuck zamknal zapalniczke, potem znow skrzesal ogien i przypalil sobie papierosa.

Teddy wypuscil dym, jego kleby przeslonily na chwile trojkatny wierzcholek wyspy.

-Z dala od kraju - powiedzial Chuck - kiedy od prognozy pogody zalezalo, czy trafiales ze spadochronem do strefy zrzutow, czy szturmowales plaze, gra szla o znacznie wyzsza stawke, prawda?

-Zgadza sie.

-Ale teraz, gdy jestesmy w naszej ukochanej ojczyźnie, w czym moze zaszkodzic nam odrobina czystej wiary? To wszystko, szefie.

Stopniowo odslaniala sie przed nimi jako cos wiecej niz czubek trojkata, zarysowaly sie jej dolne partie, nabieraly barw jak za pociagnieciem pedzla - stonowana zielen panoszonej sie roslinnosci, plowy pasek brzegu, zolta ochra skalistego urwiska na zachodnim krancu. A na gorze, kiedy podplyneli blizej, zaczeli dostrzegac plaskie prostokatne zarysy budynkow.

-Szkoda - rzekl ni z tego, ni z owego Chuck.

-Czego?

-Taka jest cena postepu - odparl.

Stanal jedna noga na linie holowniczej i oparl sie o reling obok Tedy'ego. Na ich oczach wyspa stawala sie coraz lepiej widoczna.

-Przy takim tempie zmian - ciagnal Chuck - zmian zachodzacych, nie oszukujmy sie, co dnia w dziedzinie leczenia chorob umyslowych, placowki takie jak ta sa skazane na wyginiecie. Za dwadziescia lat wydadza sie wszystkim barbarzynskim przezytkiem.

Nieszczesnym skutkiem ubocznym przebrzmialych wiktoriańskich pogladow. Trzeba bedzie sie jej pozbyc. Wszyscy stanowimy przeciez jeden organizm. Haslem przewodnim stanie sie jednosc, wspolnota. Witaj w zespole. Ukoimy cie. Naprawimy. Pojdziemy za przykladem generala Marshalla. Zbudujemy nowe spoleczenstwo, z ktorego nikt nie bedzie wykluczony. Koniec z wygnaniem.

Budynki zniknely za drzewami, za to w oddali majaczyła stozkowa bryla jakiejś wiezy, a także ostre, wysunięte kontury, zapewne starego fortu, jak domyslil sie Teddy.

-Ale czy odcinajac sie od przeszlosci, zapewniamy sobie lepsza przyszlosc? - Chcuł cisnal niedopalek w spieniona wode. - Oto jest pytanie. Co idzie na straty, gdy zamiata sie podloge, Teddy? Kurz. Okruszyny, ktore z pewnoscia zwabilyby mrowki.

Ale co z kolczykiem, ktory gdzies sie jej zawieruszył? Czy on tez wyladowal w smieciach?

-Jakiej znowu "jej"? Skad "ona" sie wziela, Chuck? - spytal Teddy.

-Zawsze jest jakas "ona", czyz nie?

Za ich plecami wyjacy silnik promu zmienil ton, poklad dziobowy zakolysal sie nieznacznie. Kierowali sie ku zachodniej stronie wyspy i na szczycie poludniowego urwiska wyraznie bylo widac fort. Po armatach nie zostal slad, ale wiezyczki wciaz trwaly. W pewnej odleglosci za fortem rysowaly sie wzgorza. Teddy byl pewny, ze fort nadal otoczony jest murem, z tego miejsca niedostrzegalnym, zlewajacym sie z tlem.

Gdzies w glebi ladu po zachodniej stronie wyspy, za tymi urwiskami, znajdowal sie szpital Ashecliffe.

-Masz dziewczyne, Teddy? Zone? - spytal Chuck.

-Mialem - odparl Teddy, przywolujac obraz Dolores, spojrzienia, jakim obdarzyla go raz, podczas ich miodowego miesiaca; obejrzala sie wtedy za siebie, broda niemal dotykajac nagiego ramienia, pod jej napieta skora na karku prezyly sie miesnie. - Zginela.

Chuck odsunal sie od relingu, czerwieniejac.

-O rany.

-Nie szkodzi - powiedzial Teddy.

-Nie, to ja... - Chuck podniosl reke w przepaszajacym gescie. - Przeciez slyszalem o tym, nie wiem, jak moglem zapomniec. To stalo sie kilka lat temu, zgadza sie?

Teddy kiwnął głową.

-Jezu, Teddy. Wyszedłem na idiota. Wybacz.

Teddy znów ją widział, tym razem w mieszkaniu - ubrana w jego koszulę służbową szła korytarzem i skręciła do kuchni, nucąc coś pod nosem. Znajome znużenie przeniknęło go do kości. Wszystko tylko nie to. Wolalby nawet wskoczyć do wody, niż rozmawiać o Dolores, o jej trzydziestoletnim istnieniu na tym świecie i nagłym unicestwieniu. Ot tak. Jest, kiedy człowiek wychodzi rano do pracy, a gdy wraca, już jej nie ma.

To chyba tak jak z tą blizną Chucka, pomyślał Teddy. Należy postawić sprawę jasno na samym początku, żeby nie było między nimi niedomowień, w przeciwnym razie ta historia zawsze będzie ich dzielić. Pozostanie zbyt wiele znaków zapytania. A jak?

A gdzie? A dlaczego?

Dolores umarła dwa lata temu, ale nocami ożywała w jego snach. Niekiedy po przebudzeniu długo nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że Dolores kreci się po kuchni albo pije kawę na tarasie ich apartamentu przy Buttonwood. Owszem, umysł płatał mu okrutnego figła, ale miało to swoją logikę, którą Teddy szybko zaakceptował - przebudzenie to przecież niemal jak narodziny. Człowiek wynurza się pozbawiony historii, potem, przecierając oczy i ziewając, usiłuje na nowo sklecić swoją przeszłość, układa rozsypane okruchy życia w chronologicznym porządku, a na koniec zbiera siły, żeby stawić czoło teraźniejszości.

Jednak dużo większej udręki przysparzało mu pozornie nielogiczne zestawienie rzeczy, których widok wyzwał w nim wspomnienia ozonie, tkwiące w jego umyśle jak płonące zapalki. Nigdy nie potrafił przewidzieć, co wywoła w nim taki oddźwięk - solniczka, choć nieznanym kobietom w tłumie przechodniów, butelka coca-coli, ślad szminki na szklance.

Lecz spośród wszystkich tych czynników najtrudniejszym do wyjaśnienia, jeśli chodzi o związek będący podstawą skojarzenia, a zarazem najdotkliwszym w skutkach była woda - kapiąca z kranu, padająca z nieba, stojąca w kaluzach na chodniku czy tak jak teraz otaczająca go ze wszystkich stron.

-W budynku, w którym mieszkaliśmy, wybuchł pożar - wyjaśnił. - Ja byłem w pracy. Zginęły cztery osoby. Wśród ofiar znajdowała się moja żona. Uduśiła się dymem, Chuck, nie spaliła się. Czyli nie umarła w meczarniach. W strachu? Może. Ale nie w meczarniach. To ważne.

Chuck pociągnął łyk z piersiówki i podsunął Teddy'emu.

-Skonczyłem z tym - odparł Teddy. - Po pożarze. Martwiło ja to, wiesz?

Powtarzała, że my, mundurowi, za dużo pijemy.

Wyczuł zakłopotanie Chucka i dodał:

-Człowiek uczy się z tym życia, Chuck. Nie ma wyboru. Tak jak z tymi okropnościami, których tyle naoglądałeś się podczas wojny. Przecież pamiętasz?

Chuck skinął głową, błądząc gdzieś wzrokiem, oddając się wspomnieniom.

-Tak trzeba - rzekł cicho Teddy.

-Jasne - przytaknął w końcu Chuck, ale na jego twarzy wciąż malowało się przejęcie.

Wtem, niczym złudzenie optyczne ukazała się przystan, jej szary, ulotny pomost z tej odległości przypominał sterczący z piasku listek gumy do żucia.

Teddy'emu dawało się we znaki odwodnienie, następstwo jego wizyty w toalecie, poza tym zmęczyła go ta rozmowa; chociaż nauczył się dzwigać swój krzyż, dzwigać wspomnienia o Dolores, ich brzemie raz po raz go przygniatało. Czulił cmiący ból w skroni, a tuż za lewym okiem jakby coś uciskało je od środka, przyłożona płaska strona łyżki. Jeszcze było za wcześnie, żeby określić, czy to tylko uboczny skutek odwodnienia, początek zwykłego bólu głowy, czy też zapowiedź czegoś znacznie gorszego - ataku migreny. Dreczyły go od lat młodzieńczych, niekiedy nasilały się do tego stopnia, że ślepił na jedno oko, a światło zamieniało się w nawałnicę rozszarpanych gwoździ, a raz - tylko raz, dzięki Bogu - na półtora dnia migrena sprowadziła na niego częściowy paraliż.

Nigdy jednak nie dokuczala mu na służbie, w czasie wyteżonej pracy, dopiero kiedy opadało napięcie, kiedy przestały

grzmiec dziala, kiedy poscig dobiegl konca. Wtedy spadala na niego z cala sila - w obozie, w koszarach, a po wojnie - w motelowym pokoju lub na autostradzie, kiedy wracal do domu. Sztuka polegala na tym, jak juz dawno przekonal sie Teddy, zeby nie zwalnial biegu, nie rozpraszac sie. Kiedy dzialal na najwyzszych obrotach, migrena nie miala do niego dostepu.

-Slyszales cos o tym zakladzie? - zapytal Chucka.

-To szpital dla umyslowo chorych, wiem tylko tyle.

-Dla oblokanych przestepcow - sprostowal Teddy.

-Coz, nie wyslaliby nas tutaj, gdyby tak nie bylo - odparl Chuck.

Teddy dostrzegl ten szelmowski usmiech, znow wypisany na jego twarzy.

-Nigdy nic nie wiadomo, Chuck. Nie wygladasz mi na calkiem normalnego.

-Moze wplace zadatek, kiedy tam bedziemy, zarezerwuje sobie lozko na przyszlosc.

-Nieglupi pomysl - skwitowal Teddy.

Tymczasem silniki na chwile zamarly i dziob skrecil w prawo. Prom zrobil zwrot i silniki znow zaskoczyly. Teraz, gdy prom podchodzil tyłem do pomostu, Teddy i Chuck mieli widok na pelne morze.

-O ile mi wiadomo - rzekl Teddy - lekarze tam pracujacy maja opinie radykalow.

-Komunistow?

-Nie komunistow, radykalow. To przeciez nie to samo.

-Ostatnio trudno to rozroznic - odparl Chuck.

-To prawda - zgodzil sie Teddy.

-Co to za jedna? Ta, co uciekla?

-Dala noge zeszlej nocy - powiedzial Teddy. - W notesie zapisalem jej nazwisko.

Mam nadzieje, ze reszty dowiemy sie od nich.

Chuck powiodl okiem po otaczajacym ich bezmiarze wody.

-Dokad by sie wybrala? Wplaw do domu? Teddy wzruszyl ramionami.

-Tutejsi pacjenci najwyrazniej cierpia na rozmaite urojenia.

-Schizofrenicy?

-Tak przypuszczam. W kazdym razie nie spotkasz tu osobnikow z zespolem Downa.

Albo takich, co maja bzika na punkcie szpar w chodnikach i boja sie wyjsc z domu.

Z raportu wynika, ze wszyscy, ktorzy sa tu zamknieni, maja powazne zaburzenia.

-Ale jak myslisz, ilu z nich po prostu sie zgrywa? - spytal Chuck. - Nigdy nie dawalo mi to spokoju. Pamietasz z wojny zolnierzy zwolnionych ze sluzby na podstawie paragrafu osmego? Ilu bylo wsrod nich prawdziwych wariatow?

-Kiedy walczyliśmy w Ardenach, byl u nas w oddziale taki jeden.

-Walczyles w Ardenach? Teddy skinal glowa.

-Facet obudzil sie kiedys i zaczal mowic wspak.

-Slova czy zdania?

-Zdania. Mowil na przyklad: "Sierzancie, dzisiaj sie polalo krwi duzo za". Kiedy znalezlismy go po poludniu, siedzial w okopie i walil sie w leb kamieniem. Siedzial i walil sie w leb. Zupelnie nas to rozstroilo i dopiero po minucie zauwazyliśmy, ze wydlubal sobie oczy.

-Chrzanisz.

Teddy pokrecil przeczaco glowa.

-Kilka lat pozniej dowiedzialem sie, ze przebywa w szpitalu dla weteranow w San Diego. Wciaz mowil wspak i na dodatek dopadl go paraliz, ktorego przyczyny nie mogl ustalic zaden z tamtejszych lekarzy. Przykuty do wozka, po calych dnia wysiadyl przy oknie i opowiadal o uprawianiu ziemi, o swoim zbozu. Sek w tym, ze facet pochodził z Brooklynu.

-Jesli gosc z Brooklynu uwaza sie za farmera, to chyba podpada pod paragraf osmy.

-Jest to pewien objaw, na ktorym mozna sie oprzec.

2

Na przystani przywital ich zastepca komendanta McPherson. Wydawal sie dosc mlody na to stanowisko. Jasne wlosy przystrzyzone mial nieco ponad regulaminowa dlugosc i poruszal sie z leniwym wdziekiem, ktory Teddy'emu kojarzyl sie z Teksanczykami albo z ludzmi majacymi do czynienia z konmi. Przybyl z obstawa poslugaczy, glownie Murzynow i kilku bialych, o twarzach pozbawionych oznak wszelkich uczuc, jakby zaznane w dzieciństwie niedozywienie zahamowalo ich dalszy rozwoj, odcisnelo na nich wyraz odwiecznego znudzenia.

Poslugacze, odziani w biale koszule i biale spodnie, poszli gromada do promu po odbior ladunku. Zachowywali sie tak, jakby nie dostrzegali Teddy'ego i Chucka, jakby w ogole niczego nie dostrzegali.

Na zyczenie McPhersona Teddy i Chuck wyjeli odznaki i legitymacje sluzbowe.

Zastepca komendanta uwaznie je ogladal, porownywal zdjecia z oryginalami, patrzac na nich z ukosa.

-Chyba nie widzialem jeszcze odznaki szeryfa federalnego - odezwal sie.

-A teraz trzyma pan w reku az dwie - powiedzial Chuck. - Bedzie co wspominal.

McPherson usmiechnal sie od niechcienia i rzucil mu odznake.

Plaza nosila slady niedawnych gwaltownych przyplywow - uslana byla muszlami, patykami, martwymi mieczakami i rybami, nadzartymi przez miejscowych padlinozercow.

Teddy zauwazyl smieci naniesione przez prady morskie od strony miasta - puszki, sterty przemoczonych papierow, tablice rejestracyjna wyrzucona na plaze az pod drzewa, wyblakla na sloncu. Wsrod drzew przewazaly sosny i klony, smukle i postrzepione, a miedzy nimi przeswitywaly budynki stojace na szczycie wznesienia.

To miejsce na pewno oczarowaloby Dolores, ktora uwielbiala wylegiwac sie na sloncu, lecz Teddy czul tylko powiew bryzy, ostrzezenie wysylane nieustannie przez ocean, ze lada chwila moze uderzyc, wessac czlowieka na dno.

Poslugacze wrocili z workami i pudlami i zaladowali je do wozkow. McPherson pokwitowal odbior przesyly i oddal dokument straznikowi z promu, ktory oswiadczył:

-Zaraz odpływamy.

McPherson zmruzył oczy w sloncu.

-Ten sztorm - mowil straznik. - Nie wiadomo, czego sie po nim spodziewac.

Zastepca komendanta skinal glowa.

-Zawiadomimy was przez radio, kiedy macie nas odebrac - powiedzial Teddy.

Straznik pokiwal glowa.

-Ten sztorm - powtorzyl.

-Jasne, jasne - wtracil Chuck. - Bedziemy to miec na uwadze.

McPherson poprowadzil ich sciezka, ktora piela sie lagodnie miedzy drzewami.

Doszli do brukowanej drogi przecinajacej sciezke tuz za linia drzew. Teddy dostrzegl dwa budynki wznoszące sie po obu stronach drogi. Dom po lewej byl prostszy, wiktoriański, z mansardowym dachem i czarno obramowanymi okienkami, ktore kojarzyly sie ze straznica. Po prawej stal dumnie na pagorku elzbietański palacyk.

Wspinali sie dalej po stromym i porosnietym trawa morska zboczcu, az weszli na gore, gdzie teren byl plaski, pokryty bardziej zielona i krotsza trawa. Zielony kobierzec ciagnal sie przez kilkaset metrow az do muru z pomaranczowej cegly, ktory chyba biegł wzdluz calej wyspy. Wysoki na ponad trzy metry, zwieczony drutem, ktorego widok poruszył w Teddym czula strune. Ogarnela go nagle litosc dla tych wszystkich skazancow po drugiej stronie muru, ktorym ten cienki drut uswiadamił naga prawde, iz swiat za wszelka cene chce trzymac ich tam w zamknieciu. Teddy dojrzał mezczyzn w ciemnoniebieskich mundurach, ktorzy z opuszczonymi glowami przepatrywali trawe przed murem.

-Straznicy wiezienni w zakladzie dla umyslowo chorych - odezwal sie Chuck. - Bez obrazy, panie McPherson, ale przedstawiaja dosc szczegolny widok.

-To placowka o maksymalnie zaostrzonym rygorze - wyjasnil zastepca komendanta. - Obowiazuja u nas dwa oddzielne statuty: Stanowego Departamentu Zdrowia Psychicznego i Federalnego Departamentu Wieziennictwa.

-Rozumiem - odparl Chuck. - Ale ciekawi mnie, co tez wy tutaj opowiadacie sobie przy obiedzie.

McPherson usmiechnal sie i lekko pokrecil glowa.

Teddy zobaczyl czarnowlosego mezczyznie ubranego w taki sam mundur jak pozostali, ale wyrozniajacy sie zoltymi pagonami, sterczacym kolnierzykiem i zlota odznaka. On jeden kroczył z zadarta glowa i reka zalozona do tylu. Jego postawa przypominala Teddy'emu pulkownikow, z jakimi zetknal sie na wojnie, mezczyzn, dla ktorych dowodzenie bylo obowiazkiem, nalozonym na nich nie tylko przez regulamin, ale i przez samego Boga.

Do piersi przyciskal czarna ksiazeczke, uklonil sie w ich strone, po czym oddalil sie ta sama droga, ktora przyszli; jego czarne wlosy sztywno opieraly sie bryzie.

-To komendant - powiedzial McPherson. - Spotkacie sie z nim pozniej.

Teddy skinal glowa, chociaz nie rozumial, dlaczego nie mogli sie spotkac teraz, a tymczasem komendant zniknal im z oczu.

Jeden z poslugaczy otworzył kluczem brame osadzona w murze, skrzydlo bramy uchylilo sie i poslugacze wtoczyli do srodka wozki. Dwoch straznikow podeszlo do McPhersona i stanelo po obu stronach.

Zastepca komendanta wyprezyl sie i przybral urzedowa mine.

-Musze teraz zapoznac was z obowiazujacymi tu zasadami.

-Oczywiscie.

-Przysluguja wam, panowie, wszelkie wygody, na jakie nas stac, i otrzymacie z naszej strony wszelka mozliwa pomoc. Jednak podczas pobytu w zakladzie, bez wzgledu na to, jak dlugo pozostaniecie, bedziecie przestrzegac procedury. Jasne? Teddy skinal glowa, a Chuck powiedzial:

-Jak slonce.

McPherson zawiesil wzrok tuz ponad ich glowami.

-Doktor Cawley bez watpienia wyjasni wam niuanse procedury, ale ja musze podkreslic z cala stanowczoscia jedno: zabroniony jest jakikolwiek kontakt z pacjentami tego zakladu bez dozoru. Jasne?

Teddy cisnelo sie na usta: "Tak jest", jak za zolnierskich czasow, ale ugryzl sie w jezyk i poprzestal na zwyczajnym: - Tak.

-Oddzial A, dla mezczyzn, miesci sie w budynku za moimi plecami po mojej prawej rece, oddzial B, dla kobiet, po lewej. Oddzial C znajduje sie za urwiskami rozciagajacymi z tylu szpitala, w dawnym forcie Walton. Wstep na oddzial C dozwolony jest wylacznie za pisemnym zezwoleniem zarowno komendanta, jak i doktora Cawleya, i w ich obecności.

Jasne?

Chuck i Teddy skineli głowami.

McPherson wyciągnął szeroka dłoń, jakby oddawał część słońcu.

-Proszę o oddanie broni służbowej.

Chuck spojrział na Teddy'ego, który potrzaskał głową i powiedział:

-Panie McPherson, ma pan przed sobą powołanych zgodnie z prawem szeryfów federalnych. W myśl rządowych rozporządzeń jesteśmy zobowiązani do noszenia broni przez cały czas.

Głos McPhersona przeciał powietrze niczym stalowa linka.

-Zarządzenie trzysta dziewięćdziesiąte pierwsze Federalnego Kodeksu Służb Wieziennych i Zakładów dla Umysłowo Chorych Przestępców stanowi, że obowiązek noszenia broni przez funkcjonariusza służb bezpieczeństwa publicznego ulega uchyleniu wyłącznie wskutek rozkazu jego bezpośredniego przełożonego albo osob, którym powierzono ochronę zakładów karnych lub szpitali dla umysłowo chorych. Panowie, jesteście w sytuacji, do której odnosi się ten wyjątek. Nie wiedzicie uzbrojeni na teren szpitala.

Teddy popatrzył na Chucka, a ten wskazał głową wyciągniętą dłoń McPhersona i wzruszył ramionami.

-Proszę zaznaczyć ten wyjątek w aktach - powiedział Teddy.

-Strażniku, pamiętajcie, aby odnotować przepis, na mocy którego szeryfowie Daniels i Aule złożyli bron.

-Rozkaz, panie komendancie.

-Panowie - zwrócił się do nich McPherson.

Strażnik po prawej ręce McPhersona rozwiązał mały skorzany worek.

Teddy odchylił pole płaszcza i wyjął z kabury służbowy rewolwer. Machnięciem nadgarstka przelamał go na pół, a potem podał McPhersonowi rewolwer z otwartym bebenkiem.

Ten przekazał go strażnikowi, który umieścił bron w skorzonym worku. McPherson wyciągnął rękę po rewolwer Chucka.

Chuckowi zabrakło to trochę więcej czasu, zmagal się chwilę z zapieciem kabury, ale McPherson nie okazywał zniecierpliwienia, po prostu czekał, wreszcie Chuck nieporadnie wsunął mu do ręki rewolwer, który w ślad za bronią Teddy'ego został umieszczony w worku.

-Wasza bron zostanie oddana do depozytu - mówił cicho McPherson, głosem szeleszczącym jak liście na wietrze. - Będziecie mogli ją odebrać w dniu odjazdu w głównym budynku szpitalnym, w pokoju naprzeciw gabinetu komendanta.

Twarcz McPhersona nagle rozciągnęła się w szerokim, zawadiackim uśmiechu kowboja.

-To by było tyle tytułem formalności. Nie wiem jak wy, ale ja się cieszę, że mam to za sobą. Złożymy teraz wizytę doktorowi Cawleyowi. Co wy na to?

Odwrócił się i poprowadził ich przez brame na dziedziniec. Brame za nimi zamknęto. Środkiem rozległego trawnika biegła ścieżka wyłożona taką samą cegłą, jakiej użyto do budowy muru. Przy trawniku, drzewach i klombach, a nawet przy krzewach roz, których rzad posadzono wzdłuż fundamentu szpitala, pracowali pacjenci z nogami skutymi lancuchami. Ogrodników nadzorowali posługacze, oprócz nich snuli się po terenie inni pacjenci w kajdanach na kostkach nog; Teddy'ego uderzył ich dziwny, kaczkowy chód. Większość stanowili mężczyźni, kobiet było kilka.

-Kiedy przyjechali tu pierwsi lekarze, wszędzie pieniała się trawa morska i chaszczę - powiedział McPherson. - Powinnicie obejrzeć zdjęcia. Ale teraz...

Po bokach szpitala stały dwa identyczne budynki z czerwonej cegły, białe obramowane okna były zakratowane, a szyby pozostawione od soli i wilgoci. Szpital zbudowany z ciemnoszarych kamieni, wygładzonych przez morze, wznosił się na wysokości pięciu pieter, a ze spadzistego dachu wystawały mansardowe okna.

-Postawiono go przed wojną secesyjną - tłumaczył McPherson. - Miał być przeznaczony na kwatery dla batalionu,

najwyraźniej planowano tu też umieścić ośrodek szkolenia. A kiedy wojna wydawała się już nieunikniona, zajęli się przede wszystkim fortem, a tu powstał oboz dla jenców.

Teddy zobaczył wieżę, którą dostrzegł wcześniej z promu. Jej szczyt wystawał nieznacznie nad korony drzew na przeciwległym krancu wyspy.

-Co to za wieża?

-Stara latarnia morska - odparł McPherson. - Właściwie już na początku dziewiętnastego wieku przestała spełniać swoje zadanie. Podobno armia Polnocy wystawiała tam swoje posterunki, a teraz mieści się w niej stacja.

-Badawcza?

McPherson potrząsnął głową.

-Oczyszczania wody. Nie macie pojęcia, co trafia do zatoki, a w końcu i do nas.

Z pokładu wygląda to ładnie, ale zatoka jest zapaskudzona. Rzeki, które do niej wpływają, znoszą tu brudy z całego stanu.

-Fascynujące - powiedział Chuck, zapalił papierosa i stłumił ziewnięcie, mrużąc oczy w słońcu.

-Tam, za murem - wskazał ręką w kierunku oddziału B - znajduje siedziba pierwszego dowódcy. Widzieliście ją pewnie w drodze do szpitala. Postawienie jej kosztowało fortunę, ale kiedy Wuj Sam zobaczył rachunek, zaraz zdjął dowódcę ze stanowiska. Powinnicie tam zajrzeć.

-Kto tam teraz mieszka? - spytał Teddy.

-Doktor Cawley. Bez jego udziału szpital nie byłby tym, czym jest. Jego i komendanta. Udało im się tu stworzyć coś naprawdę wyjątkowego.

Obeszli szpital od tyłu, mijając skutych ogrodników, którzy pod nadzorem posługaczy wznosili grzązki czarna ziemię pod murem. Jedną z pacjentek, kobieta w średnim wieku, z włosami barwy pszenicy mocno przerzedzonymi na czubku głowy, spojrzała na Teddy'ego znad motyki i przytknęła palec do ust. Teddy dostrzegł grubą, ciemnoczerwoną krechę blizny, przecinającą jej szyję. Kobieta uśmiechnęła się do niego, nie odrywając palca od ust, a potem powoli pokręciła głową.

-Cawley to prawdziwa sława w swojej dziedzinie - mówił McPherson, gdy zbliżali się do frontowego wejścia do budynku. - Jeden z najlepszych studentów na roku na Uniwersytecie Johna Hopkinsa i Harvardzie, w wieku dwudziestu lat opublikował pierwszą pracę na temat patologii urojen. Jego rady zasięgał Scotland Yard, wywiad brytyjski, Biuro Służb Strategicznych.

-Dlaczego? - spytał Teddy.

-Dlaczego?

Teddy skinął głową. Pytanie wydawało się całkiem słuszne.

-No co... - bąknął McPherson wyraźnie zbity z tropu.

-Biuro Służb Strategicznych, na przykład - powiedział Teddy. - Po co miałoby się zwracać do psychiatry?

-W sprawach związanych z wojną.

-No tak - odparł Teddy. - Ale jakiego rodzaju?

-Objętych tajemnicą, jak przypuszczam.

-Co to za tajemnica - wtracił Chuck, posyłając rozbawione spojrzenie Teddy'emu - jeśli tak sobie o tym rozmawiamy?

McPherson przystanął przed wejściem do szpitala, stawiając nogę na pierwszym schodku. Na jego twarzy malowało się zakłopotanie. Odwrócił wzrok w stronę krzywizny pomarańczowego muru, a potem powiedział:

-Coż, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście zapytali o to samego doktora. Jest już pewnie po naradzie.

Weszli po schodach, a potem do środka, do wyłożonego marmurem przedsionka o lukowatym sklepieniu przechodzącym w kasetonową kopułę. Stamtąd, kiedy elektroniczna blokada bramy została zwolniona, przeszli do sporego holu, gdzie po

prawej i po lewej stronie siedzieli za biurkami posługacze, a w glebi, za kolejną bramą ciągnął się długi korytarz. Wreczyli swoje odznaki oraz legitymacje posługaczowi siedzącemu na posterunku przy schodach. McPherson wpisał na tabliczce trzy nazwiska, swoje oraz dwóch szeryfów, a posługacz po sprawdzeniu oddał im dokumenty. Za jego plecami znajdowało się całkowicie zakratowane pomieszczenie, a w nim Teddy dojrzał mezczyzne w mundurze podobnym do munduru komendanta; jedna ściana pomieszczenia obwieszona była pekami kluczy.

Wspieli się na pierwsze piętro i poszli korytarzem, który pachniał środkiem do czyszczenia drewna; pod nogami Isniła debowa podłoga, skapana w jasnym świetle padającym przez duże okno w przeciwnym końcu.

-Pilnie strzeżone miejsce - zauważył Teddy.

-Nie zaniedbujemy żadnych środków ostrożności - odparł McPherson.

-Nie wątpię, że ku zadowoleniu wdzięcznego społeczeństwa - powiedział Chuck.

-Musicie zrozumieć, panowie - zaczął McPherson, odwracając się do nich plecami i prowadząc ich obok szeregu gabinetów, których zamknięte drzwi opatrzone były srebrnymi tabliczkami z nazwiskami lekarzy. - W całych Stanach Zjednoczonych nie ma drugiej takiej placówki. Przyjmujemy tylko najcięższe przypadki. Trafiają do nas pacjenci, z którymi inne zakłady nie mogą sobie poradzić.

-Macie tutaj Gryce'a, zgadza się? - powiedział Teddy.

-Owszem, Vincent Gryce przebywa u nas na oddziale C.

-To ten, który...? - Chuck zawiesił głos. Teddy kiwnął głową.

-Zamordował bliskich, oskalpował ich i zrobił sobie czapki. - I paradował w nich po mieście, tak? - dodał Chuck.

-Jeśli wierzyć gazetom.

Stanęli przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Na mosiężnej tabliczce umocowanej po środku prawego skrzydła widniał napis KIEROWNIK PERSONELU MEDYCZNEGO,

DR J. CAWLEY.

McPherson odwrócił się do nich. Rekę trzymał na galce od drzwi i spoglądał na nich z napięciem. -Dawniej, kiedy ludzkość była na niższym etapie rozwoju, takiego pacjenta jak Gryce posłano na śmierć. Ale teraz lekarze mogą go tutaj badać, określić jego zaburzenia, może nawet wykryć w mózgu podłoże jego zachowania, całkowicie odbiegającego od przyjętych norm. Jeśli im się to uda, może dożyjemy dnia, kiedy będziemy umieli całkowicie wykorzenić tego rodzaju zaburzenia, uwolnić od nich społeczeństwo.

Zdawało się, że z ręką zacisniętą na galce, czeka na odpowiedź z ich strony.

-Marzenia to dobra rzecz - podsumował Chuck. - Nie uważa pan?

3

Doktor Cawley był chudy, niemal wynędzniały. Może nie tak jak ci nieszczęsni, których Teddy widział w Dachau - sama skóra, kości i ścięgna - ale na pewno przydałoby mu się kilka pożywnych posiłków. Jego małe, ciemne oczy były głęboko osadzone, a cienie pod oczami zdawały się rozlewać po całej twarzy. Policzki miał tak zapadnięte, że tworzyły ciemne jamy, a skóra wokół nich pokrywała stare blizny po krostach. Usta i nos były równie cienkie jak reszta jego postaci, a broda tak niewielka, że ginęła w twarzy. Mocno przerzedzone włosy odpowiadały barwą jego oczom i podkreślały jego cienie. Za to uśmiech miał porażający, promienny i tchnący pewnością siebie, od której rozjaśniały mu się tęczówki. I tak też się uśmiechał, kiedy wychodził im naprzeciw zza biurka - Szeryf Daniels i szeryf Aule - powiedział, wyciągając rękę. - Ciesze się, że przybyliście tak szybko, panowie.

Jego dłoń była sucha i gładka w dotyku jak posąg, ale uścisk miał potężny, o czym przekonał się Teddy, gdy Cawley zduł mu rękę tak, że poczuł ból aż w przedramieniu.

W oczach Cawleya pojawiły się ogniki, które zdawały się mówić: "Nie spodziewałeś się tego po mnie, co?". Potem przywitał się z Chuckiem.

-Na razie to wszystko. Dziękuję panu - zwrócił się do McPhersona, a uśmiech nagle znikł z jego twarzy.

-Oczywiście, panie doktorze. Miło mi było was poznać, panowie - odparł McPherson i wyszedł z gabinetu.

Na twarzy Cawleya znowu zagóścił uśmiech, ale tym razem jakby bardziej wymuszony; Teddy'emu skojarzył się z kozuchem zastygłym na powierzchni gestej zupy.

-To dobry chłopak, ten McPherson. Chętny.

-Do? - spytał Teddy, siadając na krzesle przed biurkiem. Cawley zastygł z uniesionym w uśmiechu kąciem ust.

-Nie rozumiem.

-Do czego jest taki chętny? - wyjaśnił Teddy.

Cawley siadł za biurkiem z drewna tekowego i rozłożył ręce.

-Do pracy. To połączenie opieki lekarskiej z praworządnością, wysoce moralne.

Jeszcze pół wieku temu, a w niektórych wypadkach nawet mniej, uważano, że pacjenci, jakimi się tu zajmujemy, w najlepszym razie zasługują na przymusowe odosobnienie i powolne gnienie we własnym brudzie i plugastwie. Tłukliśmy ich, jakby w ten sposób można było wypędzić z nich psychozę. Przypisywaliśmy im najgorsze cechy.

Poddawaliśmy torturom. Lamaliśmy kośćmi... Tak. Wierciliśmy im dziury w mózgu.

Niekiedy nawet topiliśmy.

-A teraz? - spytał Chuck.

-Teraz zapewniamy im godziwe traktowanie. Probujemy leczyć, uzdrowić. A jeśli to się nie powiedzie, to chociaż wnosimy do ich życia nieco spokoju.

-Ciekawe, co by na to powiedziały ich ofiary? - odezwał się Teddy.

Cawley skinął brwi i patrzył na niego wyczekująco.

-To przecież brutalni przestępcy - rzekł Teddy. - Zgadza się?

Cawley skinął głową.

-Rzeczywiście, okrutni.

-Więc zadawali ból, często zabijali.

-Większość to mordercy.

-Zatem jakie znaczenie ma ich wewnętrzny spokój, jeśli weźmie się pod uwagę tych wszystkich ludzi, których pozbawili życia?

-Moim zadaniem jest ich leczyć. Dla ich ofiar, niestety, nie mogę już nic zrobić.

Każda praca, z natury rzeczy, ma jakieś ograniczenia. Ja mogę troszczyć się tylko o moich pacjentów. Czy senator wyjaśnił panom sytuację? - spytał z uśmiechem.

Teddy i Chuck spojrzeli szybko po sobie.

-Nic nam nie wiadomo o żadnym senatorze - odparł Teddy. - Skierował nas tu miejscowy wydział policyjny.

Cawley położył łokcie na blacie obitym na zielono, splótł ręce, oparł na nich brodę i przypatrywał im się zza okularów.

-Widocznie coś mi się pomyliło. Co wam wiadomo o sprawie?

-Zaginęła więźniarka - odparł Teddy, wertując notes. - Niejaka Rachel Solando.

Cawley posłał mu zimny uśmiech.

-Pacjentka.

-Pacjentka - poprawił się Teddy. - Przepraszam. Podobno zniknęła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Cawley na potwierdzenie opuścił nieznacznie brodę.

-Zeszłej nocy. Między dziesiątą a dwunastą wieczór.

-I do tej pory jej nie odnaleziono - powiedział Chuck.

-W rzeczy samej szeryfie... - Cawley nie dokończył, unosząc rękę w przeproszającym geście.

-Aule - przypomniał Chuck.

Twarz Cawleya jakby stała się bardziej pociągła, a Teddy dostrzegł kropelki wody rozpryskujące się na oknie za jego plecami. Trudno było określić, czy to deszcz, czy morska wilgoc.

-Na imię ma pan Charles? - upewnił się Cawley.

-Tak - odparł Chuck.

-Mogłbym pana wziąć za Charlesa, ale niekoniecznie za Aule'a.

-Wypada mi się z tego cieszyć.

-Jak to?

-Nie wybieramy sobie imion ani nazwisk - wyjaśnił Chuck - więc miło usłyszeć, że przynajmniej jedno z nich do nas pasuje.

-Kto je panu nadał? - spytał Cawley.

-Rodzice.

-Chodzi mi o nazwisko. Chuck wzruszył ramionami.

-A kto to wie? Trzeba by się cofnąć o dwadzieścia pokoleń.

-Wystarczy o jedno w tym wypadku. Chuck pochylił się do przodu.

-Słucham?

-Jest pan z pochodzenia Grekiem albo Ormianinem, niech pan przyzna.

-Ormianinem.

-Więc przed Aule'em był...

-Anasmadzijan.

-A pan? - spytał Cawley, przenosząc chytre spojrzenie na Teddy'ego.

-Ja? Danielsowie to stary irlandzki rod - odpowiedział. - I owszem - uśmiechnął się do Cawleya - potrafię przesledzić jego dzieje dziesięć pokoleń wstecz.

-Ale jakie otrzymał pan imię? Theodore?

-Edward.

Cawley przestał się podparć rękami i odsunął się od biurka. Stukał o krawędź nożem do rozcinania papieru; cichy i uporczywy odgłos przywołał na myśl bebnienie sniegu o dach.

-Moja żona ma na imię Margaret - oświadczył. - Ale prócz mnie nikt się do niej tak nie zwraca. Najstarsi przyjaciele, choć nie wszyscy, mówią na nią Margo, co ma jeszcze jakiś sens, ale inni nazywają ją Peggy. Zupełnie tego nie rozumiem.

-Czego?

-Jakim cudem z Margaret wychodzi Peggy. Mimo to spotyka sie to nader czesto.

Albo co Teddy ma wspolnego z Edwardem. Nie ma przeciez p w Margaret, ani t w Edward.

Teddy wzruszyl ramionami.

-A jak panu na imie?

-John.

-I mowia na pana Jack?

Cawley potrzasnal glowa.

-Ludzie na ogol zwracaja sie do mnie "panie doktorze".

Kropelki wody dzwonily lekko o szybe. Cawley odtwarzal chyba w myslach przebieg rozmowy, mial blyszczace oczy i byl nieobecny duchem.

-Czy ta Solando uchodzi za niebezpieczna? - odezwal sie Chuck.

-Wszyscy nasi pacjenci wykazuja silne sklonnosc do agresji - powiedzial Cawley.

-Dlatego tu przebywaja. Plec nie ma znaczenia. Jej maz zginal na wojnie. Rachel Solando utopila troje swoich dzieci w stawie na tybach domu. Wyprowadzila je tam po kolei i trzymala im glowy pod woda tak dlugo, az sie utopily. Potem przeniosla je do domu, posadzila przy stole w kuchni i zjadla w ich towarzystwie sniadanie. Wtedy zjawil sie sasiad.

-Wykonczyla go? - spyta Chuck.

Cawley uniosl brwi - i westchnal cicho.

-Nie. Zaprosila go do stolu, zeby cos przekasil. Rzecz jasna facet odmowil i zawiadomil policje. Rachel wciaz wierzy, ze jej dzieci zyja i czekaja na nia. Stad moze ta proba ucieczki.

-Ciagnie ja do domu - powiedzial Teddy. Cawley skinal glowa.

-A gdzie jest jej dom? - spytal Chuck.

-W malej miescinie w gorach Berkshire. Ponad dwiescie kilometrow stad. - Cawley odchylił glowe w strone okna za plecami. - Plynac w tym kierunku, trzeba pokonac wplaw pietnascie kilometrow, zeby dotrzec do brzegu. A gdyby plynac na polnoc, najblizszy lad to dopiero Nowa Fundlandia.

-A caly teren przeszukaliscie - rzekl Teddy.

-Owszem.

-Dokladnie?

Cawley nie od razu odpowiedzial, bawil sie chwile srebrna figurka konia stojaca w rogu biurka.

-Komendant ze swoimi ludzmi i oddzialem poslugaczy przetrzasneli cala wyspe i wszystkie budynki. Dopiero co skonczyli. Ani sladu. Co gorsza, nie mamy pojecia, w jaki sposob wydostala sie z pokoju. Jej pokoj byl zamkniety na klucz, a w oknie tkwila krata. Nic nie wskazuje na to, ze ktos majstrowal przy zamkach. - Przeniosl spojrzzenie z figurki konia na Teddy'ego i Chucka. - Wyglada to tak, jakby sie ulotnila, przeniknela przez mury.

Teddy zanotowal w notesie slowo "ulotnila".

-Jest pan pewny, ze przebywala w swoim pokoju, gdy rozpoczela sie cisza nocna?

-Calkowicie.

-Skad ta pewnosc?

Cawley puscil figurke i polaczyl sie przez interkom z pokojem pielegniarek.

-Siostra Marino?

-Slucham, panie doktorze?

-Prosze przyslac do nas pana Gantona.

-Juz go wysylam, panie doktorze.

Pod oknem stal stolik, a na nim dzbanek z woda i cztery szklanki. Cawley podszedl do stolika i napelnil trzy szklanki. Jedna postawil przed Teddym, druga przed Chuckiem, a trzecia wziął ze soba i usiadl z powrotem za biurkiem.

-Nie ma pan przypadkiem aspiryny, doktorze? - spytal Teddy.

Cawley usmiechnal sie lekko.

-Cos sie chyba znajdzie.

Zajrzal do szuflady biurka i wyjal buteleczke aspiryny Bayera.

-Dwie czy trzy?

-Trzy, jesli mozna - odparl Teddy; cmienie za lewym okiem przeszlo w rwacy bol.

Cawley podal mu tabletki, a Teddy wrzucil je do ust i popil woda.

-Cierpi pan na bole glowy, szeryfie?

-Na chorobe morska... niestety - odparl Teddy. Cawley skinal glowa.

-Rozumiem. Odwodnienie.

Teddy kiwnal twierdzaco, a Cawley otworzyl drewniane pudelko z papierosami i podsunal je gosciom. Teddy poczestowal sie, ale Chuck odmowil i wyjal wlasne.

Wszyscy troje zapalili i doktor otworzyl okno.

Usiadl z powrotem na swoim miejscu i podal im fotografie mlodej, pieknej kobiety; razila w jej twarzy obecność ciemnych sincow pod oczami, tak ciemnych jak jej czarne wlosy. Same oczy byly nienaturalnie rozszerzone, jakby napieral na nie od srodka rozgrzany pret. Uchwycona na zdjeciu kobieta dostrzegala cos poza obiektywem, poza fotografem, przypuszczalnie poza wszelkimi znanymi rzeczami tego swiata, lecz widok ten nie byl przeznaczony dla ludzkich oczu.

Cos w niej wydalo sie Teddy'emu niepokojuco znajome i nagle przypomnił sobie chlopaka z obozu, ktory nie chcial nic przelknac, chociaz podtykali mu pod nos jedzenie.

Po prostu siedzial oparty o sciane w kwietniowym sloncu z takim samym wyrazem oczu, az opadly mu powieki i w koncu powiekszył stos umarlakow pietrzacy sie na stacji kolejowej.

Chuck gwizdnal cicho.

-Moj Boze.

Cawley sie zaciagnal.

-Urzekla pana jej uroda czy przerazilo szalenstwo w oczach?

-Jedno i drugie.

To spojrzenie, pomyslal Teddy. Nawet uwiezione na wiecznosc, w tej jednej chwili tchnelo takim cierpieniem, ze mialo sie ochote wskoczyc do zdjecia i pocieszyc ja: "Nie ma czego sie bac. Juz wszystko w porzadku, juz w porzadku. Ciiii". Chcialo sieja przytulic i trzymac, az przestanie sie trzasc, i powtarzac, ze wszystko bedzie dobrze.

Otworzyly sie drzwi i do gabinetu wszedl wysoki Murzyn w bialym ubraniu, z wlosami gesto przetykanymi siwizna.

-Panie Ganton - odezwał się Cawley. - To szeryf Aule i szeryf Daniels, o których panu wspominałem.

Teddy i Chuck wstali i przywitani się z Gantonem. Teddy wyczuł z jego strony strach, miał wrażenie, że przybysz był mocno zmieszany, gdy podawał rękę strozom prawa, jakby coś przeszkrobał w szerokim świecie.

-Pan Ganton pracuje tutaj od siedemnastu lat. Jest przełożonym posługaczy. To właśnie on wczoraj w nocy odprowadził Rachel do jej pokoju. Co ma pan do powiedzenia szeryfom?

Ganton skrzyżował nogi w kostkach, oparł ręce o kolana i pochylił się trochę do przodu, wbijając wzrok w podłogę.

-O dziewiątej była grupa, a potem...

-To znaczy, sesja terapii grupowej prowadzona przez doktora Sheehana i pielęgniarkę, panią Marino - wtracił Cawley.

Ganton odezwał się dopiero wówczas, kiedy nabral pewności, że Cawley skończył.

-No właśnie. Grupa trwała do dziesiątej czy coś koło tego. Potem zaprowadziłem Rachel do pokoju. Weszła do środka. Zamknąłem drzwi kluczem od zewnątrz. W czasie ciszy nocnej robimy obchód co dwie godziny. Wracam o północy, zaglądam do środka, a jej łóżko jest puste. Myślę sobie, może śpi na podłodze. Oni lubią spać na podłodze.

Otwieram drzwi...

-Kluczem, zgadza się, panie Ganton? - ponownie przerwał mu Cawley.

Ganton skinął doktorowi głową i zapatrzył się w swoje kolana.

-Jasne, otwieram kluczem, bo drzwi są zaryglowane. Wchodzę. Nigdzie nie widzę pani Rachel. Zamykam za sobą drzwi, sprawdzam okno i kraty. Zamek w kratce jest w porządku. - Wzruszył ramionami. - Wzywam komendanta.

Podniósł wzrok na Cawleya, który pokiwał mu głową z ojcowską aprobatą.

-Wasza kolej, panowie. Macie jakieś pytania?

Chuck potrząsnął głową.

Teddy oderwał wzrok od notatek.

-Panie Ganton, powiedział pan, że wszedł do pokoju i upewnił się, że pacjentki nie ma. Na czym to polegało?

-Proszę?

-Czy jest tam szafa? Miejsce pod łóżkiem, gdzie mogła się schować? - spytał Teddy.

-I jedno, i drugie.

-Sprawdził pan oba te miejsca?

-Tak jest.

-A drzwi nadal były otwarte?

-Proszę?

-Powiedział pan, że wszedł do pokoju, rozejrzał się i nigdzie nie znalazł pacjentki.

Dopiero potem zamknął pan za sobą drzwi.

-Nie... To znaczy...

Teddy czekał cierpliwie, zaciągnął się papierosem, którego dostał od Cawleya.

Roznił się od jego ulubionych chesterfieldów łagodnym, wyraźniejszym smakiem. Nawet dym miał inny zapach, niemal słodki.

-To zabralo mi wszystkiego piec sekund, szeryfie - odparl Ganton. - Szafa jest bez drzwi. Zagladam do niej, patrze pod lozko i zamykam drzwi. To maly pokoik, nie ma gdzie sie schowac.

-A pod sciana? - powiedzial Teddy. - Po prawej albo po lewej stronie drzwi?

-Gdzie tam. - Ganton potrzasnal glowa i Teddy odniosl wrazenie, ze spod spuszczonego wzroku i ugrzecznionej pozy rozmowcy po raz pierwszy wyjrzal gniew, jakby te przypuszczenia dotkneli Gantona do zywego.

-To raczej wykluczone - zwrocil sie Cawley do Teddy'ego. - Wiem, do czego pan zmierza, szeryfie, ale kiedy zobaczy pan pokoj, zrozumie pan, ze pan Ganton musialby byc pod wplywem ogromnego stresu, zeby nie zauwazyc pacjentki, gdyby ta przebywala gdziekolwiek w obrebie czterech scian swego pokoju. - Swieta prawda - potwierdzil Ganton, patrzac teraz Teddy'emu prosto w oczy.

Teddy domyslil sie, ze facet jest cholernie wrażliwy na punkcie etyki zawodowej, a on swoimi pytaniami glęboko go urazil, zranil jego dume.

-Dziekuje, panie Ganton - powiedzial Cawley. - Prosze wracac do swoich obowiazkow.

Ganton wstal, jeszcze przez chwile wpatrywal sie w Teddy'ego, po czym odparl: - Do widzenia, panie doktorze - i wyszedl.

Przez minuty siedzieli w milczeniu, dopalajac papierosy. Zgnietli niedopalki w popielniczkach i dopiero wtedy Chuck powiedzial:

-Pora rzucic okiem na ten pokoj, doktorze.

-Oczywiscie - odrzekl Cawley i wyszedl zza biurka; w reku trzymal pek kluczy na kolku wielkosci pokrywki do garnka. - Prosze za mna.

Pokoik byl malenki, drzwi otwieraly sie do srodka na prawa strone. Byly ciezkie, stalowe, a zawiasy tak dobrze naoliwione, ze pchniete skrzydlo drzwi uderzylo z hukiem o sciane. Po lewej stronie, w pewnej odleglosci od drzwi, stala drewniana szafa; w srodku wisialo kilka fartuchow i wiazanych w pasie spodni.

-No i nici z mojej teorii - przyznal Teddy.

Cawley skinal glowa.

-Nie ma tu miejsca, zeby ukryc sie przed wzrokiem stojacej w drzwiach osoby.

-Chyba ze na suficie - odezwal sie Chuck, a wszyscy troje podniesli wzrok i nawet doktor zdobyl sie na usmiech.

Cawley zamknal drzwi i Teddy naraz poczul sie jak w pulapce, osaczony. Wbrew swojej nazwie to byla cela. W oknie umieszczonym nad waskim lozkiem tkwily kraty.

Pod sciana po prawej stronie stala mala toaletka, gola betonowa podloga i sciany pomalowane byly na bialo, jak przystalo na tego rodzaju placowke. Zamknieci we trojke w tej klitce musieli uwazac, zeby nie potracic jeden drugiego.

-Kto jeszcze mogl miec dostep do tego pokoju? - spytal Teddy.

-O tak poznej porze? Nikt nie kreci sie wtedy po oddziale bez powodu.

-Jasne. Ale kto mogl miec dostep?

-Oczywiscie poslugacze.

-A lekarze? - odezwal sie Chuck.

-No i pielegniarki.

-Lekarze nie maja kluczy do tego pokoju?- dociekal Teddy.

-Owszem, maja - odparl Cawley z lekka nutka rozdraznienia w glosie. - Ale do dziesiatej wieczor lekarze powinni juz sie rozejsc do swoich kwater.

-I zdac klucze?

-Tak.

-I jest to gdzieś udokumentowane? - spytał Teddy.

-Nie rozumiem.

-Zastanawia nas, doktorze - odezwał się Chuck - czy muszą się gdzieś podpisać, kiedy pobierają i zdają klucze.

-Naturalnie.

-I moglibyśmy zajrzeć do rejestru i sprawdzić wpisy z ubiegłej nocy? - powiedział Teddy.

-Tak, tak. Naturalnie.

-Rejestr zapewne przechowuje się w tym zakratowanym pomieszczeniu, które mijaliśmy na parterze? - dopytywał się Chuck. - Tym ze strażnikiem i mnóstwem kluczy?

Cawley potwierdził kiwnięciem głowy.

-A akta osobowe personelu? Pracowników medycznych, posługaczy i strażników? - wtracił Teddy. - Bedziemy musieli do nich zajrzeć.

Cawley lypnął na niego tak, jakby z twarzy Teddy'ego wzbil się roj rozwścieczonych gżow.

-Po co?

-Doktorze Cawley! Kobieta znika z zamkniętego na cztery spusty pokoju. Przepada jak kamień w wodzie na malenkiej wyspie. Nie możemy wykluczyć, że ktoś jej w tym pomógł.

-Zastanowimy się, szeryfie - powiedział Cawley.

-Zastanowicie?

-Owszem, szeryfie. Muszę naradzić się z komendantem i kilkoma innymi pracownikami. Rozpatrzemy pańską prośbę, kierując się...

-To nie prośba, doktorze Cawley. Jesteśmy tu z rozkazu rządu federalnego. Z tej placówki zbiegł niebezpieczny więzien...

-Pacjent.

-Niebezpieczny pacjent - zgodził się Teddy, nie dając się wyprowadzić z równowagi. - Jeśli odmawia pan udzielenia pomocy szeryfom federalnym w ujęciu tego pacjenta, to niestety, tym samym... Chuck?

-Utrudnia pan prace organów ścigania - dokończył Chuck.

Cawley posłał mu spojrzenie, które wyraźnie miało oznaczać, że nie spodziewał się po nim takiego zagrania.

-Coż, mogę jedynie panów zapewnić - rzekł Cawley bezbarwnym głosem - że uczynię wszystko, co w mojej mocy, by uwzględnić wasze życzenie.

Teddy i Chuck spojrzeli po sobie, potem znów na niemal puste pomieszczenie.

Pozwolili Cawleyowi trochę odsapnąć, gdyż zapewne nie przywykł do tego, że męczono go pytaniami wtedy, kiedy sobie tego wyraźnie nie życzył.

Teddy zajrzał do wąskiej szafy, popatrzył na trzy białe fartuchy, dwie pary białych pantofli.

-Ile par obuwia przysługuje pacjentowi?

-Dwie.

-Czyżby wydołała się stąd boso?

-Najwyraźniej. - Cawley poprawił krawat pod fartuchem lekarskim i wskazał leżącą na łóżku zapisaną kartkę. - Znaleźliśmy ją za toaletką. Nie mamy pojęcia, co oznacza.

Bylibyśmy wdzięczni, gdyby komus udało się to rozszyfrować.

Teddy podniósł kartkę, odwrócił ją na drugą stronę, zobaczył tabelę do badania wzroku - stopniowo malejące litery ułożone w piramidę. Obrócił kartkę i pokazał Chuckowi.

Zasada Czterech Ja Jestem 47 Oni To 80 + Wy Jesteście 3 My Jesteśmy 4 Ale Kim Jest 67?

Teddy nie miał nawet ochoty trzymać tej kartki w ręce, jej krawędzie laskotały go nieprzyjemnie w palce.

-Niech skonam, jeśli coś z tego rozumiem - powiedział Chuck.

-Przyznam, że doszliśmy do podobnego wniosku - oświadczył Cawley, podchodząc do nich.

-Jest nas trzech - rzekł Teddy. Chuck zerknął na kartkę.

-No i co?

-Mozemy być ta trójka - powiedział. - Nas troje, tak jak stoimy teraz w tym pokoju.

Chuck pokręcił głową.

-W jaki sposób by to przewidziała? Teddy wzruszył ramionami.

-To tylko domysł, nic więcej.

-Właśnie.

-Owszem, to tylko domysł - odezwał się Cawley - ale Rachel potrafi prowadzić błyskotliwe gry z otoczeniem. Jej urojenia - zwłaszcza te, które utrzymują ją w przekonaniu, że jej dzieci nadal żyją - to nader subtelne, a przy tym zawile konstrukcje. Dla ich podtrzymania Rachel ucieka się do wyszukanych zabiegów fabularnych, oplatając swoje życie całkowicie zmyślnym wątkiem.

Chuck powoli odwrócił głowę i popatrzył na Cawleya.

-Trzeba by być przynajmniej magistrem, żeby coś z tego zrozumieć, doktorze.

Cawley parsknął śmiechem.

-Niech pan przypomni sobie kłamstwa, jakie opowiadał pan rodzicom w dzieciństwie. Ich bogata, złożona tkanina. Zamiast ograniczać się do podania prostego zmyślnego powodu, dla którego poszedł pan na węgry czy zapomniał o swoich domowych obowiązkach, konfabuluje pan, nadaje faktom fantastyczną oprawę. Zgadza się?

Chuck po chwili zastanowienia skinął głową.

-Jasne - powiedział Teddy. - To samo robią przestępcy.

-Otoż to. Chodzi o to, aby zagmatwać. Oszolomic słuchacza, aż w końcu uwierzy, bardziej wyczerpany niż przekonany. Proszę teraz pomyśleć, że okłamuje pan samego siebie. Tak jest w przypadku Rachel. W ciągu tych czterech lat nawet nie przyjęła do wiadomości, że przebywa w szpitalu. W swoim mniemaniu wciąż mieszkała u siebie w Berkshire, a nas traktowała jak przychodzących do jej domu dostawców, mleczarzy, listonoszy. Opierała się rzeczywistości i sile woli, niczym więcej, umacniała swoje mrzonki.

-Jak to możliwe, że prawda nigdy do niej nie dotarła? - zdziwił się Teddy. - Przecież była zamknięta w zakładzie dla obłąkanych. Jak mogła tego nie zauważyć?

-Och - odparł Cawley - w ten sposób dochodzimy do straszliwej i fascynującej prawdy o paranoicznych urojeniach, które są tworem fundamentalnie rozszczepionej jaźni. Jeśli, panowie, jesteście nieźle przekonani, że tylko wy znacie prawdę, cała reszta siłą rzeczy kłamie. A jeśli wszyscy oprócz was kłamia...

-To każda prawda w ich ustach jest kłamstwem - dokonał Chuck.

Cawley zrobił z palców pistolet i strzelił na niby do Chucka.

-Zaczyna pan chwytac.

-Wiec te liczby wiaza sie jakos z jej fantazjami? - spytal Teddy.

-Na pewno. Musza cos oznaczac. W przypadku Rachel nie ma mowy o pustych czy blahych popisach. Jej umysl nie proznawal ani przez chwile, ratujac przed zawaleniem zamki z piasku, ktore tak pieczolowicie wznosila. To - postukal palcem w tablice badania wzroku - jest ta konstrukcja przelana na papier. Jestem swiecie przekonany, ze dzieki temu dowiemy sie, co sie z nia stalo.

Przez chwile Teddy odniosl wrazenie, ze to pismo do niego przemawia, staje sie czytelniejsze. Zwlaszcza pierwsze dwie liczby, "47" i "80"; mial uczucie, ze blakaja sie po zakamarkach jego umyslu, probujac przebic sie do swiadomosci, niczym melodia piosenki, ktora usiluje sobie przypomniec, kiedy w radiu nadaja wlasnie cos zupełnie innego. Najwyrazniejsza wskazowka bylo "47". Mial to w zasiegu reki. To bylo takie proste. To bylo...

I wtedy runely wszelkie pomosty logiki wiodace ku rozwiazaniu, jego umysl wypelnila pustka i wszystko mu sie wymknelo. Odlozyl kartke na lozko.

-Zwariowala - powiedzial Chuck.

-Co takiego? - zdziwil sie Cawley.

-To wlasnie z nia sie stalo. Tak uwazam.

-Co do tego raczej nie ma watpliwosci - skwitowal Cawley.

4

Po wyjsciuz pokoju staneli na korytarzu. Pokoj Rachel znajdowal sie po lewej stronie klatki schodowej, ktora dzielila korytarz na dwie rowne czesci.-Innego zejścia z tego pietra nie ma? - spytal Teddy. Cawley potwierdzil kiwnieciem glowy.

-I zadnego wjazdu na dach? - upewnily sie Chuck. Cawley potrzasnal glowa.

-Na dach mozna sie dostac jedynie po schodach przeciwpozarowych. Sa widoczne od poludniowej strony budynku. Dostepu do nich bronila brama zamykana na klucz.

Personel, oczywiscie, ma do niej klucze, ale pacjenci nie. Zeby wyjsc na dach, musialaby zejsc po schodach, wydostac sie z budynku, otworzyc kluczem brame i z powrotem wdrapac sie na gore.

-Ale sprawdziliscie dach?

-Jak wszystkie pomieszczenia na oddziale. Natychmiast. Gdy tylko stwierdzono jej zaginięcie.

Teddy wskazal poslugacza siedzacego przy stoliku przed schodami.

-Rozumiem, ze pracownicy pelnia tam dyzur przez cala dobe?

-Tak.

-Zatem zeszlej nocy ktos mial to pietro na oku.

-Ganton we wlasnej osobie.

Podeszli do schodow.

-Wiec... - odezwal sie Chuck, patrzac pytajaco na Teddy'ego, ktory usmiechnal sie zachecajaco. - Wiec pani Solando wydostaje sie z zamknietego na klucz pokoju, potem idzie tymi schodami na dol.

Zeszli po schodach, mijajac poslugacza trzymajacego straz na drugim pietrze.

-Przechodzi obok nastepnego poslugacza - ciagnal Chuck - ale jak tego dokonuje, nie wiemy, moze staje sie niewidzialna. Idzie dalej schodami na dol i wychodzi na...

Pokonali ostatni odcinek schodow i mieli teraz przed soba duze, otwarte pomieszczenie z kilkoma lezankami pod scianami, skladanym stolem i krzeslami posrodku. Pomieszczenie skapane bylo w bialym swietle wpadajacym do srodka przez wykuszowe okna. - Swietlice - dokonczyl Cawley - w ktorej pacjenci przebywaja wieczorami. Tu odbywaly sie wczoraj zajecia terapii grupowej. A przez te arkady, prosze spojrzec, idzie sie do stanowiska pielegniarek. Po ogłoszeniu ciszy nocnej zbieraja sie tu poslugacze.

Maja zmywac podlogi, ale najczesciej przylapujemy ich na grze w karty.

-A wczorajszej nocy?

-Podobno rzneli w karty na calego, sami sie przyznali. Siedmiu chlopa siedzialo u stop tych schodow i gralo w pokera.

Chuck oparl rece na biodrach i syknal przez zebry.

-Wychodzi na to, ze znow staje sie niewidzialna, przemyka sie i kieruje na prawo albo na lewo.

-Idac w prawo, przeszlaby przez jadalnie do kuchni. Dalej sa drzwi, zakratowane i zabezpieczone instalacja alarmowa, wlaczana o dziewiatej wieczorem, po wyjsci u ostatnich pracownikow kuchni. Po lewej jest stanowisko pielegniarek i pokoj wypoczynkowy dla personelu. Nie ma wyjścia na zewnatrz. Z budynku mozna sie wydostac tylko przez drzwi po drugiej stronie swietlice albo te w korytarzu za schodami.

Przy obu dyzurowali zeszlej nocy poslugacze.

Cawley zerknal na zegarek.

-Panowie, musze isc na zebranie. Z dalszymi pytaniami prosze smialo zwracac sie do pracownikow szpitala albo udac sie do McPhersona. To on kierowal do tej pory poszukiwaniami. Powinien udzielic wam wszystkich niezbednych informacji. Personel jada kolacje punktualnie o szostej w stolowce w budynku, w ktorym zakwaterowani sa poslugacze. Po kolacji zbierzemy sie tutaj w pokoju wypoczynkowym i bedziecie mogli porozmawiac z pracownikami, ktorzy mieli dyzur w noc zaginięcia Rachel Solando.

Wyszedl w pospiechu na dziedziniec przez drzwi frontowe. Odprowadzali Cawleya wzrokiem, zanim skrecil w lewo i zniknal im z oczu.

-Czy jest w tej całej sprawie cos, co wykluczaloby wspoludzial pracownika szpitala? - powiedzial Teddy.

-Ja nadal opowiadam sie za tym, ze Rachel stala sie niewidzialna. Mogla nalozyc czapke-niewidke. Kapujesz? Moze nas teraz obserwuje, Teddy. - Chuck szybko obejrzal sie za siebie. - Warto o tym pamietac.

Po poludniu przylaczyli sie do ekipy poszukiwawczej i wyruszyli w glab wyspy.

Powietrze bylo parne, ciezkie. Wyspa tonela w dzikiej roslinnosci, przyduszona chwastami i polami geste, wysokiej trawy przetykanej czepnymi wasami pnaczy i krzakow najezonych kolcami. Czesto nie mozna bylo sie przez te chaszczce przedrzec, nawet korzystajac z maczet, w ktore zostala zaopatrzona czesc straznikow. Rachel Solando maczety nie miala, a nawet gdyby miala, wyspa jakby zawziela sie, zeby spychac wszelkich przybyszow z powrotem na wybrzeze.

Poszukiwania wydaly sie Teddy'emu dosc niemrawe, odnosil wrazenie, ze tylko on i Chuck naprawde wkladaja w nie serce. Straznicy posuwali sie naprzod ze spuszczonego wzrokiem, osowiale. Trasa biegla rownolegle do linii brzegowej. W pewnej chwili, wychodzac zza skalnego wystepu, natkneli sie na wznoszacą sie wysoko sciane urwiska opadajacego prosto do morza. Po lewej rece, za gaszczem kolczastych krzewow, mchu i borowek, widac bylo polanke polozona u stop niskich wzgorz. Wzgorza te, poprzecinane waskimi rozpadlinami, stopniowo podnosily sie, przechodzac w poszarpany klif. Teddy dostrzegl podluzne szczeliny w scianie urwiska.

-Jaskinie? - spytal McPhersona.

-Jest ich tam kilka.

-Sprawdziliscie je?

McPherson westchnal i zapalil cygaretkę, oslaniajac stulonymi dlonmi zapalke przed wiatrem.

-Kobieta miala dwie pary butow, szeryfie. Obie zostawila w pokoju. Jak niby miala pokonac trase, ktora my ledwo przebylismy, a potem wspiac sie na te skaly i wdrapac po tej scianie?

Teddy wskazał na wzgorza ciagnące się za polana.

-A gdyby wybrała okrezną drogę, posuwała się powoli do góry od zachodu?

-Niech pan spojrzy, szeryfie - odparł McPherson. - Tam gdzie kończy się ta polana, zaczynają się bagna. A u podnóża tych wzgórz pleni się sumak jadowity i tysiąc innych ciernistych krzaków, z kolcami wielkości mojego fiuta.

-Czyli jakimi? Dużymi czy małymi? - rzucił przez ramię Chuck, idący kilka metrów przed nimi. - Średnimi. - McPherson się uśmiechnął. - Rozumiecie, panowie, co chce przez to powiedzieć? Uciekinierka nie miałaby wyboru, musiałaby trzymać się blisko linii brzegowej, a obojętnie, w którą stronę by poszła, w połowie drogi natknęłaby się na coś takiego. - Wskazał ręką urwisko.

Godziny później, już po drugiej stronie wyspy, stanęli przed ogrodzeniem okalającym stary fort i latarnię morską. Teddy zobaczył biegnący wokół latarni drugi płot z bramą, przy której stali na warty dwaj strażnicy z karabinami.

-Pilnują oczyszczalni? - zdziwił się.

McPherson skinął głową.

Teddy spojrział na Chucka, a ten unosił brwi.

-Pilnują oczyszczalni? - powtórzył Teddy.

Nikt nie towarzyszył im przy kolacji. Siedzieli sami przy stoliku, przesiaknięci wilgocią oceanu, która przesycone było powietrze i która skraplała się niczym kapryśna mżawka. Wiatr przybierał na sile, spowita mrokiem wyspa trzeszczała za oknami.

-Przez zaryglowane drzwi - powiedział Chuck.

-Boso - dodał Teddy.

-Obok trzech punktów kontrolnych.

-I świetlicy z całą nocną zmianą.

-Boso - zgodził się Chuck.

Teddy podłubał widelcem w talerzu; na kolację podano zapiekankę z mięsem i ziemniakami, mięso było zylaste.

-Przez mur z drutem pod napięciem - powiedział.

-Albo przez strzeżoną bramę.

-Na ten wygwizd.

Podmuchy wiatru wstrząsały budynkiem, wstrząsały ciemnością.

-Boso.

-I nikt jej nie widział.

Chuck przeżuł kawałek mięsa, popił kawą.

-Powiedzmy, że ktoś wykituje na tej wyspie - przecież nikt nie jest nieśmiertelny - to co się z nim dzieje?

-Chowają go.

-No właśnie. A widziałeś gdzieś tutaj cmentarz? Teddy potrząsnął głową.

-Na pewno jest jakieś ogrodzone miejsce pochówku.

-Jak ta oczyszczalnia. Jasne - rzekł Chuck, odsunął tace i rozsiadł się wygodnie. - Jaki jest następny punkt programu?

-Spotkanie z personelem.

-Myslisz, że beda skorzy do pomocy?

-Masz watpliwosci?

Chuck usmiechnal sie szeroko. Zapalil papierosa, z rozbawieniem patrzac na Teddy'ego, az w koncu parsknal smiechem, wydmuchujac jednoczesnie kleby dymu.

Teddy stal posrodku sali, pracownicy szpitala siedzieli dookol niego. Polozyl rece na krawedzi oparcia metalowego krzesla, obok niego Chuck w niedbalej pozie, z rekami w kieszeniach, opieral sie o filar.

-Domyslalam sie, ze wszystkim wam wiadomo, dlaczego sie tu zebralismy - powiedzial Teddy. - Zeszlej nocy doszlo w szpitalu do ucieczki. Wyglada na to, ze pacjentka po prostu zniknela. Nie trafilismy na zaden slad, ktory obalalby zalozenie, ze ktos pomogl jej wydostac sie na wolnosc. Czy zastepca komendanta podziela moje zdanie?

-Uwazam, ze na tym etapie jest to sluszne przypuszczenie.

Teddy chcial mowic dalej, ale odezwal sie siedzacy obok pielegniarki Cawley:

-Moglibyscie sie przedstawic, panowie? Nie wszyscy mieli okazje was poznac.

Teddy przestal sie pochylac nad krzeslem.

-Szeryf federalny Edward Daniels. A to moj partner, szeryf federalny Charles Aule.

Chuck pomachal zebranych reka i z powrotem wsadzil ja do kieszeni.

-Panie McPherson - powiedzial Teddy - przeszukal pan ze swoimi ludzmi cala wyspe.

-Ma sie rozumiec.

-Z jakim wynikiem?

McPherson wyprostowal sie na krzesle.

-Nie znalezlismy zadnych sladow uciekiniarki, strzepkow ubrania, odciskow stop, przydeptanej trawy, nic. Zeszlej nocy byl silny prad i bardzo duzy przyplyw. Przeprowa wplaw nie wchodzila w gre.

-Mogla jednak sprobowac.

Slowa te wypowiedziala pielegniarka, Kerry Marino, szczupla kobieta z szopa rudych wlosow, ktore gdy wchodzila, byly upiete w kok, ale teraz splywaly swobodnie na ramiona. Czepek polozyla na kolanach i leniwie przeczesywala palcami wlosy, gestem wyrazajacym znuzenie, a zarazem przykuwajacym uwage wszystkich mezczyzn, ktorzy posylali jej ukradkowe spojrzenia - wyrazane w ten sposob zmeczenie swiadczilo o pilnej potrzebie wyciagniecia sie na lozku.

-Prosze? - powiedzial McPherson.

Pielegniarka przestala bawic sie wlosami i polozyla rece na kolanach.

-Skad wiemy, ze nie wskoczyla do wody i nie utopila sie?

-Morze wyrzuciloby jej cialo na brzeg - odparl Cawley i ziewnal, zaslaniajac usta piescia. - Przy takim przyplywie?

Marino podniosla pojednawczo reke.

-Chcialam tylko zwrocic uwage na taka mozliwosc.

-Doceniamy to, sestro - powiedzial Cawley - ale mamy za soba wyczerpujacy dzien. Szeryfie, prosze zadawac pytania.

Teddy zerknal na Chucka, a ten lekko skinal glowa. Po wyspie grasowala zbiegla pacjentka, niebezpieczna dla otoczenia, a kazdy marzyl tylko o tym, zeby polozyc sie spac.

-Pan Ganton - zaczal Teddy - oswiadczył, ze zajrzal do pokoju pani Solando o polnocy i stwierdzil jej zaginięcie. Zamki przy drzwiach i przy kracie okiennej byly nienaruszone. Panie Ganton, czy miedzy dziesiata a dwunasta zdarzylo sie, ze chociaz przez krotka chwile nie mial pan w polu widzenia korytarza na drugim pietrze?

Kilka osob odwrocilo glowe w strone Gantona, a Teddy z zaklopotaniem dojrzel na niektórych twarzach lekkie usmieszki, jakby mial do czynienia z trzecioklasistami i wyrwal do odpowiedzi najbystrzejsze dziecko w klasie.

-Nie mialem korytarza na oku tylko wtedy, gdy wszedlem do jej pokoju i zobaczylem, ze zniknela - odparl Ganton wpatrzony w swoje buty.

-Czyli przez trzydziesci sekund.

-Raczej pietnascie - powiedzial, przenoszac spojrzenie na Teddy'ego. - Pokoik jest maly.

-A poza tym?

-Poza tym o dziesiatej wszyscy pacjenci siedzieli juz pod kluczem. Rachel wrocila do swojego pokoju ostatnia. Ja dyzurowalem przy schodach i przez te dwie godziny nie widzialem zywej duszy.

-I ani razu nie opuscil pan swojego stanowiska?

-Nie, prosze pana.

-Nie poszedl pan po kawe ani nic w tym rodzaju? Ganton potrzasnal glowa.

-No dobra, ludzie - odezwal sie Chuck, odrywajac sie od slupa. - Bede zdrowo szarzowac, ale pozwole sobie przyjac, czysto hipotetycznie, w niczym nie ujmujac panu Gantonowi, ze pani Solando zdolala jakos uczepic sie sufitu i wydostac na korytarz.

Kilka osob zachichotalo.

-Dotarla do schodow prowadzacych na pierwsze pietro. Kogo tam musialaby ominac?

Podniosl reke poslugacz o mlecznobialej cerze i wlosach koloru marchewki.

-Mozesz sie przedstawic? - spytal Teddy.

-Glen. Glen Miga.

-W porzadku, Glen. Wiec cala noc byles na swoim stanowisku?

-No... tak.

-Glen?

-Slucham? - Poslugacz przestal skubac skorki od paznokci i popatrzył na szeryfa.

-Mow prawde.

Glen spojrzal na Cawleya i z powrotem na Teddy'ego.

-No bylem.

-Przestan, Glen - powiedzial Teddy.

Glen napotkal wzrok Teddy'ego, oczy lekko mu sie rozszerzyly.

-Poszedlem do lazienki - przyznal w koncu. Cawley pochylil sie na krzesle.

-Kto cie zastapil?

-Zachcialo mi sie sikac. Przepraszam.

-Jak dlugo to trwalo? - spytal Teddy. Glen wzruszyl ramionami.

-Najwyzej minute.

-Minute. Na pewno?

-A czy ja jestem wielbłąd? - Nie.

-Uwinałem się raz-dwa.

-Człowieku, złamałeś przepisy - oświadczył Cawley.

-Wiem, panie doktorze. Ja...

-O której godzinie to się stało? - spytał Teddy.

-Okolo jedenastej trzydziestej.

Strach przed Cawleyem przeradzał się u posługacza w nienawiść do szeryfa; jeszcze kilka pytań i Teddy miałby w jego osobie zawziętego wroga.

-Dzięki, Glen - powiedział Teddy i dał głową znak Chuckowi, że teraz jego kolej.

-Okolo jedenastej trzydziestej wciąż jeszcze odchodził ostry poker? - spytał Chuck.

Kilku posługaczy spojrzalo po sobie, potem na Chucka i jeden z nich, Murzyn, skinął głową, a w ślad za nim pozostali.

-Kto o tej porze brał udział w grze?

Podniosło ręce pięciu posługaczy, czterech Murzynów i jeden biały.

Chuck wyłowił przywódcę - pierwszy skinął głową, pierwszy unosił rękę - tego faceta z głową ogoloną do skóry, Isniaca w świetle jarzeniówek.

-Nazwisko?

-Washington. Trey Washington.

-Powiedz mi, Trey, gdzie wtedy siedzieliście.

-Mniej więcej w tym miejscu - odparł Murzyn, wskazując na dół. - Na środku sali.

Dokładnie naprzeciw schodów. Mielismy na oku drzwi frontowe i te od zaplecza.

Chuck podszedł do niego i wykrecił szyję, żeby objąć wzrokiem przednie i tylne drzwi oraz schody.

-Dogodne stanowisko.

-Nie chodzi tylko o pacjentów, szeryfie - powiedział Trey, zniżając głos. - Musimy uważać na lekarzy, na pielęgniarki, które nas nie lubią. Na dyżurze nie wolno grać w karty. Trzeba patrzeć, czy ktoś nadchodzi, i w razie czego zaraz łapać miotłę.

-Założę się, że prędko się ruszasz. - Chuck się uśmiechnął.

-Widział pan błyskawice na sierpniowym niebie? - No.

-Ja jestem szybszy, kiedy dopadam do miotły.

Na sali zapanowało rozprzeżenie, siostra Marino nie zdołała powstrzymać uśmiechu, a pokerzyści zartobliwie wytykali się nawzajem palcami. Teddy wiedział już, że podczas ich pobytu na wyspie to Chuck będzie grał dobrego gline. Potrafił zjednać sobie ludzi i na pewno czułby się jak ryba w wodzie w każdym środowisku, a kwestie etniczne czy nawet językowe nie miały tu żadnego znaczenia. Teddy'ego cholernie dziwiło to, że wydział pocigowy w Seattle pozbył się takiego cennego pracownika, nawet jeśli zadawał się z Japonką.

Teddy z kolei miał silną i władcą osobowość. Jego stosunki z innymi układały się świetnie, jeśli to akceptowali, a na wojnie szybko musieli do tego przywyknąć. Jednak zanim to następowało, dochodziło do śpiec.

-Dobrze już, dobrze - próbował powściągnąć powszechną wesołość Chuck, sam śmiejąc się od ucha do ucha. - A więc, Trey, siedzieliście na wprost tych schodów. Kiedy się zorientowaliście, że coś jest nie tak?

-Kiedy Ike - chciałem powiedzieć, pan Ganton - zaczął do nas krzyknąć: "Zawiadomić komendanta. Ktoś uciekł z

oddziału".

-Która wtedy była godzina?

-Dwunasta zero dwa i trzydziści dziewięć sekund. Chuck unosił brwi ze zdziwieniem.

-Masz w głowie zegar?

-Nie, ale człowiek wyrabia w sobie odruch, żeby zaraz patrzeć na zegar, kiedy zaczyna się zamieszanie. Wie pan, wszystko może być uznane za "zajście", a potem musimy pisać raporty na specjalnych formularzach. W raporcie na samym początku trzeba określić czas zajścia, a kiedy człowiek nawypelnia się takich formularzy, wchodzi mu w krew patrzenie na zegar, jak tylko zaczyna się dziać coś podejrzanego.

Jego przemowa przyjmowana była z ogólną aprobatą posługaczy, którzy kiwali głowami i potakiwali, jak wierni słuchający kaznodziei nawołującego do odnowy duchowej.

Chuck posłał Teddy'emu spojrzenie, które zdawało się mówić: "I co ty na to?".

-Czyli wtedy była dwunasta zero dwa - powiedział Chuck.

-I trzydziści dziewięć sekund.

-Te dwie minuty - zwrócił się Teddy do Gantona - wzięły się stąd, że zajrzał pan najpierw do innych pacjentów, zanim doszedł pan do pokoju Rachel Solando, tak?

Ganton skinął głową.

-Najpierw sprawdziłem pokoje czterech bliższych pacjentów.

-A kiedy przybył komendant? - spytał Teddy.

-Pierwszy zjawił się Hicksville, strażnik. Chyba dyżurował tej nocy przy bramie - odparł Trey. - Była dokładnie dwunasta zero sześć i dwadzieścia dwie sekundy, kiedy wpadł na oddział. Komendant wparował cztery minuty później z szóstką ludzi.

-A pani? - zwrócił się Teddy do siostry Marino. - Słyszy pani całe to zamieszanie i co pani robi?

-Zamykam na klucz stanowisko pielęgniarek. Docieram do pokoju wypoczynkowego mniej więcej w tym czasie, kiedy Hicksville wchodzi przez drzwi frontowe.

Siostra Marino wzruszyła ramionami i zapaliła papierosa, a za jej przykładem poszli inni palacze.

-I nikt nie mógł przedostać się niezauważony obok stanowiska pielęgniarek?

Pielęgniarka podparła ręką brodę, przyglądała mu się przez smuzkę dymu z papierosa.

-Przedostać się dokąd? Tam można dojść tylko do sali hydroterapii. To betonowy bunkier z wannami i basenami.

-Sprawdziliście tam?

-Oczywiście, szeryfie - odezwał się McPherson z wyraźnym znudzeniem w głosie.

-Siostrze Marino - powiedział Teddy - brała pani udział w grupie zeszłej nocy.

-Bralam.

-Czy zauważyła pani coś niezwykłego?

-Zależy, co pan ma na myśli.

-Nie rozumiem.

-To zakład dla obłąkanych przestępców, szeryfie. "Niezwykłe" jest u nas na porządku dziennym.

Teddy usmiechnal sie z zazenowaniem.

-W takim razie postawie pytanie inaczej. Czy z ostatnich zajec terapii grupowej utkwilo pani w pamieci cos, co, hm...?

-Odbiegalo od normy? - dokonczyla pielegniarka. Wywolalo to u Cawleya usmiech, kilka osob parsknelo z rozbawieniem.

Teddy kiwnal potakujaco glowa.

Siostra Marino zastanawiala sie przez chwile, a bialy slupek popiolu na jej papierosie rosl i zakrzywial sie w dol, lecz pielegniarka strzepnela popiol do popielniczki, zanim sie posypal na jej ubranie.

-Niestety. Przykro mi - powiedziala.

-Czy pani Solando zabierala glos?

-Kilka razy, o ile pamietam... tak.

-I co mowila?

Siostra Marino przeniosla spojrzenia na Cawleya.

-Na razie na potrzeby sledztwa uchylamy zasade poufnosci informacji dotyczacych pacjentow - rzekl doktor.

Pielegniarka skinela glowa, ale nie wygladala na szczesliwa z takiego obrotu sprawy.

-Omawialismy sposoby panowania nad zloscia. Niedawno wsrod pacjentow doszlo do kilku wybuchow.

-To znaczy?

-Krzyczeli na siebie, brali sie za lby. Wlasciwie to nic nadzwyczajnego, tylko ze w ostatnich tygodniach zjawisko nieco sie nasililo, co najprawdopodobniej wywolane bylo fala upalow. Wczoraj wieczorem przedyskutowalismy wlasciwe i niewlasciwe sposoby okazywania niepokoju czy niezadowolenia.

-Czy pani Solando miewala ostatnio ataki zlosci?

-Rachel? Nie. Jedyna rzecz, ktora wytracala ja z rownowagi, byl deszcz. Caly jej udzial we wczorajszych zajeciach polegala na tym, ze w kolko powtarzala: "Slysze deszcz.

Slysze deszcz. Jeszcze nie pada, ale czuje, ze nadciaga. Czy nic nie da sie zrobic w sprawie jedzenia?".

-Jedzenia?

Pielegniarka zgasila papierosa i skinela glowa.

-Rachel uwazala, ze posilki szpitalne sa ohydne. Bez przerwy narzekala.

-Sluszenie? - spytal Teddy.

Siostra Marino usmiechnela sie polgebkciem i spuscila wzrok.

-Ktos moglby uznac jej postawe za calkiem zrozumiala. My nie nadajemy pobudkom i przeslankom zabarwienia moralnego; nie okreslamy, czy cos jest sluszne, czy nie.

-Wczoraj wieczorem byl z wami doktor Sheehan. To on prowadzil zajecia. Jest obecny na sali?

Nikt sie nie odezwal. Kilku mezczyzn zgniotlo niedopalki w popielniczkach stojacych miedzy krzeslami. Ogolne milczenie przerwal Cawley.

-Doktor Sheehan odplynal dzis rano tym samym promem, ktory zabral pana w drodze powrotnej.

-Jak to?

-Zgodnie z wczesniejszymi ustaleniemi wzial urlop.

-Ale musimy zadac mu kilka pytan.

-Mam jego sprawozdanie z przebiegu ostatniej sesji - odparl Cawley. - A takze wszystkie jego notatki. Opuscil teren szpitala wczoraj o dziesiatej wieczor, wrocil do siebie. Rano wyjechal. Juz od dawna nalezal mu sie urlop i od dawna go planowal. Nie widzielismy powodu, zeby go zatrzymywac.

Teddy spojrzal w strone McPhersona. - I pan do tego dopuscil? Zastepca komendanta skinal glowa.

-Zbiegl niebezpieczny pacjent. Do wyjasnienia sprawy obowiazuje zawieszenie swobody ruchow. Dotyczy to kazdego - rzekl Teddy. - Jak mozna w takiej sytuacji pozwolic komus na wyjazd?

-Ustalilismy, gdzie doktor przebywal tamtej nocy. Przemyslelismy cala sprawe i uznalismy, ze nie ma powodu go zatrzymywac - odparl McPherson.

-W koncu to doktor - dodal Cawley.

-Jezu - jeknal Teddy. Z tak powaznym odstepstwem od obowiazujacych regul postepowania nie zetknal sie do tej pory w calej swej karierze, a wszyscy zachowywali sie tak, jakby nic sie nie stalo.

-Dokad wyjechal?

-Slucham?

-Na ten urlop - wyjasnil Teddy. - Dokad wyjechal? Cawley utkwil wzrok w suficie, probujac sobie przypomniec.

-Jak sadze do Nowego Jorku. Tam mieszka jego rodzina. Przy Park Avenue.

-Potrzebny mi numer telefonu - oznajmil Teddy.

-Nie rozumiem, dlaczego...

-Doktorze Cawley, potrzebny mi numer telefonu.

-Zajmiemy sie tym, szeryfie - odpowiedzial Cawley, wciaz zapatrzony w sufit. - Mam pan jeszcze jakies zyczenia?

-Pewnie.

Cawley opuscil glowe i spojrzal Teddy'emu w oczy.

-Potrzebny mi telefon. Ze sluchawki telefonu w pokoju pielegniarek wydobywal sie jednostajny szum i nic wiecej. Na oddziale byly jeszcze cztery inne aparaty, trzymane w gablotach zamykanych na klucz, ale po wyjeciu okazalo sie, ze rowniez nie nadaja sie do uzytku.

Teddy poszedl z Cawleyem do centrali telefonicznej mieszczacej sie na parterze w glownym budynku szpitalnym.

-Panie doktorze - odezwal sie na ich widok telefonista z para czarnych sluchawek zawieszonych na szyi. - Wszystko padlo. Nawet lacznosc radiowa.

-Przeciez warunki pogodowe na wyspie nie sa takie straszne - rzekl Cawley.

Telefonista wzruszyl ramionami.

-Bede probowal dalej. Ale to, co sie dzieje u nas, nie ma takiego znaczenia jak pogoda po tamtej stronie.

-Niech pan sie stara nawiazac lacznosc - powiedzial Cawley. - Jak tylko uda sie panu cos dzialac, prosze dac mi znac. Ten pan musi zadzwonic na brzeg w waznej sprawie.

Telefonista skinal glowa, odwrocil sie do nich plecami i nalozyl z powrotem sluchawki.

Wyszli na powietrze, ktore doslownie zapieralo dech w piersi.

-Co sie stanie, jesli pan sie nie zglosi? - spytal Cawley.

-Zaznacza to w nocnym raporcie. Wydzial poscigowy zwykle zaczyna sie martwic dopiero po uplywie kolejnych

dwudziestu czterech godzin.

-Moze do tej pory sztorm przejdzie.

-Przejdzie? - zdziwil sie Teddy. - Jeszcze nawet nie zaczelo dmuchac.

Cawley wzruszyl ramionami i ruszyl w strone bramy.

-Urządzam u siebie male spotkanie w meskim gronie, wie pan, przy cygarach i kieliszku. O dziewiatej, jesli bedziecie mieli ochote sie przylaczyc.

-Dobrze - odparl Teddy. - Bedziemy mogli wtedy porozmawiac?

Cawley zatrzymal sie, spojrzal na niego przez ramie. Za murem czarne drzewa kolysaly sie i szeptaly.

-Przeciez rozmawialismy caly dzien, szeryfie. Chuck i Teddy szli w ciemnosciach, czujac gorace, nabrzmiale wzbierajacym sztormem powietrze; wszystko wokol wydawalo sie brzemienne, opuchniete.

-Cholernie podejrzana sprawa.

-Zgadza sie. - Smierdzi jak zepsuta ryba.

-Gdybym byl baptysta, powiedzialbym: "Swieta prawda". - "Swieta prawda"?

-Tak mowia w Missisipi. Sluzylem tam przez rok.

-To prawda? - Swieta prawda.

Teddy zapalil kolejnego papierosa wyzebranego od Chucka.

-Skontaktowales sie z wydzialem? - spytal Chuck.

Teddy potrzasnal glowa.

-Podobno nie dziala centrala telefoniczna. Przez ten sztorm - dodal, podnoszac reke.

Chuck wyplul okrucz tytoniu, ktory przykleil mu sie do jezyka.

-Jaki sztorm?

-Wisi w powietrzu - odparl Teddy, spogladajac na ciemne niebo. - Ale nie wyglada na taki, co zalatwilby na amen ich glowny punkt lacznosci. - "Glowny punkt lacznosci"? - powtorzyl Chuck. - Przeszedles do cywila czy wciaz jeszcze czekasz na zwolnienie ze sluzby?

-Niech ci bedzie, ze centrale telefoniczna - powiedzial Teddy, pokazujac papierosem w jej kierunku. - I radio tez.

Oczy Chucka rozszerzily sie ze zdumienia. - I radio tez im sie spieprzylo? Radio?

Teddy skinal glowa.

-Jest niewesolo... tak, tak. Ugrzezlismy na odcietej od swiata wyspie, gdzie szukamy kobiety, ktora uciekla z pokoju przez zaryglowane drzwi...

-Obok czterech dyzurnych.

-Pod nosem poslugaczy grajacych w swietlicy w pokera.

-Pokonala trzymetrowy mur z cegly.

-Zwienczony przewodem pod napieciem.

-Przeplynela pietnascie kilometrow...

-Pod prad, i to srogi... - ...do brzegu. Ladnie powiedziane, srogi. I do tego zimny. Jaka temperature moze miec woda?

Jeden, dwa stopnie?

-Najwyzej dwa stopnie. Ale w nocy?

-Pewnie spada do zera. Wiesz co, Teddy? To wszystko...

-I do tego jeszcze nieobecny doktor Sheehan - rzekl Teddy.

-Zdziwilo cie to, co? - powiedzial Chuck. - Chyba zbyt lagodnie obszedles sie z Cawleyem, szefie. Trzeba go bylo zlapac mocno za jaja.

Teddy sie rozesmial. Slyszal, jak jego smiech ulatuje niesiony podmuchaem nocnego wiatru i przepada w szumie przybrzeznnych fal, jak gdyby w ogole go nie bylo, jak gdyby ta wyspa i morze, i sol odbieraly czlowiekowi to, co wydawalo mu sie, ze nalezy do niego, i... - ...jesli sluzymy im tylko za przykrywke? - mowil Chuck.

-Slucham?

-A jesli sluzymy im tylko za przykrywke?- powtorzil Chuck. - Jesli sciagneli nas po to, zeby zatuszowac balagan na swoim podworku?

-Prosze jasniej, Watsonie.

-Dobrze, szefie. - Chuck sie usmiechnal. - Ale skup sie.

-Juz sie skupiam.

-Zalozmy, ze tutejszy lekarz zadurzyl sie w pewnej pacjentce.

-Rachel Solando.

-Widziales jej zdjecie.

-Niczego sobie.

-Niczego sobie? Teddy, to dziewczyna z okladki, obiekt westchnien szeregowcow.

Wiec urabia naszego chloptasia, Sheehana... Rozumiesz teraz?

Teddy wyrzucil papierosa i patrzyl, jak ognek rozzarza i rozpryskuje sie na wietrze, a nastepnie niesiony podmuchaem z powrotem przemyka obok niego i Chucka.

-Sheehan daje sie omotac, uznaje, ze nie moze bez niej zyc - dodal Teddy.

-Kluczowym slowem jest "zyc" razem z nia w szerokim swiecie.

-Wiec daja noge z wyspy.

-Moze w tej chwili sa na koncercie Fatsa Domino.

Teddy przystanal przed pomaranczowym murem na przeciwnym krancu budynku mieszkalnego dla personelu.

-Ale dlaczego nie wezwali policji?

-Zamiast policji jestesmy my - odparl Chuck. - Musieli kogos sciagnac, taka jest procedura, a przy ucieczce z tego rodzaju zakladu wzywaja nas. Lecz jesli chca zatuszowac wspoludzial ktoregos z pracownikow szpitala, nasza obecosc tylko potwierdza ich wersje - ze wszystko odbylo sie zgodnie z przepisami.

-Zgoda - odparl Teddy. - Ale dlaczego mieliby kryc Sheehana?

Chuck oparl sie noga o mur, uginajac ja w kolanie, i zapalil papierosa.

-Nie wiem. Jeszcze tego nie rozgryzlem.

-Jesli Sheehan rzeczywiscie zabral ja z wyspy, to dal komus w lape.

-Musiał przekupić jakiegoś pracownika.

-I to niejednego.

-Na pewno kilku posługaczy. Jednego strażnika, może dwóch.

-Kogoś na promie. Może nawet kilku ludzi.

-Chyba że w ogóle nie wsiadł na prom. Mogł odpłynąć własną łodzią.

Teddy rozważał chwilę taką możliwość.

-Pochodzi z zamożnej rodziny. Mieszkają przy Park Avenue, jeśli wierzyć Cawleyowi.

-No i proszę - facet ze swoją łodzią.

Teddy spojrzał do góry na drut wienieczeni mur. Powietrze wokół nich wybrzuszało się jak przycisnięty szkłem Babel.

-Ta teoria pozostawia bez odpowiedzi wiele pytań - rzekł po chwili.

-Jak to?

-A skąd ten szyfr w pokoju Rachel Solando?

-Coż, to przecież wariacka.

-Ale po co mieliby go nam pokazywać? To znaczy, jeśli to wszystko pic na wodę, to powinni nas jak najszybciej splawić, wcisnąć nam jakąś historyjkę. "Posługacz zasnął na dyżurze" albo: "Zamek na okiennej kracie przerdzewiał, a myśmy nie zauważyli". A my podpisujemy raport i do domu. Chuck dotknął reka muru.

-Może doskwierała im samotność. Im wszystkim. Stęsknili się za nowymi twarzami, przybyszami z szerokiego świata.

-Jasne. I wymyślili bajeczkę, żeby nas tu sprowadzić? Żeby mieć co wspominać?

Już mnie przekonałeś.

Chuck odwrócił się i spojrzał na szpital.

-No dobra, żarty na bok...

Teddy poszedł w jego ślady i teraz obaj stali zwrócenii twarzą w stronę głównego budynku.

-Słusznie...

-Zaczynam się trochę denerwować, Teddy.

5

-Nazywali ją Wielką Salą - powiedział Cawley, prowadząc ich przez wyłożony parkietem przedsionek w stronę pary debowych drzwi z mosiężnymi galkami wielkości ananasa. - Poważnie. Moja żona znalazła na poddaszu listy pierwszego gospodarza, pułkownika Spiveya, których nie zdążył wysłać. Rozwodzi się w nich nad Wielką Salą, którą budował. Cawley przekreślił potężną galkę i szarpnięciem otworzył drzwi.

Chuck aż gwizdnął. Teddy i Dolores mieli wprawdzie mieszkanie przy Butonwood, które było przedmiotem zawisłej ze strony przyjaciół z racji swej powierzchni, gdyż wchodząc do niego, odnosiło się wrażenie, że główny korytarz długością nie ustępuje boisku futbolowemu, ale w Wielkiej Sali z łatwością zmieściłyby się dwa takie mieszkania.

Posadzka była marmurowa, przykryta gdzieś tam ciemnymi orientalnymi kobiercami. Wysokość kominka przekraczała wzrost przeciętnej mężczyzny. Same kotary - trzy metry ciemnopurpurowego aksamitu na każdym oknie, a było ich dziewięć - na pewno kosztowały więcej, niż Teddy zarabiał w ciągu roku albo i dwóch lat.

W kacie pod olejnym obrazem, przedstawiającym mężczyznę w granatowym mundurze wojsk Polnocy, stał stół do bilardu. Obok na ścianie wisiały jeszcze dwa malowidła, kobiety w białej sukni z falbanami oraz wspólny portret mężczyzny i kobiety, z psem u stóp i tym samym gigantycznym kominkiem za plecami.

-To własnie pulkownik Spivey? - spytał Teddy.

Idac za jego spojrzeniem, Cawley skinal glowa.

-Pozbawiony dowodztwa krotko po tym, jak wykonane zostaly te portrety.

Znalezlismy je w piwnicy, podobnie jak dywany, stol bilardowy i wiekszosc krzesel.

Powinien pan zobaczyc piwnice, szeryfie. Mozna by tam urzadzic boisko do gry w polo.

Teddy poczul dym z fajki i on oraz Chuck odwrocili sie jednoczesnie, uswiadamiajac sobie obecność jeszcze jednego mezczyzny w pokoju. Siedzial na wprost kominka w krzesle z wysokim oparciem, odwrocony do nich plecami, z noga zalozona na kolano i otwarta ksiazka pod reka.

Cawley poprowadzil ich do kominka, wskazal ustawione w polkole krzesla.

-Czym sie trujecie, panowie? - spytał, podchodzac do barku.

-Whisky, jesli pan ma - odparł Chuck.

-Chyba cos sie znajdzie. A pan, szeryfie Daniels?

-Poprosze wode sodowa z odrobina lodu. Nieznajomy podniosl wzrok na nowo przybylych.

-Stroni pan od mocnych trunkow? - spytał.

Teddy dobrze mu sie przyjrzał. Mala glowa pokryta rudymi wlosami wygladala jak wisnia przyczepiona do klocowatego tulowia. Mezczyzna ten byl przy tym wydelikacony; Teddy nie mogl oprzec sie wrazeniu, ze kazdego ranka godzinami przed lustrem wklepuje w siebie talk i pachnace olejki.

-A z kim mam przyjemnosc? - spytał Teddy.

-To moj kolega - wyjasnil Cawley.- Doktor Jeremiah Naehring.

Mezczyzna mrugnal na potwierdzenie, ale nie wyciagnal reki na powitanie, a Teddy i Chuck poszli za jego przykladem.

-Zastanawiam sie - odezwal sie Naehring, gdy Teddy i Chuck rozsiedli sie po jego lewej rece.

-To swietnie - mruknal Teddy.

-Dlaczego pan nie pije. Naduzywanie alkoholu to chyba czeste zjawisko wsrod mezczyzn wykonujacych panski zawod?

Cawley podal Teddy'emu napoj. Teddy wstal i podszedl do regalu z ksiazkami stojacego po prawej stronie kominka.

-Dosc czeste - odparl. - A u was?

-Slucham?

-Wsrod lekarzy - wyjasnil Teddy. - Slyszałem, ze w waszym srodowisku jest mnostwo pijakow.

-Nie zauwazylem.

-No to nie przygladal sie pan dokladnie.

-Nie rozumiem.

-A co pan popija? Zimna herbatke?

Teddy odwrocil sie do niego, zobaczyl, ze Naehring zerka na swoja szklaneczke, a kaciki miekkich ust wykrzywiaja sie w chytrym usmieszku.

-Znakomicie, szeryfie. Pana mechanizmy obronne sa wprost zadziwiajace.

Domyslalam sie, ze swietnie pan sobie radzi z przesluchiowaniem przestepcow.

Teddy potrzaskał głową. Sądząc po tej biblioteczce, Cawley trzymał u siebie niewiele książek medycznych. Przeważały w niej powieści, poza tym były cienkie tomiki poezji, jak się domyślał, i zajmujące kilka polek prace historyczne i biografie.

-Nie? - zdziwił się Naehring.

-Jestem szeryfem federalnym. Moje zadanie polega na doprowadzaniu przestępców.

Od zadawania pytań na ogół są inni.

-Dla mnie to "przesłuchanie", a dla pana "zadawanie pytań". Tak, szeryfie, pana mechanizmy obronne są naprawdę zadziwiające. - Stuknął kilka razy dnem szklaneczki o stół, niby z zachwytem. - Fascynują mnie ludzie niecofający się przed przemocą.

-Przed czym? - zapytał Teddy, podchodząc do Naehringa. Zmierzył go wzrokiem i zagrzechał kostkami lodu w szklaneczce.

Naehring odchylił do tyłu głowę i pociągnął łyk whisky.

-Przed przemocą.

-To cholernie ryzykowne założenie, doktorku - odezwał się Chuck. Teddy nie widział dotąd u niego tak silnego wzburzenia.

-Ja nic nie zakładam.

Teddy jeszcze raz zagrzechał szklaneczką i opróżnił ją. Przez twarz Naehringa pod lewym okiem przebiegł leciutki skurcz.

-Jestem takiego samego zdania jak mój kolega - powiedział Teddy i siadł na swoim krześle.

-Ależ panowie - odparł Naehring, przeciągając ostatnią sylabę. - Powiedziałem, że nie cofacie się przed przemocą. To nie to samo co oskarżanie was o stosowanie przemocy.

Teddy wyszczerzył zęby.

-Niech pan nas oświeci.

Cawley za ich plecami nastawił płytę; zachrobotła igła, rozległo się kilka chrupnieć i syków, które przypominały Teddy'emu odgłosy, jakie wydawały z siebie bezużyteczne telefony w szpitalu. Potem odezwały się kojące smyczki i fortepian: muzyka poważna, tyle Teddy potrafił powiedzieć, jakiegoś niemieckiego kompozytora. Brzmienie instrumentów kojarzyło mu się z zamorskimi kawiarniami i zbiorem płyt, jaki widział w gabinecie zastępcy komendanta obozu w Dachau. Mężczyzna ten słuchał jednej z nich, gdy wpakował sobie kulke w usta. Jeszcze żył, kiedy Teddy w obstawie czterech szeregowców wkroczył do jego gabinetu. Rzeźił, próbując sięgnąć po pistolet, który spadł mu na podłogę. Łagodna muzyka rozpełzła się po całym pokoju niczym chmura pajaków. Komendant konał dwadzieścia minut, a chłopcy plądrujący gabinet pytali go, czy mocno cierpi. Teddy wziął do ręki oprawioną fotografię jego żony i dwojki dzieci, która ten położył sobie na kolanach. Niemiec patrzył na niego rozszerzonymi oczami i próbował złapać go za rękę, gdy Teddy odbierał mu zdjęcie. Teddy odsunął się i spoglądał to na zdjęcie, to na faceta, aż ten w końcu wyzionął ducha. I przez cały czas towarzyszyła im ta rzewna muzyka.

-To Brahms? - spytał Chuck.

-Mahler - odpowiedział Cawley, siadając obok swego kolegi.

-Domagacie się, panowie, wyjaśnienia - rzekł Naehring.

Teddy oparł się łokciami o kolana, rozłożył dłonie.

-Zaryzykuje twierdzenie - mówił Naehring - że jeszcze jako uczniowie nie unikaliscie starc na boisku szkolnym. Nie znaczy to, że sprawiali wam przyjemność. Po prostu odwrot nie wchodził w grę. Mam rację?

Teddy spojrzał na Chucka, który uśmiechnął się do niego lekko speszony.

-Tak zostałem wychowany, doktorku - odparł Chuck. - Żeby nie dać sobie w kaszę dmuchać.

-No, własnie... wychowany. A kto zajmował się waszym wychowaniem?

-Wilki - wtracił Teddy.

Cawleyowi rozbłysły oczy, pokiwał lekko głową. Ale Naehring wyraźnie nie docenił dowcipu. Obciął nogawkę spodni i zapytał:

-Wierzycie w Boga? Teddy się rozesmiał. Naehring pochylił się do przodu.

-Pyta pan serio? - zdziwił się Teddy. Naehring nie odzywał się.

-Widział pan kiedyś oboz z zagłady, doktorze? - spytał Teddy. Naehring potrząsnął głową.

-Nie? - Teddy przysunął się bliżej ognia. - Świetnie mówi pan po angielsku, niemal doskonale. Ale spójgłoski wciąż wymawia pan odrobine za twardo.

-Legalna imigracja nie jest chyba przestępstwem, szeryfie? Teddy uśmiechnął się, potrząsnął głową.

-Ale wracając do kwestii wiary...

-Najpierw niech pan zobaczy oboz z zagłady, doktorze, a potem podzieli się ze mną swoimi uczuciami wobec Boga.

Naehring powoli przymknął i unosił powieki na znak, że przyjmuje to do wiadomości, po czym zwrócił się do Chucka:

-A pan?

-Nie widziałem obozu z zagłady - odparł Chuck.

-Wierzy pan w Boga? Chuck wzruszył ramionami.

-Nie zastanawiałem się nad tym od dłuższego czasu.

-Od śmierci ojca, tak?

Chuck pochylił się do przodu, wpatrywał się w tego grubego człowieka łsniającymi oczami.

-Pana ojciec nie żyje, zgadza się? I pański też, szeryfie Daniels? Ide o zakład, że obaj utracicie dominujący w waszym życiu wzorzec męski przed ukończeniem piętnastu lat.

-Piątka karo - powiedział Teddy.

-Proszę? - Naehring jeszcze bardziej zgwał się do przodu.

-Taka będzie pańska kolejna sztuczka? - ciągnął Teddy. - Tym razem odgadnie pan, jaką kartę trzymam w ręku. Albo nie, chwileczkę... przetnie pan pielęgniarkę na polu i wyciągnie krowa z głowy doktora Cawleya.

-To nie są sztuczki.

-A może to - mówił Teddy, którego koczyło, żeby stracić te wisnie wyrastające Naehringowi z beczułkowatego tułowia. - Sprawi pan, że kobieta przejdzie przez ściany, uniesie się w powietrze nad szpitalem pełnym posługaczy i strażników i odleci za morze.

-Dobre - rzekł Chuck.

Naehring pozwolił sobie jedynie na leniwe mrugnięcie, niczym domowy kot po posiłku.

-Raz jeszcze pana mechanizmy obronne okazują się...

-No proszę, znowu to samo. - ...imponujące. Ale chodzi o to...

-Chodzi o to - wpadł mu w słowo Teddy - że zeszłej nocy doszło w tym zakładzie do dziesięciu przypadków rażącego naruszenia przepisów porządkowych. Zbiegła pacjentka i nikt jej nie szuka...

-Przecież trwają poszukiwania.

-Na jaka skale?

Naehring rozsiadl sie w krzesle i poslal Cawleyowi takie spojrzenie, ze Teddy zaczal miec watpliwosci, kto tu naprawde jest szefem.

Cawley napotkal wzrok Teddy'ego i lekko sie zarozowil na podbrodku.

-Do zadan doktora Naehringa - tłumaczył - należy między innymi reprezentowanie naszego szpitala przed radą nadzorczą. Doktor Naehring występuje dziś wieczor własnie w takim charakterze. Rozwazalismy wspolnie panskie wcześniejsze zyczenia.

-Ktore mianowicie?

Naehring rozpalil na nowo fajke zapalka, ktora trzymal w stulonej dloni.

-Nie udostepnimy akt osobowych pracownikow medycznych.

-A Sheehana?

-Niczyich.

-Robicie sobie z nas jaja.

-Nie znam tego wyrazenia.

-Brakuje panu obycia w swiecie.

-Szeryfie, prosze dalej prowadzic dochodzenie, a my udzielimy wam wszelkiej mozliwej pomocy, ale...

-Nie.

-Slucham? - Cawley pochylil sie do przodu i teraz wszyscy czterej siedzieli zgieci niemal wpol, z glowami wysunietymi do przodu.

-Nie - powtorzil Teddy. - To koniec dochodzenia. Wrocimy do miasta najblizszym promem. Zlozemy raporty i sprawa zostanie, jak sie domyslalam, przekazana chlopakom Hoovera. A my umywamy rece.

Reka Naehringa z fajka zawisla w powietrzu. Cawley napil sie drinka. W tle pobrzmiwal Mahler. Gdzies w pokoju tykal zegar.

-Jak pan uwaza, szeryfie.

Lalo jak z cebra, kiedy wyszli z domu Cawleya. Deszcz tlukl o dachowki, o dziedziniec wylozony cegla, o czarny dach czekajacego na nich samochodu. Cial otaczajaca ich ciemnosc ukosnymi platami srebra. Samochod stal zaledwie kilka krokow od ganku, ale i tak zdazyli przemoknac. McPherson przeszedl na druga strone i wskoczyl na swoje miejsce za kierownica. Nachlupal na tablice rozdzielcza, kiedy otrzasal sie z wody, jednoczesnie wlaczajac bieg.

-Mila noc - powiedzial, podnoszac glos, aby nie zagluszylo go plaskanie wycieraczek i bebnienie deszczu.

Teddy spojrzal w lusterko wsteczne, zobaczyl na ganku rozmyte postaci Cawleya i Naehringa, ktorzy odprowadzali ich wzrokiem.

-Strach wychodzic z domu - odparl McPherson, kiedy oderwana od konara galazka przefrunela tuz przed przednia szyba samochodu.

-Dlugo tu pracujesz, McPherson? - zapytal Chuck.

-Cztery lata.

-Doszlo tu wcześniejsze do uciezki?

-Do cholery, nie.

-A moze ktos sie zgubil i po godzinie czy dwoch sie odnalazl?

McPherson potrzaskał głową.

-Nie, nie było nawet takiego przypadku. Trzeba być skończonym świrami. Tu nie ma dokąd uciec.

-Znasz doktora Sheehana? - spytał Teddy.

-Jasne.

-Od dawna tu pracuje?

-Zaczął chyba rok przedemną.

-Czyli od pięciu lat.

-Zgadza się.

-Często zajmował się Rachel Solando?

-Nic mi o tym nie wiadomo. Jej głównym psychoterapeutą był doktor Cawley.

-Czy to powszechna praktyka, że kierownik personelu medycznego jednocześnie jest osobiście zaangażowany w terapię konkretnego pacjenta?

-No cóż...

Zapadło milczenie. Słychać było płaskanie wycieraczek. Za oknami samochodu widać było ciemne drzewa przyginane przez wicher.

-To zależy - odezwał się McPherson, kiwając ręką strażnikowi, kiedy wjeżdżali przez bramę. - Doktor Cawley prowadzi pacjentów z oddziału C. Jeszcze paroma z innych oddziałów zajmuje się osobiście.

-Kim jeszcze oprócz Rachel Solando?

McPherson zatrzymał samochód przed wejściem do budynku mieszkalnego dla mężczyzn.

-Wybaczcie, że tym razem nie otworzę wam drzwi. Przespijcie się. Rano doktor Cawley na pewno odpowie wam na wszystkie pytania.

-McPherson? - powiedział Teddy, nim wysiadł. McPherson obejrzał się do tyłu.

-Kiepsko ci to wychodzi.

-Co takiego kiepsko mi wychodzi?

Teddy uśmiechnął się do niego cierpko i wyszedł na lejący się strumieniami deszcz.

Dzielił pokój z Treyem Washingtonem i jeszcze jednym posługaczem, który nazywał się Bibby Luce. Pokój był dość przestronny, z dwoma piętrowymi łózkami i kaciem wypoczynkowym i tam właśnie Trey i Bibby grali w karty, kiedy Teddy i Chuck weszli do środka. Przybysze wytarli włosy białymi ręcznikami, których sterte zostawiono dla nich na górnym łóżku, po czym dostawili krzesła i przyłączyli się do gry.

Stawki były niskie, a jeśli komus zabrakło monet, przyjmowano w zamian papierosy.

Teddy przechrzył wszystkich, podbijając przy siódmkach, potem zgarnął pięć dolarów i osiemnaście papierosów, mając w ręku kolor treflowy, i od tamtej pory grał zachowawczo.

Za to Chuck okazał się prawdziwym karciarzem, jak zawsze tryskał humorem, a z jego twarzy nic nie można było wyczytać. Patrzył na piętrzący się przed nim stos monet, papierosów, a wreszcie banknotów, jakby dziwił się, jakim cudem urosł tak wysoko.

-Ma pan w oczach rentgena czy coś, szeryfie? - powiedział Trey.

-Chyba dopisuje mi szczęście.

-Pieprzenie. Kto to widzial, kurwa, zeby komus tak szla karta? Stosuje pan chyba jakies czary.

-A moze taki jeden nie powinien skubac ucha? - Ze co?

-Skubie pan ucho, panie Washington. Za kazdym razem, kiedy nie ma pan w reku co najmniej fula. A ten gosc, kurwa... - Chuck wskazal Bibby'ego.

Cala trojka wybuchnela smiechem.

-Ten... ten... zaraz, chwila - ten robi dzikie oczy, patrzy, ile kto uzbieral, a potem blefuje. A kiedy ma mocne karty? Jest calkiem spokojny i zamyslony.

Trey ryknal ze smiechu, az powietrze zadrzalo, i grzmotnal piescia w stol.

-A szeryf Daniels? Jak sie odsiania? Chuck usmiechnal sie szeroko.

-Mam zdradzic mojego partnera? Nie, nie, nie.

-A fe! - zawolal Bibby, wytykajac ich palcem.

-Nie da rady.

-Juz wiem - powiedzial Trey. - To spisek bialych przeciwko nam.

Chuck pociemniat na twarzy i wbil wzrok w Treya. Z pokoju nagle jakby wyszalo cale powietrze.

Treyowi skoczyla grdyka i juz zbieral sie do przeprosin, gdy Chuck powiedzial: - Oczywiscie. A coz by innego! - i wyszczerzyl zeby w usmiechu od ucha do ucha.

-W morde kopany! - wykrzyknal Trey, przybijajac piatke Chuckowi.

-W morde kopany! - powtorzyl Bibby.

-W dupe jeza! - zawolal Chuck i cala trojka zachichotala jak nastolatki.

Teddy tez chcial sie dolaczyc, ale doszedl do wniosku, ze slang w jego ustach brzmialby glupio. Ale u Chucka? U Chucka jakos to nie razilo.

-Wiec czym sie zdradzam? - spytal Chucka, kiedy lezeli w ciemnosciach. Pod drugiej stronie pokoju Trey i Bibby szli na calego w zawody o to, ktory z nich najglosniej chrapie. Od pol godziny nie lalo juz tak mocno za oknem, jakby deszcz odpoczywal, nabieral sil.

-W kartach? - odezwal sie Chuck z dolnego lozka. - Ach, niewazne.

-Powiedz, chce wiedziec.

-Do tej pory uwazales sie za dobrego gracza, co? Przyznaj sie.

-Myslalem, ze jestem niezly. - Bo jestes.

-Ale mnie pokonales.

-Wygralem kilka dolcow.

-Tvoj stary byl hazardzista, tak?

-Moj stary byl kutasem.

-O, przepraszam.

-Nie twoja wina. A twój?

-Moj stary?

-Nie, twój stryjek. No jasne, że stary.

Teddy starał się wyobrazić go sobie w mroku, ale jedyne, co przywołał z pamięci, to jego rece poznaczone bliznami.

-On był jak obcy - powiedział Teddy. - Dla całego świata. Nawet dla mojej matki.

Cholera, wątpię, czy sam wiedział, kim naprawdę jest. On i jego łódź stanowili jedno.

Kiedy stracił łódź, snuł się bez celu.

Chuck nie odzywał się i Teddy pomyślał, że pewnie zasnął. Nagle ojciec stanął mu przed oczami jak żywy; widział go wysiadującego w fotelu w te dni, kiedy nie wychodził do pracy, człowieka zupełnie przytłoczonego przez ściany, sufity, pokoje.

-Hej, szefie!

-Nie spisz jeszcze?

-Naprawdę jutro się stąd zwijamy?

-Tak. Dziwisz się?

-Nie mam ci tego za złe. Ale sam nie wiem...

-Czego?

-Nigdy przedtem nie dawałem za wygraną.

-Nie usłyszeliśmy dotąd ani słowa prawdy - odezwał się Teddy po chwili milczenia.

-Do niczego nie dojdziemy, nie mamy się na czym oprzeć i nie możemy skłonić tych ludzi do mówienia.

-Rozumiem. Rozumiem twoje powody - odparł Chuck. - Ale?

-Nigdy przedtem nie dawałem za wygraną, to wszystko.

-Rachel Solando nie wydostała się o własnych siłach bosą z pokoju zamkniętego na klucz. Ktoś musiał jej pomóc. Cała społeczność szpitala. A doświadczenie nauczyło mnie, że nic nie zdziałasz, jeśli cała społeczność puszcza mimo uszu to, co masz do powiedzenia. We dwojke nic tu nie zwojujemy. A jaki jest wariant optymistyczny?

Groźba poskutkowała i Cawley w swoim pałacu łamie sobie teraz głowę nad nową strategią działania. A rano może...

-Wiec to był bluff.

-Tego nie powiedziałem.

-Dopiero co graliśmy razem w karty, szefie.

Leżeli chwilę w milczeniu i Teddy wsłuchiwał się w szum oceanu.

-Zagryzasz wargę - powiedział Chuck; zasypiał już i język mu się trochę plątał.

-Co takiego?

-Kiedy masz dobre karty. Tylko przez sekunde, ale robisz to za każdym razem.

-Aha.

-Dobranoc, szefie.

-Dobranoc.

Widzi ja w korytarzu. Dolores. Podchodzi do niego, ma w oczach gniewne błyski, gdzieś w głębi mieszkania, pewnie w kuchni, Bing Crosby wyspiewuje czule East Side of Heaven. "Jezu Chryste, Teddy. Jezu", mówi Dolores. W reku trzyma butelkę bourbona. Pusta butelkę.

I nagle dociera do niego, że odkryła jego kolejny schowek na gorzale.

-Czy ty w ogóle bywasz trzeźwy? Czy ty, kurwa, choć przez chwilę potrafisz być trzeźwy? Odpowiadaj.

Ale on nie może. Nie może wydobyć z siebie głosu. Nie wie nawet, gdzie podziało się jego ciało. Widzi Dolores, która idzie w jego stronę tym długim korytarzem, ale nie dostrzega swojej fizycznej postaci, nawet jej nie czuje. Za plecami Dolores, na końcu korytarza jest lustro, ale on się w nim nie odbija.

Dolores wchodzi do salonu, widac teraz, że jej ciało jest z tyłu zupełnie zwęglone, a w kilku miejscach jeszcze się tli. Już nie trzyma w reku pustej butelki, a z jej włosów wzbijają się pasemka dymu.

Dolores staje przy oknie.

-Ach, popatrz. Jak one ładnie wyglądają. Unoszą się na wodzie.

Teddy podchodzi do niej. Już nie jest popalona, ocieka teraz woda, a on patrzy, jak jego ręka obejmuje jej ramię, palce muskają obojczyk. Ona odwraca głowę i delikatnie całuje jego palce.

-Co ty zrobiłaś? - mówi, nie wiedząc właściwie, dlaczego pyta.

-Popatrz na nie, tam na wodzie.

-Skarbie, dlaczego jesteś cała mokra? - mówi, ale nie jest wcale zdziwiony, kiedy ona nie odpowiada.

Widok za oknem jest inny, niż się spodziewał. Nie jest to znajomy widok z ich mieszkania przy Buttonwood, ale z domku na wsi, w którym kiedyś się zatrzymali na parę dni. Za oknem widac małe jezioro; na jego powierzchni unoszą się kłody. Teddy podziwia wdziek, z jakim się przesuwają, niemal niezauważalnie, a woda drga i mieni się w świetle księżyca.

-Urocza ta altanka - mówi Dolores. - Bielutka. Niedawno odmalowana. Jeszcze czuć farbę.

-Jest ładna.

-A więc - mówi Dolores.

-Zabiłem wielu ludzi na wojnie.

-Dlatego pijesz.

-Może.

-Ona tu jest.

-Rachel? Dolores kiwa głową.

-Wcale nie uciekła. Prawie odgadłaś. Była blisko.

-Zasada Czterech.

-To szyfr.

-Jasne, ale czemu służy?

-Ona tu jest. Nie możesz wyjechać.

Obejmuje ją ramionami od tyłu, wtula twarz w jej kark.

-Nigdzie nie wyjeżdżam. Kocham cię. Tak bardzo cię kocham.

Z jej brzucha cieknie woda, przesiaka mu przez palce.

-Jestem prochem, Teddy. - Nie.

-Jestem, a ty musisz sie przebudzic. - Jesteś tutaj.

-Nie. Musisz to przyjac do wiadomosci. Ona tu jest. Ty tutaj jesteś. On tez. Policz lozka. On tu jest.

-Kto?

-Laeddis.

Na dzwiek tego nazwiska przechodza go ciarki az do kosci. - Nie.

-Tak. - Odchyła glowe do tyłu i patrzy na niego. - Wiedziales o tym.

-Nie wiedzialem.

-Wiedziales. Nie mozesz wyjechac.

-Ciagle jesteś taka spieta - mowi, po czym masuje jej ramiona, a ona, zaskoczona, wydaje z siebie cichy jek, który wywołuje u Teddy'ego erekcje.

-Juz nie jestem spieta - odpowiada ona. - Wrocilam do domu.

-To nie jest dom - mowi Teddy.

-Owszem, to moj dom. Ona tu jest. On tez tu jest.

-Laeddis.

-Laeddis - powtarza ona i dodaje: - Musze isc.

-Nie, nie, zostan ze mna - szlocha Teddy.

-O, Boze. - Dolores opiera sie o niego calym ciałem. - Pozwol mi odejsc. Pozwol mi odejsc.

-Nie odchodz, prosze cie. - Jego lzy splywaja po niej i mieszaja sie ze strumieniem lejacym sie z jej brzucha. - Musze jeszcze potrzymac cie w ramionach. Jeszcze troche.

Proszę.

Z gardla Dolores wrywa sie ulotny odglos - na poly westchnienie, na poly skowyt, pelen wewnetrznego rozdarcia, a przy tym piekny w swoim udreczeniu.

-Zgoda. Obejmij mnie mocno. Jak najmocniej.

A on obejmuje swoja zone. I nie puszcza.

O piatej rano, gdy na swiat wciaz padaly obfite strugi deszczu, Teddy zszedl z lozka i wyjal z kieszeni plaszcz notes. Usiadl przy stole, przy którym grali w pokera, i poszukal strony, na której zapisal Zasade Czterech.

Trey i Bibby nadal chrapali w najlepsze, robiac tyle halasu co deszcz za oknem.

Chuck spal cichutko na brzuchu, z piescia przycisnieta do ucha, jak gdyby szeptala mu jakies sekrety.

Teddy spojrzal na kartke. To bylo proste, jesli sie wiedzialo, jak do tego podejsc.

Szyfr byl w sumie dziecinnie prosty, ale zlamanie go i tak zajelo mu godzine.

O szostej podniosl wzrok znad notesu i ujrzal wpatrzonego w niego Chucka, który lezal na lozku z podparta broda.

-Wyjezdzamy, szefie? Teddy potrzasnal glowa.

-W taka gówniana pogodzie nikt sie stad nie ruszy - odparl Trey, gramolac sie z lozka, podciagajac rolete i odslanjajac tonacy w deszczu krajobraz perlowej barwy. - Nie da rady.

Sen nagle zaczął mu się wymykać; podniesiona roleta, suchy kaszel Bibby'ego, Trey, który przeciągał się z długim, głośnym ziewnięciem, wszystko to nie pozwalało mu dłużej zachować w pamięci jej zapachu.

Teddy zastanawiał się, zresztą nie po raz pierwszy, czy tego dnia okaże się, że brzemie tęsknoty za nią w końcu stanie się nie do zniesienia. Gdyby mógł cofnąć się w czasie do dnia, kiedy wybuchł pożar, i za jej ciało oddać własne, nie wahałby się. To był pewnik. W miarę upływu czasu tęsknił za nią coraz mocniej, a pragnienie bycia z Dolores stało się raną w duszy, która nie chciała się zbliznić, sacczy się z niej strumień nie dawał się zatamować.

Trzymałem ją w ramionach, chciałem obwiesić Chuckowi, Treyowi i Bibby'emu.

Trzymałem ją w ramionach, a w radiu Bing Crosby śpiewał czułą piosenkę; chłonałem jej zapach, zapach naszego mieszkania przy Buttonwood i jeziora, nad którym spędziliśmy tamto lato, a ona muskała ustami moje palce.

Trzymałem ją w ramionach. Tego ten świat dać mi nie może. Ten świat na każdym kroku uswiadamia tylko człowiekowi jego ubóstwo, przypomina mu, czego nie ma, czego nigdy nie posiadał i co utracił, nie zdążywszy się tym nacieszyć.

Mielismy razem doczekać starości, Dolores. Zostać rodzicami. Spacerować wśród starych drzew. Chciałem patrzeć, jak czas złodzi bruzdy na twojej twarzy, śledzić pojawienie się każdej zmarszczki.

Nie było nam to pisane.

Trzymałem ją w ramionach, chciałem powiedzieć, i gdybym miał pewność, że wystarczy tylko umrzeć, żeby znowu wziąć ją w ramiona, bez wahania przystawiłbym sobie łufę do skroni i pociągnął za spust.

Chuck spoglądał na niego wyczekująco.

-Złamałem szyfr Rachel - oznajmił Teddy.

-I to wszystko? - zapytał Chuck.

Dzień drugi Laeddis

7

Spotkali Cawleya w holu oddziału B. Był cały przemoczony i wyglądał tak, jakby spędził noc na ławce na przystanku autobusowym.-Sztuka polega na tym, doktorze - powiedział Chuck - żeby zasnąć, kiedy leży się w łóżku.

Cawley otarł twarz chusteczką.

-Więc na tym polega sztuka, szeryfie? Wiedziałem, że coś mi umyka. Zasnąć, powiada pan. Słusznie.

Poszli do góry po zółkłych schodach, skinęli głową posługaczowi czuwającemu na swoim stanowisku.

-A jak się dziś miewa doktor Naehring? - spytał Teddy. Cawley unosił i opuścił brwi gestem wyrażającym znużenie.

-Przepraszam za jego wczorajsze zachowanie. Jeremiaś to geniusz w swej dziedzinie, ale przydałoby mu się trochę oglady. Nosi się z zamiarem napisania książki na temat kulturowej dominacji mężczyzn-wojowników w dziejach ludzkości. Ma na tym punkcie obsesję, ciągle porusza ten temat w rozmowach, próbuje naginać ludzi do przyjęcia z góry założen. Raz jeszcze proszę o wybaczenie.

-Często to robicie?

-Co takiego, szeryfie?

-Zbieracie się i przy kieliszku, jak by to powiedzieć, sondujecie ludzi?

-To skrzywienie zawodowe, jak myślę. Ilu psychiatrów trzeba, żeby wkrecić żarówkę?

-Nie wiem. Ilu?

-Osmiu.

-Dlaczego?

-Och, niech pan przestanie tak wszystko analizować.

Teddy napotkał spojrzenie Chucka i obaj się rozesmieli.

-Psychiatrzy opowiadają o sobie dowcipy - zdziwił się Chuck. - Kto by przypuszczał?

-Wiecie, panowie, co przypomina dziedzina zdrowia psychicznego w obecnych czasach?

-Nie mamy zielonego pojęcia - odparł Teddy.

-Pole bitwy - rzekł Cawley i ziewnął, zasłaniając usta przemoczona chusteczka. - Toczy się na nim wojna, ideologiczna, filozoficzna, a nawet psychologiczna.

-Przecież jesteście lekarzami - zauważył Chuck. - Powinnście się grzecznie bawić, dzielić zabawkami.

Cawley się uśmiechnął. Mineli posługacza dyżurującego na pierwszym piętrze.

Gdzieś na dole rozległ się krzyk pacjenta, niosąc się echem po schodach. Był to żalostny skowyt i Teddy odebrał całą zawartą w nim rozpacz, pewność, że tęsknota, która tak dojmująco wyrażał, nigdy nie zostanie zaspokojona.

-Stara szkoła - powiedział Cawley - wierzy w skuteczność terapii wstrząsowej, częściowej lobotomii, kąpieli solankowych w przypadku najbardziej potulnych pacjentów. Nazywamy to psychochirurgia. Z kolei nowa szkoła zdecydowanie opowiada się za psychofarmakologia. Podobno do niej należy przyszłość. Być może. Zresztą nie wiem.

Zatrzymał się z reka na poręczy w połowie drogi między pierwszym i drugim piętrem. Teddy wyczuwał jego wyczerpanie niczym żywa, złamana istota, namacalna czwarta postać stojąca obok nich na schodach.

-Jakie ma zastosowanie psychofarmakologia?- spytał Chuck.

-Ostatnio został zatwierdzony nowy lek, związek litu - odrzekł Cawley. - Na pacjentów psychotycznych działa odprezajaco, hamująco, jak powiedzieliby niektórzy.

Kajdany wkrótce staną się przeżytkiem, lancuchy, nawet kraty, tak przynajmniej twierdzą optymiści. Oczywiście wyznawcy starej szkoły dowodzą, że nic nie zastąpi psychochirurgii, ale moim zdaniem nowa szkoła jest silniejsza i ma po swojej stronie pieniądze.

-Czyje pieniądze?

-Firm farmaceutycznych, ma się rozumieć. Wykupujcie akcje, panowie, poki czas, a na starość będziecie wygrzewać kości na własnej wyspie tropikalnej. Nowe szkoły, stare szkoły. Moj Boże, czasami mnie ponosi.

-A do której szkoły pan się zalicza? - spytał Teddy.

-Choć zabrzmiało to mało wiarygodnie, jestem zwolennikiem terapii słownej, umiejętnego oddziaływania na poziomie interpersonalnym. Wyznaje taki radykalny pogląd, że jeśli traktuje się pacjenta z szacunkiem, słucha się, co próbuje przekazać, to można nawiązać z nim kontakt.

I znowu skowyt. Teddy był pewny, że wydarł się z gardła tej samej kobiety. Odgłos wsunął się między nich, zdawał się przyciągać uwagę Cawleya.

-Nawet z takim pacjentem?

Cawley uśmiechnął się.

-No cóż, wielu pacjentom trzeba podawać leki, a niektórych zakuwać w kajdany.

Nie będę zaprzeczał. Ale poruszamy się po grzaskim gruncie. A kiedy wpuszcza się truciznę do studni, jak potem oddzielić ją od wody?

-Nie da się - przyznał Teddy.

Cawley skinął głową.

-No właśnie. Coś, co powinno być środkiem nadzwyczajnym, staje się standardowym postępowaniem. Wiem, wiem, moje metafory nie są zbyt spójne.

A wracając do snu - zwrócił się do Chucka - następnym razem postaram się zasnąć.

-Mówią, że sen czyni cuda - odparł Chuck.

Wyszli wreszcie na ostatnie piętro. Kiedy znaleźli się w pokoju Rachel, Cawley usiadł ciężko na krześle, a Chuck oparł się o drzwi.

-Hej! Ilu surrealistów trzeba, żeby wkrecić żarówkę? - spytał Chuck.

Cawley popatrzył na niego.

-Zaraz będę gryzł. Ilu?

-Ryba - odparł Chuck i zarechotał głośno.

-Pewnego dnia pan dorosnie, szeryfie - rzekł Cawley. - Mam rację?

-Czasami nachodza mnie watpliwosci.

Teddy stuknal w kartke papieru, ktora trzymal przed soba.

-Przyjrzyjcie sie jeszcze raz.

Zasada Czterech Ja Jestem 47 Oni To 80 + Wy Jestescie 3 My Jesteśmy 4 Ale Kim Jest 67?

-Jestem na to zbyt zmeczony, szeryfie - rzekl po minucie Cawley. - W tej chwili nie dostrzegam w tym zadnego sensu. Przepraszam.

Teddy spojrzal na Chucka. Chuck potrzasnal glowa.

-To znak dodawania dal mi do myslenia - oznajmil Teddy. - Kazal jeszcze raz sie nad tym zastanowic. Popatrzcie na te linijke pod "Oni to 80". Nalezy dodac do siebie te dwa rzedy. I co wychodzi?

-Sto dwadziescia siedem.

-Jeden, dwa, siedem - powiedzial Teddy. - Dobrze. Teraz trzeba dodac trzy. Ale trzy jest oddzielone. Rachel chciala, zebysmy potraktowali te cyfry jak odrebne czlony.

Mamy wiec jeden plus dwa plus siedem plus trzy. Czyli razem?

-Trzynascie - rzekl Cawley i wyprostowal plecy.

Teddy skinal glowa.

-Czy ta liczba ma jakies szczegolne znaczenie dla Rachel Soiando? Urodzila sie trzynastego? Wyszla za maz tego dnia? Zamordowala swoje dzieci trzynastego?

-Musialbym sprawdzic - odparl Cawley. - Ale tak czy inaczej, trzynascie to dla schizofrenikow szczegolny numer.

-Dlaczego?

Cawley wzruszyl ramionami.

-Pod tym wzgledem schizofrenicy nie roznia sie od wiekszosci ludzi. Trzynascie to feralna liczba, przynosi pecha. Schizofrenicy przewaznie zyja w nieustannym strachu.

Jest to wspolny wyznacznik wszystkich odmian tej choroby. Totez schizofrenicy na ogol sa bardzo przesadni. A liczba trzynascie sie z tym wiaze.

-To by tlumaczylo, skad ta trzynastka - powiedzial Teddy. - Ale popatrzcie na nastepna

liczbe. Cztery. Jeden plus trzy daje cztery. A jeden i trzy oddzielnie?

-Trzynastcie - odezwał się Chuck, który podszedł do Teddy'ego i patrząc na kartkę, przekrzywił głowę.

-A weźmy ostatnią liczbę, sześćdziesiąt siedem - rzekł Cawley. - Sześć plus siedem równa się trzynastcie.

Teddy skinął z aprobatą.

-Tu nie działa zasada czterech, tylko zasada trzynastu. W imieniu i nazwisku Rachel Solando jest łącznie trzynastcie liter.

Widać było po Cawleyu i po Chucku, że przeliczają litery w myślach.

-Proszę mówić dalej - powiedział Cawley.

-Kiedy przyjmie się te przesłanki, kod Rachel staje się czytelny. Oparty jest na najprostszej zasadzie przyporządkowania literom alfabetu kolejnych liczb. Jeden odpowiada literze A, dwa B, i tak dalej. Rozumiecie?

Cawley skinął głową, a Chuck kilka sekund po nim.

-Pierwsza litera jej imienia to R. Odpowiada jej liczba osiemnastcie. A to jeden, C to trzy, H to osiem, E to pięć, a L to dwanaście. Osiemnastcie, jeden, trzy, osiem, pięć i dwanaście. Co otrzymamy po dodaniu, panowie?

-Jezu - wyszeptał Cawley.

-Czterdzieści siedem - rzekł Chuck, który wpatrywał się rozszerzonymi oczami w trzymaną przez Teddy'ego kartkę.

-Dlatego mamy tu "Ja jestem 47" - powiedział Cawley. - To jej imię. Teraz to widzę. Ale co to za "oni"?

-Jej nazwisko - wyjaśnił Teddy. - Pochodzi od nich.

-Od kogo?

-Rodziny meza i ich przodków. Nie jest jej rodzimym nazwiskiem. Albo odnosi się do dzieci. Tak czy inaczej, na jedno wychodzi. To jej nazwisko, Solando. Dodajcie wszystkie liczby przyporządkowane poszczególnym literom i wierzcie mi, otrzymacie osiemdziesiąt.

Cawley wstał z łóżka i teraz obaj z Chuckiem stali przed Teddym i studiowali z bliska zaszyfrowaną wiadomość Rachel. Po chwili Chuck podniósł wzrok, spojrzał w oczy Teddy'emu.

-O cholera! Co ty, drugi Einstein jesteś?

-Zajmował się pan w wojsku łamaniem szyfrów, szeryfie? - spytał Cawley, ze wzrokiem utkwionym w kartce.

-Nie.

-Jakim więc cudem...? - odezwał się Chuck.

Teddy'emu ścierpły ręce od trzymania kartki i położył ją na łozku.

-Nie wiem. Moje hobby to rozwiązywanie krzyżówek. Uwielbiam różnego rodzaju łamigłówek - odparł i wzruszył ramionami.

-Ale w czasie wojny służył pan w wywiadzie, tak? - dociekał Cawley.

Teddy potrząsnął głową.

-Walczyłem na froncie. Za to pan pracował dla Biura Służb Strategicznych.

-Nie, byłem tylko konsultantem - powiedział Cawley.

-W jakich sprawach?

Na twarzy doktora pojawił się charakterystyczny, niemal niedostrzegalny uśmiech, który zaraz znikł.

-Poufnych - odparł.

-Ale ten kod jest całkiem prosty - podsumował Teddy.

-Prosty? - zdziwił się Chuck. - Od twoich wyjaśnień rozboleła mnie głowa.

-A dla pana, doktorze? - upierał się Teddy.

Cawley wzruszył ramionami.

-Co mam panu odpowiedzieć, szeryfie? Nie łamałem tam szyfrów.

Cawley pochylił głowę i gładząc się po brodzie, wpatrywał się w zaszyfrowaną wiadomość. Teddy napotkał pełne wątpliwości spojrzenie Chucka.

-Zatem domyśliliśmy się, to znaczy, pan się domyślił, szeryfie, co znaczą liczby czterdzieści siedem i osiemdziesiąt - powiedział Cawley. - Ustaliśmy, że wszystkie wskazówki oparte są na zasadzie trzynastki. Ale jak rozumieć "trzy"?

-Jak mowilem - odparl Teddy - albo to odnosi sie do nas i wtedy Rachel okazalaby sie jasnowidzem...

-Malo prawdopodobne.

-Albo odnosi sie do jej dzieci.

-To jestem gotow przyjac.

-Dodajmy Rachel do trzech...

-I otrzymamy nastepna linijke - powiedzial Cawley. - "My jestesmy czwórka".

-Ale kim jest szescdziesiat siedem? Cawley popatrzył na niego.

-To pytanie retoryczne? Teddy potrzaskal glowa.

Cawley powiodl palcem po zapisanej kartce. - Zadne z tych liczb po dodaniu nie daja w wyniku szescdziesieciu siedmiu? - Zadne.

Cawley potarl dlonia wlosy i wyprostowal sie. - I nic sie panu nie nasuwa na mysl?

-Tego jednego nie moge rozgryzc - przyznal Teddy. - Nie wiem, do czego sie to odnosi, ale na pewno nie jest to nic, co byloby mi znajome, dlatego musi miec zwiazek z wyspa. A panu, doktorze?

-Prosze?

-Nasuwa sie cos panu?

-Niestety, nic. Sam padlbym na pierwszej linijke.

-Owszem, wspominal pan, ze jest zmeczony i tak dalej.

-Bardzo zmeczony, szeryfie - podkreslil, patrzac Teddy'emu w oczy, po czym podszedl do okna i ogladal splywajacy po szybach deszcz; warstwy wody byly tak grube, ze odgradzaly swiat za oknem niczym mur. - Wczoraj wieczorem oswiadczył pan, ze nas opuszcza.

-Najblizszym promem - odparl Teddy, ani myslac przyznac, ze to byl blef.

-Dzisiaj zaden nie wyplynie. Jestem tego pewny.

-Poczekamy do jutra. Albo do pojutrza - powiedzial Teddy. - Nadal pan uwaza, ze ona chowa sie gdzies tam na tym odludziu? Przy takiej pogodzie?

-Wcale tak nie uwazam.

-W takim razie gdzie sie podziewa?

-Nie wiem. - Cawley westchnal. - Tropienie ludzi to nie moja specjalnosc.

Teddy wziął do reki lezaca na lozku kartke.

-To jest szablon. Klucz do rozszyfrowania nastepnych wiadomosci. Moge sie zalozyc o moja miesieczna pensje.

-A jesli nawet, to co?

-Ona wcale nie zamierza uciec, doktorze. Sprowadzila nas tutaj. Sadze, ze zostawila nam wiecej takich podpowiedzi.

-Ale nie w tym pokoju - odparl Cawley.

-W tym pokoju nie. Ale moze na terenie szpitala. Albo gdzies na tym pustkowiu.

Cawley wciagnal glosno powietrze przez nos, opierajac sie reka o szybe; ledwo trzymal sie na nogach, a Teddy byl ciekaw, z jakiego powodu tak naprawde doktor nie zmruzył oka zeszlej nocy.

-Sprowadzila was tutaj? - powiedzial Cawley. - Ale po co?

-Pan mi to powie.

Cawley przymknal oczy i dlugo sie nie odzywal, az Teddy zaczal podejrzewac, ze zasnal na stojaco. Doktor otworzyl oczy i popatrzył na nich.

-Czeka mnie ciezki dzien, narady z personelem medycznym, zebranie z rada nadzorcza w sprawie budzetu, nadzwyczajna odprawa sluzby ratowniczej na wypadek, gdyby ten sztorm wyrzadzil nam powazne szkody. Z pewnoscia ucieszy was wiadomosc, ze bedziecie mogli spotkac sie osobiscie i porozmawiac ze wszystkimi pacjentami, ktorzy brali udzial w terapii grupowej wraz z Rachel Solando tego wieczoru, kiedy zniknela.

Zgodnie z planem spotkanie to ma sie rozpoczac za pietnascie minut. Panowie, jestescie tu mile widziani. Naprawde. Ja ze swej strony staje na glowie, zeby wam pomoc, choc wy moze postrzegacie to inaczej.

-Wiec niech pan da nam do wgladu akta Sheehana.

-Tego uczynic nie moge. W zadnym wypadku. - Cawley oparl glowe o sciane. - Szeryfie, telefonista probuje sie do niego dodzwonic. Ale wyglada na to, ze stracilismy lacznosc ze swiatem. Z tego, co wiem, zalane jest cale wschodnie wybrzeze.

Cierpliwosci, panowie. O nic wiecej nie prosze. Znajdziemy Rachel albo przynajmniej

dowiemy sie, co sie z nia stalo. - Spojrzal na zegarek. - Juz jestem spozniony. Mamy jeszcze do omowienia cos pilnego, czy mozemy to odlozyc na pozniej?

Stali pod daszkiem przed wejsciem do szpitala, pole widzenia przeslanialy im sciany deszczu wielkoscii wagonow kolejowych.

-Mylisz, ze on wie, co oznacza szescdziesiat siedem? - spytal Chuck.

-Mhm.

-I wczesniej od ciebie zlamal ten szyfr?

-Pracowal dla OSS. Na pewno troche sie zna na kryptografii.

Chuck otarl twarz reka, otrzasnal ja na chodnik.

-Ilu maja tu pacjentow?

-Niewielu.

-Wlasnie. Pewnie ze dwadziescia kobiet i trzydziestu facetow, co?

-Cos kolo tego - zgodzil sie Teddy.

-Tak czy siak, brakuje do szescdziesieciu siedmiu.

Teddy odwrocil sie do niego.

-Co ty...?

-Ja tylko tak - powiedzial Chuck.

Spojrzeli w dal na linie drzew, na wierzcholek fortu za drzewami, przytloczony przez nawalnice, zamazany i niewyraźny niczym szkic węglem w zadymionym pokoju.

Teddy przypomniał sobie słowa Dolores ze snu: "Policz lozka".

-Ilu jest tu pacjentow twoim zdaniem?

-Nie wiem - odparl Chuck. - Musimy zapytac naszego usluźnego doktora.

-O tak, Calwey az sie pali do pomocy.

-Szefie?

-Mow.

-Natknales sie kiedyś na takie marnotrawstwo w zagospodarowaniu państwowej przestrzeni?

-Co masz na myśli?

-Piecdziesięciu pacjentów na dwóch oddziałach? Jak myślisz, ilu mogłyby pomieścić te budynki? Jeszcze ze dwustu?

-Co najmniej.

-A liczba zatrudnionych w stosunku do pacjentów? Wychodzi dwa do jednego na korzyść personelu. Spotkałeś się wcześniej z czymś takim?

-Muszę powiedzieć, że nie.

Spojrzeni na rozciągające się wokół tereny szpitala chłostane deszczem.

-Co to za miejsce, do kurwy niedzy? - rzekł Chuck.

Spotkanie z pacjentami miało się odbyć w stolowce. Chuck i Teddy usiedli przy stoliku w głębi sali. Dwoch posługaczy czuwało w pobliżu, a Trey Washington miał za zadanie przyprowadzać pacjentów i zabierać ich z powrotem po skończonej rozmowie.

Pierwszy był zarosniętym nieborakiem wstrząsanym tikami i bez przerwy mrugającym oczami. Siedział z podciągniętymi pod brode kolanami, przypominając z wyglądu wielkiego skrzyplacza. Drapał się po rękach i strzelał na boki oczami.

Teddy spojrzał na pierwszą stronę przygotowanej przez Cawleya teczki, zawierającej notatki sporządzone przez niego odrecznie z pamięci, a nie właściwe karty pacjentów.

Umieszczony na samej gorze listy pacjent nazywał się Ken Gage i trafił do tego zakładu, ponieważ zaatakował nieznanego w sklepie spożywczym, walil ofiarę w głowę puszką z fasolą, powtarzając przy tym sciszonym głosem: "Przestan czytać moje listy".

-No, Ken, jak samopoczucie? - spytał Chuck.

-Zimno mi. Zimno mi w stopy.

-To przykre.

-Chodzenie sprawia mi ból. - Ken obrysowywał paznokciem strupa na ramieniu, z początku delikatnie, jakby wytyczał wokół niego fosę.

-Brałeś udział w terapii grupowej przedwczoraj wieczorem?

-Zimno mi w stopy i chodzenie sprawia mi ból.

-Moze chcesz skarpetki? - zaproponowal na probe Teddy. Zauwazyl, ze poslugacze przygladaja im sie z kpiacymi usmieszkami.

-Tak, chce skarpetki, chce skarpetki, chce skarpetki.

Ken mowil to szeptem, z glowa opuszczona i lekko drgajaca.

-Dobrze, zaraz je dostaniesz. Chcemy tylko wiedziec, czy brales...

-Tak mi zimno. W stopy? Jest mi zimno i chodzenie sprawia mi bol.

Teddy spojrzal na Chucka, ktory usmiechnal sie do poslugaczy, slyszac dolatujacy z ich strony chichot.

-Ken - powiedzial Chuck. - Ken, popatrz na mnie.

Ken siedzial ze spuszczona glowa, drgajaca teraz nieco mocniej. Oderwal paznokciem strup i struzka krwi zlepila mu wlosy na przedramieniu.

-Ken?

-Nie moge chodzic. Ja tak nie chce, ja tak nie chce. Jest mi zimno, zimno, zimno.

-No dalej, Ken, popatrz na mnie.

Ken polozyl rece na stole.

Poslugacze wstali z miejsc, a Ken powiedzial:

-Nie powinno bolec. Nie powinno. Ale to przez nich. Oni oziebiaja powietrze.

Oziebiaja mi kolana.

Poslugacze podeszli do stolu, staneli za plecami Kena i popatrzyli na Chucka.

-Skonczylicie, panowie, czy jeszcze chcecie posluchac o jego stopach? - spytal jeden z nich, bialy.

-Zimno mi w stopy.

Drugi poslugacz, czarnoskory, uniosl brwi.

-W porzadku, Kenny. Zabierzemy cie na hydroterapię, tam cie rozgrzeja.

-Pracuje tu piec lat - oswiadczył bialy. - Ciagle ta sama spiewka. Nic sie nie zmienia.

-Nigdy? - spytal Teddy.

-Nigdy - odparł posługacz.

-Chodzenie sprawia mi ból, bo oni oziebiają mi stopy... Następny, Peter Breene, był dwudziestosześcioletnim pulchnym blondynem. Miał poobijane kłykcie i obgryzione paznokcie.

-Dlaczego tutaj trafiles, Peter?

Pacjent spojrział na nich oczami, które wydawały się bez przerwy zalawione.

-Ciagle się boje.

-Czego?

-Roznych rzeczy.

-Mow dalej.

Peter założył lewą stopę na prawe kolano, chwycił się za kostkę i pochylił do przodu.

-Wiem, że to brzmi głupio, ale napędza mi stracha tykanie zegarów. Wdziera mi się do mózgu. Przerazają mnie szczury.

-Mnie też - powiedział Chuck.

-Naprawdę? - Peter ożywił się nagle.

-Jak cholera. Piszczące sukinsyny. Na sam widok szczura dostaje gęsiej skórki.

-To lepiej nie wychodzić w nocy za ogrodzenie - ostrzegł Peter. - Na wyspie się od nich roi.

-Dobrze wiedzieć. Dzięki.

-Jeszcze ołówki. Ten ołów skrobiący o papier. I boję się ciebie.

-Mnie?

-Nie - odparł Peter, wskazując brodą Teddy'ego. - Jego.

-Dlaczego? - spytał Teddy.

Peter wzruszył ramionami.

-Kawał chłopca z ciebie. I te krótko ostrzyżone włosy. Wyglądasz groźnie. Masz poharatane kłykcie. Przypominasz mi ojca. On miał wypielegnowane ręce. Ale wyglądał groźnie. Moi bracia też. Dostawałem od nich w skórę.

-Ja ci nic zlego nie zrobie - powiedzial Teddy.

-Ale moglbys. Rozumiesz, o co mi chodzi? Masz taka sile. A ja nie. Dlatego latwo mnie zranic. A poniewaz latwo mnie zranic, boje sie.

-A jak sie boisz, to co wtedy? Sciskajac kostke, Peter kolysal sie do przodu i do tyłu, a wlosy opadly mu na czolo.

-Byla calkiem mila. Nie mialem zlych zamiarow. Ale napedzala mi stracha swoimi wielkimi cyckami, jak falowaly jej pod fartuchem. Codziennie do nas przychodzila.

Patrzyla na mnie tak... Wiecie, jak dorosly usmiecha sie do dziecka? Ona wlasnie tak sie do mnie usmiechala. A byla w moim wieku. No dobrze, moze kilka lat starsza, ale i tak jeszcze przed trzydziestka. I taka doswiadczona w sprawach seksu. Widac to bylo w jej oczach. Lubila paradowac nago. Obciagala facetom. A mnie prosi o szklanke wody. Jest ze mna w kuchni sam na sam i zachowuje sie jak gdyby nigdy nic.

Teddy przesunal teczke tak, aby Chuck mogl odczytac zapiski Cawleya:

Pacjent zaatakowal odlamkiem szkla pielegniarke ojca. Ofiara zostala ciezko ranna, oszpecona na cale zycie. Pacjent uchyla sie od odpowiedzialnosc za czyn.

-Tylko dlatego, ze mnie wystraszyła - mowil Peter. - Chciala, zebym wyciagnal swoj interes, a potem miala zamiar mnie wysmiac. Wmawiac mi, ze nigdy nie przepie sie z kobieta, nie bede mogl miec dzieci, nie zostane mezczyzna. Bo inaczej, przeciez wiecie, mam to wypisane na twarzy - nie skrzywdzilbym muchy. Nie jestem do tego zdolny. Za to kiedy ogarnia mnie lek... Och, ten umysl.

-Co z umyslem? - spytal kojacym glosem Chuck.

-Mysli pan czasem o nim?

-O twoim umysle?

-Umysle w ogole - odparl Peter. - Moim, swoim, kazdego. To taki silnik. Wlasnie.

Bardzo delikatny, skomplikowany mechanizm. Sklada sie z tylu roznych czesci, tych wszystkich przekladni, srub, zawiasow. A my nawet nie wiemy, do czego polowa z nich sluzy. Wystarczy, ze puscil jedna przekladnia, tylko jedna... Zastanawial sie pan nad tym?

-Ostatnio nie.

-A warto. Umysl dziala jak samochod. Nie ma roznic. Jedna przekladnia puscil, jedna srubka peknie, a caly ukklad diabli biora. Czy mozna zyc z taka wiedza? - Peter stuknal sie w skron. - Ze wszystko to tkwi uwiezony tam w srodku i nie mozna sie tam dostac? Ze tak

naprawde nie mamy nad tym zadnej wladzy? Ale to z kolei ma wladze nad nami. A jesli pewnego dnia sie zbuntuje, odmowi przyjscia do pracy? - Pochylil sie do przodu, widac bylo napiete sciegna na jego szyi. - Wtedy mamy po prostu przerabane, nie?

-Ciekawy punkt widzenia - rzekl Chuck. Peter odchyilil sie do tyłu, nagle odretwialy.

-To przeraza mnie najbardziej.

Z powodu dokuczliwych migren Teddy doswiadczył na sobie poczucia braku wladzy nad własnym umyslem i sklonny bylby przyznac Peterowi racje w ogolnym sensie, ale przede wszystkim mial ochote zlapac gnojka za gardlo, cisnac nim o kuchenke stojaca w stolowce pod sciana i zapytac o te biedna pielegniarka, ktora tak pochlastal.

Pamietasz chociaz, jak miala na imie, Peter? Co w niej wzbudzalo strach, jak myslisz? Co? Ty. Tak jest. Starala sie uczciwie pracowac, zarobic na zycie. Moze miala dzieci, meza. Moze oboje probowali odlozyc troche grosza, zeby poslac dziecko na studia, zapewnic mu lepszy start. Takie skromne marzenie.

Ale nie, popieprzony synalek bogatego kutasa przekresla to wszystko: nie, przykro mi, ale twoje marzenie nie moze sie spelnic. Nie dla ciebie normalne zycie, moj panie.

Juz nie.

Teddy mierzył wzrokiem Petera Breene'a i mial ochote rabnac go w gebe tak mocno, zeby lekarze nie mogli poskladac mu z powrotem kosci nosa. Walnac go tak, zeby odglos uderzenia przesladowal go przez cale zycie.

Ale tylko zamknal teczke i powiedzial:

-Brales udzial w terapii grupowej przedwczoraj wieczorem razem z Rachel Solando.

Zgadza sie?

-Tak. Jasne, ze bralem, prosze pana.

-Widziales, jak odchodzila do swojego pokoju?

-Nie. Pacjentki zawsze wyprowadzane sa po nas. Ona zostala w sali z Bridget Kearns, Leonora Grant i ta pielegniarka.

-Ta pielegniarka?

Peter skinal glowa.

-Ruda. Czasami nawet ja lubie. Wydaje sie szczera. Ale kiedy indziej znowu, no wie pan?

-Nie wiem - odparł Teddy lagodnym tonem, idąc za przykładem Chucka.

-Przecież pan ja widział, nie?

-Jasne. Wiec jak sie nazywa?

-Takie jak ona nie potrzebuja imion ani nazwisk - powiedzial Peter. - Nie ma dla niej imienia. Swintucha. Tak sie nazywa.

-Przecież mówiles, że ja lubisz, Peter - wtracił Chuck.

-Kiedy tak mówilem?

-Minute temu.

-To zdzira. Puszczalska.

-Chce cie jeszcze o cos zapytac.

-Bara-bara-bara.

-Peter?

Peter spojrzal na Teddy'ego.

-Moge cie o cos zapytac?

-Pewnie.

-Czy podczas tamtych zajec wydarzylo sie cos niezwyklego? Czy Rachel Solando powiedziala albo zrobila cos, co odbiegalo od jej normalnego zachowania?

-Nie pisnela slowa. Siedziala cicho jak myszka. Zamordowala swoje dzieciaki. Cala trojke. To sie nie miesci w glowie. Kto jest zdolny do czegos takiego? Tylko chorzy zwyrodnialcy, panowie, jesli wolno mi sie tak wyrazic.

-Ludzie maja problemy - odezwal sie Chuck. - Czasami dosc powazne. Sa chorzy, jak sam powiedziales. Trzeba im pomoc.

-Trzeba ich wytrac - odparl Peter.

-Slucham?

-Poslac do gazu - oznajmil Peter Teddy'emu. - Do gazu niedorozwojow. Do gazu mordercow. Zabila dzieciaki? Do gazu poslac suke.

Zapadlo milczenie. Peter promienial, jakby obwiescil im natchniona prawde. Po chwili puknal w stol i wstal.

-Milo bylo panow poznac. Na mnie juz czas.

Teddy zaczel bazgrac olowkiem po okladce teczki i Peter zatrzymal sie i odwrocil do niego.

-Peter - powiedzial Teddy.

-Co? - Jeszcze...

-Moglby pan przestac?

Teddy ryl swoje inicjaly dlugimi, powolnymi pociagnieciemiami olowka po tekturowej okladce.

-Ciekaw jestem, czy...

-Niech pan przestanie, prosze, prosze...

Teddy podniosl wzrok, nie przerywajac swego dziela.

-Co takiego? - ...skrobac olowkiem.

-O to ci chodzi? - Patrzac to na niego, to na teczke, uniosl olowek, marszczac pytajaco brew.

-Tak. O to. Proszę.

Teddy wypuscil olowek z reki. - Teraz lepiej?

-Dziekuje panu.

-Znasz moze, Peter, pacjenta, ktory nazywa sie Andrew Laeddis?

-Nie.

-Nie? Nie ma tu nikogo o takim nazwisku?

Peter wzruszyl ramionami.

-Na pewno nie na oddziale B. Moze przebywa na C. My sie z nimi nie zadajemy. To pieprzone swiry.

-Coz, dziekuje ci, Peter - powiedzial Teddy, wzial olowek i zaczel kreslic esyfloresy.

Po Peterze Breenie przyszla kolej na Leonore Grant. Leonora byla swiecie przekonana, ze jest Mary Pickford, Chuck to Douglas Fairbanks, a Teddy to Charlie Chaplin. Uwazala, ze

stolowka jest biurem przy Bulwarze Zachodzącego Słońca, a oni zebrali się w nim po to, żeby pomówić o emisji akcji wytwórni filmowej United Artist.

Bez przerwy głaskała Chucka po ręce i pytała, kto będzie protokolował.

Na końcu posługacze musieli oderwać ją siłą od Chucka, a ona wołała za nimi:

-Adieu, mon cheri. Adieu.

Wyrwała się posługaczom na środku stolowki, przybiegła do nich z powrotem i chwyciła Chucka za rękę.

-Nie zapomnij nakarmić kotka - powiedziała.

Chuck spojrzał jej w oczy i odparł:

-Spokojna głowa.

Następnym pacjentem był Arthur Tomey, który upierał się, żeby mówić mu Joe. Joe przespał zajęcia terapii grupowej tamtego wieczoru. Joe, jak się okazało, cierpiał na narkolepsję. Przysnął im dwa razy w trakcie rozmowy, za drugim razem na dobre i w takim stanie miał pozostać mniej więcej do końca dnia.

Teddy zdążył już się nabawić cmiacego bólu pod czaszką z tyłu głowy, od którego szczypany go korzonki włosów, a chociaż współczuł wszystkim pacjentom oprócz Breene'a, trudno mu było zrozumieć, jak można znieść pracę w takim zakładzie.

Trey przyprowadził kolejnego pacjenta, niewysoką jasnowłosą kobietę o okrągłej twarzy. Jej oczy jasniali, nie blaskiem szalenstwa, lecz zwyczajną bystrością inteligentnej osoby, która znalazła się w niedorównującym jej inteligencją środowisku.

Uśmiechnęła się i siadając, pomachała im niesmiało na powitanie.

Teddy zajrzał do notatek Cawleya - Bridget Kearns.

-Ja już stąd nie wyjde - odezwała się nagle po kilku minutach. Papierosy wypalała tylko do połowy, mówiła łagodnym, zdecydowanym głosem, a dziesięć lat wcześniej zarabiała swojego męża siekiera. - Nie wiem, czy powinni mnie wypuścić.

-Dlaczegoż to? - spytał Chuck. - To znaczy, proszę mi wybaczyć, panno Kearns, ale...

-Pani Kearns.

-Pani Kearns. Więc proszę mi wybaczyć, ale wydaje mi się pani... no... całkiem normalna.

Rozsiadła się w krzesle, zupełnie na luzie, jakby była nie pacjentem, lecz pracownikiem tej

instytucji, i zachichotała cicho.

-Może i tak - odparła. - Ale kiedy mnie tu przywieźli, było ze mną źle. O mój Boże.

Ciesze się, że nie mam żadnych zdjęć z tamtego okresu. Rozpoznali u mnie psychozę maniacko-depresyjną. Nie widzę powodu, aby w to wątpić. Nadal miewam okropne dni. Chyba każdy je miewa. Ale mało kto sięga wtedy po siekiere i zabija małżonka. Na tym polega różnica. Dowiedziałam się, że nosze w sobie głęboką urazę do ojca, i skłonna jestem się z tym zgodzić. Raczej nie rzuce się już na nikogo z siekiera, ale nigdy nic nie wiadomo. - Machnęła w ich kierunku papierosem. - Uważam, że jeśli facet bije żonę i pieprzy się z co drugą napotkaną przez siebie babą, a nikt nie chce jej pomóc, to nie jest wcale takie niepojęte, że go w końcu ukatrupią.

Teddy napotkał jej wzrok i rozśmieszył go wyraz jej oczu - jakby dziewczęca, niesmiała figlarność.

-Co? - zdziwiła się, śmiejąc się wraz z nim.

-Może jednak nie powinni cię wypuszczać - powiedział.

-Mówisz tak, bo jesteś facetem.

-Do licha, masz rację.

-No cóż, to wiele wyjaśnia. Śmiech przyniósł Teddy'emu ulgę, tak potrzebna mu po rozmowie z Peterem Breene'em. Zastanawiał się, czy nie wdaje się przypadkiem w flirt. Z pacjentką zakładu dla obłąkanych. Morderczynią. Oto, do czego doszło, Dolores. Ale nie czuł z tego powodu wyrzutów sumienia, jakby po dwóch długich mrocznych latach załoby należało mu się trochę niewinnej załotności.

-A co ja bym robiła po wyjściu na wolność? - mówiła Bridget. - Nie wiem, co mnie tam czeka w tym dzisiejszym świecie. Słyszałam o bombach. Bombach, które obracają w popioł całe miasta. I telewizorach. Tak się nazywają, prawda? Kraza pogłoski, że każdy oddział dostanie jeden telewizor i będziemy mogli oglądać przedstawienia w tej skrzynce. To raczej nie dla mnie. Głosy dochodzące ze skrzynki. Twarze w skrzynce.

Człowiek i tak każdego dnia dość się nasłucha i naogląda. Po co mu jeszcze jedno źródło hałasu?

-Mozesz opowiedzieć nam o Rachel Solando? - spytał Chuck.

Bridget Kearns dość raptownie zastygła i Teddy dostrzegł, że zwróciła oczy lekko ku gorze, jak ktoś, kto przetrząsa umysł w poszukiwaniu prawidłowej odpowiedzi. Napisał w notatniku "klamstwa" i zaraz zasłonił to reka.

Jej słowa były starannie dobrane, wyraźnie wyuczone.

-Rachel jest całkiem miła. Trzyma się na uboczu. Dużo opowiada o deszczu, ale na ogół wcale się nie odzywa. Wierzyła, że jej dzieci wciąż żyją. Uważała, że nadal mieszka w swoim domu, a my jesteśmy sąsiadami, listonoszami, dostawcami, mleczarzami. Nie wiadomo, jaka była naprawdę.

Bridget mówiła z opuszczoną głową, a kiedy skończyła, wyraźnie unikała wzroku Teddy'ego. Jej spojrzenie powędrowało w dół; wpatrzona w blat stolika, zapaliła następnego papierosa.

Teddy zastanowił się nad jej wypowiedzią i uświadomił sobie, że podany przez nią opis urojen Rachel niemal dokładnie odpowiada temu, co wczoraj usłyszeli z ust Cawleya.

-Jak długo tu przebywała? - Co?

-Rachel. Jak długo była z pania na oddziale B?

-Ze trzy lata? Chyba coś koło tego. Człowiek traci poczucie czasu. Łatwo o to w takim miejscu.

-A przedtem gdzie ją trzymano? - spytał Teddy.

-Słyszałam, że na oddziale C, a stamtąd została przeniesiona tu, jak się domyślam.

-Ale pewności pani nie ma?

-Nie. Ja... człowiek się gubi w tym wszystkim.

-Jasne. Czy zaszło coś niezwykłego, kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

-Nie.

-To było w czasie grupy.

-Słucham?

-Podczas zajęć terapii grupowej. Wtedy widziała ją pani ostatni raz - wyjaśnił Teddy.

-Tak, tak. - Kiwnęła skwapliwie głową i strzepnęła popiół z papierosa. - W czasie grupy.

-I rozeszłyście się do swoich pokoi?

-Pod opieką pana Gantona.

-Jak zachowywał się tego wieczora doktor Sheehan?

Podniosła wzrok i Teddy dojrzał malujące się na jej twarzy zagubienie, a może i lek.

-Nie wiem, o co panu chodzi.

-Doktor Sheehan był wtedy z wami, prawda?

Spojrzała na Chucka, potem z powrotem na Teddy'ego i zagryzła górną wargę.

-Prawda.

-Jaki on jest?

-Doktor Sheehan? Teddy skinał głową.

-W porządku. Miły, przystojny.

-Przystojny?

-Tak. Jest... całkiem do rzeczy, jak mawiała moja matka.

-Czy kiedykolwiek flirtował z panią? - Nie.

-Podrywał panią?

-Ależ skąd. To porządny lekarz.

-A tamtego wieczoru?

-Tamtego wieczoru? - Zastanawiała się przez chwilę. - Nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Rozmawialiśmy o, hm, sposobach radzenia sobie ze złością? A Rachel narzekała na deszcz. Doktor Sheehan wyszedł tuż przed końcem zajęć, a pan Ganton odprowadził nas do pokoi. Położyliśmy się do łóżek i to wszystko.

Tedy otworzył notatnik, dopisał "wyreżyserowane" pod "klamstwa" i zamknął go z powrotem.

-To wszystko?

-Tak. A następnego ranka Rachel już nie było.

-Następnego ranka?

-Kiedy się obudziłam, dowiedziałam się, że uciekła.

-A w nocy? Na pewno pani słyszała.

-Co słyszałam? - odparła, zgniatając niedopalek i rozganiając ręką unoszący się z

popielniczki dym.

-Cały ten zgiełk. Gdy odkryto jej zniknięcie.

-Nie. Ja...

-Słychać było krzyki, nawoływania, wyjacy alarm, nadbiegających strażników.

-Myślałam, że to mi się przysniło.

-Przysniło?

Skinela energicznie głową.

-Tak. Myślałam, że to koszmarny sen. - Spojrzała na Chucka. - Mogłabym prosić o szklanke wody?

-Jasne.

Chuck wstał i rozejrzał się, dostrzegł rząd szklanek pod ścianą obok metalowego dystrybutora.

-Szeryfie? - spytał jeden z posługaczy, podnosząc się z krzesła.

-W porządku. Przyniosę tylko trochę wody.

Chuck podszedł do urządzenia, wziął szklanke i po kilku sekundach domyslił się, z którego kranika leciało mleko, a z którego woda.

Pociągnął do góry solidną dzwignię, przypominającą metalową podkole, a Bridget Kearns chwyciła notatnik Teddy'ego i pióro. Patrząc mu prosto w oczy, wyszukała niezapisaną stronę, nabazgrała coś na niej, zatrzasnęła notatnik i pchnęła wraz z piórem w jego stronę.

Teddy spoglądał na nią zaintrygowany, ale Bridget Kearns spuściła wzrok i od niechcenia gładziła swoją paczkę papierosów.

Chuck wrócił ze szklanką wody i usiadł obok Teddy'ego. Bridget opróżniła szklanke do połowy.

-Dziękuję - powiedziała. - Czy macie panowie jeszcze jakieś pytania? Jestem nieco zmęczona.

-Zetknęła się pani kiedykolwiek z pacjentem o nazwisku Laeddis, Andrew Laeddis? - spytał Teddy.

Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Zastygła niczym maska wykonana z alabastru.

Jej dłonie spoczywały na stoliku, jakby obawiała się, że gdy je stamtąd zabierze, stolik pofrunie pod sufit.

Choc nie miał pojęcia dlaczego, Teddy przysięgłby, że kobieta ledwo powstrzymywała się od płaczu.

-Nie - odparła. - Nigdy o nim nie słyszałam.

-Myślisz, że jej odpowiedzi były wyreżyserowane? - spytał Chuck.

-A ty tak nie uważasz?

-No dobrze, brzmiały trochę sztucznie.

Stali pod zadaszonym łącznikiem między budynkiem szpitala i oddziałem B. Deszcz nie miał teraz do nich dostępu. Czuli jego krople spływające po skorze.

-Trochę? Niektóre jej wyrażenia były jak żywcem wyjęte z ust Cawleya. Kiedy ja zapytałem o temat zajęć, dopiero po namyśle odpowiedziała "sposoby radzenia sobie ze złością". Jakby nie była pewna. Jakby brała udział w teleturnieju i wkuwała całą poprzednią noc.

-I co z tego wynika?

-Niech skonam, jeśli wiem - odparł Teddy. - Nasuwają mi się pytania i z każdą chwilą ich przybywa.

-Jestem tego samego zdania - powiedział Chuck. - Hej, a oto pytanie dla ciebie: kto to jest Andrew Laeddis?

-Nie uszło twojej uwagi, co? Teddy zapalił zdobycznego papierosa.

-Pytales o niego każdego pacjenta.

-Z wyjątkiem Kena i Leonory Grant - sprostował Teddy.

-Oni nawet nie wiedzą, na jakim świecie żyją.

-To prawda.

-Jesteśmy partnerami, szefie.

Teddy oparł się o kamienny mur, Chuck poszedł w jego ślady. Teddy odwrócił głowę w stronę Chucka, spojrzał na niego.

-Dopiero co sie poznalismy.

-Aha, zatem nie masz do mnie zaufania.

-Ufam ci, Chuck. Naprawde. Ale w tym wypadku postepuje wbrew regulom.

Poprosilem o przydzielenie mi tej sprawy. Jak tylko przyszlo zawiadomienie do tutejszego wydzialu poscigowego.

-I co z tego?

-Mam osobiste powody, zeby tu byc.

Chuck skinal glowa, zapalil papierosa, trawil w milczeniu slowa Teddy'ego.

-Moja dziewczyna, Julie - odezwal sie w koncu - Julie Taketomi, tak sie nazywa, jest Amerykanka jak ja. Nie zna ani slowa po japonsku. Do diabla, jej rodzina jest tu zadomowiona od trzech pokolen, a oni zamykaja ja w obozie, a potem... - Chuck potrzasnal glowa, pstryknal papierosa na deszcz i podciagnal koszule, odslniajac prawy bok. - Popatrz, Teddy. To moja druga blizna.

Teddy zobaczyl dluga i ciemna szrame grubosci kciuka.

-Tej tez nie nabawilem sie na wojnie. Oberwalem, pracujac w wydziale poscigowym. Nakrylismy takiego jednego drania w Tacomie, ja pierwszy wparowalem przez drzwi i poharatal mnie szabla. Dasz wiare? Szabla, kurwa mac. Trzy miesiace przelezalem w szpitalu, zanim lekarze pozszywali mi z powrotem bebechy. A to wszystko w sluzbie narodu. Dla ojczyzny, Teddy. A potem oni wykurzaja mnie z rodzinnego okregu, bo zakochalem sie w skosnookiej Amerykance? - Wsunal za pas poly koszuli. - Pieprzyc ich.

-Gdybym cie wczesniej nie rozgryzl - powiedzial Teddy po chwili - dalbym glowe, ze naprawde ja kochasz.

-Zginalbym za nia. Bez najmniejszego zalu.

Teddy skinal glowa. Nie znal czystszeo uczucia na tym swiecie.

-I tego sie trzymaj, chlopaku.

-Ma sie rozumiec, Teddy. O to wlasnie chodzi. Ale musisz mi powiedziec, po co tu jestesmy? Kim, do cholery, jest Andrew Laeddis?

Teddy wgniotl niedopalek w kamienna plyte chodnika.

Dolores, musze mu powiedziec. W pojedynke nic nie zdzialam.

Jesli w ogole moge odkupic swoje przewinienia - pijanstwo, wszystkie te chwile, kiedy zbyt dlugo zostawialem cie sama, zawiodlem cie, zlamalem ci serce - to wlasnie teraz, bo inna taka sposobnosc juz sie nie nadarzy.

Chce to naprawic, skarbie. Chce odpokutowac. Ty jedna, ze wszystkich ludzi, bys to zrozumiala.

-Andrew Laeddis - zwrocil sie do Chucka, a slowa wiezly mu w wyschnietym gardle. Przelknal sline, zwilzyl troche gardlo, sprobował jeszcze raz...

-Andrew Laeddis byl konserwatorem w budynku, w którym mieszkalem z zona.

-Tak?

-Piromanem.

Chuck chlonal slowa Teddy'ego, nie odrywajac wzroku od jego twarzy. - I co dalej?

-Andrew Laeddis wzniecil pozar...

-O w morde! - ...w którym splonela moja zona.

8

Teddy podszedl na skraj zadaszzenia i wystawil twarz na deszcz. Zimne strugi wody przyjemnie chlodzily. W kroplach deszczu widzial Dolores. Rozpryskiwala sie przy zderzeniu z jego ciałem. Tamtego ranka nie chciala go wypuscic z domu. W ostatnim okresie swego zycia miewala niewytłumaczalne hustawki nastrojow, cierpiala na bezsenność, co przyprawialo ja o stany lekowe, doprowadzalo do rozstroju. Kiedy zadzwonil budzik, polaskotala Teddy'ego, zaproponowala, zeby zamknac okiennice, nie wpuszczac swiatla slonecznego i nie wychodzic z lozka przez caly dzien. Objela go tak lapczywie i z taka moca, ze czul wpijajace mu sie w kark kosci jej przedramion.

Przyszla do niego, kiedy bral prysznic, ale on byl zbyt zaaferowany, bo spieszyl sie do pracy, a do tego jeszcze przepity, co czesto mu sie wtedy dzarzyno. Umysl mial zamroczone, a pod czaszka czul bolesne klucie. Jej cialo tarlo go niczym papier scierny, gdy do niego przywarla. Strumien z prysznicza razil jak grad srutu.

-Zostan ze mna - powiedziala. - Tylko dzis. Nic sie nie stanie, jesli raz nie przyjdiesz do pracy.

Probowal zdobyc sie na usmiech, kiedy delikatnie przestawil ja na bok i siegnal po mydlo.

-Nie moge, skarbie.

-Dlaczego? - Poglaskala go po udach. - Daj mi mydlo. Umyje cie tam.

Gładziła dłoń jego jądra, kasła zębami piers. Nie chciał jej odpychać. Wział ją za ramiona i unosząc lekko, odsunął do tyłu o krok czy dwa.

-Przestani - powiedział. - Naprawdę zaraz muszę wyjść.

Rozesmiała się głośno, próbowała się w niego wtulić, a on widział malującą się w jej oczach desperację. Pragnęła czuć się szczęśliwą. Nie spędzać tyle czasu w samotności. Żeby znów było jak dawniej, kiedy tyle nie pracował i tyle nie pił, zanim obudziła się pewnego dnia i świat nagle wydał się jej zbyt jaskrawy, zbyt wrzaskliwy, zbyt zimny.

-No dobrze, już dobrze. - Odchyliła się do tyłu, para wzbijająca się z gorącej wody zraszała jej nagie ciało. - Pojdziesz z tobą na układ. Nie cały dzień, kochanie. Nie cały dzień.

Badz ze mną jeszcze przez godzinę. Jedną godzinę.

-Juz jestem...

-Tylko godzinę. - Gładziła go namydloną ręką. - Potem pojedziesz do pracy. Chce cię poczuć w sobie.

Wspięła się na palce, żeby go pocałować.

Musiał ją ustami.

-Nie mogę, najdroższa - powiedział i zwrócił twarz w stronę strumienia.

-Dostaniesz powołanie? - spytała.

-Co takiego?

-Do wojska.

-Mam znów walczyć za ten zasmakany kraj? Skarbie, ta wojna się skończy, zanim zawiąże sobie sznurowki.

-Nie wiem. Nawet nie wiem, po cośmy się tam właściwie pchali. To znaczy...

-Bo Korei Północnej to jej uzbrojenie nie spadło z nieba. Dostała je od Stalina.

A my musimy pokazać, że wyciągnęliśmy naukę z Monachium, że już wtedy trzeba było powstrzymać Hitlera. Dlatego ukrocimy Stalina i Mao. Teraz. Właśnie w Korei.

-Poszedłbyś na wojnę.

-Gdybym dostał powołanie? Musiałbym. Ale nie powołają mnie, kotku.

-Skad wiesz?

Nalal szamponu na wlosy.

-Zastanawiales sie kiedys, dlaczego oni nas tak nienawidza? Ci komunisci?

Dlaczego nie moga zostawic nas w spokoju? Swiat z hukiem wyleci w powietrze, a ja nawet nie wiem dlaczego.

-Nie wyleci.

-Wlasnie, ze tak. Pisha o tym w gazetach i...

-To nie czytaj gazet.

Teddy splukal szampon z wlosow. Dolores przycisnela twarz do jego plecow, oplotla brzuch ramionami.

-Pamietam ten pierwszy raz, kiedy cie ujrzalam w Cocoanut Grove. W mundurze.

Teddy nie cierpial tych jej wedrowek po sciezkach pamieci. Nie potrafila pogodzic sie z tym, jacy byli teraz - sterani zyciem, juz nie "piekni dwudziestoletni" - wiec wyprawiala sie w przeszlosc, zeby ogrzac sie w cieple wspomnien.

-Taki byles przystojny. Linda Cox powiedziala: "Ja wypatrzylam go pierwsza".

A wiesz, co ja na to?

-Jestem spozniony, kotku.

-Ciekawe, dlaczego to powiedzialam? Powiedzialam jej: "Moze i wypatrzylas go pierwsza, Lindo, ale ja bede patrzec na niego ostatnia". Uwazala, ze z bliska wygladasz groznie, ale ja odparlam: "A zajrzalas mu w oczy, zlotko? Nie ma w nich nic groznego".

Teddy zakrecil prysznic i odwrocil sie. Zobaczyl, ze Dolores ma na sobie slady mydla. Smugi piany przyglgnely do jej nagiego ciala.

-Odkrecic ci wode?

Potrzasnela glowa.

Owinal sie w pasie recznikiem i zaczal sie golic przy umywalce. Dolores oparla sie o sciane i przygladala mu sie, a biale smugi mydla zasychaly na jej ciele.

-Nie chcesz sie wysuszyc? - spytal. - Wlozyc czegos na siebie?

-Juz go nie ma - powiedziala.

-Jak to nie ma? Wyglada, jakby przyssaly sie do ciebie biale pijawki.

-Nie chodzi mi o mydlo - odparla.

-A o co?

-Cocoanut Grove. Spalilo sie doszczetnie, kiedy walczyles za morzem.

-Tak, skarbie. Slyszałem o tym. - "Za morzem - zanucila, probujac rozpedzic ciemne chmury, jakie sie nad nimi zbieraly. - Za morzem...".

Zawsze miala cudowny glos. Tej nocy, kiedy dla uczczenia jego powrotu z wojny zaszaleti i wynajeli sobie pokoj w Parker House, kiedy juz sie soba nasycili, a ona poszla wziac kapiel, sluchal jej spiewu dochodzacego z lazienki - spiewala wtedy Buffalo Girls, a spod drzwi buchaly kleby pary.

-Hej! - zawolala nagle.

-Slucham? - Dojrzal w lustrze odbicie lewej polowy jej ciala. Mydlo zdazylo na niej zaschnac i te biale strzepki dziwnie go draznily. Nie wiedziec dlaczego, odnosil wrazenie, ze zadawaly jej gwalt.

-Masz kogos na boku? - Co?

-Masz?

-Co ty bredzisz, do cholery? Ja pracuje, Dolores.

-Dotykam twojego kutasa...

-Tylko bez takich wyrazow. Jezu Chryste. - ...pod prysznicem i nawet ci nie staje?

-Dolores - powiedzial, odwracajac sie od lustra. - Rozmawialismy o bombach.

O koncu swiata.

Wzruszyla ramionami na znak, ze to nie ma zadnego zwiazku z obecnym tematem.

Przytknela stope do sciany i palcem starla wode splywajaca jej po udzie.

-Przestales mnie pieprzyc.

-Dolores, ja nie zartuje - nie zycze sobie takiego slownictwa pod tym dachem.

-Doszlam do wniosku, ze pieprzysz inna.

-Nikogo nie pieprze i prosze nie powtarzaj w kolko tego slowa.

-Ktorego? - Polozyła reke na kepie ciemnych wlosow porastajacej jej lono. - Pieprzyc?

-Tak. - Uniosl jedna reke, a druga zaczal sie dalej golic.

-To brzydkie slowo?

-Przeciez wiesz. - Zeskrobywal brzytwa zarost z podbrodka, slychac bylo, jak ostrze trze o powierzchnie skory przez warstwe piany.

-A jakie jest ladne slowo?

-He? - Oplukal brzytwe i otrzasnal ja.

-Jak moze mowic o moim cielem, zebys nie zacisnal przy tym odruchowo piesci?

-Nie zacisnałem piesci.

-Ależ tak.

Skonczyl golic podbrodek, wytarl brzytwe o reczniczek. Przylozyl ja plasko do policzka ponizej lewego baczka.

-Nic podobnego, skarbie. Nie zacisnałem piesci. - Ujrzał w lusterku jej lewe oko.

-Jakiego okreslenia powinienam uzyc? - Jedna reka przeczesywala wlosy na glowie, a druga ponizej pasa. - To znaczy, ze mozna ja lizac, mozna ja calowac i mozna ja pieprzyc. Mozna patrzec, jak wychodzi z niej dziecko. Ale nie mozna wypowiedac jej nazwy?

-Dolores.

-Pizda.

Ostrze wrazilo sie tak gleboko w policzek, ze jak podejrzewal, doszlo pewnie az do kosci szczeki. Zapiekla go cala lewa strona twarzy, a kiedy do rany przedostal sie krem do golenia, wiązki promieniujacego bolu o malo nie rozsadzily mu czaszki. Do umywalki skapywala krew, mieszajac sie z bialymi klebkami piany i z woda.

Podeszla do niego z recznikiem, ale on ja odepchnal i wciagnal powietrze przez zacisniete zebry. Czul, jak bol przeszywa mu oczy, wdziera sie w mozg. Stal przy umywalce, krwawiac, i mial ochote sie rozplakac. Nie z powodu bolu. Nie z powodu przepicia. Ale dlatego ze nie wiedzial, co dzieje sie z jego zona, dziewczyna, ktora po raz pierwszy poprosil do tanca w Cocoanut Grove. Zmieniala sie na jego oczach, a on nie mial pojecia,

jak to sie skonczy, podobnie jak nie wiedzial, dokad zmierzal ten swiat z toczacymi go niczym rak malymi, brudnymi wojnami, obledna nienawiscia i nagonka na szpiegow w Waszyngtonie, w Hollywood, z maskami przeciwigazowymi rozdawanymi uczniom, betonowymi schronami w piwnicach. I wszystko bylo jakos ze soba powiazane - jego zona, ten swiat, jego pijanstwo, wojna, w ktorej bral udzial, gdyz szczerze wierzył, ze polozy kres temu calemu dranstwu...

Stal przy umywalce, krwawiac, a Dolores powtarzala:

-Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Wzial od niej recznik, kiedy podala mu po raz drugi, ale nie mogl sie zmusic, zeby jej dotknac, zeby na nia spojrzec. Poznal po glosie, ze placze, na pewno byla cala we lzach, a on przeklinal to popieprzone i obrzydliwe miejsce, w jakie zamienil sie swiat, nie oszczedzajac nikogo i niczego.

Gazety zamiescily jego wypowiedz, w ktorej jakoby twierdzil, ze pozegnal sie z zona slowami: "Kocham cie".

Klamstwo.

Jak naprawde brzmialy jego ostatnie slowa skierowane do niej?

Z jedna reka na klamce, z druga przyciskajaca trzeci juz recznik do szczeki, czujac na sobie badawczy wzrok Dolores, oswiadczył:

-Do diabla, Dolores, musisz wziac sie w garsc. Masz obowiazki. Pomysl o nich czasami - dobrze? - i poukladaj sobie wszystko w tej pieprzonej lepetynie jak nalezy.

To byly ostatnie slowa, jakie Dolores uslyszala z jego ust. Zamknal za soba drzwi i zszedl na dol, zatrzymujac sie na ostatnim stopniu schodow. Przez chwile chcial zawrocic. Naszla go mysl, zeby wrocic do Dolores i wszystko naprawic. A jesli nie naprawic, to chociaz zalagodzic.

Zalagodzic. Tak by bylo milo.

Pod oslona dachu szla w ich strone, czlapiac i kolyszac biodrami, kobieta z czerwona krecha na szyi, z kajdanami na rekach i na nogach, pod straza dwoch poslugaczy.

Wygladala na wesola, kwakala i probowala machac lokciami.

-A ta co przeskrobala? - spytal Chuck.

-Ona? - odparl jeden z poslugaczy. - To stara Maggie. Maggie "Masz babo placek", jak ja przechrzcilismy. Prowadzimy ja na hydroterapię. Ale z nia nigdy nic nie wiadomo.

Maggie stanęła przed nimi, posługacze niemrawo próbowali zmusić ją, żeby ruszyła, ale kobieta zaparła się łokciami, wbiła obcas w chodnik i jeden z jej opiekunów przewrócił oczami i westchnął ciężko.

-Oho, zaraz się zacznie kazanie. Słuchajcie.

Maggie zadarła głowę i przekrzywiając ją w bok, wpatrywała się w Chucka i Teddy'ego; przypominała zółwia, który wysciubił nos ze skorupy.

-Ja jestem droga - oświadczyła. - Ja jestem światłością. I nie będę wam piec tych pieprzonych placków. Nie będę. Dotarło?

-Jasne - odparł Chuck.

-Oczywiście - powiedział Teddy. - Żadnych placków.

-Byles tutaj i tutaj pozostaniesz. - Maggie wciągnęła powietrze przez nos. - To twoja przeszłość i twoja przyszłość, które następują po sobie jak pory roku w odwiecznym cyklu.

-Tak, proszę pani.

Nachyliła się i obwachała ich, najpierw Teddy'ego, potem Chucka.

-Oni strzegą tajemnic. Tym żywi się to piekło.

-Tym... no i plackami - odparł Chuck.

Kobieta uśmiechnęła się do niego i przez chwilę wydawało się, że w jej ciału wślizgnął się ktoś poczytalny i mignął przez zrenice. - Śmieć się - powiedziała do Chucka. - Śmiech jest lekarstwem duszy.

-Oczywiście, proszę pani. Będę się dużo śmiać.

Dotknęła jego nosa zgiętym palcem.

-Takiego chce cię zapamiętać - rozesmianego.

Odwrociła się i ruszyła powoli przed siebie. Posługacze dotrzymywali jej kroku, cała trójka oddaliła się od nich i weszła przez boczne drzwi do szpitala.

-Wesoła dziewczyna - rzekł Chuck.

-W sam raz, żeby przyprowadzić ją do domu i pokazać mamie.

-A potem zarznelaby mamę i pochowała w szopce, ale i tak... - Chuck zapalił papierosa. - Co z tym Laeddisem?

-Zabil mi zone.

-To juz wiem. Jak to sie stalo?

-Facet byl piromanem.

-To tez juz wiem.

-Byl zatrudniony jako konserwator w naszym domu. Poklocil sie z wlascicielem, a ten go wylal. Wiadomo bylo, ze pozar nastapil w wyniku podpalenia. Ktos musial podlozyc ogien. Laeddis znalazl sie na liscie podejrzanych. Sporo czasu minelo, nim go odszukali, ale on zdazyl sobie przygotowac alibi. Cholera, wcale nie mialem pewnosci, ze to jego sprawka.

-Co cie przekonalo?

-Rok temu otwieram gazete i patrze: znowu on. Spalil szkole, w ktorej pracowal.

Ten sam scenariusz - wywalili go, a on wrocil, nabuzowal w piecu i ustawil bojler tak, zeby wybuchl. Ten sam modus operandi. Identyczny. W szkole nie bylo dzieci, ale dyrektorka zostala po godzinach, zeby popracowac. Zginela na miejscu. Laeddis stanal przed sadem, ale opowiadal, ze slyszy glosy i tym podobne bujdy. Zostal zamkniety w zakladzie dla umyslowo chorych w Shattuck. Szesc miesiecy temu cos tam sie wydarzylo - nie wiem co - i zostal przeniesiony tutaj.

-Ale zaden pacjent go nie widzial.

-Pytalismy na razie pacjentow z oddzialow A i B.

-Wynikaloby stad, ze Laeddis przebywa na oddziale C.

-Wlasnie.

-Albo nie zyje.

-Mozliwe. Jeszcze jeden powod, zeby wybrac sie na poszukiwania cmentarza.

-Ale zalozmy, ze nie umarl.

-Dobrze.

-Co masz zamiar zrobic, jesli go znajdziesz, Teddy?

-Nie wiem.

-Nie wciskaj mi kitu, szefie.

Nadchodziły dwie pielęgniarki, stukając obcasami, trzymając się blisko ściany, żeby nie dosięgnął ich deszcz.

-Ale jesteście mokrzy - odezwała się jedna z nich.

-Cali mokrzy? - odparł Chuck i ta bliżej ściany, drobna dziewczyna z krótkimi czarnymi włosami, rozesmiała się.

Kiedy ich minęły, czarnowłosa pielęgniarka spojrzała przez ramię do tyłu.

-Wy zawsze tacy frywolni na służbie?

-To zależy - powiedział Chuck.

-Od czego?

-Z kim mamy do czynienia.

To ją na chwilę zatrzymało, a kiedy się polapały, czarnowłosa pielęgniarka wtuliła twarz w ramię koleżanki, obie wybuchnęły śmiechem i ruszyły w stronę szpitala.

Boże, jak on zazdrościł Chuckowi. Przekonania, z jakim się wypowiadał. Wdawał się w płochę flirty. Przerzucał się blahymi słowkami z upodobaniem godnym młodego żołnierza, który czuje, że świat należy do niego. Ale nade wszystko zazdrościł mu tego niewymuszonego wdzięku.

Teddy nigdy nie potrafił przywołać swego osobistego uroku na zawołanie. Po wojnie przychodziło mu to jeszcze trudniej. A po śmierci Dolores wyzbył się go całkowicie.

Wdzięk był zbytkiem, na który pozwolić sobie mogli tylko ci, co wierzyli w moralny ład. W czystość i w palisady.

-Wiesz - zwrócił się do Chucka - tego ranka, kiedy ostatni raz widziałem moją żonę żywą, wspominała o pożarze Coconut Grove.

-Tak?

-Tam się poznaliśmy. W tym klubie. Ona przyszła ze współlokatorką, dziewczyna z bogatego domu, a ja się dostałem, bo dla żołnierzy były zniżki. Zaraz potem przerwali nas do Europy. Przetanczyłem z nią całą noc. Nawet fokstrota wtedy tanczyliśmy.

Chuck wykreślił szyję i spojrzał Teddy'emu w twarz.

-Fokstrota? Jakos nie mogę sobie ciebie wyobrazić...

-Chłopie - odparł Teddy - trzeba było widzieć moją żonę tego wieczoru. Sam kicalbys po

parkiecie jak krolik, gdyby sobie zazyczyla.

-Wiec poznaliscie sie w Cocoanut Grove.

Teddy skinal glowa.

-A potem klub sie spalil. Kiedy to bylo? Walczylismy chyba wtedy we Wloszech, tak, we Wloszech, a jej ten pozar wydal sie w jakis sposob znaczacy, tak przypuszczam.

Ogien ja przerazal.

-I zginela w plomieniach - powiedzial cicho Chuck.

-Nie ma chyba nic gorszego. - Teddy zacisnal zeby na wspomnienie zony tamtego ranka, nagiej, z noga oparta o sciane, z zaschnietymi smugami bialej piany na ciele.

-Teddy?

Spojrzal na Chucka.

-Mozesz na mnie liczyc - oswiadczył Chuck, rozkladajac rece. - Obojetne, co by sie dzialo. Chcesz dopasc Laeddisa i wykonczyc go? Klawo.

-Klawo. - Teddy sie usmiechnal. - Nie wiem, kiedy ostatni raz slyszalem...

-Ale jest jeden warunek, szefie. Musze wiedziec, czego sie spodziewac. Powaznie.

Albo bedziemy grali ze soba w otwarte karty, albo wyladujemy na jakims nowym przesluchaniu przed komisja Kefauvera.

[Amerykanski polityk, senator w latach 1949-1963. W latach 1950-1951 prowadzil mocno naglosniona w srodkach masowego przekazu batalie przeciwko przestepczosci zorganizowanej.] W tych czasach kazdy jest na widoku. Wszyscy patrza sobie nawzajem na rece. Z kazda minuta swiat robi sie coraz mniejszy. - Chuck przygladzil do tylu sterczaca mu na glowie gesta czupryne. - Mysle, ze to miejsce jest ci znane.

Mysle, ze cos przede mna ukrywasz. Mysle, ze przyjechales tu rozprawic sie z kim trzeba.

Teddy przytknal reke do piersi.

-Ja nie zartuje, szefie.

-Jestesmy mokrzy - powiedzial Teddy. - I co z tego?

-Stwierdzam tylko fakt. Masz ochote jeszcze bardziej zmoknac?

Wyszli przez brame i skierowali kroki na plaże. Wszystko zasnuwały strugi deszczu.

Fale wielkości domów rozbijały się o przybrzeżne skały. Wypietrzały się wysoko i rozpryskiwały, ustępując miejsca nowym.

-Nie chce go zabić - powiedział Teddy, przekrzykując ryk morza.

-Czyżby?

-Naprawdę.

-Trudno mi w to uwierzyć.

W odpowiedzi Teddy wzruszył tylko ramionami.

-Gdyby to była moja żona - mówił Chuck - ukatrupiłbym go bez zmruczenia oka.

-Mam dość zabijania - odparł Teddy. - Ilu zginęło na wojnie z mojej ręki?

Straciłem rachubę. Jak to możliwe, Chuck? Ale naprawdę nie mogę się doliczyć.

-Mimo wszystko. Chodzi o twoją żonę, Teddy.

Natknęli się na rumowisko czarnych skał o ostrych zrebach, wznoszące się z plaży w kierunku drzew, i wspieali się po nim, kierując się w głąb wyspy.

-Posłuchaj - oświadczył Teddy, kiedy dotarli do niewielkiego płaskowyzu otoczonego wysokimi drzewami, które zapewniały przynajmniej częściową osłonę przed deszczem. - Nadal na pierwszym miejscu stawiam pracę. Ustalimy, co się stało z Rachel Solando. A jeśli przy tym trafie na Laeddisa? Świetnie. Wygarne mu prosto w twarz, że zabił moją żonę. Zapowiem mu, że będzie czekał, aż go wypuszcza. Dam mu jasno do zrozumienia, że nie dane mu będzie długo cieszyć się wolnością, póki ja żyję.

-I to wszystko? - spytał Chuck.

-Tak.

Chuck otarł oczy rekawem, odgarnął włosy z czoła.

-Nie wierze ci. Po prostu ci nie wierze.

Teddy przeniósł wzrok w dal, na szczyt budynku szpitala rysującego się ponad linia drzew, jego okna dachowe przypominające oczy.

-Nie przyszło ci do głowy, że Cawley wie, co naprawdę cie tu sprowadziło?

-Naprawde jestem tu w sprawie Rachel Solando.

-Do jasnej cholery, Teddy, jesli facet, ktory ma na sumieniu smierc twojej zony, zostal zamkniety w tym zakladzie, to...

-Nie za to stanal przed sadem. Nic go nie laczy z moja osoba. Nic.

Chuck przysiadl na kamieniu wystajacym z ziemi, pochylil glowe przed deszczem.

-No to kierunek cmentarz. Rozejrzyjmy sie po okolicy, skoro juz tu jestesmy. Moze uda nam sie go odnalezc. Zobaczmy nagrobek z nazwiskiem "Laeddis", jedno zmartwienie z glowy.

-W porzadku - odparl Teddy, wpatrujac sie w przepastna czern otaczajacego ich pierscienia drzew.

-A przy okazji, co ona ci powiedziala? - zapytal Chuck, wstajac.

-Kto?

-Ta pacjentka. - Strzelil palcami. - Bridget. Wyslala mnie po wode. Powiedziala ci cos w tym czasie, wiem.

-Nie.

-Klamiesz. Wiem, ze...

-Napisala mi cos - wyjasnil Teddy, klepiac sie po kieszeniach plaszczu. W koncu znalazl notatnik w wewnetrznej kieszeni i zaczal przerzucac strony.

Chuck gwizdal i cwiczyl na podmoklym gruncie krok defiladowy, podrzucajac do gory sztywne w kolanach nogi.

-Adolf, wystarczy juz - powiedzial Teddy, kiedy znalazl wlasciwa strone.

-Masz to? - spytal Chuck, podchodzac.

Teddy skinal glowa, obrocil notatnik, zeby pokazac Chuckowi strone, na ktorej widnialo jedno slowo, napisane scisnietymi literami, juz rozmywajacymi sie na papierze od deszczu: uciekaj

9

Natrafili na kamienie kilometr dalej w glebi wyspy, a niebo nad ich glowami gnalo na oslep w ciemnosc pod zwalami chmur o gladkich ciemnopurpurowych spodach. Wspieli sie na szczyt wzgorza rozmoklym stokiem, porosnietym prosta, wiotka trawa morska, sliska od deszczu. Od mozolnego wdrapywania sie byli cali oblepieni blotem.

Ponizej rozciągało się pole, płaskie jak dolna warstwa chmur, gołe, jeśli nie liczyć jednego czy dwóch krzaków, nasiakniętych liści ciskanych przez nawałnice i mnóstwa kamieni. Teddy początkowo odniósł wrażenie, że trafiły tu niesione wicherem wraz z liśćmi. Ale w połowie drogi w dół zbocza zatrzymał się i przyjrzał im się uważnie.

Usypane były w małe, schludne stosy, rozrzucone po polu w odstępach mniej więcej piętnastu centymetrów. Teddy położył Chuckowi dłoń na ramieniu i wskazał je reka.

-Policz, ile tam jest stosów.

-Co takiego?

-Widzisz te kamienie? - spytał Teddy. - Tak.

-Usypane są w oddzielne stosy. Policz je.

Chuck spojrzał na niego tak, jakby rozum Teddy'ego ucierpiał wskutek sztormu.

-To zwykle kamienie.

-Mówię poważnie.

Chuck patrzył na niego tym wzrokiem jeszcze przez chwilę, potem skupił uwagę na polu.

-Doliczyłem się dziesięciu - oznajmił po minucie.

-Ja też.

Ziemia osunęła się pod nogą Chucka i ten poslizgnął się, zamachnął się do tyłu reka, a Teddy chwycił ją i trzymał, dopóki jego partner nie odzyskał równowagi.

-Mozemy wreszcie zejść? - spytał Chuck i spojrzał na Teddy'ego z miną wyrażającą zniecierpliwienie.

Gdy dobrnęli do skraju zbocza, Teddy poszedł przyjrzeć się kamieniom z bliska.

Stosy ułożone były w dwóch rzędach i znacznie różniły się pod względem wielkości.

Kilka składało się z trzech, czterech kamieni, podczas gdy inne usypane były z dziesięciu, a może nawet dwudziestu.

Teddy przeszedł między rzędami kamieni, stanął i odwrócił się do Chucka. - Złe policzyliśmy - powiedział.

-Jak to?

-Spojrz między tymi dwoma kupkami. - Teddy zaczekał, aż jego partner podejdzie, i teraz obaj z Chuckiem patrzyli na wskazane miejsce. - Tutaj jest pojedynczy kamień.

Ale liczy się jako oddzielny stos.

-Przy takiej wichurze? Nie. Musiał osunąć się z sąsiedniego.

-Leży w równej odległości od innych stosów, piętnaście centymetrów na lewo od tego, piętnaście centymetrów na prawo od tamtego. W drugim rzędzie takie samo zjawisko występuje dwa razy. Pojedyncze kamienie.

-Czyli?

-Czyli w sumie jest trzynaście stosów, Chuck.

-Myślisz, że to Rachel się za tym kryje? Jak babcię kocham, ty naprawdę tak uważasz.

-Ktoś musiał ułożyć te kamienie.

-Kolejna zaszyfrowana wiadomość.

Teddy przykucnął przy kamieniach. Nasunął na głowę płaszcz i rozchylił jego polę, aby uchronić przed zalaniem trzymanym między nogami notatnik. Posuwał się w przysiadzie bokiem niczym krab, przystawał przed każdym stosem i zapisywał liczby składających się na niego kamieni. Na koniec otrzymał ciąg trzynastu liczb: 18-1-4-9-54-23-1-12-4-19-14-5.

-To pewnie kombinacja otwierająca największą kłódkę świata - oświadczył Chuck.

Tedy zamknął notatnik i schował go do kieszeni.

-Niezły dowcip.

-Dziękuję, dziękuję - odparł Chuck. - Zapraszam na swoje występy w Pikutkowie Gornym, co wieczór. Obiecuję, że przyjdiesz.

Teddy schował płaszcz z głowy i wstał. Znowu chłostała go po głowie ulewa i wicher odzyskał głos.

Skierowali się na północ, po prawej ręce rozciągały się urwiska, a po lewej ginał gdzieś w odmęcie nawałnicy i deszczu kompleks szpitalny. W ciągu ostatnich trzydziestu minut sztorm się nasilił. Szli tuż obok siebie, żeby słyszeć, co drugi mówi, i zataczali się jak para pijaków.

-Cawley pytał cie, czy służyłeś w wywiadzie. Okłamałeś go?

-I tak, i nie - odparł Teddy. - Do cywila przeszedłem jako zwykły żołnierz.

-A gdzie trafiles na poczatku?

-Po szkoleniu zasadniczym wyslali mnie do szkoly radiotelegrafistow.

-A potem?

-Odbylem przyspieszony kurs w Akademii Wojennej i w koncu faktycznie dostalem przydzial do wywiadu.

-Wiec jakim cudem wyladowales w armii?

-Bo spieprzylem sprawe. - Teddy wykrzyczal to na wietrze. - Zle rozszyfrowalem wspolrzedne pozycji wroga.

-Straty byly powazne?

Teddy'ego wciaz przesladowal ten jazgot niesiony przez fale radiowe. Wrzaski, szum zaklocen, placz, szum zaklocen, warkot karabinu maszynowego, a po nim znow wrzaski i placz, i szum zaklocen. I chlopiecy glos na tle tego zgiełku, pytajacy: "Widzieliscie, gdzie sie podziala reszta mojego ciala?".

-Padla polowa batalionu - odparl Teddy podniesionym glosem. - Podalem ich szkopom jak na tacy.

Przez dluga chwile slychac bylo jedynie swist wichury, a potem Chuck zawolal:

-To straszne. Wspolczuje ci.

Wspieli sie na pagorek i wichura o malo ich nie zdmuchnela z wierzcholka, ale Teddy mocno sciskal lokiec Chucka i parli przed siebie ze spuszczoneymi glowami. W ten sposob posuwali sie naprzod, zgieci niemal wpol, i z poczatku wcale nie dostrzegli nagrobkow. Brneli niemal na oslep, gdyz deszcz zalewal im oczy, az Teddy rabnal o kamienna plyte, ktora odchytila sie do tyłu i wyrwana przez wiatr ze swego mocowania upadla plasko na ziemie.

Jacob Plugh Oficer pokladowy Bosuna

1832-1858

Po ich lewej rece nagle zlamalo sie drzewo, z trzaskiem, ktory przywodzil na mysl ostrze siekiery rozdzierajace blaszany dach, i Chuck krzyknal: "Jezu Chryste", a wiatr natychmiast porwal kawalki drzewa, ktore przemknely tuż przed ich oczami. Weszli na teren cmentarza, oslaniajac rekami twarze, a ziemia i miotane przez wiatr liscie i szczatki drzew sprawialy wrazenie ozywionych i naelektryzowanych. Kilka razy sie przewrocili, a Teddy w pewnej chwili zauwazyl majaczacy z przodu szary, przysadzisty ksztalt. Zaczal pokazywac w jego kierunku i krzyczec, lecz wichura zupełnie go zagluszala. Cos ciezkiego smignelo obok jego

glowy, musnelo wlosy.

Zerwali sie do biegu, wiatr szarpal ich za nogi, a ziemia wokolo jakby podnosila sie i napierala na kolana.

Grobowiec. Drzwi byly stalowe, z popekanymi zawiasami; w fundamentach zagniezdzily sie juz chwasty. Teddy przyciagnal drzwi do siebie i uderzyl w niego wsciekly podmuch, zepchnal go na lewo razem z drzwiami. Teddy runal na ziemie, a drzwi uniosly sie, odczepione od urwanego dolnego zawiasu, zapiszczaly i gruchnely o sciane. Teddy poslizgnal sie na blocie, dzwignal sie na nogi, a wtedy wiatr grzmotnal go w ramiona. Teddy upadl na jedno kolano, ujrzal przed soba ziejacy otwor, rzucil sie szczupakiem przez breje i wczolgal sie do srodka.

-Widziales kiedys cos takiego? - odezwal sie Chuck, kiedy staneli naprzeciw wejscia i ogladali targana rozszalalymi zywiolami wyspe. Wiatr zgestnial od blota, lisci, galezi i kamykow, i siekacego bezlitosnie deszczu; wyl przerazliwie niczym stado odyncow i kasal ziemie.

-Nigdy - odparl Teddy i odsunal sie w glab grobowca.

Chuck znalazl suche pudelko zapalek w wewnetrznej kieszeni plaszcza, zapalil trzy naraz, probujac odgrodzic wiatr wlasnym cialem. Ujrzeli betonowa konstrukcje posrodku pomieszczenia, pusta, ani sladu trumny czy nieboszczyka, jakby po pochowku zostal stad usuniety lub wykradziony. W sciane po jej przeciwnej stronie wmurowano kamienna lawe, podeszli do niej, kiedy zapalki sie wypalily. Usiedli, a wokol wejscia nadal hulal wiatr i walil drzwiami o sciane.

-Ma to swoisty urok, co? - powiedzial Chuck. - Rozhukana przyroda, kolor tego nieba... Widziales, jak ta plyta fiknela kozla?

-Co prawda, potracilem ja, ale i tak to bylo niesamowite.

-O rany. - Chuck wyciskal nogawki spodni, az pod stopami zebrala sie kaluza.

Odcignal przemoczona koszule od piersi. - Nie trzeba bylo tak sie oddalac od bazy. Ale moze jakos tutaj przeczekamy sztorm.

Teddy skinal glowa.

-Nie znam sie na huraganach, ale cos mi mowi, ze to dopiero rozgrzewka.

-Oby tylko nie zmienil kierunku, bo caly ten cmentarz wleci nam do srodka.

-Mimo to wole byc tu niz na zewnatrz.

-Jasne, ale kto sie pcha tak wysoko podczas huraganu? Chyba nam odbilo, cholera.

-Na to wyglada.

-Wszystko zmienilo sie tak nagle. W jednej sekundzie po prostu leje, a w nastepnej porywa nas jak Dorotke do Krainy Oz.

-To bylo tornado.

-Gdzie?

-U Dorotki w Kansas.

-Aha.

Wycie wichru osiagalo coraz wyzsze rejestry. Teddy wyczuwal jego napor na gruby kamienny mur, o ktory sie opieral. Huragan grzmocil w sciane jak piesciami, wprawiajac ja w drobne drgania, ktore rozchodzily sie po plecach Teddy'ego.

-To dopiero rozgrzewka - powtorzyl.

-Jak myslisz, co teraz robia swiry?

-Pewnie wyja, zeby zagluszyc wicher.

Przez chwile siedzieli w milczeniu i palili papierosy. Teddy'emu przypomnial sie tamten dzien spedzony z ojcem na lodzi, kiedy po raz pierwszy uswiadomil sobie potege natury i jej obojetnosc na jego los. Wyobrazil sobie wicher z glowa jastrzebia i zakrzywionym dziobem, przelatujacy nad grobowcem z przerazliwym skrzeczeniem.

Rozwscieczony stwor obracajacy fale w wieze, rozdzierajacy domy na zapalki, ktory moglby Teddy'ego uniesc z ziemi i cisnac az do Chin.

W czterdziestym drugim sluzylem w Afryce Polnocnej - powiedzial Chuck. - Przezyłem pare burz piaskowych. Nie umywaja sie do tego tutaj. Ale przeciez czlowiek zapomina. Moze byly rownie straszne.

-Ja jakos to znosze - oswiadczył Teddy. - Ma sie rozumiec, nie wyszedlbym na przechadzke przy takiej pogodzie, ale i tak lepsze to niz zimno. Jezuu, w Ardenach oddech zamarzal, kiedy wypuszczalo sie powietrze. Do dzis jeszcze to czuje. Palce mialem tak zmrozone, ze mialem wrazenie, jakby plonely. I co ty na to?

-W Afryce wykanczal nas upal. Faceci padali z goraca. Dostawali od tego zawalu serca. Stoja, stoja i nagle ryms na ziemie. Strzelilem do szkopa, a on mial cialo tak rozmiękle od upalu, ze odwrocil sie i patrzyl, jak kula wylatuje mu z drugiej strony. - Chuck stukal palcem w lawe. - Patrzyl, jak wylatuje - powtorzyl cicho. - Klne sie na Boga.

-Jedyny, jakiego zabiłeś?

-Z bliska. A ty?

-Ze mną było inaczej. Wielu położyłem trupem, przeważnie umierali na moich oczach. - Teddy przytknął głowę do ściany, wbił wzrok w sufit. - Gdybym miał syna, nie wiem, czy puściłbym go na wojnę. Nawet na taką jak tamta, gdzie nie dano nam wyboru.

Moim zdaniem nie powinno się tego zadac od nikogo.

-Czego? - Żeby zabijał.

Chuck podciągnął kolano pod brodę.

-Rodzice, dziewczyna, przyjaciele, którzy nie zostali powołani z powodu stanu zdrowia, wszyscy mnie pytają, wiesz?

-Tak.

-Jak tam było? Chciał koniecznie to usłyszeć. A ty masz ochotę odpowiedzieć: "Nie wiem, jak tam było. To przydarzyło się komuś innemu. Ja tylko przyglądałem się z góry". - Rozłożył ręce. - Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć. Zabrzmiało to choć trochę zrozumiale?

-Kiedy wkroczyliśmy do Dachau, wszyscy esesmani pilnujący więźniów się poddali. W sumie pięciuset. Byli z nami dziennikarze, ale widzieli te stosy ciał na stacji kolejowej. Czuli ten odor. Choć patrzyli na nas bez słowa, wiedzieliśmy, że chcą tego samego co my. A nas aż swierzbily ręce. Rozwaliliśmy tych pieprzonych szkopów.

Rozbroiliśmy ich, postawiliśmy pod ścianą i rozstrzelaliśmy. Raz załatwiliśmy z karabinów maszynowych ponad trzystu strażników. Dobilśmy dogorywających z pistoletów. Zbrodnia wojenna? A jakże! Ale, Chuck, żalowałismy, że tylko tyle mogliśmy zrobić. Kurwa, dziennikarze bili nam brawo. Więźniowie na ten widok płakali ze szczęścia. Oddaliśmy im kilkunastu esesmanów. Rozszarpali ich na kawałki gołymi rękami. Do końca tego dnia usunelismy z powierzchni ziemi pięćset ludzkich istnień. To było morderstwo. Nie usprawiedliwiała tego ani obrona własna, ani działania wojenne.

Lecz mimo to nikt nie miał cienia wątpliwości. Ci dranie zasługiwali na znacznie gorszy los. No dobrze - ale jak z czymś takim żyć? Jak przyznać się żonie, rodzicom, dzieciom do popełnienia takiego czynu? Rozstrzelania bezbronnych ludzi? Zabicia chłopców?

Chłopców w mundurach co prawda, ale mimo to chłopców? Sek w tym, że nie możesz im tego wyznaczyć. Nigdy by nie zrozumieli. Bo zrobiłeś to w słusznej sprawie.

A jednocześnie to, co zrobiłeś, było złe. I zawsze będzie cię dreczyć sumienie.

-Przynajmniej sprawa była słuszną - odezwał się po chwili Chuck. - Przyglądałeś się tym nieszczęśnikom, którzy wrócili z Korei? Do tej pory nie wiedzą, o co tam walczyli. Myszki powstrzymali Adolfa. Ocaliliśmy życie milionom ludzi. Prawda? To coś znaczy, Teddy.

-Tak, to coś znaczy - zgodził się Teddy. - Czasami nie trzeba innego uzasadnienia.

-Musi wystarczyć. Mam rację?

Tuż za drzwiami smignęło całe drzewo, obrocone do góry nogami, korzenie sterczały do góry niczym rogi.

-Widziałeś to drzewo?

-No. Obudzi się na środku oceanu i pomyśli: "Chwileczkę. Coś mi tu nie pasuje". - "Moje miejsce jest przecież tam". - "Tyle lat moich starań, żeby to wzgórze wyglądało jak należy, poszło na marne".

Rozesmieli się cicho w ciemności i patrzyli, jak wyspa przemyka im przed oczami niczym w delirycznym zwidzie.

-Co tak naprawdę wiadomo ci o tym zakładzie, szefie? Teddy wzruszył ramionami.

-Malo. Ale wystarczy, żeby napędzić mi stracha. - Świetnie. Tobie napędza stracha. A co w takim razie powinien czuć zwykły śmiertelnik?

-Bojaźń i trwoga? - Teddy się uśmiechnął.

-W porządku. Już cały się trzęse.

-Wiem, że prowadzi się tu eksperymenty. Mówiłem ci - radykalne rozwiązania.

Zakład finansowany jest częściowo ze środków stanowych, częściowo przez Federalne Biuro Więziennictwa, ale przede wszystkim z funduszu ustanowionego w pięćdziesiątym pierwszym przez Komisję do spraw Działalności Antyamerykańskiej.

-Niech mnie kule biją. Walka z komunizmem prowadzona z małej wysepki w Zatoce Bostońskiej. Na czym też ona polega?

-Eksperymentują na ludzkim umyśle. Tak się domyślam. Zapisują wyniki i pewnie przekazują starym kumplom Cawleya z OSS, obecnie pracującym w CIA. Nie wiem.

Słyszałeś kiedyś o fencyklidynie?

Chuck potrzaskał głową.

-A o LSD? Meskalinie?

-Dwa razy nie.

-To środki halucynogenne - wyjaśnił Teddy. - Wywołują przywidzenia.

-Rozumiem.

-Po zazyciu minimalnej dawki nawet u ludzi zupełnie zdrowych na umyśle - jak ty czy ja - wystąpiłyby omamy wzrokowe.

-Widzielibyśmy wywrócone do góry nogami drzewo przelatujące za drzwiami?

-A... jest pewien haczyk. Skoro obaj widzimy to samo, to nie jest halucynacja.

Każdy ma inne przywidzenia. Powiedzmy, że patrzysz, a ręce zmieniły ci się w jadowite węże, które podnoszą się, otwierają pyski, żeby odgryźć ci głowę?

-To byłby cholernie zły dzień.

-Albo krople deszczu stawałyby w płomieniach? Krzak przemienił się w szarżującego tygrysa?

-Fatalnie. Nie powinienem tego dnia w ogóle wstawac z łóżka. Hej, twierdzisz, że pod wpływem takiego leku mogłbym brać te zwiady za coś realnego?

-Nie "mogłbys". Brałbys. Przy odpowiedniej dawce zacząłbys mieć halucynacje jak amen w pacierzu.

-To dopiero leki.

-Właśnie. A gdyby podawać je w dużych ilościach? Skutek podobno jest identyczny z objawami ciężkiej schizofrenii. Ten gość... jak mu było na imię? Ken, ze swoimi zimnymi stopami... On w to wierzy. Leonora Grant nie widziała ciebie, tylko Douglasa Fairbanka.

-Charlie Chaplina też. Nie zapominaj, przyjacielu.

-Wcieliłbym się w niego, ale nie wiem, jaki ma głos.

-Nieźle, szefie. Chyba razem wystąpimy w Pikutkowie Górnym.

-Są udokumentowane przypadki schizofreników, którzy zdzierali sobie twarz, bo byli przekonani, że ich ręce się zbuntowały,abrały własnego życia. Schizofrenicy widzą nieistniejące rzeczy, słyszą głosy dla innych niesłyszalne, skaczą z solidnych dachów, bo myślą, że budynek się pali, i tak dalej. Środki halucynogenne wywołują podobne urojenia.

-Skąd u ciebie ta erudycja? - spytał Chuck, wskazując na niego oskarżycielsko palcem.

-Nie bede ukrywal, ze sporo na ten temat czytalem - odparl Teddy. - Jak myslisz, Chuck? Co by sie stalo, gdyby podano srodki halucynogenne osobom cierpiacym na ostra schizofrenie?

-Takich rzeczy sie nie robi.

-Robi sie, i to w majestacie prawa. Schizofrenia dotyka wylacznie ludzi. Nie przytrafia sie szczurom, krolikom ani krowom. Wiec jak wyprobowac skutecznosc antidotum?

-Na ludziach.

-Nalezy ci sie cygaro w nagrode.

-Cygaro, ktore jest tylko i wylacznie cygarem, tak?

-Jak sobie zyczysz - skwitowal Teddy.

Chuck wstal, oparl sie rekami o betonowa plyte i wpatrywyl sie w szalejacy sztorm.

-Czyli podaja schizofrenikom srodki halucynogenne, ktore jeszcze poglebiaja ich chorobe?

-To jedna grupa doswiadczalna.

-A kto stanowi druga?

-Pacjenci, ktorzy nie sa dotknieci schizofrenia i ktorym podaje sie srodki halucynogenne, zeby zbadac reakcje ich mozgu.

-Chrzanisz.

-Sa na to dowody, stary. Wybierz sie kiedys na konferencje psychiatryczna. Ja sie wybralem.

-Powiedziales, ze to sie dzieje w majestacie prawa.

-Bo to jest zgodne z prawem - odparl Teddy. - Tak jak kiedys badania eugeniczne.

-W takim razie nic nie mozna na to poradzic.

Teddy pochylil sie ku niemu.

-Bezsprzecznie. Nie przyjechalem tu nikogo aresztowac. Na razie. Zostalem tu wyslany, zeby rozeznac sie w sytuacji. To wszystko.

-Zaraz, chwileczke. Jak to wyslany? Jasny gwint, Teddy, co to za konspiracja?

-Gleboka. - Teddy westchnal, patrzac na niego.

-Wroc - powiedzial Chuck, unoszac reke. - Jeszcze raz. Od samego poczatku. Jak sie w to wszystko wplatales?

-Zaczelo sie od Laeddisa. Rok temu - odparl Teddy. - Chcialem sie z nim rozmowic w cztery oczy, wiec wymyslilem historyjke, ze niby jego wspolnik scigany jest federalnym listem gonczym, a Laeddis moze udzielic nam informacji na temat jego miejsca pobytu. Pojechalem do Shattuck, ale tam go nie zastalem. Okazalo sie, ze zostal przeniesiony do Ashecliffe. Dzwonie tu, a oni twierdza, ze nie maja go w ewidencji.

-I co?

-Ciekawe, mowie sobie. Obdzwaniam szpitale psychiatryczne w miescie, wszyscy slyszeli o Ashecliffe, ale nikt jakos nie chce o nim rozmawiac. Pytam znajomego komendanta Renton, innego zakladu dla oblokanych przestepcow: "Bobby, o co ten caly szum? To szpital i wiezienie, niczym sie nie rozni od waszego zakladu". A on kiwa glowa i mowi: "Teddy, tamta placowka to zupełnie co innego. Prowadza w niej tajne badania. Trzymaj sie od niej z daleka".

-Jednak go nie posluchales - rzekl Chuck. - A ja zostalem tu skierowany razem z toba.

-Inaczej to sobie zaplanowalem. Ale zwierzchnik kaze mi zabrac ze soba partnera, to biore partnera.

-Zatem czekales tylko na pretekst, zeby tu sie dostac?

-Mozna tak powiedziec - przyznal Teddy. - Cholera, nie mialem nawet pewnosci, ze nadarzy sie okazja. Nawet gdyby doszlo do uciezki pacjentow, ja moglem byc akurat na wyjezdzie. Albo gdyby przydzielili to komus innemu... Do diabla, mozna by tak gdybac w nieskonczonosc. Poszczescilo mi sie.

-Poszczescilo? Takiego wala.

-Co?

-To nie szczesliwy zbieg okolicznosci. W zyciu nic sie tak nie uklada po naszej mysli. Twoim zdaniem po prostu tak sie zlozylo, ze ciebie wyznaczyl do tego zadania?

-Jasne. Brzmi to malo wiarygodnie, ale...

-Kiedy pierwszy raz dzwoniles do Ashecliffe w sprawie Laeddisa, przedstawiles sie?

-Oczywiscie.

-Wobec tego...

-To było rok temu.

-I co z tego? Myślisz, że nie prowadzi rejestrów rozmów? Zwłaszcza jeśli ktoś wypytuje ich o pacjenta, którego - jak twierdzą - nie mają w ewidencji?

-Powtarzam: minęło dwanaście miesięcy.

-Teddy, do jasnej anielenki - odparł Chuck sciszonym głosem, położył dłonie na płycie i wziął głęboki oddech. - Załóżmy, że faktycznie prowadzi tu mocno podejrzaną badania. A jeśli rozszyfrowali cię z chwilą, kiedy postawiłeś nogę na wyspie? A jeśli to oni cię tu sprowadzili?

-Bzdura.

-Bzdura? A co z Rachel Solando? Gdzie choćby okruch dowodu, że w ogóle istniała? Pokazali nam zdjęcie jakiejś kobiety, poparte historią choroby, którą każdy mógł spreparować.

-Słuchaj, Chuck. Nawet jeśli Rachel Solando to ich wymysł, nawet jeśli zainscenizowali to wszystko, nie mogli w żaden sposób przewidzieć, że wydział przydzielił tę sprawę mnie.

-Rozpytywałeś się, Teddy. Robiłeś podchody, weszyles wokół Ashecliffe. Na własne oczy widziałeś ogrodzenie pod napięciem otaczające oczyszczalnię wody.

Słyszałeś o oddziale mieszczącym się w starym fortecu. Trzymają mniej niż setkę pacjentów w zakładzie, który pomieszczyłby trzystu. To trefne miejsce jak cholera, Teddy.

W innych szpitalach nie chcą rozmawiać na jego temat i to nie daje ci do myślenia? Szef personelu medycznego ma powiązania z OSS, pieniądze płyną tu z funduszu ustanowionego przez KDA. Wszystko wskazuje na to, że to jakiś ważny rządowy projekt.

A ty jesteś zaskoczony, gdy sugeruje, że przez ostatni rok to nie ty ich, ale oni ciebie mieli na celowniku?

-Ile razy mam powtarzać, Chuck? Skąd mogli wiedzieć, że to ja zostanę przydzielony do sprawy Rachel Solando?

-Do ciężkiej cholery, naprawdę jesteś taki tępy?

Teddy wyprostował się i spojrzał na Chucka z góry.

-Przepraszam, przepraszam - powiedział Chuck, podnosząc rękę. - Jestem klebkiem nerwów.

-W porządku.

-Chce tylko zwrócić twoją uwagę na jedną rzecz: to było do przewidzenia, że nie przepuścisz takiej okazji. Do Ashecliffe trafił zbrojca twojej żony. Wystarczyło tylko upozorować ucieczkę pacjenta. Wiedzieli, że przeskoczysz przez zatokę, jeśli będzie trzeba tu się dostać.

Stalowe skrzydło drzwi urwało się z ostatniego zawiasu i zamknęło z hukiem wejście do grobowca. Przez chwilę lomotało o kamienny mur, potem wzbilo się w powietrze, pofrunęło nad cmentarzem i zniknęło im z oczu.

Wpatrywali się w wejście bez słowa, wreszcie pierwszy odezwał się Chuck:

-Ale obaj to widzieliśmy, nie?

-Traktują ludzi jak krowki doświadczalne, a ty się tym nie przejmujesz.

-Wręcz przeciwnie, Teddy. To mnie przeraża. A właściwie skąd o tym wiesz?

Twierdzisz, że zostałeś wysłany, żeby się rozeznac w sytuacji. Kto cię wysłał?

-Słyszałeś, jak Cawley pytał mnie o senatora, kiedy spotkaliśmy się z nim zaraz po przyjeździe na wyspę?

-Tak.

-Miał na myśli senatora Hurly'ego z New Hampshire, z Partii Demokratycznej.

Hurly jest szefem podkomisji badającej finansowanie ze środków budżetowych opieki nad umysłowo chorymi. Widział, jakie fundusze przekazywane są do tego zakładu, i to mu się nie podobało. Z kolei ja trafiłem na niejakiego George'a Noyce'a. Noyce przebywał jakiś czas w Ashecliffe. Na oddziale C. Został wypuszczony i dwa tygodnie później wszedł do baru w Attleboro i rzucił się na ludzi z nożem. Obcych. W więzieniu opowiadał o smokach na oddziale C. Obronca Noyce'a chce powołać się na jego niepoczytalność. W przypadku tego faceta sprawa jest oczywista. To świr. Ale Noyce zwalnia obronę, staje przed sądem i przyznaje się do winy, wręcz błaga sędziego, żeby skazał go na więzienie, każde więzienie, tylko bron Boże, nie wysłał go do wariatkowa.

Noyce siedzi w pudle mniej więcej rok i zaczyna odzyskiwać rozum i w końcu zaczyna opowiadać o tym, co się wyrabia w Ashecliffe. Wszyscy biorą jego opowieści za wytwory obłąkanego umysłu, ale senator Hurly uważa, że może wcale nie są takie niedorzeczne, jak się wydaje.

Chuck siadł na betonowej krawędzi i zapalił papierosa. Zastanawiał się przez chwilę nad słowami Teddy'ego.

-Ale jak senator wpadł na twój ślad i jak dotarliście do Noyce'a? - spytał.

Przez chwile Teddy miał wrażenie, że w szalonej kotłowni na dworze dostrzega zataczające luk światła.

-Właściwie rzecz miała się odwrotnie. To Noyce trafił do mnie, a ja odszukałem senatora. Przez Bobby'ego Farrisa, komendanta Renton. Zadzwoił do mnie kiedyś rano i zapytał, czy nadal interesuje mnie Ashecliffe. A ja na to, że jasne, więc opowiedział mi o więzniu w Dedham, który robi szum wokół Ashecliffe. Jęde do Dedham, rozmawiam z Noyce'em. Spotkałem się z nim w sumie kilka razy. Noyce mówił, że raz na studiach przed egzaminami puscili mu nerwy. Krzyczał na wykładowców, stłukł pięścią szybę w akademiku. Zaprowadzili go na rozmowę z psychologiem, a ten namowił go, żeby wziął udział w eksperymencie i zarobił trochę grosza. Rok później Noyce opuszcza mury kolegium jako schizofrenik w pełnym tego słowa znaczeniu, bredzi niestworzone rzeczy na ulicy, ma zwidy, wiruje na całego.

-Chłopak był normalny...

Teddy znow zobaczył światła rozblyskujące w nawalnicy, podszedł bliżej wyjścia, spojrzał na zewnątrz. Błyskawica? To by się zgadzało, ale przecież wcześniej nie widział ani jednej.

-Tak normalny, jak przewiduje ustawa. Nie potrafił może - jak oni to tutaj określają? - "poradzić sobie ze złością", ale był zdrow na umyśle. Rok później zupełnie mu odbija. Pewnego dnia widzi faceta w Park Square, bierze go za profesora, który skierował go do psychologa na uczelni. Tak naprawdę to Bogu ducha winny człowiek, ale Noyce mocno go poharatował. Trafia do Ashecliffe, na oddział A. Ale nie zagrzewa tam miejsca. Wykazuje już wtedy silne agresywne skłonności. Przenoszą go na oddział C.

Tam karmią go środkami halucynogennymi i przyglądają się, jak pozerają go smoki i popada w szalenstwo. Zwariował chyba bardziej, niż sobie tego życzyli, bo na koniec, żeby go uspokoić, przeprowadzają na nim operację.

-Operacje - powtórzył Chuck.

Teddy skinął głową.

-Przez oczodolową lobotomię. To sama radość, Chuck. Porazają faceta elektrowstrząsem, a potem wdierają mu się przez oko do mózgu - zgadnij czym?

Szpikulcem do lodu. Nie zartuje. Na żywcę. Gmerają mu pod czaszkę, usuwają kilka włókien nerwowych z mózgu - i już po wszystkim, sprawa załatwiona. Bulka z masłem.

-Przecież zasady norymberskie zabraniają... - ...eksperymentowania na ludziach dla celów czysto naukowych, owszem. Sam najpierw myślałem, że będzie można dobrać się do nich na tej podstawie. Nic z tego.

Eksperymenty są dopuszczalne, gdy bezpośrednio służą zwalczaniu choroby pacjenta.

Wiec jesli lekarz powie: "Hej, my tylko staramy sie pomoc temu nieszczesnikowi, chcemy sprawdzic, czy te srodki moga wywolac schizofrenie, a tamte ja powstrzymac" - w niczym nie narusza prawa.

-Zaraz, zaraz. Powiedziales, ze Noyce zostal poddany tej przez... hm...

-Przez oczodolowej lobotomii. Zgadza sie.

-Ale skoro z zalozenia ten zabieg ma uspokajac delikwenta, to jakim cudem Noyce zdolal uszkodzic faceta w Park Square?

-Widocznie nic nie dala.

-Czesto tak sie dzieje?

Teddy znow ujrzal zakreslajace luk swiatla i tym razem mial pewnosc, ze przez wycie wichru przebija sie zawodzenie silnika.

-Panowie!

Glos byl slaby, ale slyszalny.

Chuck zsunal sie z plyty po przeciwnej stronie i stanal w progu obok Teddy'ego. Na drugim koncu cmentarza widac bylo reflektory samochodu, zaraz potem rozlegl sie skrzek megafonu, po nim pisk sprzezenia zwrotnego i w koncu uslyszeli slowa:

-Panowie! Jezeli tam jestescie, dajcie znac. Tu zastepca komendanta McPherson.

Panowie!

-I co ty na to? - powiedzial Teddy. - Znalezli nas.

-Przeciez to wyspa, szefie. Zawsze nas tutaj znajda.

Teddy napotkal wzrok Chucka i skinal glowa. Po raz pierwszy, odkad go poznal, widzial w jego oczach lek, ktory staral sie stlumic w sobie, zaciskajac zeby.

-Wszystko bedzie dobrze, Chuck.

-Panowie! Jestescie tam?

-Nie jestem pewny - odparl Chuck.

-A ja tak - oswiadczył Teddy, chociaz sam mial watpliwosci. - Trzymaj sie mnie, a nie zginiesz. Wydostaniemy sie z tej przekletej wyspy, Chuck, obaj. Obiecuje ci.

Wyszli na hulający wiatr, który naparł na nich z siłą drużyny futbolowej, ale nie zwał ich z nog. Splatając ręce, wczepiając się w siebie, brneli w kierunku światła.

10

-Rozum wam odjelo czy co? Dobiegły ich słowa McPhersona, wykrzyczane na wietrze, a tymczasem dziupka pedził jak na złamanie karku prowizorycznym szlakiem biegnącym wzdłuż zachodniego skraju cementarza.

McPherson siedział z przodu obok kierowcy i patrzył na nich zaczerwienionymi oczami, jego teksański czar prysł w starciu z rozhułkanym żywiołem. Nie przedstawił im swego towarzysza. Chłopak za kierownicą był młodzieńcem o szczupłej twarzy ze spiczastą brodą, reszta szczegółów ginęła pod kapturem nieprzemakalnej kurtki. Ale prowadził dziupka z wprawą zawodowego kierowcy, przedzierał się przez zarośla i zwalał nawianych przez wichurę szczątków, jakby wcale nie zagrażały im drogi.

-Burza tropikalna przeszła już w huragan. W tej chwili wiatry wieją z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę. Zgodnie z przewidywaniami do północy ich prędkość wzrośnie prawie do trzystu. A wy beztrosko sobie spacerujecie?

-Skąd to wszystko wiecie? - spytał Teddy.

-Mamy amatorską radiostację, szeryfie. Trzeba liczyć się z tym, że za kilka godzin też padnie.

-No jasne - odparł Teddy.

-Musielismy się oderwać od pracy przy zabezpieczaniu terenu szpitala, żeby was szukać - oświadczył McPherson, po czym walnął ręką w oparcie siedzenia i obrócił się do przodu; najwyraźniej nie miał im nic więcej do powiedzenia.

Dziupka podskoczył na wypukłości i przez chwilę Teddy widział tylko niebo, czuł pustkę pod kołami pojazdu, a potem opony złapały grunt i skrecili ostro w dół stromej pochyłości. Po lewej mieli teraz ocean, zmieniony w kipiela wzbijających się balwanów z szerokimi, białymi grzywami, które przypominały grzyby powstałe po wybuchu atomowym.

Dziupka prul przez pagórki, potem wdarł się w kepe drzew, a Teddy i Chuck, mimo że się trzymali, z tyłu wozu odbijali się od siebie jak piłki. Nagle drzewa zostały za nimi i na wprost ukazał się tył palacyku Cawleya. Pokonali stumetrowy odcinek usłany grubą warstwą drewnianych odłamków i sosnowych igieł, nim dotarli do drogi dojazdowej, wtedy kierowca wrzucił wyższy bieg i dziupka pomknął w kierunku głównej bramy.

-Zabieramy was na spotkanie z doktorem Cawleyem - oznajmił McPherson, oglądając się do tyłu. - Nie może się doczekać, żeby się z wami rozmówić.

-A ja myślałem, że zostawiłem mamuske w Seattle - powiedział Chuck.

Wzieli prysznic w budynku, w którym byli zakwaterowani, i włożyli przygotowane dla nich suche stroje posługaczy, pobrane ze szpitalnego magazynu. Ich mundury powędrowały do pralni. Chuck zaczesał włosy do tyłu, spojrzal na swoją białą koszulę i białe spodnie i powiedział:

-Czy życza sobie państwo karte win? Dzisiaj polecamy wolowine a la Wellington.

Jest wysmienita.

Trey zajrzał do łazienki i z trudem hamował śmiech, oceniając ich nowy ubiór.

-Mam was zaprowadzić do doktora Cawleya - oznajmił.

-Mocno się nam oberwie?

-Tylko trochę, jak podejrzewam.

-Panowie - rzekł na ich widok Cawley. - Rad jestem, że was widzę.

Wydawał się ożywiony, oczy mu błyszczały. Teddy i Chuck rozstali się z Treyem w progu i sami weszli do sali narad na najwyższym piętrze szpitala.

Zebrali się w niej lekarze, jedni w fartuchach laboratoryjnych, inni w garniturach.

Siedzieli wokół długiego stołu z drewna tekowego, zastawionego lampkami z zielonymi kloszami i ciemnymi popielniczkami, z których teraz wznosił się dym papierosów lub cygar; jedynym amatorem fajki był Naehring, zajmujący miejsce u szczytu stołu.

-Koledzy, oto oficerowie, o których mówiliśmy. Szeryfowie federalni Daniels i Aule.

-Gdzie się podziały wasze ubrania? - zapytał jeden z lekarzy.

-Dobre pytanie - odparł Cawley, mocno ubawiony całą sytuacją, jak ocenił Teddy.

-Wyszliśmy się przewietrzyć - wyjaśnił Teddy.

-Przy takiej pogodzie? - Cawley wskazał wysokie okna, pozaklejane na krzyż mocną taśmą. Miało się wrażenie, że lekko się wzdymają, wydychają powietrze do pokoju. Szyby brzęczały pod palcami deszczu, a cały budynek skrzypiał pod naporem wichru.

-Niestety, tak - powiedział Chuck.

-Zechciejcie spocząć panowie - odezwał się Naehring. - Już kończymy naradę.

Znaleźli dwa wolne krzesła na końcu stołu.

-John - zwrócił się Naehring do Cawleya - musimy osiągnąć porozumienie w tej sprawie.

-Znasz moje stanowisko.

-Wszyscy je szanujemy, rzecz jasna, ale skoro neuroleptyki mogą spowodować wymagane zmniejszenie zaburzenia równowagi serotoniny, to moim zdaniem nie mamy zbyt wielkiego wyboru. Musimy dalej prowadzić te badania. Pierwszy testowany pacjent, Doris Walsh, spełnia wszystkie kryteria. Nie widzę tu żadnych przeszkód.

-Martwia mnie jednak koszty.

-To dużo tańsze niż operacja, wiesz przecież.

-Chodzi mi o ryzyko uszkodzenia zwojów podstawy i kory mózgowej. Zwracam uwagę na wyniki wcześniejszych badań prowadzonych w Europie, świadczące o możliwości porażenia układu nerwowego o skutkach podobnych do tego, które występuje w następstwie zapalenia mózgu czy udaru.

Zbyszając wątpliwości Cawleya, Naehring zarządził głosowanie:

-Wszyscy, którzy popierają wniosek doktora Brotigana, proszę podnieść rękę.

Rękę wszystkich zebranych oprócz Cawleya i jeszcze jednego mężczyzny smignęły w górę.

-Wygląda na to, że niemal wszyscy opowiadają się za - oświadczył Naehring. - Dobrze. W takim razie wystąpimy do rady nadzorczej o sfinansowanie badań doktora Brotigana.

Młody mężczyzna, zapewne Brotigan, kiwając głową, podziękował kolegom.

Gładkie policzki, wysunięta dolna szczęka, stu procentowy Amerykanin. Teddy uznał, że to taki typ, który potrzebuje nianki, gdyż za bardzo pochłania go urzeczywistnianie najsmielszych marzeń jego rodziców.

-No cóż - powiedział Naehring, zamykając segregator i przenosząc wzrok na Chucka i Teddy'ego. - Jak tam wasze sprawy, panowie?

Cawley wstał i podszedł do kredensu nalać sobie kawy.

-Podobno znaleźli was w grobowcu.

Tu i owdzie rozległy się chichoty, lekarze zasłaniaли usta rękami.

-Zna pan lepsze miejsce, gdzie można by się schronić przed huraganem? - spytał Chuck.

-Owszem, tutaj. Najlepiej w podziemiach - odparł Cawley.

-Slyszelismy, że w porywach może osiągnąć prędkość trzystu kilometrów na godzinę.

Cawley przytaknął, zwrócony do nich plecami.

-Dzisiaj rano w Newport na Rhode Island zniszczeniu uległo trzydzieści procent domów.

-Oby tylko nie Vanderbiltoów - wtracił Chuck.

Cawley usiadł przy stole.

-Po południu huragan przeszedł nad Provincetown i Truro. Nie wiadomo, jak bardzo ucierpiały, bo są odcięte od świata, łączność radiowa zerwana. Wszystko wskazuje na to, że teraz zmierza prosto na nas.

-Od trzydziestu lat nie było na wschodnim wybrzeżu huraganu o takiej sile - zauważył jeden z lekarzy.

-Powietrze naładowane jest elektrycznością statyczną - powiedział Cawley. - To przez to wczoraj wieczorem centrale telefoniczne diabli wzięli, a radiostacje ledwo żyją.

Jeśli huragan spadnie prosto na nas, nie wiem, czy zostanie tu kamień na kamieniu.

-I właśnie dlatego upieram się przy tym, żeby unieruchomić wszystkich pacjentów w Niebieskiej Strefie - oświadczył Naehring.

-W Niebieskiej Strefie? - powtórzył Teddy.

-Na oddziale C - wyjaśnił Cawley. - Chodzi o pacjentów, którzy w powszechnym mniemaniu stanowią zagrożenie dla samych siebie, dla tej placówki i dla całego społeczeństwa. Nie możemy tego zrobić - zwrócił się do Naehringa. - Jeśli nas zaleje, potopia się. Wiesz dobrze.

-Musiałaby być niezła powódź.

-Jesteśmy na wyspie, na którą niedługo spadnie huragan wiejący z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. "Niezła powódź" jest całkiem realna. Podwoimy straż.

Ani na chwilę nie spuścimy z oka pacjentów z Niebieskiej Strefy. Bez żadnych wyjątków. Ale nie możemy przykuc ich do łóżek. Już są pozamykani w celach. Na miłość boską, to byłaby gruba przesada.

-Podejmujesz ryzyko, John - odezwał się cicho mężczyzna, szatyn siedzący pośrodku stołu, który - jak Teddy pamiętał - jako jedyny oprócz Cawleya nie wyraził poparcia dla projektu poddanego pod głosowanie, kiedy weszli do sali. Bawił się długopisem, studiując obrus, ale

Teddy domyslił się po tonie jego głosu, że darzy Cawleya przyjaznia. - Nie sposób przewidzieć, co się stanie. Przypuszcmy, że wysiadzie zasilanie.

-Mamy generator awaryjny.

-A jeśli on też padnie? I otworzą się cele?

-Przecież to wyspa - odparł Cawley. - Dokąd mają uciec? Chyba nie grozi nam to, że wsiada na prom do Bostonu i spustosza miasto. A jeśli nałożymy im wieży i placówkę zaleje, panowie, wszyscy oni zginą. W grę wchodzi dwadzieścia cztery ludzkie istnienia.

A gdyby, nie daj Bog, coś przytrafiło się tutaj pozostałym? Czterdziestu dwom pacjentom? Ja nie mogłbym żyć z czymś takim na sumieniu. A wy?

Cawley spojrzał po twarzach swych kolegów i Teddy nagle wyczuł u Cawleya pokłady współczucia, o jakie wcześniej nawet go nie posadzał. Nie miał pojęcia, dlaczego Cawley zaprosił ich na to zebranie, ale zaczął podejrzewać, że ten człowiek nie ma tu zbyt wielu przyjaciół.

-Panie doktorze - odezwał się Teddy. - Nie smiem przeszkadzać...

-Ależ proszę, szeryfie. Przecież ściagnelismy was tutaj. Teddy'ego koczyło, żeby odpowiedzieć mu: "Poważnie?", ale zamiast tego rzekł:

-Rozmawialiśmy rano o zaszyfrowanej wiadomości, która zostawiła Rachel Solando.

-Czy wszyscy zebrani wiedzą, o co chodzi?

-Zasada Czterech. Po prostu bomba - rzekł Brotigan z uśmiechem, który Teddy miał ochotę usunąć z jego twarzy szczypcami.

-Powiedział pan rano, że nie domyśla się znaczenia ostatniej wskazówki. - "Kim jest szesćdziesiąt siedem?". Tak? - odezwał się Naehring.

Teddy skinął głową i rozsiadł się w krzesle, dając im pole do popisu. Spojrzenia wszystkich zebranych skupiły się na jego osobie, wyrażały zaciekawienie i bezradność.

-Naprawdę tego nie dostrzegacie.

-Czego nie dostrzegamy, szeryfie?

Pytanie zadał sojusznik Cawleya; Teddy odczytał nazwisko wyszyte na fartuchu:

Miller.

-Macie tutaj szesćdziesięciu szesćciu pacjentów.

Spoglądali na niego zasknionym wzrokiem dzieci na przyjęciu urodzinowym, czekających na następną sztukę klauna.

-Czterdziestu dwóch pacjentów na oddziałach A i B. Dwudziestu czterech na oddziale C. To daje nam w sumie sześćdziesięciu sześciu.

Po minach odgadł, że niektórym zaczyna wreszcie coś świtać, ale większość nadal patrzyła na niego bezrozumnie.

-Sześćdziesięciu sześciu pacjentów - powiedział Teddy. - Zatem pytanie: "Kim jest sześćdziesiąt siedem?", sugeruje, że przebywa tu sześćdziesiąty siódmy pacjent.

Cisza. Kilku lekarzy spojrzelo po sobie. Ogólne milczenie przerwał Naehring:

-Nie rozumiem.

-A co w tym trudnego? Rachel Solando informuje nas w ten sposób o istnieniu sześćdziesiątego siódmego pacjenta.

-Ale sześćdziesiątego siódmego pacjenta nie ma - oświadczył Cawley, kładąc ręce na stole. - Pomysł jest znakomity, szeryfie, i gdyby to była prawda, rozszyfrowałby pan całą wiadomość. Ale dwa plus dwa nigdy nie równa się pięć, nawet jeśli byśmy tego chcieli. Skoro w zakładzie przebywa sześćdziesięciu sześciu pacjentów, rozważania na temat sześćdziesiątego siódmego trąca racje bytu. Rozumie pan?

-Nie - odparł Teddy, starając się mówić opanowanym głosem. - W tym punkcie się z panem nie zgadzam.

Cawley namyślał się, nim odpowiedział, jakby szukał odpowiednich słów, możliwie najprostszych:

-Gdyby nie ten huragan, dziś rano przyjęlibyśmy dwóch nowych pacjentów. Łączna liczba wzrosłaby do sześćdziesięciu osmiu. Gdyby uchronił Boże, jakiś pacjent umarł wczoraj w nocy we śnie, liczba spadłaby do sześćdziesięciu pięciu. Suma może się zmienić z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, w zależności od wielu czynników.

-Ale tej nocy, kiedy Rachel Solando pisała tę zaszyfowaną wiadomość...

-Owszem, łącznie z nią było wtedy sześćdziesięciu sześciu pacjentów. Przyznaje panu rację, szeryfie. Ale wciąż brakuje nam jednego, prawda? Nie tedy droga.

-Uważam, że to właśnie Rachel chciała nam przekazać.

-Tak, zdaje sobie z tego sprawę. Ale ta wiadomość mija się z prawdą. Nie ma sześćdziesiątego siódmego pacjenta.

-Czy zgodzi się pan, zebysmy ja i moj partner zajrzeli do kart pacjentow?

Wywolalo to u zebranych grymasy niezadowolenia i spojrzenia pelne oburzenia.

-Wykluczone - rzekl Naehring.

-Obawiam się, że to niemożliwe, szeryfie. Przykro mi. Teddy opuscil glowe, popatrzył na swoja idiotyczna biala koszule i spodnie do kompletu. Wygladal jak lodziarz. Pewnie wydal im się apodyktyczny. Moze predzej by ich przekonal, gdyby kazdemu podal po galce lodow.

-Nie mamy dostępu do akt osobowych. Nie mamy dostępu do kart pacjentow. Jak waszym zdaniem mamy odnalezc zaginiona pacjentke, panowie?

Naehring rozsiadl się w krzesle, przekrzywil glowe. Reka Cawleya, w ktorej trzymal papierosa, zawisla w powietrzu w polowie drogi do ust.

Kilku lekarzy opowiadalo cos sobie szeptem. Teddy spojrzal na Chucka.

-Nie patrz tak na mnie. Ja tez nie wiem, co jest grane - odparl cicho Chuck.

-Komendant nic wam nie powiedzial? - zdziwil się Cawley.

-W ogole nie rozmawialismy z komendantem. McPherson nas przywiozl.

-O moj Boze - westchnal Cawley.

-Co?

Cawley spojrzal po zebranych szeroko otwartymi oczami.

-Co? - powtorzyl Teddy.

Cawley wypuscil z sykiem powietrze i przeniosl wzrok z powrotem na szeryfow. - Znalezlismy ja.

-Slucham?

-Rachel Solando. Znalezlismy ja dzis po poludniu - odparl Cawley, zaciagajac się papierosem. - Jest tu, panowie. Za tymi drzwiami, przy koncu korytarza.

Teddy i Chuck spojrzeli przez ramie w strone drzwi. - Mozecie juz odetchnac, panowie. Wasza misja dobiegla konca.

11

Cawley i Naehring poprowadzili ich korytarzem wylozonym mozaika z bialych i czarnych

plytek. Przeszli przez podwójne drzwi do głównego oddziału szpitalnego. Mineli stanowisko pielęgniarek po lewej i skreśli w prawo do przestronnego pomieszczenia z długimi świetlówkami i wygiętymi w łuk karniszami, w którym zastali Rachel. Siedziała na łóżku w jasnozielonym szlafroku szpitalnym, który ledwie zakrywał jej kolana, świeżo umyte włosy zaczesane miała do tyłu.

-Rachel, przyprowadziłem dziś kilku moich znajomych - powiedział Cawley. - Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Wygladziła rąbek szlafroka pod udami i spojrzała na Teddy'ego i Chucka wzrokiem zaintrygowanego dziecka.

Nawet nie była drasnieta.

Cere miała barwy piaskowca. Jej twarz, ręce i nogi były nieskazitelnie gładkie. Skóra w odsłoniętych miejscach nie nosiła żadnych śladów zadrapań czy otarć, jakie mogłyby pozostawić na niej galezie, kolce czy krawędzie skal.

-Co panów sprowadza? - zwróciła się do Teddy'ego.

-Pani Solando, przyszliśmy...

-Sprzedac mi coś?

-Słucham?

-Nie jesteście chyba domokrazcami? Nie chce być grubianska, ale decyzje co do zakupów podejmuje mąż.

-Nie, proszę pani, niczego nie sprzedajemy.

-To świetnie. Wobec tego, w czym mogę wam pomóc?

-Mogłaby nam pani powiedzieć, gdzie przebywała pani wczoraj?

-Byłam u siebie. W domu. - Spojrzała na Cawleya. - Kim są ci ludzie?

-To oficerowie prowadzący śledztwo, Rachel - odparł Cawley.

-Coś złego przytrafiło się Jimowi?

-Nie - powiedział Cawley. - Nie, nie. Z Jimem wszystko w porządku.

-Bo chyba nie dzieciom. - Rozejrzała się dookoła. - Są na podworku. Niczego nie spocili, mam nadzieję?

-Nie, pani Solando - odezwał się Teddy. - Dzieci sprawują się jak należy. A mąż ma się dobrze. - Napotkał wzrok Cawleya, który kiwnął głową z aprobatą. - Po prostu, hm, słyszelismy, że wczoraj w okolicy pokazał się znany wywrotowiec. Widziano, jak rozdawał komunistyczne ulotki.

-Wielkie nieba, tylko nie to. Dzieciom?

-O ile nam wiadomo, nie.

-Ale w tej dzielnicy? Na tej ulicy?

-Niestety, tak, proszę pani - odparł Teddy. - Mielismy nadzieję, że dowiemy się, gdzie pani wczoraj bywała, co pomogłoby nam ustalić, czy zetknęła się pani z owym osobnikiem.

-Posadza mnie pan o to, że jestem komunistką? - Odsunęła plecy od poduszki, zacisnęła ręce na koldrze.

Cawley spojrzał wymownie na Teddy'ego: nawarzyłeś piwa, to teraz je wypij.

-Komunistka? Pani? Alez skąd. Nikomu przy zdrowych zmysłach nie przeszłoby to nawet przez myśl. Pani jest tak amerykańska jak Betty Grable.

Rozwarła palce jednej ręki, pociła koldre i potarła kolano.

-Przecież nie jestem podobna do Betty Grable.

-Tylko pod względem pani oczywistego patriotyzmu. Z wyglądu moim zdaniem bardziej przypomina pani Terese Wright. Pamięta pani ten film sprzed dziesięciu, dwunastu lat, w którym występowała z Josephem Cottenem?

-Cien wątpliwości. Słyszałam o nim - odparła, przywołując na twarz uśmiech, który był zarazem czarujący i zmysłowy. - Mój Jim bił się na wojnie. Kiedy wrócił do domu, oświadczył, że świat jest wolny, bo Amerykanie wywalczyli wolność dla świata i pokazali, że amerykańskie zasady nie mają sobie równych. - Święta prawda - przytaknął Teddy. - Ja też brałem udział w tej wojnie.

-Poznał pan mojego Jima? - Zaluje, ale nie. Ale jestem pewny, że to porządny człowiek. Służył w armii?

-W piechocie morskiej - zachnęła się Rachel, marszcząc nos. - "Zawsze wierni" - odparł Teddy. - Pani Solando, musimy koniecznie odtworzyć wszystkie wczorajsze poczynania tego wywrotowca. Może nawet go pani nie zauważyła.

To przebiegły dran. Dlatego właśnie potrzebne nam są informacje o tym, co pani robiła.

Zestawimy je z tym, co nam wiadomo na temat miejsc, w których bywał ten osobnik, i w

ten sposob sprawdzimy, czy wasze drogi sie skrzyzowaly.

-Jak statkow plynacych noca?

-Wlasnie. Rozumie pani, o co chodzi?

-Och, tak. - Podniosla sie na lozku i siadla po turecku; jej ruchy wywolaly zywy oddzwiek w zoladku i kroczu Teddy'ego.

-Prosze mi opisac swoj wczorajszy dzien - zachecil ja.

-Coz, niech pomysle... Przygotowalam mezowi i dzieciom sniadanie. Zrobilam Jimowi kanapki do pracy i wyszedl. Potem zaprowadzilam dzieci do szkoly. Kiedy wrocilam, postanowilam poplywac w jeziorze.

-Czesto pani to robi?

-Nie - odparla, pochylajac sie do przodu, usmiechajac sie, jakby ja podrywala. - Sama nie wiem, naszla mnie dziwna chetka. Pana tez nachodza czasami? Takie dziwne chetki?

-Jasne.

-Tak wlasnie bylo ze mna. Rozebralam sie do naga i plywalam tak dlugo, az rece i nogi zaczely mi ciazyc jak klody. Wyszlam z wody, wytarlam sie i ubralam. Poszlam na spacer brzegiem jeziora. Puszczalam kaczki, budowalam zamki z piasku. Male zamki.

-Pamieta pani, ile ich zbudowala? - spytal Teddy i poczul na sobie wzrok Cawleya.

Zastanawiala sie, zadarlszy glowe. - Tak.

-Ile?

-Trzynascie.

-To dosc sporo.

-Niektore calkiem malenkie - wyjasnila. - Nie wieksze od filizanki.

-A co potem?

-Myslalam o tobie - powiedziala.

Teddy zobaczyl, ze Naehring zerka na Cawleya bedacego po przeciwnej stronie lozka, a kiedy napotkal jego spojrzenie, Naehring, nie mniej zdziwiony od reszty obecnych, uniosl bezradnie rece.

-Dlaczego o mnie? - spytał Teddy.

Odsłoniła w uśmiechu białe zęby, rozchylone na tyle tylko, że wystawał pomiędzy nich czerwony koniuszek języka.

-Bo ty jesteś moim Jimem, głuptasie. Moim żołnierzikiem. - Kleknęła na łóżku, wzięła jego dłoń w swoją i gładziła ją. - Taka szorstka. Uwielbiam te zgrubienia.

Uwielbiam czuć ich wypukłości na moim ciele. Tak mi Ciebie brak, Jim. Wciąż jesteś poza domem.

-Mam mnóstwo pracy - powiedział Teddy.

-Usiądź. - Pociągnęła go ku sobie za rękę.

Cawley ponaglił go wzrokiem i Teddy posłusznie zbliżył się do łóżka. Siadł obok niej. Cokolwiek kryło się za tym niemy skowyt bijący ze zdjęcia Rachel, minęło bez śladu, przynajmniej chwilowo. Nie sposób było nie dostrzec z takiego bliska jej niepospolitej urody. Jej postać odznaczała się falistymi, miękkimi kształtami, ruchy miała niespieszne, płynne, twarz o wydatnych ustach i podbrodki, ciemne oczy palające blaskiem czystym niczym źródłana woda.

-Harujesz jak wół - powiedziała, muskając palcami dołek tuż poniżej gardła, jakby wyglądała mu faldka na węzle krawatu.

-Trzeba nakarmić rodzinę - rzekł Teddy.

-Och, dobrze nam się powodzi - odparła, a on poczuł jej oddech na szyi. - Wystarczy nam to, co mamy.

-Na razie. Ale ja myślę o przyszłości.

-A kto ją widział? - powiedziała Rachel. - Pamiętasz, co mawiał mój tata?

-Zapomniałem.

Przezesła mu palcami włosy na skroniach. - "Przyszłość to towar na przedpłaty - mówił - ją kupuje za gotówkę". - Zasmiała się cicho i przysunęła do niego; czuł, jak napiera na niego piersiami. - Nie, kochany, żyje się chwila obecna. Tu i teraz.

To było powiedzenie Dolores. Przypominały mu ją również usta i włosy Racheli, i to tak bardzo, że gdyby jej twarz znalazła się jeszcze bliżej, mógłby niemal przysiąc, że rozmawia z Dolores we własnej osobie. Obydwom kobietom wspólna była swoista rozedrgana zmysłowość - Teddy po tylu latach wciąż nie miał pewności, czy jego żona zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie wywoływała.

Staral sie przypomniec sobie, o co mial ja zapytac. Wiedzial, ze musi sprowadzic rozmowe na wlasciwe tory. Wyciagnac z Rachel, co wczoraj robila, wlasnie - co sie wydarzylo pozniej, po spacerze brzegiem jeziora i zabawie w budowanie zamkow z piasku.

-Co zrobilas potem, po przechadzce nad jeziorem?

-Juz ty dobrze wiesz. - Nie.

-Och, chcesz to uslyszec ode mnie? O to chodzi? Pochylila sie tak, ze jej twarz znalazla sie nieznacznie ponizej jego, spogladala na Teddy'ego od dolu ciemnymi oczami, jej oddech trafial prosto do jego ust.

-Nie pamietasz?

-Nie.

-Klamca.

-Mowie powaznie.

-Nieprawda. Jesli zapomniales, Jamesie Solando, to juz ja ci pokaze.

-Powiedz mi.

-Chcesz to uslyszec.

-Chce to uslyszec.

Pogladzila go po policzku i po brodzie, a kiedy sie odezwala, jej glos brzmial ochryple:

-Wrocilam znad jeziora cala mokra, a ty wylizales mnie do sucha.

Teddy objal rekami jej twarz, zanim zdazyla sie z nim zewrzec. Przesunal palcami wzdluz jej skroni - wlosy byly jeszcze wilgotne, czul to opuszkami kciukow - i zajrzal jej w oczy.

-Powiedz mi, co jeszcze wczoraj robilas - wyszeptal i spostrzegl, ze cos maci jasnosc jej spojrzenia. Strach, domyslil sie. Nagle wystapil w calej okazalosci, wykrzywil jej gorna warge, sciagnal brwi. Czul, jak przez jej cialo przechodzi drzenie.

Rachel przyjrzala mu sie badawczo, naraz wytrzeszczyla oczy, strzelajac nimi dziko na boki.

-Ja ciebie pochowalam - oswiadczyła.

-Przeciez jestem tu z toba.

-Pochowalam cie. W pustej trumnie, bo twoje szczatki zostaly rozrzucone po calym

Atlantyku. Wlozylam do trumny twoj identyfikator, bo tylko on ocalal. Twoje ciało, twoje piekne ciało, wydane na pastwę plomieni i rekinów.

-Rachel - odezwał się Cawley.

-Jak mięso.

-Nie - powiedział Teddy.

-Czarne mięso, spalone na węgiel.

-To nie byłem ja.

-Zabili mi Jima. Moj Jim nie żyje. To kim ty, kurwa, jesteś? Wyrwała się z jego uścisku, podczołgała się po łozku do ściany i znow odwróciła się do niego twarzą.

-Co to za jeden? - Wskazała na Teddy'ego i plunęła na niego.

Teddy był jak skamieniały. Patrzył na nią, na wściekłość zalewającą jej oczy jak falą.

-Chciales mnie wyruchac? Wsadzic mi kutasa, wykorzystac to, ze dzieci bawia sie na podworku? Tak to sobie obmysliles? Wynocha stad! Slyszysz? Wynocha...

Skoczyła na niego z ręką wzniesioną nad głowę. Teddy zerwał się z łozka i zaraz przemknęli obok niego dwaj posługacze z grubymi skorzanyimi pasami przewieszonymi przez ramie, chwycili Rachel za ręce i cisnęli na łozko.

Teddy był cały rozdygotany, pot wystąpił mu na całym ciele, a Rachel zaczęła wrzeszczeć ile sił w płucach:

-Ty bydlaku! Ty pieprzony bezlitosny bydlaku! Moj maz wroci i poderznie ci gardlo! Slyszysz? Obetnie ci ten pieprzony leb i razem napijemy sie twojej krwi!

Bedziemy sie w niej plawic, zobaczysz ty pieprzony zwyrodnialcu!

Jeden posługacz przygniotł jej tułów, a drugi chwycił potężnym łapskiem nogi w kostkach. Przelozyli pasy przez szczeliny w ramach łozka, skrzyzowali je na piersi pacjentki, wsuneli w szczeliny po przeciwnej stronie, naciagnęli pasy i wetknęli końcówki w klamry, które zamknęli z trzaskiem, i wycofali się.

-Rachel - przemówił Cawley, łagodnie, po ojcowsku.

-Wszyscy jesteście siebie warci, pieprzeni zboczcenci. Gdzie są moje dzieci? Gdzie moje dzieci? Oddajcie mi dzieci, przekleci zwyrodnialcy! Oddajcie mi dzieci!

Z jej gardła wyrwał się wrzask, który wwiertcił się Teddy'emu w kregosłup niczym pocisk.

Rachel naprezyla wiezy z taka sila, ze wozek szpitalny caly zaklekotal.

-Pozniej przyjdziemy sprawdzic twoj stan, Rachel - oswiadczył Cawley.

Plunela w jego strone i Teddy uslyszal plask sliny uderzajacej o posadzke. Rachel znow krzyknela, a na jej ustach pojawila sie krew; musiala przygryzc sobie wargi.

Cawley dal znak glowa i pozostali ruszyli za nim do wyjscia. Teddy obejrzel sie za siebie, dostrzegl utkwiony w nim wzrok Rachel, ktora patrzyła mu prosto w oczy, wijac sie na materacu. Sciegna na jej szyi byly naprezone, a z ust pryskala krew i slina, gdy wrzeszczala na niego, jakby zobaczyla pochod wszystkich umarlakow tego stulecia, wdzierajacy sie do srodka przez okno i zmierzajacy prosto na nia.

Cawley mial w gabinecie barek, od razu po wejsciu skierowal sie do niego i tam zniknal Teddy'emu z oczu. Przyslonil go welon z bialej gazy i Teddy pomyslal: O nie, nie teraz. Tylko nie teraz, na milosc boska.

-Gdzie ja znalezliscie? - zapytal.

-Na plazy w poblizu latarni morskiej. Rzucala kamyki do wody.

Doktor pokazal sie w jego polu widzenia, ale tylko dlatego, ze Teddy obracil glowe w lewa strone, kiedy Cawley szedl w prawo. Kiedy Teddy odwracal glowe, zasloną z gazy zakryła wbudowany regal z ksiazkami, a potem okno. Potarl prawe oko, ludzac sie na przekor swiadectwu swoich zmyslow, ale to nic nie pomoglo. Naraz poczul, jak potok wrzacej lawy przecina cala lewa strone jego glowy i rozlewa sie pod czaszka wyzlobionym wawozem. Z poczatku sadzil, ze to wrzaski Rachel tam sie usadowily, ze przesladuje go echo wscieklego zgielku, ale to bylo cos znacznie gorszego: bol rozprysnal sie nagle niczym tuzin sztyletow swidrujacych mu czaszke. Skrzywil sie, dotknal skroni.

-Szeryfie?

Podniosl wzrok i dojrzel Cawleya za biurkiem po lewej rece, majaczace widmo.

-Tak? - wydobyl z siebie Teddy.

-Jest pan trupio blady.

-Co z toba, szefie? - Chuck wyrosł nagle u jego boku.

-Wszystko w porzadku - wystekal Teddy, a Cawley postawil swoja szklaneczke z whisky na biurku; jej stuk wydal sie ogluszajacy jak strzal z karabinu.

-Niech pan usiadzie - powiedzial Cawley.

-Nic mi nie jest - odparl Teddy, lecz slowa przychodzily mu tak opornie, jakby docieraly z

mozgu do języka po drabinie nabitej szpikulcami.

Kosci Cawleya zatrzeszczały jak plonące szczapy, kiedy oparł się o biurko na wprost Teddy'ego.

-Migrena?

Teddy spojrzał na jego rozmyta postać. Skinalby na potwierdzenie, ale doświadczenie nauczyło go, żeby podczas ataku, brzoż Bożę, nie ruszać głową.

-Tak - wydobyl z siebie.

-Domysliłem się po tym, jak masował pan skronie. - Aha.

-Często panu dokucza?

-Pieć, szesc... - Teddy'emu zaschło w ustach i minelo kilka sekund, nim zdolal zwilzyc nieco język - ...razy w roku.

-Ma pan szczęście - rzekl Cawley. - Przynajmniej pod tym względem.

-Jak to?

-Wiele osob cierpiacych na migrene ma gromadne bole glowy czesciej, raz na tydzien. - Cawley znów wydal z siebie ten odglos pekajacych szczap, gdy odsunal się od biurka. Teddy slyszal, jak otwiera szafke.

-Jakie ma pan objawy? - zapytal Cawley. - Czesciowa utrata wzroku, suchosc w ustach, uczucie palenia w glowie?

-Trafiony.

-Od tylu lat badamy mozg i wciaz nie mamy pojecia, co powoduje migrene. Nie do wiary, prawda? Wiemy, ze zazwyczaj atakuje plat ciemieniowy. Wiemy, ze wywoluje skrzep krwi. Wszystko, oczywiscie, na mikroskopijna skale, ale kiedy wystepuje w tak delikatnym narzadzie jak mozg, ma się wrażenie, ze rozrywa glowę. Tyle czasu, tyle wysilku, a jej przyczyna czy dlugotrwałe następstwa nadal owiane są tajemnica. Jesteśmy bezradni jak wobec zwyklego przeziebienia, ktorego nie potrafimy powstrzymac.

Cawley podal mu szklanke wody i wlozyl do reki dwie zolte tabletki.

-To powinno zalatwic sprawe - oswiadczył. - Zapadnie pan w sen na godzine czy dwie. A kiedy się pan ocknie, po ataku nie bedzie sladu. Pana umysl bedzie jasny jak sloneczny poranek.

Teddy spojrzal na zolte pastylki, na szklanke z woda, ktora wysuwala mu się z reki.

Przeniosl wzrok na Cawleya, wytezal swoje jedyne sprawne oko, poniewaz postac doktora byla skapana w tak bialym i ostrym swietle, ze zdawalo sie, iz jego barki i rece wysylaja dookola razace promienie.

Bez wzgledu na okolicznosci, odezwal sie glos w glowie Teddy'ego...

Niewidzialne rece rozwarly mu z lewej strony czaszke, wsypaly do srodka garosc pinezek i potrzasnely. Teddy z sykiem wciagnal powietrze do pluc.

-Jezu, szefie.

-To przejdzie, szeryfie.

Glos sprobował jeszcze raz: Bez wzgledu na okolicznosci, Teddy...

Stalowy pret przebil sie przez zwal pinezek i Teddy przycisnal reke do widzacego oka, z ktorego trysnely lzy. Zoladek zakolysal sie w nim.

...nie bierz tych pigulek. Zoladek zapadl sie, zsunal az do biodra, a jezyki ognia rozpelzly sie wzdluz szczeliny w czaszce. Teddy bal sie, ze jeszcze troche, a przegryzie sobie jezyk.

Nie bierz tych cholernych pigulek, wrzasnal glos, biegajac po plonacym wawozie, wymachujac sztandarem, zwolujac oddzialy.

Teddy pochylil glowe i zwymiotowal na podloge.

-Szefie, szefie. Co ci jest?

-Niech mnie lichy - powiedzial Cawley. - To naprawde ciezki atak.

Teddy uniosl glowe. Nie...

Policzki mial mokre od lez.

...bierz...

Ktos wetkнал do wawozu ostrze.

...tych...

I zaczal nim pilowac.

...pigulek.

Teddy zacisnal zeby, zoladek podchodzil mu do gardla. Probowal skupic sie na szklance trzymanej w reku, zauwazyl cos dziwnego na kciukach, lecz uznal, ze to skutek zaburzonej

przez migrene percepcji. niebierzących pigulek.

Zebate ostrze rozrywało miękkie różowe fałdy jego mózgu. Teddy ostatkiem sił stłumił krzyk, usłyszał wrzask Rachel stapiającego się z ogniem, widział ją, jak patrzy mu w oczy, czuł jej oddech na ustach, jej twarz w dloniach, kiedy gładził ją kciukami po skroniach, a ta pieprzona piła wrzynała mu się w mózg... niebierzących cholernych pigulek ...i wrzucił pigułki do ust, poczuł, jak wlatują do gardła; popił wodą i przełknął, czuł, jak zsuwają się w dół przelyku, i opróżnił łapczywie szklanke.

-Będzie mi pan wdzięczny - powiedział Cawley Chuck był tuż przy nim, podał mu chusteczkę. Teddy wytarł czoło, potem usta i upuścił chusteczkę.

-Niech mi pan pomoże go podnieść, szeryfie - zakomenderował Cawley.

Dzwignęli Teddy'ego i obrocili; ujrzał przed sobą czarny otwór drzwi.

-Zdradzę panu mój mały sekret - rzekł doktor. - Mam tam pokoik, w którym po kryjomu ucinam sobie drzemkę od czasu do czasu. No dobrze, raz dziennie. Umieszcimy tam pana, szeryfie, i odespi pan to. A za dwie godziny obudzi się pan rześki i wypoczęty.

Teddy widział swoje ręce. Dziwnie wyglądały - zwieszały się bezwładnie. I kciuki - to złudzenie optyczne na jednym i drugim. Co to jest, do kurwy niedzy? Teddy chciał potrząsnąć nimi o skórę, ale Cawley już otwierał drzwi. Ostatni raz przyjrzał się palcom na obu kciukach.

Czarne smugi.

Od pasty do butów, pomyślał, kiedy niesli go w głąb ciemnego pokoju.

Do ciężkiej cholery, skąd wzięła się na moich kciukach pasta do butów?

12

Snily mu się koszmary, tak potworne jak nigdy dotąd. Zaczęło się od tego, że szedł ulicami Hull, ulicami, które przemierzył mnóstwo razy w swych dziecięcych i młodzieńczych latach. Minal budynek starej szkoły. Minal tani sklepik, w którym kupował gumę do żucia i napój o smaku waniliowym. Minal dom Dickersonów, dom Pakaskich, Murrayów, Boydów, Vernonów, Constantinów. Ale nikogo w nich nie było. Nigdzie żywego ducha. Całe miasto było puste, wymarłe.

Przerazliwie ciche. Nie słyszał nawet oceanu, a przecież w Hull zawsze było słychać szum oceanu.

To było straszne - jego rodzinne miasto zupełnie opustoszało. Usiadł na falochronie przy Ocean Avenue, przeszukał wzrokiem plażę, siedział i czekał, ale nikt się nie pokazał.

Wszyscy poumierali, uswiadomil sobie, odeszli z tego swiata dawno temu. A on jest duchem, ktory po latach przyblakal sie z powrotem do rodzinnego miasta-widma.

Miasta juz tu nie bylo. Jego tu nie bylo. Nie bylo zadnego "tu".

Potem trafil do ogromnej sali wylozonej marmurem. Pelno w niej bylo ludzi, lozek szpitalnych, aparatow do kroplowek, i od razu poczul sie razniej. Gdziekolwiek sie znalazl, przynajmniej nie byl sam. Przebiegla przed nim trojka dzieci - dwoch chlopcow i dziewczynka. Mialy na sobie szpitalne pizamy, a dziewczynka wyraznie sie bala. Sciskala braci za rece.

-Ona tu jest. Znajdzie nas - powiedziala.

Andrew Laeddis nachylil sie i podal Teddy'emu ogien.

-Hej, chyba nie masz mi tego za zle, co, stary?

Laeddis z wygladu byl odpychajacym osobnikiem - cialo jak sekata tyczka, nieforemna glowa, sterczaca, wydłużona ponad miare broda, krzywe zeby, kepki jasnych wlosow na pokrytej strupami, rozowej czaszce - ale Teddy ucieszyl sie na jego widok.

Byl jedynym znajomym posrod obcych.

-Mam schowana butelke - oznajmil Laeddis. - Gdybys mial ochote wpasc na kielicha. - Mrugnal do Teddy'ego, poklepal go po plecach i zamienil sie w Chucka, a Teddy'emu wydalo sie to calkowicie normalne.

-Musimy isc - powiedzial Chuck. - Czas ucieka, przyjacielu.

-Moje rodzinne miasto jest puste. Wymarle - odparl Teddy.

I puscil sie biegiem, bo oto przez sale balowa gnala z wrzaskiem Rachel Solando, wywijajac tasakiem. Nim do niej dopadl, zdazyla powalic dzieci, cala trojke, i zamachnela sie tasakiem, raz, drugi, trzeci. Teddy zastygl, dziwnie urzeczony, wiedzac, ze juz nic nie zdola zrobic - dzieci byly martwe.

Rachel spojrzala na niego. Twarz i rece miala zbryzgane krwia.

-Pomoz mi - powiedziala.

-Co? Moge sobie narobic klopotow - odparl.

-Pomoz mi, a stane sie twoja Dolores. Bede twoja zona. Odzyskasz ja w ten sposob.

-Jasne, oczywiscie - rzekl i zabral sie do roboty. Wspolnymi silami dzwigneli cala trojke i wyszli z nimi na tyly domu. Zaniesli je do jeziora. Nie wrzucili ich. Obeszli sie z nimi

delikatnie. Polozyli je na wodzie i dzieci poszly na dno. Jeden z chlopcow wynurzył sie, młocil wode reka, a Rachel powiedziala:

-To nic. On nie umie plywac.

Stali na brzegu i patrzyli, jak chlopiec tonie. Rachel objela Teddy'ego w pasie.

-Bedziesz moim Jimem, a ja twoja Dolores. Zrobimy sobie nowe dzieci - oswiadczyla.

Teddy uznal, ze to ze wszech miar sluszne rozwiazanie, i zdziwil sie, ze sam wczesniej na to nie wpadl.

Ruszyl za Rachel z powrotem do Ashecliffe. Spotkali tam Chucka i poszli we trojke dlugim korytarzem, ktory ciagnal sie kilometrami.

-Ona zabiera mnie do Dolores - zwrocil sie do Chucka. - Wracam do domu, stary. - Swietnie! - odparl Chuck. - Ciesze sie. Ja juz nie wydostane sie z tej wyspy.

-Nie?

-Nie, ale nie szkodzi, szefie. Mowie powaznie. Tutaj jest moje miejsce. To moj dom.

-Moj dom jest tam, gdzie Rachel - oswiadczyl Teddy.

-Masz na mysli Dolores.

-Racja, racja. A co ja powiedzialem?

-Rachel.

-Och, przepraszam. Naprawde uwazasz, ze tutaj jest twoje miejsce?

Chuck skinal glowa.

-Nigdy stad nie wyjechalem. I nigdy nie wyjade. To znaczy, popatrz tylko na moje rece, szefie.

Teddy spojrzal. Wedlug niego rece Chucka wygladaly zupełnie dobrze, co tez mu oznajmil. Chuck potrzasnal glowa.

-Nie pasuja. Czasami palce zmieniaja sie w myszy.

-Coz, w takim razie ciesze sie, ze znalazles tu swoj dom.

-Dzieki, szefie.

Chuck poklepal go po plecach i przemienil sie w Cawleya. Rachel zdazyla juz ich mocno wyprzedzic i Teddy przyspieszyl kroku.

-Nie mozna pokochac kobiety, ktora zabila wlasne dzieci - powiedzial Cawley.

-Ja moge - odparl Teddy, idac coraz szybciej. - Pan tego nie rozumie.

-Czego? - Cawley nie poruszal nogami, ale mimo to nadazal za Teddym, sunac w powietrzu. - Czego nie rozumiem?

-Nie zniose dluzej samotnosci. Nie moge zyc bez niej w tym pieprzonym swiecie.

Ona jest moja Dolores.

-Przeciez to Rachel.

-Wiem. Ale zawarlismy umowe. Ona bedzie moja Dolores, a ja jej Jimem. To dobry ukklad.

Cawley chrzaknal znaczaco.

Trojka dzieci biegla korytarzem w ich strone. Byly zupełnie przemoczone i zdzieraly gardziolka od krzyku.

-Jaka matka zrobilaby cos takiego? - odezwal sie Cawley.

Teddy przygladal sie dzieciom. Wyminely ich, lecz nagle w otoczeniu zaszla jakas zmiana, bo dzieci biegly, biegly, ale nie posuwaly sie naprzod.

-Zabilaby wlasne dzieci? - powiedzial Cawley.

-To niechcacy - wyjasnil Teddy. - Bardzo sie boi, to dlatego.

-Tak jak ja? - odparl Cawley, z ktorego nagle zrobil sie Peter Breene. - Ma stracha, wiec morduje dzieciaki. I to ja usprawiedliwia?

-Nie. To znaczy, tak. Nie lubie cie, Peter.

-I co zrobisz w związku z tym?

Teddy przyložyl lufe sluzbowego rewolweru do skroni Petera.

-Wiesz, ilu ludzi zginelo z mojej reki? - spytal, a lzy splywaly mu po policzkach.

-Prosze, nie zabijaj mnie - powiedzial Peter.

Teddy pociagnal za spust, zobaczyl kule wylatujaca z drugiej strony glowy Petera.

Wszystkiemu przygladaly sie dzieci, ktore darly sie jak opetane, a Breene powiedzial: - Cholera - i oparl sie o sciane, zatykajac reka rane wlotowa. - Na oczach dzieci?

I wtedy ja uslyszeli. Z ciemnosci przed nimi dolecial wrzask. Jej wrzask. Zblizala sie do nich. Niewidoczna w mroku, pedzila ku nim Rachel.

-Ratuj nas - zwrocila sie do Teddy'ego dziewczynka.

-Nie jestem waszym tatusiem. Nic tu po mnie.

-A ja bede mowic do ciebie "tatusiu".

-Zgoda. - Teddy westchnal i wzial dziewczynke za reke.

Szli skrajem urwiska ciagnacego sie wzdluz linii brzegowej Shutter Island, a potem zawedrowali na cmentarz, gdzie Teddy znalazl bochenek chleba, troche masla orzechowego i dzemu. Weszli do grobowca, gdzie przygotowal kanapki, a dziewczynka byla taka szczesliwa, gdy siedziala mu na kolanach i zajadala kanapke. Potem Teddy oprowadzil ja po cmentarzu, pokazal jej nagrobek swojego ojca, matki, i swoj wlasny:

Edward Daniels marny zeglarz

1920-1957

-Dlaczego marny z ciebie zeglarz? - zapytala dziewczynka.-Nie lubie wody.

-Ja tez. Mozemy sobie podac rece.

-Chyba tak.

-Ty juz nie zyjesz. Postawili ci ten, jak to sie nazywa?

-Nagrobek.

-Wlasnie.

-Wyglada na to, ze jestem martwy. Nikogo nie zastalem w rodzinnym miescie.

-Ja tez nie zyje.

-Wiem. Smutno mi z tego powodu.

-Nie powstrzymales jej.

-Nic nie moglem na to poradzić. Kiedy do niej dobiegłem, ona już zdążyła, no wiesz...

-O rany. - Co?

-Znowu nadchodzi.

Na cmentarzu ukazała się Rachel. Minęła nagrobek, który Teddy potracił w czasie burzy. Nie spieszyła się. Była taka słiczna, włosy miała zmoczone, ociekające deszczem.

Tasak wymieniła na topór z długim styliskiem, który wlokła po ziemi.

-Teddy, daj spokój. To moje dzieci - powiedziała.

-Wiem, ale nie mogę ci ich oddać.

-Tym razem będzie inaczej. - Jak?

-Wyzdrowiałam. Znam swoje obowiązki. Poukładałam sobie wszystko w głowie jak należy.

-Tak bardzo cie Kocham - zaskakał Teddy.

-Ja ciebie też. Naprawdę.

Podeszła do niego i pocałowała go, prawdziwie, z pasją. Wzięła jego twarz w ręce, przesuwała językiem po języku. Wezbrał w niej cichy jęk, który trafił do jego ust.

Wpijała się w niego, napierała językiem coraz mocniej, a on czuł, jak przepelnia go niewypowiedziana miłość.

-A teraz oddaj mi dziewczynkę - zażądała.

Przekazał jej dziewczynkę, a ona podniosła ją jedną ręką, a druga chwyciła topór.

-Zaraz wróce, dobrze?

-Jasne - odparł Teddy.

Pomachał dziewczynce, choć wiedział, że mała nie rozumie. Zrobił to dla jej dobra.

Był o tym przekonany. Czasami dorośli muszą podejmować trudne decyzje, decyzje, które dla dzieci są niezrozumiałe. Ale gdy jest się dorosłym, dokonuje się wyborów w ich imieniu. I Teddy kiwał ręką dziewczynce, mimo że ona nie machała mu w odpowiedzi, tylko wpatrywała się w niego przejmującym wzrokiem, gdy matka niosła ją do grobowca; wzrokiem ofiary idącej na stracenie, pogodzonej z okrutnym losem, z buzią usmarowaną masłem orzechowym i dżemem.

-Chryste Panie! - Teddy zerwał się z płaczem. Miał wrażenie, że zmusił mózg, aby oprzytomniał, że ocknął się siłą, by wyrwać się z tego przerażającego snu. Czuł, że jeszcze czai się gdzieś w głębi jego umysłu, czeka na dogodną okazję, przyzywa go do siebie. Wystarczyło, że przymknie oczy i przyłoży głowę do poduszki, a znów się w nim pograży.

-Jak samopoczucie, szeryfie? Mrugał, usiłując przeniknąć ciemność.

-Kto tam?

Cawley włączył lampkę. Stała obok jego krzesła w rogu pokoju.

-Przepraszam, nie chciałem pana przestraszyć. Teddy podniósł się na łóżku.

-Długo tak leżałem?

Cawley posłał mu zakłopotany uśmiech.

-Te tabletki okazały się silniejsze, niż myślałem. Spał pan cztery godziny.

-Cholera. - Teddy potarł oczy dłońmi.

-Dreczyły pana koszmary, szeryfie. Straszne koszmary.

-Jestem w zakładzie dla obłąkanych na wyspie, która nawiedził huragan.

-Ha, słusne spostrzeżenie - odparł Cawley. - Ja dopiero po miesiącu pobytu tutaj zacząłem się wysypiać. A kto to jest Dolores?

-Słucham? - powiedział Teddy, zsuwając nogi z łóżka.

-Powtarzał pan jej imię.

-Umieram z pragnienia.

Cawley obrócił się w krzesle, podniósł ze stolika szklanke z wodą i podał Teddy'emu.

-To niestety skutek uboczny. Proszę się napić. Teddy wziął szklanke i opróżnił ją kilkoma haustami.

-A jak glowa?

Teddy przypomniał sobie, dlaczego właściwie wylądował w tym pokoiku, i dłuższą chwilę ocenił swój stan. Wzrok bez zarzutu. Po pinezkach w głowie ani śladu. Żołądek jeszcze nie całkiem doszedł do siebie. Lekki ból z prawej strony głowy, jakby od uderzenia sprzed trzech dni - nic poważnego.

-W porządku - ocenił Teddy. - Pigulki faktycznie zadziałały.

-Staramy się dogadzać, jak tylko możemy. Więc kim jest Dolores?

-To moja żona - odparł. - Nie żyje. I owszem, panie doktorze, wciąż nie mogę się z tym pogodzić. Przeszkadza to panu?

-Ależ skąd, szeryfie. Współczuje panu z powodu doznanej straty. Zmarła gwałtowna śmiercią?

Teddy spojrzał na niego i roześmiał się.

-O co chodzi?

-Nie jestem w nastroju do psychoanalizy, panie Freud.

Cawley skrzyżował nogi w kostkach i zapalił papierosa.

-Ale ja wcale nie wlezę z kaloszami do pańskiej duszy. Proszę mi wierzyć lub nie, szeryfie. Ale poprzedniego wieczoru między panem i Rachel coś zaszło. Miał pan w tym swój udział. Zaniechałbym swoich obowiązków jako jej terapeuta, gdybym nie starał się dociec, jakie upiory przywłókł pan za sobą.

-Co takiego zaszło między mną i Rachel? - powiedział Teddy. - Odgrywałem rolę, jaka mi wyznaczyła.

Cawley parsknął śmiechem.

-Poznaj samego siebie, szeryfie. Chce mi pan wmówić, że gdybyśmy zostawili was dwoje sam na sam, po powrocie zastalibyśmy was w ubraniach?

-Jestem przedstawicielem prawa, panie doktorze - odparł Teddy. - Może panu się wydawać, że coś pan dostrzegł, ale jest pan w błędzie.

-Dobrze. Skoro pan tak twierdzi - powiedział Cawley, unosząc pojednawczo rękę.

-Tak twierdze.

Cawley rozsiadł się na krześle, zapalił papierosa i przyglądał się badawczo Teddy'emu,

wydmuchując kleby dymu. Teddy uzmysłowił sobie szalejący na zewnątrz sztorm, napierający na ściany, wciskający się w szczeliny między murami a dachem.

Cawley siedział milczący, skupiony.

-Zginęła w pożarze - odezwał się w końcu Teddy. - Tesknie za nią jak... Nie brakowałoby mi tak bardzo tlenu pod wodą, jak brakuje mi jej. - Uniosł brwi, zwracając się do Cawleya. - Zadowolony?

Cawley pochylił się, podał mu papierosa i ogień.

-Kochałem kiedyś pewną kobietę we Francji. Ale mojej żonie ani słowa, dobrze?

-Pewnie.

-Kochałem tą kobietę, jak się kocha... ach, nieważne - powiedział Cawley z nutką zdziwienia w głosie. - Takiej miłości z niczym nie da się porównać, prawda?

Teddy kiwnął głową.

-Jest niepowtarzalnym darem - mówił Cawley, wzdychając wzrokiem za snującym się dymem z papierosa, wybiegając wzrokiem hen daleko, nad ocean.

-A co pan robił we Francji?

Cawley uśmiechnął się i pogroził mu żartobliwie.

-Och - zmitygował się Teddy.

-W każdym razie pewnego dnia wieczorem kobieta ta szła na spotkanie ze mną.

Zapewne się spieszyła. W Paryżu padał deszcz, było już ciemno. Przewróciła się i koniec.

-Słucham?

-Przewróciła się. Potknęła się, upadła, uderzyła głową o coś twardego, zginęła na miejscu. Nie do wiary, prawda? W taki sposób. W czasie wojny, kiedy można umrzeć na tysiąc różnych sposobów. Przewróciła się na chodniku.

Teddy widział ból i oszłomienie malujące się na twarzy Cawleya, jakby po tylu latach wciąż jeszcze nie potrafił przejść do porządku dziennego nad tym, że padł ofiarą kosmicznego kawału.

-Czasami - ciągnął cichym głosem doktor - udaje mi się nie myśleć o niej przez trzy godziny. Czasami udaje mi się przez kilka tygodni nie rozpamiętywać jej zapachu, spojrzenia, jakie mi posyłała, kiedy wiedziała, że tego dnia będziemy mogli być sam na sam, jej włosów - jak

bawila sie nimi przy czytaniu. Czasami... - Cawley urwal i zdusil niedopalek. - Nie wiem, dokad udala sie jej dusza, moze przeniosla sie gdzies, przeszla przez brame, ktora otworzyla sie w chwili jej smierci? Gdybym wiedzial, ze to przejście znow sie tam pojawi, jutro wyruszyłbym do Paryza i wskoczył za nią.

-Jak miała na imię? - zapytał Teddy.

-Marie - odparł Cawley i widac było, że wypowiedzenie na głos jej imienia wiele go kosztowało.

Teddy zaciągnął się papierosem, powoli wypuścił ustami dym.

-Dolores rzuciła się we śnie - powiedział. - Zdarzało się często, że obrywałem w twarz. Pac, i jej ręka lądowała na moim nosie i ustach. I tak zostawała. Stracałem ją, wie pan? Czasami dość bezceremonialnie. Smacznie spie, a tu lup, i już po spaniu.

Wielkie dzięki, kotku. Ale od czasu do czasu pozwalałem jej zostać w tej pozycji.

Całowałem ją, wachalem, wdychalem. Oddałbym cały świat, żeby znow poczuć te ręce na twarzy. Ściany zadudniły, noc zadrzała w uścisku huraganu. Cawley przyglądał się Teddy'emu, jakby obserwował dzieciaki dokazujące na rogu ulicy.

-Jestem naprawdę dobry w swoim fachu, szeryfie. Mam o sobie wysokie mniemanie, przyznaje. Moją ilość inteligencji wykracza ponad przeciętną. Już jako chłopiec umiałem rozszyfrowywać ludzi. Proszę się nie obrazić, ale chcę panu coś zakomunikować. Czy przyszło panu kiedykolwiek do głowy, że ma pan skłonności samobójcze?

-Dobrze wiedzieć, że nie chciał mnie pan obrazić - odparł Teddy.

-Przyszło to panu do głowy?

-Owszem, i dlatego odstawiłem gorzale, doktorze.

-Bo wie pan, że... - ...polknąłbym kulke już dawno temu, gdybym dalej pił.

-Przynajmniej pan się nie oszukuje - doszedł do wniosku Cawley.

-Tak, to przemawia na moją korzyść.

-Kiedy pan stąd wyjedzie... Mogę podać panu kilka nazwisk. Świetnych lekarzy.

Mogliby panu pomóc.

Teddy potrząsnął głową.

-Szeryfowie federalni nie leczą się na głowę. Przykro mi. Gdyby to się wydało, byłby to

koniec mojej sluzby.

-W porzadku, w porzadku. Sluszny argument. Ale prosze posluchac, szeryfie...

Teddy spojrzal na niego.

-Jesli nie zmieni pan swojego nastawienia do zycia, bedzie to tylko kwestia czasu.

-Co pan moze o tym wiedziec?

-Owszem, moge. Moja specjalnosc to psychiczne urazy na tle doznanej straty i poczucie winy wynikajace z faktu ocalenia. Cierpie na to, totez sie w tym specjalizuje.

Widzialem kilka godzin temu, jakim wzrokiem patrzyl pan na Rachel Solando - wzrokiem czlowieka, ktory szuka smierci. Panski szef w miejscowym wydziale poscigowym sporo mi o panu mowil. Powiedzial, ze nie ma wsrod swoich podwladnych drugiego z tyloma odznaczeniami za zaslugi wojenne. Podobno przywiozl pan z wojny caly stos medali. To prawda?

Teddy wzruszyl obojetnie ramionami.

-Ponoc bil sie pan w Ardenach i wyzwalal oboz zaglady w Dachau?

Kolejne wzruszenie ramionami.

-A potem ginie panska zona? Kto by sie w koncu nie zalamal pod takim brzemieniem gwaltu i okrucienstwa, szeryfie?

-Nie wiem, doktorze - odparl Teddy. - Sam sie nad tym zastanawiam.

Cawley pochylil sie w jego strone i klepnal go w kolano.

-Prosze przed wyjazdem wziac ode mnie te nazwiska. Dobrze? Milo by bylo, szeryfie, wiedziec za piec lat, ze jeszcze chodzi pan po tym swiecie.

-Tak, milo by bylo - zgodzil sie cicho Teddy.

13

Odnalazl Chucka w piwnicach kwater dla poslugaczy, gdzie na czas nawalnicy napredce urzadzono ogolna sypialnie. Droga do niej wiodla przez szereg podziemnych korytarzy laczacych wszystkie budynki zespolu szpitalnego. Teddy'ego zaprowadzil tam poslugacz imieniem Ben, zwalisty drab z trzesacymi sie faldami bialego cielska. Przeszli przez cztery ryglowane bramy i mineli trzy stanowiska obsadzone przez dyzurnych. Tu na dole nikt by sie nawet nie domyslil, ze na powierzchni szaleje huragan. Korytarze byly dlugie, szare, kiepsko oswietlone i niepokojaco przypominaly Teddy'emu korytarz z jego sennego koszmaru. Moze

nie ciagnely sie tak bez konca, nie kryly w sobie tylu mrocznych zakamarkow, ale ich metaliczna szarosc i chlod byly tak samo odpychajace. Na widok Chucka poczul zaklopotanie. Nigdy dotad nie zlupal go atak migreny w miejscu publicznym; ze wstydem przypomnial sobie, ze zwymiotowal na podloge. Byl bezradny jak noworodek; musieli podnosic go z krzesla.

Ale kiedy Chuck z drugiego konca pomieszczenia zawolal: "Hej, szefie!", Teddy z zaskoczeniem uzmyslowil sobie poczucie ulgi, plynacej z prostego faktu, ze znow sa razem. Zabiegal o to, zeby przeprowadzic to dochodzenie w pojedynke, ale szefostwo odmowilo. Na wiec o tym mocno sie wkurzyl, ale teraz, po dwoch dniach pobytu na tej wyspie, po wyprawie na cmentarz, przygodzie z Rachel i tych pieprzonych koszmarach, musial przyznac, ze jednak dobrze miec partnera.

Uscisneli sobie rece i wtedy powrocily do niego slowa Chucka ze snu - "Ja juz nie wydestane sie z tej wyspy" - i Teddy'emu przeszyla piers widmowa jaskolka, ktora zatrzepotala skrzydlami.

-Jak sie czujesz, szefie? - spytal Chuck, poklepujac go po ramieniu.

Teddy usmiechnal sie z zazenowaniem.

-Lepiej. Troche jestem roztrzesiony, ale ogolnie w porzadku.

-Jasna dupa - powiedzial Chuck, znizajac glos i odsuwajac sie od dwoch poslugaczy, ktorzy cmili papierosy oparci o filar nosny. - Najadlem sie przez ciebie strachu. Juz myslalem, ze to atak serca albo wylew.

-To tylko migrena.

-Tylko - szepnal Chuck. Odeszli dalej od poslugaczy, staneli przy betonowej scianie pomalowanej na bezowo. - Najpierw podejrzewalem, ze sie zgrywasz, no wiesz, jakbys cos kombinowal, zeby dostac sie do kartoteki czy cos w tym rodzaju.

-Szkoda, ze nie jestem taki sprytny.

Chuck zajrzal Teddy'emu w oczy, wzrok mial palajacy, natarczywy.

-Ale to podsunelo mi pomysl.

-Nie mow, ze sie odwazyles?

-Odwazylem sie.

-Co zrobiles?

-Powiedzialem Cawleyowi, ze posiedze przy tobie. No i czuwalem przy tobie.

W pewnej chwili ktos zadzwonił do niego i Cawley wyszedł z gabinetu.

-Zaczales szperac w kartotece?

Chuck skinął głową.

-I co znalazles?

-Wlasciwie to niewiele - odparł, robiąc smutną minę. - Nie mogłem dobrać się do szaf z aktami. Cawley pozakładal tam zamki, z jakimi do tej pory się nie spotkałem.

A mam w operowaniu wytrychem spore doświadczenie. Z tymi też bym się uporał, ale zostałyby ślady. Rozumiesz?

-Postapiles słusznie.

-No tak... - Chuck skinął głową przechodzącemu posługaczowi i Teddy'ego ogarnęło niesamowite wrażenie, że obaj z Chuckiem trafili w sam środek starego filmu z Jamesem Cagneyem i są para skazanców na wybiegu, którzy knują, jak wyrwać się z kłosa. - Ale przetrzasnałem biurko Cawleya.

-Co takiego?

-Czyste wariactwo, nie? Później dasz mi po łapach.

-Po łapach? Zasluzyles na medal.

-Za co medal? - odparł Chuck. - Trafilem tylko na jego terminarz. I co dziwne, były w nim zaznaczone cztery dni - wczoraj, dzisiaj, jutro i pojutrze. Cawley obrysował je czarną obwódką.

-To z powodu huraganu. Dowiedział się, że nadciąga.

Chuck potrząsnął głową.

-Przez wszystkie cztery ramki biegł napis. Wiesz, o co mi chodzi? Jakby ktos planował w tych dniach wakacje na Cape Cod i zaznaczył to w kalendarzu. Kapujesz?

-Jasne.

Nagle zjawił się przy nich Trey Washington z rozmokłą cygaretką w gębie, przemoknięty od stop do głowy.

-Panowie szeryfowie spiskują po katach?

-A co myślałes? - odparł Chuck.

-Byles na dworze? - spytał Teddy.

-O tak. Cos potwornego, co sie tam teraz wyprawia. Obkladalismy budynki workami z piachem, zabijalismy dechami okna. Cholera. Zastrancy przewracali sie jeden przez drugiego na tej pizdziawie. - Trey przypalil cygaretkę zapalniczka i zwrocil sie do Teddy'ego. - Nic panu nie jest, szeryfie? Chodza sluchy, ze mial pan atak.

-Jaki atak?

-Kazdy gada co innego. Wie pan, jak to jest. Teddy sie usmiechnal.

-To migrena. Daje mi lupnia jak cholera.

-Moja ciotka na nia chorowala. Co ta biedaczka sie wycierpiala. Zamykala sie na klucz, gasila swiatla, zaciagala zaslony i nie wysciubiala nosa do rana.

-Rozumiem ja.

Trey pyknal cygaretkę.

-Dawno temu wykorkowala, ale szepne dzis za nia slowko temu panu na gorze.

Niech ma ja w swojej opiece. A po prawdzie wredne z niej bylo babsko, czy ja glowa bolala, czy nie. Tlukla mnie i brata laga ile wlaslo. Bywalo, ze bez powodu. "Cioteczko - pytam ja - a za co to? Przeciez nic nie zrobilem". A ona na to: "Moze i nie, ale na pewno knujesz cos straszneho w tej swojej lepetynie". I co poczac z taka baba?

Wydawalo sie, ze naprawde czeka, az mu odpowiedza, wiec Chuck odparl:

-Uciec od niej jak najdalej.

Trey zasmial cicho z cygaretkę w zebach.

-Tak, to prawda - westchnal. - Ide sie wysuszyc. No to na razie.

-Trzymaj sie, Trey.

W pomieszczeniu zrobilo sie tloczno od wracajacych z dworu mezczyzn, ktorzy otrzasali z wody sztormiaki i czarne kapelusze z szerokimi rondami, pokaslywali, palili papierosy, pociagali calkiem jawnie z piersiowek.

Teddy i Chuck, oparci o sciane, rozmawiali sciszonym glosem, patrzac na przybylych.

-Wiec w kalendarzu... - Tak? - ...nie bylo napisane "Wakacje na Cape Cod". - Nie.

-A co? - "Pacjent szescdziesiaty siodmy".

-Tylko tyle?

-Tylko tyle.

-Ale i tak wystarczy, jak myślisz?

-Moim zdaniem aż nadto.

Nie mogli zasnąć. Słuchali, jak inni pochrapiują, sapiają, wdychają i wydychają powietrze, niektórzy z cichym świstem. Słyszał głosy mowiących przez sen. Jeden mówił: "Trzeba było mi powiedzieć, i już. Skąd miałem wiedzieć?", a drugi powtarzał: "Przeczona kukurydza wpadła mi do gardła". Niektórzy kotłowali się w pościeli, inni przewracali z boku na bok, jeszcze inni unosili się, żeby poprawić poduszki, i opadali ciężko na łóżka. Z czasem odgłosy te zestroiły się w jedną dźwiękową całość o powolnym rytmie, kojarzącym się Teddy'emu z przytłumionym hymnem.

Hałasy docierające z zewnątrz również były przytłumione, ale Teddy słyszał, jak huragan szoruje o ziemię i wali w fundamenty. Żałował, że nie może wyrzucić przez okno, chociażby po to, żeby zobaczyć błyskawice malujące się na niebie upiornym światłem.

Przypominał sobie słowa Cawleya.

To tylko kwestia czasu.

Naprawdę miał skłonności samobójcze?

Pewnie tak. Pamiętał, że od śmierci Dolores nie przeżył dnia bez myśli o tym, żeby do niej dołączyć. Czasami nawet posuwał się dalej, wyrzucał sobie, że kurczowe trzymanie się życia jest z jego strony przejawem tchórzostwa. Jaki sens miało kupowanie żywności, wlewanie benzyny do baku chryslera, golenie się, wkładanie skarpetek, wystawanie w kolejkach, wybieranie krawatu, prasowanie koszuli, mycie twarzy, czesanie się, realizowanie czeku z wypłatą, odnawianie licencji, czytanie gazet, sianie, jedzenie - w samotności, w ciągłej samotności - chodzenie do kina, kupowanie płyt, opłacanie rachunków, znowu golenie się, znowu mycie, spanie, budzenie się ze snu...

...jeśli żadna z tych czynności nie przybliżała go do niej?

Wiedział, że powinien się pozbić. Otrząsnąć. Przeboleć w końcu jej stratę. Radzili mu to nieliczni znajomi i krewni, a on, gdyby patrzył na siebie z ich punktu widzenia, pewnie przyznałby im rację. Też kazalby temu Teddy'emu przestać się nad sobą roztkliwiać i wziąć się w garść, poukładać sobie jakieś życie.

Ale do tego konieczne było odstawienie Dolores na polkę, przyzwolenie na to, żeby obrosła kurzem, w nadziei, że nagromadzony kurz zagłuszy wspomnienia o niej. Zatrze jej obraz. Aż pewnego dnia wyda mu się istota wysniona, a nie kobieta, która niegdyś stapała po ziemi.

Mowia: Musisz sie z tym pogodzic, zaczac od nowa, ale co zaczac? To zasrane zycie? Jak mam cie wyrzucic z pamieci? Do tej pory mi sie nie udalo, wiec jak mam sobie z tym poradzić? Jak sprawic, zebys odeszla w przeszlosc? To wszystko, o co prosze. Chce cie objac, poczuc znow twoj zapach i, owszem, chce, zebys rozplynela sie w mroku, tak, tego chce. Zebys rozplynela sie w mroku...

Te cholerne pigulki. Trzecia nad ranem, a on dotad nie zmruzył oka. Umysl miał rozbudzony, slyszal jej glos o ciemnej barwie, z nalecialosciami bostonskiego akcentu, który objawiał się, gdy nocami zapewniała go o swej dozgonnej miłości. Uśmiechnął się, slyszac jej glos, jakby była obok niego, mając przed oczami jej twarz, żeby, rzesy, leniwa lubieznosc spojrzenia, jakie posylala mu w niedzielne poranki.

Pamiętał te noc, kiedy los zetknął go z nią w Coconut Grove. Do tanca grał zespół jazzowy z rozbudowana sekcja deka, powietrze było sine od dymu, wszyscy odziani w najlepsze stroje wyjsciowe - marynarze i żołnierze w galowych mundurach, białych, niebieskich, szarych, elegancy panowie w zaboicznych kwiecistych krawatach i dwurzedowych marynarkach z chusteczkami złożonymi w trojkat, wsuniętymi dla szyku w gorna kieszen, i kobiety, wszędzie kobiety. Podrygiwały nawet wtedy, kiedy odchodziły przypudrowac sobie nos. Plasaly, krazac od stolika do stolika, obracaly sie na palcach, kiedy zapalaly sobie papierosy, otwieraly z trzaskiem kosmetyczki, sunely do baru i smialy sie, odchylajac do tyłu glowy, a ich włosy lsnily jak satyna i migotaly w ruchu.

Teddy wybral sie tam z Frankiem Gordonem, kumplem ze szkoly wywiadu, tak jak on w stopniu sierzanta, i jeszcze kilkoma facetami; wszyscy za kilka dni odplywali na front za ocean. Lecz w chwili kiedy ja ujrzał, zostawil Frankiego, nawet nie dosluchal do konca tego, co mu opowiadal, i ruszyl w strone parkietu. Na moment stracil ja z oczu; przyslonili ja tancerze ustepujacy miejsca marynarzowi, który wywijal blondynka w bialej sukni - przerzucil ja przez plecy, a potem cisnal do przodu nad swoja glowa, złapal w locie i przechylil tuż nad podloga, wywołujac glosny zachwyty tłumy - wtedy znow w oddali mignela Teddy'emu jej fioletowa suknia.

Była piękna, przede wszystkim zwracala uwage swa barwa. Tego wieczoru nie brakowalo na sali pieknych kobiecych kreacji, totez to nie suknia go zaintrygowala, lecz sposob, w jaki ona ja nosila. Nerwowo. Jakby czula sie w niej nieswojo. Co chwila dotykala jej z obawa, obciagala ja. Przygladzala wywatowane ramiona.

Na pewno pozyczyla suknie na ten wieczor. Nigdy nie miala czegos takiego na sobie.

Była przerazona. Tak bardzo, ze nie potrafila okreslic, czy kobiety i mezczyzni przygladaja sie jej z litoscia, zawiscia, czy pozadaniem.

Napotkala utkwione w niej spojrzenie Teddy'ego, gdy niespokojnie poprawiala ramiaczkę biustonosza. Spuscila wzrok, splonila sie, ale po chwili znow popatrzyła na niego, a Teddy, nie odrywajac od niej oczu, uśmiechnal sie i pomyslal: Ja tez czuje sie glupio w tym stroju.

Poslal jej te mysl przez sale. Moze do niej dotarla, gdyz odpowiedziala mu usmiechem, moze nie tyle zalotnym, ile pelnym wdziecznosc, i wtedy Teddy ruszyl ku niej, ignorujac Frankiego, ktory opowiadal chyba cos o zapasach paszy w Iowa, a kiedy przedarl sie przez cizbe spoconych tancerzy, uswiadomil sobie, ze nie wie, co jej powiedziec. Jak nawiaze rozmowe? Ladna sukienka? Moge postawic ci drinka? Masz piekne oczy?

-Zgubiles sie? - uslyszal jej glos.

Obrocil sie i oto mial ja przed soba. Byla niewysoka, najwyzej sto szescdziesiat centymetrow w butach na wysokich obcasach. Zachwycajaco sliczna. W przeciwienstwie do wielu innych kobiet obecnych na tej sali jej uroda nie polegala na wywazonych proporcjach i doskonałych kształtach. Bylo w niej cos nieogladzonego, oczy byc moze nieco za szeroko rozstawione, usta tak pelne, ze niemal razily na drobnej twarzyczce, podbrodek o chwiejnej linii.

-Tak jakby.

-A czego wlasciwie szukasz?

Odpowiedzial, nim zdazyl sie zreflektowac i ugryzc w jezyk.

-Ciebie.

Otworzyla szeroko oczy i dostrzegl w nich skaze, brazowa plamke na lewej teczowce. Ogarnelo go przerazenie na mysl o tym, ze wszystko popsul, wypadl jak podrywacz, gladki w obejsciu, pewny siebie.

Ciebie.

Skad on, do jasnej cholery, to wytrzasnal? Co on, do jasnej cholery...

-Coz... - odezwala sie.

Mial ochote uciec jak niepyszny. Czul sie jak na mekach, jeszcze chwila i... - ...przynajmniej sie nie nachodziles.

Twarz rozciagnela mu sie w szerokim, cielecym usmiechu, ujrzal swoje odbicie w jej oczach. Ciolek. Matol. Oslupialy ze szczescia.

-Tak, chyba sie nie nachodzilem.

-Moj Boze - powiedziala, odchylajac sie do tyłu, zeby mu sie przypatrzec, z kieliszkiem martini przycisnietym do piersi.

-Co takiego?

-Czujesz sie tu tak samo obco jak ja, prawda, zolnierzu?

Kiedy usiadla na tylnym siedzeniu taksowki obok swej przyjaciolki, Lindy Cox, ktora pochylajac sie do przodu, mowila taksowkarzowi, dokad ma je zawiezc, przysunela glowe do szyby.

-Dolores - powiedzial Teddy.

-Edward. Rozesmial sie.

-Co sie stalo?

-Nic takiego - odparl, podnoszac reke. - A wlasnie, ze tak.

-Nikt na mnie nie mowi Edward oprócz mojej matki.

-No to niech bedzie Teddy. - Tak.

Napawal sie brzmieniem swego imienia w jej ustach.

-Teddy - powtorzyla, jakby cwiczyla wymawianie.

-Hej, nie znam nawet twojego nazwiska - powiedzial.

-Chanal.

Uniosl brew ze zdziwieniem.

-Wiem. Brzmi pretensjonalnie i w ogole nie pasuje do reszty mojej osoby.

-Moge do ciebie zadzwonic?

-Masz glowe do liczb? Teddy usmiechnal sie. - Wlasciwie...

-Winter Hill, szesc-cztery-trzy-cztery-szesc.

Stal na chodniku, odprowadzajac wzrokiem taksowke i wspomnienie jej twarzy tuz przy swojej twarzy - za szyba taksowki, w tancu - omal nie porazilo mu mozgu, niemal wypierajac z niego jej nazwisko i numer telefonu.

Wiec to takie uczucie byc zakochanym, pomyslal sobie. Wbrew wszelkiej logice - przeciez prawie jej nie znal. Ale zakochal sie. Spotkal kobiete, z ktora laczyla go jakby tajemna wiez, zadzierzgnieta, zanim jeszcze sie narodzil. Spelnienie wszelkich marzen, jakim nigdy nie smial sie oddawac.

Dolores. Myslala teraz o nim w ciemnosciach taksowki, czujac go tak, jak on czul ja.

Dolores. Wszystko, czego potrzebował w życiu, oblekło się teraz w ciało, miało imię.

Teddy przekreślił się na łóżku na bok i opuścił rękę do podłogi. Po chwili wymacał notes i pudełko zapalek. Zapalił pierwszą zapalkę o kciuk i trzymał ją nad kartką, na której pisał na deszczu. Zużył cztery zapalki, nim zdołał przyporządkować cyfry odpowiednie litery:

18-1-4-9-5-4-19-1-12-4-23-14-5

R-A-D-I-E-D-S-A-L-D-W-N-E

Lecz kiedy już się z tym uporał, rozszyfrowanie wiadomości nie zajęło mu dużo czasu. Jeszcze dwie zapalki i Teddy spoglądał na odcyfrowane imię i nazwisko przez płomyk pelgający po drewnianku w stronę jego palców. Andrew Laeddis.

Zapalka coraz mocniej grzała go w palce, a on spojrzał na Chucka, pogrążonego we śnie dwa łóżka dalej. Oby tylko nie ucierpiała na tym jego kariera. Nie powinna. Teddy weźmie całą winę na siebie. Chuck się z tego wywinie. Roztaczał wokół siebie pomysłną aure - choćby nie wiem, co się działo, Chuck zawsze spadnie na cztery łapy.

Przeniósł spojrzenie z powrotem na kartkę, zdążył popatrzeć na nią jeszcze raz, nim zgasła zapalka.

Dopadnie cie, Andrew. Przynajmniej w ten sposób splacie dług wobec Dolores, jeśli nie potrafisz oddać dla niej życia.

Znajde cie. I zabije.

Dzisiaj trzeci Szesczdziesiąty osmy pacjent

14

Główny impet uderzenia huraganu spadł na dwa budynki położone poza obrebnem szpitala - domy komendanta i doktora Cawleya. Połowa dachu pałacyku Cawleya została zerwana, a dachówki rozrzucone po całym terenie, niczym na poglądowej lekcji pokory. Do salonu komendanta, mimo zabezpieczeń z płyty pilśniowej, wdarło się przez okno drzewo i tak pozostało, z korzeniami sterczącymi pośrodku pokoju.

Teren szpitala usłany był muszlami i galeziami i zalany kilkucentymetrową warstwą wody. Dachówki, kilka zdechłych szczytów, mnóstwo namokniętych jablek, wszystko dookoła było zaplaskane. Fundamenty budynku szpitala wyglądały tak, jakby ktoś potraktował je młotem pneumatycznym. Oddział A stracił cztery okna, a blacha na dachu w kilku miejscach zwinięta była w rulon. Dwa bungalowy mieszkalne zostały obroczone w gruz, a ściany pozostałych leżały na ziemi. Oddział B uchwycił się nietknięty, bez drasniecia. Wszędzie na wyspie było widac nagie, ostre czubki drzew z odlamanymi koronami.

Powietrze znów stało się ciężkie i zastygłe. Miarowo siąpiła mżawka. Na brzegu wałaly się snięte ryby. Kiedy rano wyszli na zewnątrz, w łączniku natknęli się na podrygującą na chodniku fladę, jednym smutnym, wylupiającym okiem spoglądającą w stronę morza.

Teddy i Chuck patrzyli, jak McPherson wraz ze strażnikiem podnosi przewróconego na bok dzipa. Po włączeniu zapłonu udało się McPhersonowi uruchomić silnik dopiero za piątym razem i zaraz wyjechał z rykiem przez bramę. Po minucie Teddy dojrzał dzipa pokonującego pochyłość za szpitalem, zmierzającego w stronę fortu.

Na teren szpitala wszedł Cawley, przystanął, żeby podnieść odłamek ze swojego dachu, popatrzył na niego i rzucił go na mokra ziemię. Dwukrotnie omiotł spojrzeniem Teddy'ego i Chucka, zanim rozpoznał ich w białych strojach posługaczy, czarnych pelerynach przeciwdeszczowych i kapeluszach. Posłał im ironiczny uśmiech i już kierował się w ich stronę, kiedy z budynku wylonil się lekarz z przewieszonym przez szyję stetoskopem i zaraz do niego podbiegł.

-Dwojka wysiadła. Nie możemy jej naprawić. A mamy dwóch pacjentów w stanie krytycznym. Nie uratujemy ich, John.

-Gdzie jest Harry?

-Harry próbuje przywrócić napięcie, ale bez powodzenia. Jaki pożytek z zasilania awaryjnego, jeśli podczas awarii niczego nie zasila?

-Dobra, zajmiemy się tym. Lekarze pospiesznie weszli do środka.

-Nawalil im generator awaryjny? - zdziwil się Teddy.

-Najwyraźniej takie rzeczy się zdarzają w czasie huraganu - doszedł do wniosku Chuck.

-Widzisz gdzieś włączone światła?

Chuck obejrzał okna.

-Nie.

-Cały system padł? Jak myślisz?

-Całkiem możliwe - odparł Chuck.

-To by znaczyło, że ogrodzenie też.

Chuck wylowil butem jabłko z wody i podniósł. Zamachnął się do tyłu i robiąc wy krok do przodu, cisnął nim o mur. - Rzuuuut pieeerwszy! - zawołał i zwracając się do Teddy'ego dodał: - Tak, to by znaczyło, że ogrodzenie też.

-I pewnie wszystkie zabezpieczenia elektryczne. Drzwi. Bramy.

-Miłosciwy Boże, miej nas w swojej opiece - powiedział Chuck; podniósł następne jabłko, przerzucił je nad głową i złapał za plecami. - Czyżbys miał ochotę wybrać się do fortu?

Teddy wystawił twarz na siąpiący deszcz.

-Wymarzony dzień na taką wyprawę.

Na teren szpitala wjechał dzip, rozbryzgując kołami wodę. Siedzący za kierownicą komendant, któremu towarzyszyło trzech strażników, zauważył Teddy'ego i Chucka stojących beczynn timer na dziedzińcu i ten widok najwyraźniej go rozdrażnił. Wziął ich za posługaczy, domyślił się Teddy, tak jak wcześniej Cawley, i zirytował się, że walesają się bez grabi czy pomp. Ale zaangażowany w ważniejsze sprawy, pojechał dalej, patrząc prosto przed siebie. Teddy uswiadomił sobie, że nie słyszał jeszcze głosu komendanta, i zastanawiał się, czy jest ciemny jak jego włosy, czy jasny jak jego cera.

-No to w drogę - powiedział Chuck. - Trzeba wykorzystać sprzyjające okoliczności.

Teddy ruszył w kierunku bramy. Chuck dogonił go po chwili.

-Zagwizdałbym, ale zaschło mi w gardle.

-Masz pietra? - spytał Teddy żartobliwie.

-Robię w portki ze strachu, tak to się chyba mówi - rzekł Chuck, miotając kolejnym jabłkiem.

Doszli do bramy. Trzymający przy niej straż wartownik miał chłopięcą twarz i okrutne oczy.

-Wszyscy posługacze mają się zgłosić u pana Willisa w biurze administracji - oznajmił. - Jesteście przydzieleni do sprzątania.

Chuck i Teddy spojrzeli po swoich białych koszulach i spodniach.

-Jajka a la Benedict

[Jajko podawane w opiekanej bułeczce z kanadyjskim bekonem i sosem Hollandaise.]
powiedział Chuck. Teddy skinął z aprobatą.

-Dziękuję. Właśnie się zastanawiałem. A lunch?

-Reuben

[Tradycyjna przystawka reuben składa się z plasterków wołowiny i sera szwajcarskiego na żółtej grzance, polanych sosem tysiąca wysp] z cienko pokrojonymi plasterkami wołowiny lub indyka, do wyboru.

Teddy odwrócił się do wartownika, mignął mu przed oczami odznaką.

-Nasze mundury są w pralni.

Wartownik spojrzał na odznakę, potem na Chucka, i czekał na dalszy rozwój wypadków.

Chuck westchnął wymownie, wyjął portfel, otworzył go i podsunął wartownikowi pod nos.

-Jaka sprawa macie do załatwienia poza obrebrami szpitala? Pacjentka już się znalazła.

Teddy doszedł do wniosku, że wszelkie wyjaśnienia z ich strony byłyby dowodem słabości i ten mały gnojek zyskałby nad nimi przewagę. Teddy miał już do czynienia z takimi dupkami podczas wojny, w swojej kompanii. Niewielu z nich wróciło do domu, a Teddy często zastanawiał się, czy ktokolwiek naprawdę żałował tych, którzy zginęli.

Nie można było do takiego gnojka nijak dotrzeć, niczego go nauczyć. Ale wiedząc, że czuje respekt przed siłą, można było sprawić, że w końcu spuszczał z tonu.

Teddy podszedł do wartownika, szukał wzrokiem jego spojrzenia i czekał, aż ten popatrzy mu w oczy.

-Idziemy na spacer.

-Nie macie upoważnienia.

-Owszem, mamy. - Teddy przysunął się i chłopak musiał podnieść na niego oczy.

Czuł na twarzy jego oddech. - Jesteśmy szeryfami federalnymi i przebywamy na terenie instytucji federalnej. To tak jakby upoważnił nas sam Bog. Nie podlegamy tobie. Nie mamy obowiązku ci się tłumaczyć. Jeśli uznamy za stosowne, możemy odstrzelić ci fiuta i żaden sąd w tym kraju nawet nie rozpatrzy tej sprawy. - Teddy przybliżył się jeszcze o centymetr.
- Otwieraj te pieprzone bramy.

Chłopak starał się nie uciekać wzrokiem. Przelknął ślinę. Próbował nadać swemu spojrzeniu hardy wyraz.

-Powtarzam: otwieraj...

-Dobrze.

-Nie dosłyszałem - powiedział Teddy.

-Tak jest.

Teddy wypuścił powietrze przez nos, swidrując go surowym wzrokiem.

-Tak trzymaj, synu. Czolem.

-Czolem - odparł odruchowo wartownik, a grdyka wyraźnie się uwypukliła na jego szyi.

Przekrecił klucz w zamku i odsunął skrzydło bramy. Teddy przeszedł, nie oglądając się za siebie.

Ruszyli na prawo, posuwając się wzdłuż muru.

-Nieźle zagranie z tym "czolem" - odezwał się po chwili Chuck.

Teddy spojrzał na niego.

-Mnie też się podobało.

-W wojsku pewnie byłeś ostry, co?

-Jako sierżant miałem pod swoją komendą bandę dzieciaków. Połowa z nich zginęła, nie wiedząc nawet, jak to jest być z kobietą. Łagodnością z takimi nic nie działasz, musisz ich zastraszyć, psiamac, żeby mieć u nich posłuch.

-Tak jest, sierżancie. Słusznie mówicie. - Chuck wyprezył się i zaszalutował. - Chociaż na wyspie nie ma prądu, to chyba nie zapominasz, że bądź co bądź zamierzamy wdrzeć się do fortu?

-Mam to na uwadze, nie martw się.

-Wykombinowałeś coś?

-Jeszcze nie.

-Jest otoczony fosą? Jak myślisz? To dopiero by było.

-Może na blankach trzymają w pogotowiu kadzie z gorącym olejem.

-A łucznicy? - powiedział Chuck. - Jeśli są łucznicy, Teddy...

-A my nie mamy kolczug.

Przeszli przez zwalone drzewo, grunt był podmokły, śliski od mokrych liści.

Dostrzegli w oddali fort, przeswitujący między poszarpaną roślinnością, jego wysokie szare mury; widzieli też koleiny wyłobione przez dzipy kursujące od rana do fortu i z powrotem.

-Ten wartownik w zasadzie miał rację - rzekł Chuck.

-Niby dlaczego?

-Skoro Rachel się znalazła, nasza władza tutaj straciła swoją podstawę. Jeśli nas przyłapają, szefie, w żaden sposób nie zdołamy się sensownie z tego wytłumaczyć.

Teddy czuł rozprysnięte odłamki zieleni pulsujące mu za oczami. Był wyczerpany, lekko oszłamiony. Cztery godziny snu po tak silnej dawce leku, i to snu wypełnionego koszmarami, to stanowczo za mało. Krople deszczu ze stukiem uderzały o jego kapelusz, zbierały się w rondzie. W głowie mu szumiało, ledwo zauważalnie, lecz nieustannie.

Gdyby dzisiaj do przystani przybił prom - w co jednak wątpił - jakaś jego cząstka pragnęła wskoczyć na pokład i odpłynąć. Wyrwać się z tej pieprzonej wysepki. Ale wtedy cała wyprawa poszłaby na marne; nie zdobywszy żadnych dowodów dla senatora Hurly'ego czy choćby świadectwa zgonu Laeddisa, wracaliby z pustymi rękami, przegrani. Nadal bliski samobójstwa, a do tego jeszcze z ciężacym mu na sumieniu poczuciem, że nie uczynił nic, aby zmienić ten stan rzeczy. Otworzył machnięciem notes i podsunął go Chuckowi.

-Pamiętasz te stosy kamieni usypane przez Rachel? Oto rozszyfrowana wiadomość.

Chuck osłonił notes stulonymi dłońmi, przysunął blisko do siebie.

-Wiem jednak tu jest. - Tak.

-Myślisz, że to właśnie pacjent szesćdziesiąty siódmy?

-Wszystko za tym przemawia. Teddy zatrzymał się przy skale wystającej pośrodku błotnistej stoku.

-Możesz się wycofać, Chuck. Ty nie musisz się w to pakować.

Chuck popatrzył na niego, plasnął notatnikiem o reke.

-Jesteśmy szeryfami federalnymi, Teddy. Co nakazuje nam etyka zawodowa?

Teddy się uśmiechnął.

-Brac szturmem drzwi.

-Bierzemy szturmem drzwi, i to pierwsi. Nie czekamy na wsparcie, kiedy czas ucieka. Nie oglądamy się na krawężników, tylko szturmujemy te pieprzone drzwi.

-O tak.

-No to wszystko jasne - odparł Chuck, oddał mu notatnik i razem ruszyli w kierunku fortu.

Kiedy od fortu oddzielała ich jedynie kepa drzew oraz wąski pas pola, mogli się mu

dokładniej przyjrzec, Chuck wypowiedział na głos to, co Teddy pomyslał:

-Mamy przerabane.

W wielu miejscach huragan powrywał z ziemi ogrodzenie opasujące warownię.

Kilka jego odcinków leżało płasko na ziemi, inne cisnięte zostały aż do odległej linii drzew, a reszta ogrodzenia zwisała bezużytecznie.

Ale okolice patrolowali uzbrojeni strażnicy. Dookoła fortu stałe krzątało parę dziupli.

Przed murami zbierał szczątki oddział posługaczy, a druga grupa zmagala się z potężnym drzewem, które utkwilo między blankami. Fosa nie było, lecz do fortu wiodło tylko jedno wejście, przez małe czerwone drzwi z karbowanego żelaza, osadzone pośrodku muru. Na blankach trzymali straż wartownicy z karabinami w reku, w kilku wąskich okienkach wyciętych w kamieniach widniały kraty. Nigdzie w polu widzenia nie było pacjentów, w kajdanach czy bez. Sami strażnicy i posługacze, mniej więcej w równej liczbie.

Teddy zobaczył, że na skraju muru, pomiędzy dwoma rozstępującymi się wartownikami, pojawiło się kilku posługaczy. Zawołali do swoich kolegów w dole, żeby się odsuneli. Dopchnęli do krawędzi muru grubym piętrem, ciągnęli i napierali na niego, aż wysunięty za blankę zaczął się kołysać. Potem posługacze wycofali się i zniknęli Teddy'emu z oczu. Pchnęli piętrem od tyłu, aż przesunął się o kolejny metr, przechylił się i przy akompaniamencie ostrzegawczych wrzasków runął w dół, i roztrzaskał się o ziemię. Posługacze wrócili na skraj muru, spojrzeli na swoje dzieło i zaczęli sobie nawzajem gratulować.

-Musisz tu być jakiś kanał, nie? - odezwał się Chuck. - Do odprowadzania ścieków do morza czy coś w tym rodzaju. Można by spróbować tamtędy.

Teddy potrząsnął głową.

-Szkoda zachodu. Po prostu wejdziemy do środka.

-Aha. Tak jak Rachel czmychnęła z oddziału B? Rozumiem. Pożyczymy od niej czapkę-niewidkę. Świetny pomysł.

Widząc pełną powatpiwania minę Chucka, Teddy dotknął kołnierza swego sztormiaka.

-Nie mamy na sobie służbowych mundurów. Domyślasz się, o co mi chodzi?

Chuck spojrział na posługaczy porządkujących teren przed murami, dostrzegł jeszcze jednego wychodzącego na zewnątrz z kubkiem gorącej kawy, kleby pary wyla się na deszczu niczym weze.

-Sprytnie, bracie - rzekł z uznaniem. - Sprytnie.

Palili papierosy i pletli bzdury, idac do fortu. W polowie drogi natkneli sie na straznika, przewieszony przez ramie karabin dyndal mu leniwie z lufa skierowana do ziemi.

-Zostalismy tu przydzieleni - powiedzial Teddy. - Podobno jakies drzewo zaklinowalo sie na murach?

Straznik spojrzal przez ramie.

-Juz sobie z nim poradzili.

-To swietnie - rzekl Chuck i obaj z Teddym zaczeli sie odwracac.

-Hej, wolnego - zawolal straznik. - Jest tu jeszcze mnostwo innej roboty.

-Na dworze pracuje chyba z trzydziestu chlopa - zauwazyl Teddy.

-Zgadza sie, ale ktos musi zrobic tez porzadek wewnatrz. Huragan takiej warowni nie zburzy, ale szkod w srodku narobi. Rozumiecie?

-Jasne - odparl Teddy.

-Gdzie jest zespol zajmujacy sie sprzataniem? - spytal Chuck straznika opierajacego sie o mur przy drzwiach.

Straznik wskazal kciukiem za siebie i otworzyl im drzwi. Weszli do ciemnego pomieszczenia.

-Nie chce wyjsc na niewdziecznika - oswiadczył Chuck - ale za latwo nam poszlo.

-Nie przesadzaj z ta podejrzliwoscia - odparl Teddy. - Czasami po prostu czlowiekowi sprzyja szczescie.

Uslyszeli za soba odglos zamykanych drzwi.

-Szczescie - powtorzyl Chuck lekko roztrzesionym glosem. - Wiec tak mamy do tego podchodzic?

-Wlasnie.

Juz od progu uderzyl Teddy'ego w nozdrza panujacy tu odor. Zapach silnego srodka odkazajacego, starajacego sie za wszelka cene zatuszowac smrod wymiocin, kalu, potu, a przede wszystkim moczu.

Zaraz potem w glebi budynku i na gornych pietrach uslyszeli jakis zgielek: odglosy bieganiny, wrzaski odbite od grubych scian, zwielokrotnione przez echo, rozchodzace sie w wilgotnym powietrzu, nagly skowyt, swidrujacy w uszach i zamierajacy, uporczywe trajkotanie kilku roznych glosow naraz.

-Nie mozecie! - krzyчал ktos. - Nie mozecie, kurwa! Slyszycie? Nie mozecie.

Zabierajcie te... - Glos zamilkl.

Gdzies nad ich glowami, za lukiem kamiennych schodow jakis mezczyzna spiewal "Sto butelek piwa na scianie". Odspiewal wlasnie siedemdziesiata siodma butelke i zabieral sie do siedemdziesiatej szostej.

Na stoliku, obok papierowych kubkow i kilku butelek mleka, staly dwa termosy z kawa. Przy drugim stoliku, u podnoza schodow, siedzial straznik, ktory przygladal sie im z usmiechem.

-Pierwszy raz, co?

Teddy spojrzal na niego. Stare halasy przebrzmialy, zastapily je nowe, calosc zlewala sie w dzwiekowa orgie, ktora atakowala uszy ze wszystkich stron.

-Tak. Slyszelismy roznie historie, ale...

-Przywykniecie - powiedzial straznik. - Do wszystkiego mozna przywyknac. - Swieta prawda.

-Jesli nie macie przydzialu na mury, mozecie zostawic kurtki i kapelusze tu na dole.

-Kazali nam pojsc na mury - oswiadczył Teddy.

-A komu tak podpadliscie? Tymi schodami wejdziecie na sama gore. Juz prawie wszystkich czubkow przykulismy do lozek, ale jeszcze paru biega na wolnosc. Jak zobaczycie ktoregos, krzyczcie, jasne? W zadnym razie nie probujcie sami go obezwladnic. To nie oddzial A. Te skurwiele moga zabic czlowieka golymi rekami.

Rozumiemy sie?

-Rozumiemy sie. Ruszyli schodami na gore.

-Zaraz, chwila - zawolal za nimi straznik. Staneli, obejrzel sie do tylu.

Straznik szczerzyl sie od ucha do ucha z wyciagnietym w ich strone paluchem.

Przyjeli postawe wyczekujaca.

-Wiem, coscie za jedni - oznajmil ze swoistym zaspiewem straznik.

Teddy sie nie odzywawal, Chuck tak samo.

-Wiem, coscie za jedni - powtorzyl.

-Czyzby? - wydobył z siebie Teddy.

-No. Jestescie dupkami, ktorym trafil sie przydzial na mury. Na tym kurewskim deszczu. - Rozesmial sie i nadal wytykajac ich palcem, walnal druga dlonia w stolik.

-To wlasnie my - odparl Chuck. - Cha, cha.

-Cha, kurwa, cha - powiedzial straznik.

-Rozszyfrowales nas, stary, nie ma co - rzekl Teddy, udajac, ze bierze go na muszke.

Rechtot kretyna niosl sie za nimi po schodach.

Zatrzymali sie na pierwszej kondygnacji. Przed ich oczami rozciagal sie ogromny hol z lukowatym sklepieniem obitym miedzia, z ciemna, wypolerowana do polysku posadzka. Teddy wiedzial, ze nie dorzucilby stad do przeciwleglej sciany nawet jablkiem czy pilka do baseballu. Hol byl pusty, a brama zapraszajaco uchylona. Kiedy Teddy przekroczyl prog, poczul sie tak, jakby pod zebrami przebieglo mu stado myszy, gdyz pomieszczenie to przypominalo mu sale balowa ze snu, sale, w ktorej Laeddis namawial go na kielicha, a Rachel zarabala swoje dzieci. Roznila sie wprawdzie kilkoma szczegolami - sala w jego snie miala wysokie okna z grubymi kotarami, podloge wylozona parkietem i ciezkie swieczniki, a do srodka saczyly sie strumienie swiatla - lecz mimo to wydala mu sie bardzo podobna.

Chuck klepnal go w ramie; Teddy poczul, ze pot splywa mu po karku.

-Powtarzam, za latwo poszlo - szepnal Chuck z niklym usmiechem. - Gdzie straznik pilnujacy wejścia? Dlaczego brama nie jest zamknieta na klucz?

Teddy'emu stanela przed oczami Rachel z rozwichrzonymi wlosami, z tasakiem w reku, z dzikim wrzaskiem uganiajaca sie za dzieciakami.

-Nie wiem.

Chuck przysunal sie do niego.

-To pulapka, szefie - syknal mu do ucha.

Teddy ruszyl naprzod. Glowa mu pekala. Z niewyspania. Od deszczu. Od stlumionych tupotow i krzykow na gorze. Nagle ukazalo mu sie dwoch chlopcow i dziewczynka, trzymali sie za raczki, ogladali za siebie. Drzeli.

Dolecial go spiew: "...zdejmij jedna i w obieg ja pusc, piecdziesiat cztery butelki piwa...".

Migneli mu przed oczami: chlopcy i dziewczynka suneli w rozedrganym powietrzu.

Zobaczyl zolte tabletki, ktore Cawley wetknal mu do reki wczoraj wieczorem, i poczul

wzbierające mdłości. "Piecdziesiąt cztery butelki piwa na ścianie, pięcdziesiąt cztery butelki...".

-Musimy zawrócić, Teddy. Musimy się stąd wynosić. To wszystko jest cholernie podejrzane. Przecież obaj to czujemy.

Nagle w drzwiach w drugim końcu pomieszczenia stanął mężczyzna.

Był bosy, obnazony do pasa, ubrany jedynie w spodnie od pizamy. Miał ogoloną do skóry głowę; tyle tylko było widac, reszta rysów toniła w mroku.

-Cześć! - odezwał się do nich.

Teddy przyspieszył kroku.

-Berek! Teraz ty gonisz! - zawołał pacjent i ruszył biegiem od progu.

Chuck zrownał się z Teddym.

-Na miłość boską, szefie!

On gdzieś tu był. Laeddis. Teddy wyczuwał jego obecność.

Dotarli do końca holu. Mieli przed sobą strome kamienne schody, które z jednej strony opadały w mrok, a z drugiej wznosiły się w kierunku krzyków i trajkotów, rozlegających się teraz głośniejsz. Teddy usłyszał szcęk metalu i chrzęst lancuchów.

Usłyszał głos wołający:

-Billings! Już dobrze, chłopie! Opanuj się! Tu nie ma dokąd uciec. Rozumiesz?

Nagle ktoś sapnął Teddy'emu koło ucha. Obrócił się w lewo, zobaczył ogolony łeb dwa centymetry od siebie.

-Teraz ty gonisz - oświadczył mężczyzna i dotknął palcem wskazującym ramienia Teddy'ego.

Teddy spojrzał mu w twarz połyskującą w ciemności.

-Teraz ja gonie - odparł.

-Oczywiście, jestem tak blisko, że wystarczyłby twój lekki ruch nadgarstka i znowu ja bym był berkiem, ale potem ja bym ci klepnął, i moglibyśmy tak klepać się na zmianę całymi godzinami, nawet cały dzień - mówił mężczyzna - i na zmianę stawalibyśmy się berkiem, nie robilibyśmy przerwy na lunch, ani nawet na kolację, moglibyśmy to ciągnąć bez końca.

-Ale co to by była za zabawa? - odezwał się Teddy.

-Wiesz, co tam jest? - Mężczyzna wyciągnął rękę w kierunku schodów. - W morzu?

-Ryby - odparł Teddy.

Mężczyzna skinął głową.

-Ryby. Bardzo dobrze. Ryby, tak. Mnóstwo ryb, ale, tak, ryby, bardzo dobrze, ryby, tak, ale jeszcze, jeszcze co? Okrety podwodne. Właśnie. Radzieckie okręty podwodne.

Trzysta, czterysta kilometrów od naszego brzegu. Słyszymy o tym, nie? Mówią o tym w wiadomościach. Jasne. Ale my się tym nie przejmujemy. W gruncie rzeczy zapominamy o tym. To znaczy, owszem, w porządku, są radzieckie okręty, dzięki za informacje. I to wszystko. Przeszliśmy nad tym do porządku dziennego. Wiemy, że kryją się w morzu niedaleko naszego wybrzeża, ale nie myślimy o tym. Racja? A one tam są, uzbrojone w rakietę wycelowaną w Nowy Jork i Waszyngton, w Boston. Są tam i czają się. Czy to cię nie przeraża?

Teddy słyszał Chucka, który stał obok, wolno oddychając, czekając na swoją kolej.

-Jak słusznie zauważyłeś - odparł Teddy - wole o tym nie myśleć.

Mężczyzna chrząknął z aprobatą i pogładził się po szczecinie porastającej mu brodę.

-Docierają tu do nas różne wiadomości. Dziwi cię to, nie? Ale tak jest. Zjawia się nowy, opowiada nam to i owo. Strażnicy też gadają. Wy, posługacze, też gadacie. A my swoje wiemy, wiemy. Co dzieje się na świecie. O próbach z bombą wodorową, o atolach.

Wiesz, jak działa bomba wodorowa?

-Wykorzystuje wodor? - powiedział Teddy.

-Bardzo dobrze. Bardzo sprytnie. Tak, tak. - Facet potakiwał energicznie. - Wykorzystuje wodor. Ale, ale różni się od innych bomb. Zrzuca się bomba, nawet atomowa, i ona eksploduje. Zgadza się? Zgadza się. Natomiast bomba wodorowa imploduje. Zapada się w siebie i następuje ciąg wewnętrznych podziałów. Rozszczepia się i rozszczepia. I całe to rozszczepianie co wytwarza? Masę i energię. Widzisz, z jej furii samozniszczenia powstaje całkiem nowy potwór. Rozumiesz to? Rozumiesz? Im większy rozpad, tym większe samounicestwienie, tym potężniejsza moc się wyzwala.

A potem, potem? Kurwa, sru! Tylko... lup, bum, swist, gwizd. Unicestwiając siebie, roznosi się. Z implozji robi eksplozję o sile rażenia sto razy, tysiąc razy, milion razy bardziej niszczycielskiej od każdej innej znanej bomby. To jest dziedzictwo, które zostawiamy światu. I nie waz się o tym zapominać. - Poklepał Teddy'ego po ramieniu, jakby stuknął w

beben. - Teraz ty berek! Do dziesiątej potęgi!

Zeskoczył po schodach w mrok i tyle go widzieli. Za to słyszeli jego "sru", które wykrzykiwał przez całą drogę na dół. "...czterdzieści dziewięć butelek piwa! Zdejmij jedna...".

-Masz rację - powiedział Teddy. - Wynosmy się stąd.

-Nareszcie zmadrzałeś. Dobiegło ich z góry wołanie:

-Jasna cholera, pomóżcie mi tu ludzie! Jezus!

Teddy i Chuck spojrzeli do góry i zobaczyli dwóch szepionych ze sobą mężczyzn, którzy staczali się po schodach. Jeden był w niebieskim stroju strażnika, drugi w szpitalnej bieli. Zatrzymali się z łoskotem na zakrecie schodów. Pacjent wyswobodził rękę, wbił szpony w twarz strażnika tuż pod lewym okiem i wyrwał mu kawałek skóry.

Strażnik wrzasnął i szarpnął głowę do tyłu.

Teddy i Chuck pobiegli do góry. Pacjent już miał zatopić szpony w twarzy strażnika po raz drugi, ale Chuck zdążył złapać go za nadgarstek.

Strażnik potarł się pod okiem i rozsmarował krew po całym policzku. Słychać było, jak cała czwórka głośno oddycha, z oddali dolatywała piwna piosenka, facet odspiewywał czterdziestą drugą butelkę i już zabierał się do czterdziestej pierwszej, kiedy Teddy zobaczył, jak pacjent podnosi głowę, szczerząc zębami, i zawołał: - Chuck, uważaj! - i rabnął faceta na odlew w czoło, zanim zdążył odgryźć Chuckowi kawałek przedramienia.

-Musisz z niego zejść - zwrócił się do strażnika. - Dalej. Złaz.

Strażnik wyplątał się z nog pacjenta i wgramolił się dwa schodki wyżej. Teddy podszedł do chorego, przygwozdził mu barki do kamiennego podłoża i obejrzał się przez ramię na Chucka, gdy wtem, tuż przy jego twarzy swisnęła palka i złamała leżącemu pacjentowi nos.

Teddy poczuł, jak ciało uderzonego wiotczeje.

-Jezu Chryste! - zawołał Chuck.

Strażnik zamierzył się ponownie, ale Teddy zablokował uderzenie łokciem.

Spojrzał strażnikowi w zakrwawioną twarz.

-Hej! Hej! On jest nieprzytomny. Hej!

Ten jednak czuł zapach swojej krwi. Już podnosił palke.

-Popatrz na mnie! Popatrz na mnie! - krzyknął Chuck.

Straznik zwrocil spojrzanie na Chucka.

-Opamietaj sie, do cholery! Slyszyz, co mowie? Opamietaj sie. Facet jest unieszkodliwiony. - Chuck puscil reke pacjenta, ktora opadla bezwladnie na piers. Usiadl pod sciana, nie odrywal oczu od straznika. - Slyszyz, co mowie? - powtorzyl cicho.

Straznik wbil wzrok w podloge, opuscil palke. Przytknal pole koszuli do rany na policzku, spojrzal na zakrwawiony material.

-Poharatal mi twarz.

Teddy przysunal sie, obejrzal rozdarty policzek. Widywal juz gorsze rany; ta nie stanowila smiertelnego zagrozenia. Ale zostanie po niej paskudna blizna. Zaden chirurg nie zaszyje jej tak, zeby nie bylo sladu.

-Nic ci nie bedzie - uspokoil go. - Zaloza kilka szwow i po sprawie.

Nad glowami rozlegly sie odglosy walki wrecz i rumor przesuwanych sprzetow - Macie tu bunt czy co? - spytal Chuck.

Straznik oddychal gleboko, jego twarz powoli nabierala kolorow.

-NiezupeInie.

-Pacjenci przeieli wladze na oddziale? - dopytywal sie lekkim tonem Chuck.

Chlopak popatrzył badawczo na Teddy'ego, potem na Chucka.

-Jeszcze nie.

Chuck wyjal chusteczke z kieszeni, podal ja straznikowi.

Chlopak kiwnal glowa w podziekowaniu i przycisnal chusteczke do twarzy. Chuck uniosl za nadgarstek reke powalonego. Teddy przygladal sie, jak sprawdza puls. Puscil reke i zajrzal nieprzytomnemu pod powieke.

-Bedzie zyl - oznajmil, patrzac na Teddy'ego.

-Zabierzmy go stad - zakomenderowal Teddy.

Chuck i Teddy przerzucili sobie rece pacjenta przez barki i ruszyli do gory za straznikiem. Delikwent nie wazyl duzo, ale wspinali sie wysoko, a jego stopy wciaz zahaczaly o przednozki. Kiedy weszli na szczyt schodow, straznik obrocil sie, wygladal teraz na starszego, moze tez nieco madrzejszego.

-Jestescie szeryfami - powiedzial.

-Co takiego?

-Widziałem was zaraz po przyjeździe. - Posłał Chuckowi nikły uśmiech. - Ta blizna na policzku rzuca się w oczy.

Chuck westchnął.

-Co tutaj robicie? - zapytał chłopak.

-Ratujemy ci twarz - odparł Teddy.

Straznik oderwał chusteczkę, popatrzył na nią i znow ją przycisnął.

-Wiecie, kogo dzwigacie na swoich barkach? - powiedział. - Paula Vingisa.

Z Wirginii Zachodniej. Ukatrupił bratu żonę i dwie córki, kiedy ten służył w Korei.

Trzymał ciała w piwnicy, no wiecie, używał sobie na nich, kiedy się rozkładaly.

Teddy zwalczył nagłą chęć, żeby wysunąć się spod ramienia Vingisa i spuścić bydlaka ze schodów.

-Nie da się ukryć - powiedział chłopak, odchrząknął i zaczął jeszcze raz. - Nie da się ukryć, że już mnie miał.

Spoglądał na nich zaczerwienionymi oczami.

-Jak się nazywasz?

-Baker. Fred Baker. Teddy podał mu rękę.

-Słuchaj, Fred. Cieszymy się, że mogliśmy ci pomóc. Chłopak przeniósł wzrok na swoje buty uwalane krwią.

-Pytam jeszcze raz: co tutaj robicie?

-Rozglądamy się - odparł Teddy. - Daj nam kilka minut, a potem znikniemy.

Straznik zastanawiał się, a Teddy czuł, że wszystko, co wydarzyło się w jego życiu w ciągu ostatnich dwóch lat - utrata Dolores, wytopienie Laeddisa, przypadkowe odkrycie George'a Noyce'a i jego opowieści o eksperymentach na mózgu, nawiązanie kontaktu z senatorem Hurlym, wyczekiwanie na dogodny moment do wyprawy przez zatokę, tak jak w czasie wojny czekali na sprzyjające warunki przed lądowaniem w Normandii - wszystko to wisiało teraz na włosku, w tej przedłużającej się chwili namysłu straznika.

-Wiecie co? - odezwał się w końcu chłopak. - Pracowałem w różnych niebezpiecznych

miejskach. W aresztach, w więzieniu o maksymalnie zaostrzonym rygorze, w innym szpitalu dla obłąkanych przestępców... - Popatrzył na drzwi i oczy rozszerzyły mu się jak przy ziewnięciu, tylko że usta pozostały zamknięte. - Tak. Mam sporo doświadczenia. Ale ta placówka? - Spoglądał im prosto w oczy. - Rządzi się własnymi prawami.

Wpatrywał się w Teddy'ego, a on próbował odczytać odpowiedź w znudzonym, nieprzenikniętym spojrzeniu chłopaka.

-Kilka minut? W porządku - powiedział strażnik, kiwając głową. - Nikt się nie połapie w tym kurewskim balaganie. Macie kilka minut, a potem się wynosicie, zgoda?

-Jasne - rzekł Chuck.

-I jeszcze jedno. - Chłopak uśmiechnął się blado, kładąc rękę na klamce. - Postarajcie się utrzymać przy życiu przez te kilka minut, dobrze? Byłbym wam za to wdzięczny.

15

Przeszli do pomieszczenia, w którym mieściły się cele z granitowymi ścianami i posadzkami biegnącymi przez całą długość fortu, pod lukami szerokimi na trzy metry i wysokimi na pięć. Jedyne światło wpadało do środka przez wysokie okna na krancach pomieszczenia, ze sklepienia kapala woda, tworząc na posadzce kałuże. Pograżone w ciemności cele ciągnęły się po ich obu stronach.-Główny generator wysiadł o czwartej nad ranem. Zamki do cel są sterowane elektronicznie. To "ulepszenie" wprowadzono stosunkowo niedawno. O kantar dupy by to potłuc - mówił z przekasem Baker. - O czwartej otworzyły się wszystkie cele. Na szczęście da się je zamknąć ręcznie, dlatego udało nam się zagonić większość pacjentów z powrotem do cel i pozamykać na siedem spustów. Ale jakiś kutas dorwał gdzieś klucz.

Zakrada się i wypuszcza ich po jednym. Ucieka i wraca.

-Taki łysy? - spytał Teddy.

Strażnik popatrzył na niego. - Łysy? Tak. Wciąż nam się wymyka. Przypuszczamy, że to jego sprawa. Nazywa się Litchfield.

-Bawi się w berka na klatce schodowej na dole, mineliśmy go po drodze.

Baker poprowadził ich do trzeciej celi po prawej stronie i otworzył drzwi:

-Wrzucie go do środka.

Odszukanie przyczki w ciemnościach zajęło im kilka sekund. Zaraz potem Baker włączył latarkę i skierował jej promień do wnętrza celi. Położyli Vingisa na łóżku, a ten jęknął i w nozdrzach pojawiły mu się pecherzyki krwi.

-Musze sciagnac posilki i ruszyc za Litchfieldem - oswiadczyl Baker. - W piwnicy trzymamy osobnikow, ktorzy nawet nie karmimy, jesli w pomieszczeniu nie ma szesciu straznikow. Jak oni sie wydostana z cel, zrobi sie, kurwa, prawdziwe pieklo.

-Przede wszystkim potrzebny jest lekarz - powiedzial Chuck.

Baker znalazl rog chusteczki nienasiakniety jeszcze krwia i przytknal ja z powrotem do rany.

-Jakos wytrzymam.

-To o niego sie martwie - wyjasnil Chuck. Baker spojrzal na nich przez kraty.

-Dobra. W porzadku. Odszukam lekarza. A wy dwaj? Uwiniecie sie w rekordowym tempie, zgoda?

-Zgoda. Ale sprowadz tu lekarza - powiedzial Chuck, kiedy wychodzili z celi.

Baker przekrecil klucz w zamku.

-Juz sie robi.

Ruszył z kopyta, ominął trzech strażników, którzy wlekli do celi brodatego olbrzyma, i pobiegł dalej.

-Co teraz? - spytał Teddy. W oddali widział uczeponego kraty okiennej mężczyzne i strażników odwijających waz strażacki. Wzrok powoli się przyzwyczajał do nikłego światła docierającego do korytarza, ale cele wciąż tonęły w mroku.

-Musza gdzieś tu trzymać akta pacjentów - rzekł Chuck. - Chociażby z podstawowymi informacjami na potrzeby ewidencji i opieki medycznej. Ty rozejrzyj się za Laeddisem, a ja poszukam akt.

-Domyslasz sie, gdzie je przechowuja?

Chuck obejrzał się w stronę drzwi.

-Sadzac po halasach, im wyzej, tym bezpieczniej. Mysle, ze administracja miesci sie na gorze.

-Dobra. Gdzie i kiedy sie spotykamy?

-Za pietnascie minut?

Strażnicy zdążyli już rozwinąć waz i puscili strumień wody, zmiotli pacjenta z krat, rozłożyli go na podłodze.

W niektórych celach rozległy się okłaski, w innych jęki, tak głębokie i żalose, jakby dochodziły z pola walki.

-Pietnascie minut powinno starczyc. Spotkamy sie w tym wielkim holu?

-Jasne.

Uscisneli sobie rece. Chuck mial wilgotna dlon, nerwowo oblizywal gorna warge.

-Uwazaj na siebie, Teddy.

Wtem drzwi wejsciowe otworzily sie z hukiem i przebiegl obok nich jakis pacjent.

Mial bosc, brudne stopy i pedzil, jakby trenowal do zawodow o wysoka stawke - plynne susy zestrojone byly z wymachami rak, zadajacymi ciosy niewidzialnemu przeciwnikowi.

-Postaram sie - odparl Teddy, usmiechajac sie do Chucka.

-No to na razie.

-Na razie.

Chuck podszedl do wyjscia. Odwrocil sie do Teddy'ego, a ten skinal glowa.

Kiedy Chuck otworzyl drzwi, od strony klatki schodowej nadeszlo dwoch poslugaczy. Gdy Chuck zniknal za rogiem, jeden z nich zwrocil sie do Teddy'ego:

-Nie przebiegala czasem tedy Wielka Nadzieja Bialych?

Teddy spojrzal do tyłu, zobaczyl pacjenta przebierajacego nogami w miejscu i okladajacego piesciami powietrze. Wskazal go reka i cala trojka ruszyla w strone pacjenta.

-To byly bokser? - spytal Teddy.

-Trafiles do nas z plazy, co? Z oddzialow wypoczynkowych? - odezwal sie poslugacz po jego lewej, czarnoskory mezczyzna, wyzszy i starszy od swego kolegi. - Jakby to powiedziec? Ten tutaj, Willy, wierzy, ze trenuje do walki z Joe Louisem w Madison Square. Nawet jest niezly.

Zblizali sie do pacjenta, ktory zawziecie mlotal powietrze.

-Nie damy mu rady we trojke - ocenil Teddy.

Murzyn parsknal smiechem.

-Sam sobie z nim poradze. Jestem jego menedzerem. Nie wiedziales? Hej, Willy! - zawolal.

- Czas na masaż, stary. Do walki została już tylko godzina.

-A po kiego mi masaż? - odparł Willy, wyprowadzając serie szybkich, lekkich ciosów.

-Nie mogę dopuścić do tego, żeby kura znosząca dla mnie złote jaja nagle dostała kurczaka - powiedział posługacz. - Słyszysz?

-Kurczak chwycił mnie tylko wtedy, kiedy białym się z Jersey Joem.

-I wiesz, jak to się skończyło. Willy opuścił ręce.

-Co racja, to racja.

-Do sali ćwiczeń marsz - zakomenderował posługacz, zamasztył ruchem wskazując cele po lewej.

-Tylko precz z łapskami. Nie lubię, jak mnie ktoś dotyka przed walką. Wiesz przecież.

-Jasne, że wiem, zabijako. - Posługacz otworzył cele. - Ładuj się do środka.

Willy ruszył w kierunku celi.

-Słyszac ich, nie? Wiwatujące tłumy na trybunach.

-Ma się rozumieć, stary, ma się rozumieć. Teddy i drugi posługacz szli dalej.

-Jestem Al - przedstawił się posługacz, podając Teddy'emu brązową dłoń.

Teddy uściskał mu rękę.

-Teddy. Miło mi, Al.

-Dlaczego jesteście poubierani jak do pracy na dworze, Teddy?

Teddy popatrzył na swój sztormiak.

-Dostaliśmy przydział na mury. Ale zobaczyliśmy pacjenta na schodach, scigaliśmy go aż tutaj. Pomysleliśmy, że przyda się wam wsparcie.

Grudki kału płaśnely o posadzkę tuż obok nogi Teddy'ego i w mroku mijanej celi ktoś zarechotał. Teddy spoglądał niewzruszony prosto przed siebie i szedł równym krokiem.

-Radzę ci trzymać się jak najbliżej środka korytarza - powiedział Al. - Ale nawet tam można oberwać. Nam to się zdarza co najmniej raz na tydzień. Widzisz gdzieś swojego uciekiniera?

Teddy potrzaskał głową. - Nie, ja...

-O w mordę - przerwał mu Al. - Co?

-Ja widzę mojego.

Sadził prosto na nich, cały mokrzutenki, a Teddy zobaczył, że strażnicy rzucają waz i ruszają w pogoń. Był niewysoki, rudowłosy, pokryta wagrami twarz wyglądała, jakby obsiadł ją roj pszczół, a zaczerwienione oczy pasowały do koloru włosów. Uskoczył w prawo w ostatniej chwili, trafiając w łuk, gdy ramiona Ala smignęły mu nad głową; mały rudzielec padł na kolana, przeturlał się i zerwał na nogi.

Al rzucił się za nim w pościg, zaraz potem mineli Teddy'ego strażnicy z uniesionymi pałkami, przemoczeni tak jak zbieg, którego gonili.

Teddy już miał się do nich przyłączyć, powodowany choćby instynktem łowczym, gdy wtem doleciał go szept:

-Laeddis.

Stał pośrodku pomieszczenia, czekając, aż zabrzmi ponownie. Nic. Zbiorowe zawroźnienie, które na chwilę uciszyło pościg za małym rudzielcem, wzbierało na nowo, początkowo jako buczenie pośród pobrzekiwania basenów.

Teddy'emu przyszły na myśl żółte tabletki. Jeśli Cawley podejrzewał, naprawdę podejrzewał, że on i Chuck są...

-Laed. Dis.

Odwrocił się twarzą w kierunku trzech cel po prawej stronie korytarza. Skrywała je ciemność. Teddy czekał, wiedząc, że jest widoczny dla tego, kto do niego przemówił; zastanawiał się, czy to Laeddis we własnej osobie.

-Miałes mnie uratować.

Słowa dochodziły albo z celi pośrodku, albo z tej po lewej. Nie był to głos Laeddisa.

Na pewno nie. Ale mimo to wydawał się znajomy.

Teddy przysunął się do krat środkowej celi. Przetrzaskał kieszenie, wyjął pudełko zapalek i potarł zapalka o draske. Błysnął płomyk i Teddy ujrzał mały zlew i mężczyźni z zapadniętymi zębami, który kłęcząc na łóżku, gryzłolił po ścianie. Obejrzał się przez ramię. To nie był Laeddis. Ani nikt znajomy.

-Przepraszam, ale wolę pracować po ciemku. Z góry dziękuję.

Teddy cofnął się i odwracając się w lewo, spostrzegł, że cała powierzchnia ściany była zapisana równymi linijkami ciasno stłoczonych literek, tak małych, że trzeba by przysunąć twarz do ściany, żeby je odczytać.

Podszedł do następnej celi; zapalka zgasła. Wtedy odezwał się ten sam głos, tym razem z bliska.

-Zawiodłeś mnie.

Teddy'emu trzęsła się ręka i złamał nową zapalniczkę, kiedy pocierał nią o draszkę.

-Mówiłeś, że mnie uwolnisz. Obiecałeś mi.

Teddy potarł kolejną zapalniczkę, która poleciała w głąb celi, niezapalona.

-Kłamales.

Trzecia zapalniczka zasyczała i zapłonęła. Teddy przytknął ją do krat i zajrzał do środka.

W lewym rogu celi siedział na pryczy mężczyzna ze spuszczoną głową, z twarzą wcisniętą między kolana, rękami oplecionymi wokół łydek. Czubek głowy miał wygolony, tylko po bokach zostawiono mu szpakowate włosy. Cały jego strój składał się z białych spodni. Przebiegały go dreszcze, wstrzasając kości rysującymi się pod skórą.

Teddy zwilżył wargi i podniebienie. Spoglądając znad zapalniczki, zawołał:

-Halo?

-Zgarneli mnie z powrotem. Mówią, że należę do nich.

-Nie widzę twojej twarzy.

-Mówią, że tu jest mój dom.

-Mogłbyś unieść trochę głowy?

-Mówią, że tu jest moje miejsce. Nigdy stąd nie wyjde.

-Chcę zobaczyć twoją twarz.

-Po co?

-Chcę zobaczyć twoją twarz.

-Nie poznajesz mnie po głosie? Mimo że tyle ze sobą rozmawialiśmy?

-Pokaz twarz. - Ludzilem sie, ze z twojej strony to cos wiecej niz czysto zawodowe zainteresowanie. Ze sie na swoj sposob zaprzyjaznilismy. A przy okazji, ta zapalka zaraz sie wypali.

Teddy wpatrywyl sie w pasek wygolonej skory na glowie, dygocace konczyny.

-Mowie ci, kolego...

-Co mi mowisz? Co mi mowisz? Nowe klamstwa, nic wiecej po tobie nie moze sie spodziewac.

-Ja nie...

-Klamca.

-Mylisz sie. Pokaz...

Plomien przypalil mu koniuszek palca wskazujacego i bok kciuka; Teddy puscil zapalke.

Cela zniknela. Zatrzeszczaly sprezyny materaca, rozlegl sie dzwiek tarcia materialu o kamienna posadzke i chrzest kosci.

I znow zabrzmialo to nazwisko:

-Laeddis.

Tym razem dolecialo z prawej strony celi.

-Nigdy nie chodzilo ci o prawde.

Teddy wyszarpnal z pudelka dwie zapalki, mocno przycisnal jedna do drugiej.

-Nigdy.

Zapalil obie naraz. Lozko bylo puste. Przesunal reke w prawo i ujrzal mezczyzne stojacego w kacie, odwroconego do niego plecami.

-Chodzilo?

-Co chodzilo? - spytal Teddy.

-O prawde.

-Tak.

-Nie.

-Tu chodzi o prawdę - zaperył się Teddy. - Oujawnienie...

-Liczysz się tylko ty. I Laeddis. Zawsze tak było. A mnie traktowałeś jak środek prowadzący do celu.

Mężczyzna obrócił się, zbliżył do niego. Twarz miał rozbita na miąższość, nabrzmiąca, mieniąca się kolorami purpury, czerni i wiośni. Złamany nos zaklepany był białymi plasterkami.

-Jezu - wyrwało się Teddy'emu. - Ładny widok, co?

-Kto cię tak urządził?

-To twoje dzieło.

-Co ty chrząnisz? Przecież...

Naprzeciw niemu, po drugiej stronie krat stał George Noyce, usta miał jak detki od roweru, spuchnięte i czarne od szwów.

-Ta twoja gadanina. Ta twoja pieprzona gadanina, a ja i tak znowu tu siedzę. Przez ciebie.

Teddy pamiętał ich ostatnie spotkanie w pokoju odwiedzin w więzieniu. Mimo bladej cery Noyce wyglądał wtedy zdrowo, był pełen życia, wiszące nad nim czarne chmury wyraźnie się rozproszyły. Opowiedział nawet dowcip, coś o Niemcu i Włochu, wchodzących do baru w El Paso.

-Patrz na mnie - powiedział Noyce. - Nie odwracaj wzroku. Nigdy nie chciałem zdemaskować tej placówki.

-To nieprawda, George - odparł Teddy dość cichym i opanowanym głosem.

-Właśnie, że tak.

-Nie. Jak myślisz? Co planowałem przez cały ostatni rok? Te akcje. Tutaj i teraz.

-Ty gnoju!

Teddy poczuł, jak ten krzyk uderza go w twarz.

-Ty gnoju! - wrzasnął po raz drugi Noyce. - Cały ostatni rok planowałeś?

Planowałeś zabić. Nic więcej. Zemsta i Laeddis. Tylko o to toczy się ta twoja zasnana gra. Zobacz, do czego to mnie doprowadziło. Znowu tutaj wylądowałem. Nie zniosę tego. Nie zniosę tego przekletego miejsca. Nie po raz drugi, nie po raz drugi.

-George, posłuchaj. Jak do ciebie trafili? Muszą być jakieś nakazy przeniesienia.

Opinie psychiatrow. Akta, George. Dokumenty.

Noyce się rozesmiał. Przycisnął twarz do krat, poruszył brwiami.

-Zdradze ci pewien sekret. Chcesz? Teddy przybliżył się o krok.

-Prawdziwa bomba... - powiedział Noyce.

-Mów - zachęcił go Teddy. I Noyce napluł mu w twarz.

Teddy odsunął się, rzucił zapalki i starł rekawem flegmę z czoła.

-Wiesz, w czym specjalizuje się nasz drogi doktor Cawley? - odezwał się w ciemności Noyce.

Teddy sprawdził dłoń na czole i łuk nosa; były suche.

-Uraży na tle doznanej straty, poczucie winy wynikające z ocalenia.

-Nic podobnego - prychnął Noyce. - Agresja. Szczególnie u męskich osobników.

Prowadzi nad nią badania.

-To nie on, tylko Naehring.

-Cawley - odparł Noyce. - Za wszystkim stoi Cawley. Z całego kraju przywoza mu najgroźniejszych swirów i bandytów. Jak sadzisz, dlaczego tak mało jest tu pacjentów?

I naprawdę myślisz, że ktokolwiek będzie się uważnie przyglądał dokumentom, kiedy w grę wchodzi przeniesienie osobnika znanego z agresji i zaburzeń psychicznych? Czy ty, kurwa, naprawdę tak myślisz?

Teddy zapalił następne dwie zapalki.

-Nie wyrwę się stąd - rzekł Noyce. - Raz mi się udało. Ale drugi raz już się nie uda.

Nigdy się nie udaje.

-Tylko spokojnie, tylko spokojnie, George. Jak się do ciebie dobrali?

-Oni o wszystkim wiedzą. Nie rozumiesz? Znają twoje zamiary. Cały plan.

Prowadzą z tobą grę. To wszystko to przedstawienie - mówił Noyce, zataczając ręką łuk nad głową - zainscenizowane specjalnie dla ciebie.

-Huragan też dla mnie zamówili, co? - Teddy uśmiechnął się. - Sprytne posunięcie.

Noyce milczał.

-Jak to wytłumaczysz?

-Nie wiem.

-Tak sądzilem. Nie popadajmy w paranoje, dobrze?

-Często zostawiali cię samego? - spytał Noyce, wpatrując się w niego przez kraty.

-Słucham?

-No, odkąd to wszystko się zaczęło, czy chociaż przez chwilę byłeś sam.

-Przez cały czas - odparł Teddy.

-Całkiem sam? - dociekał Noyce, unosząc brew.

-Niezupełnie. Z moim partnerem.

-A co to za jeden ten twój partner? Teddy wskazał kciukiem za siebie.

-Chuck, ale on jest...

-Niech zgadnę - przerwał mu Noyce. - Nigdy wcześniej z nim nie pracowałeś, mam rację?

Teddy'emu zdawało się, że pomieszczenie z celami nagle zaczyna na niego napierać.

Rece przeszył mu ziać. Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa, jakby połączenie nerwowe między mózgiem a językiem zostało przerwane.

-To szeryf federalny z Seattle... - przemówił w końcu.

-Nie pracowałeś z nim wcześniej, tak?

-To nie ma znaczenia - odparł Teddy. - Znam się na ludziach. Wiem, z kim mam do czynienia. Ufam mu.

-Na jakiej podstawie?

Na to pytanie nie było prostej odpowiedzi. Czy w ogóle wiadomo, skąd bierze się wiara w drugiego człowieka? Po prostu przychodzi w jednej chwili. Teddy zetknął się na wojnie z ludźmi, którym powierzyłby życie na polu walki, ale bron Boże portfel, kiedy już nie byli pod ostrzałem. Spotkał ludzi, którym powierzyłby i portfel, i żonę, ale nigdy nie odwróciłby się do nich plecami podczas bojków.

Chuck nie musiał mu towarzyszyć w tej wyprawie, mógł zostać w podziemiach i przespacerować te gorączkowe akcje usuwania szkod, czekając na wiadomość o promie. Ich misja była skończona - Rachel Solando się odnalazła. Chuck nie miał powodu, żeby angażować się w poszukiwania Laeddisa, nie był oddany sprawie udowodnienia światu, że Ashecliff jest kpiną z przysięgi Hipokratesa, ale mimo to stanął u boku Teddy'ego.

-Ufam mu - powtórzył Teddy. - Inaczej nie potrafię tego wyrazić.

Noyce spoglądał na niego smutno pomiędzy metalowych prętów.

-No to już po tobie.

Teddy rzucił wypalone zapalniczki, wysunął kartonowe pudełeczko, wymacał ostatnią zapalniczkę. Usłyszał, jak nadal stojący przy kratkach Noyce pociąga nosem.

-Proszę - szepnął, a Teddy domyślił się, że płacze. - Proszę.

-O co chodzi?

-Proszę, ratuj mnie. Nie chcę tu umierać.

-Nie umrzesz tutaj.

-Zabiorą mnie do latarni. Wiesz o tym. - Do latarni?

-Wytna mi mózg.

Teddy potarł zapalniczkę, zobaczył w blasku płomienia, że Noyce ścisną kraty i dygocze, a z opuchniętych oczu tryskają łzy i spływają po nabrzmiałej twarzy.

-Nie robią ci tego.

-Idź tam. Zobacz, co to za miejsce. A jeśli wrócisz żywy, powiesz mi, co oni tam wyprawiają. Przekonaj się sam.

-Pojdź tam, George, obiecuje. Wydostanę cię stąd.

Noyce opuścił głowę, przycisnął wygoloną czaszkę do prętów i bezgłośnie płakał.

Teddy przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie w wieziennym pokoju odwiedzin. Noyce oświadczył mu wtedy: "Jeśli znowu mnie tam zamkną, zabije się", a Teddy powiedział: "Nie wrócisz tam".

Kłamał.

Ponieważ oto miał przed sobą Noyce'a. Pobitego, złamanego, zastraszonego.

-George, spojrz na mnie.

Noyce podniosl glowe.

-Uwolnie cie stad. Musisz jeszcze troche wytrzymac. Nie rob sobie nic, czego nie da sie juz naprawic. Slyszyz? Wytrzymaj jeszcze. Wroce po ciebie.

George Noyce usmiechnal sie przez lzy zalewajace mu twarz i powoli potrzasnal glowa.

-Nie mozesz zabic Laeddisa i jednoczesnie ujawnic prawdy o tym zakladzie. Musisz dokonac wyboru. Chyba to rozumiesz?

-Gdzie go trzymaja?

-Powiedz, ze to rozumiesz.

-Rozumiem. Gdzie go trzymaja?

-Musisz wybrac.

-Nikogo nie zabije, George. Nie zabije.

I spogladajac przez kraty na Noyce'a, czul, ze mowi prawde. Jesli tego wymagalo ocalenie tego nieszczesnego ludzkiego wraka, tej udreczonej ofiary, Teddy wzniesie sie ponad osobiste porachunki. Nie zaniecha zemsty. Odlozy ja na pozniej w nadziei, ze Dolores to zrozumie.

-Nikogo nie zabije - powtorzyl.

-Klamiesz. - Nie.

-Ona umarla. Pogodz sie z tym.

Noyce wcisnal usmiechnieta, zaplakana twarz miedzy prety, nie odrywajac od Teddy'ego lagodnych, podpuchnietych oczu.

Teddy poczul nagle scisniecie gardla. Dolores powrocila. Widzial ja, jak siedzi na tarasie, spowita mgielka, w blasku pomaranczowej luny unoszacej sie nad miastem po letnim zachodzie slonca; podnosi glowe, gdy zajezdza przed dom, a dzieciaki wracaja do przerwanej zabawy na srodku ulicy; podpierajac brode i z papierosem w reku, przyglada mu sie, jak nadchodzi, a on tego dnia kupil jej kwiaty; jest po prostu jego miloscia, jego dziewczyna, ktora patrzy na niego, jakby chciala utrwalic w pamieci jego postac, chod, te kwiaty i te chwile, a on ma ochote zapytac ja, jaki odglos wydaje serce, kiedy peka z rozkoszy, kiedy widok jakiejs osoby wypelnia czlowieka do glebi, a jedzenie, krew i powietrze nie moga go wypelnic, kiedy czuje on, ze cale zycie bylo przygotowaniem do jednej tylko chwili, ktora wlasnie nadeszla.

Pogodz sie z tym, powiedzial Noyce.

-Nie potrafie - odparl Teddy lamiacym sie, piskliwym glosem, czujac w srodku, ze chce mu sie wyc.

Noyce wygial sie do tyłu i nadal uczepony pretow przekrzywil glowe tak, ze uchem dotykal barku.

-No to nigdy nie wyrwiesz sie z tej wyspy.

Teddy sie nie odezwal.

Noyce westchnal, jakby to, co zaraz mial powiedziec, nudzilo go tak straszliwie, ze gotow byl zasnac na stojaco.

-Zabrali go z oddzialu C. Jesli nie ma go na oddziale A, to pozostaje tylko jedno miejsce, gdzie moga go trzymac.

Noyce milczal, czekajac, az Teddy sam sie domysli.

-Latarnia - powiedzial Teddy.

Noyce skinal glowa i zgasla ostatnia zapalka.

Przez cala minute Teddy stal nieruchomo, patrzac przed siebie w mrok, a potem zatrzeszczaly sprezyny lozka, znak, ze Noyce sie polozyl.

Teddy obrocil sie, chcac odejsc.

-Hej!

Zatrzymal sie, odwrocony plecami do celi, i czekal.

-Niech Bog ma cie w opiece.

16

Kiedy odwrocil sie, zeby ruszyc w powrotna droge, spostrzegl czekajacego na niego Ala, ktory stal posrodku granitowego korytarza i przygladal mu sie leniwie.-Dopadles tego drania? - spytal Teddy.

-No pewnie - odparl Al, dolaczajac do Teddy'ego. - Przebiegly sukinsyn. Ale tutaj nie ma duzego pola manewru. W koncu przyparlem go do muru.

Szli srodkiem miedzy celami, a Teddy'emu pobrzmiwalo pytanie Noyce'a, czy chociaz przez chwile byl sam. Ciekawe, jak dlugo Al mu sie przygladal? Teddy odtworzyl w myslach

przebieg swojego dotychczasowego pobytu na wyspie, usiłując wyluskać choć jedną chwilę, kiedy był zupełnie sam. Nawet z łazienki korzystał wspólnej, ogólnie dostępnej, i zawsze ktoś był obok, w sąsiedniej kabinie, albo czekał przed drzwiami.

Ale przecież kilka razy wypuszczali się z Chuckiem poza teren szpitala...

Właśnie. Z Chuckiem.

Co tak naprawdę o nim wiedział? Stanęła mu na chwilę przed oczami jego twarz, zobaczył go stojącego na promie, zapatrzonego w dal, w bezkres oceanu.

Wspaniały facet, z miejsca budzący sympatie, swobodny w obyciu. Wymarzony kompan. Z Seattle. Niedawno przeniesiony. Po mistrzowsku grał w pokera. Nienawidził ojca - to jedno nie pasowało do całej reszty. Właściwie jeszcze coś było z nim nie tak, coś, co utkwilo Teddy'emu gdzieś głęboko w zakamarkach umysłu. Co takiego?

Niezdarność. Tego słowa szukał. Ale nie, przecież Chuck w niczym nie wykazywał niezdarność. Toż to uosobienie zreczności. Tak gładki, że wślizby w tylek bez wazeliny - Teddy'emu przypominało się ulubione powiedzonko ojca. Nie, Chuck nie był niezdara.

Ale czy chociaż raz do jego ruchów zakradła się niezgrabność? Tak. Teddy był pewny, że raz się to zdarzyło. Ale nie mógł sobie przypomnieć okoliczności. Nie teraz. Nie tutaj.

A ponadto wszystko to brzmiało niedorzecznie. Chuckowi na pewno można było ufać. Naraził się dla Teddy'ego, włamując się do biurka Cawleya.

Widziałeś, jak się włamywał?

A w tej chwili dobierał się do akt Laeddisa, chociaż mogło to zagrozić jego karierze.

A skąd wiesz?

-Tedy dojdiesz z powrotem do klatki schodowej - odezwał się Al, kiedy stanęli przed drzwiami - a potem schodami do góry. Na mury łatwo trafisz.

-Dzięki.

Teddy zwlekał z otwarciem drzwi, ciekawy, jak długo Al będzie się przy nim krecił.

Lecz Al tylko skinął mu głową na pożegnanie i pomaszerował w głąb pomieszczenia z celami. To utwierdziło Teddy'ego w przekonaniu, że nikt go tu nie śledzi. Dla Ala Teddy był zwykłym posługaczem. Noyce cierpiał na manie przesadowca, co było zresztą zrozumiałe, biorąc pod uwagę położenie nieszczęsnika. Ale nie zmieniało to faktu, że Noyce po prostu był paranoikiem.

Al odszedł, nie oglądając się za siebie, i Teddy przekrecił gałkę. Uchylił drzwi, ale nie

dostrzegł posługaczy ani strażników czających się przy schodach. Był sam.

Samiutenki. Puscil drzwi, które same się za nim zatrzasnęły. Gdy tylko wszedł na schody, zobaczył Chucka: stał na zakrecie, na którym wpadli na Bakera i Vingisa. Sciskał papierosa i szybko, mocno się zaciągał. Spojrzał w górę na nadchodzącego Teddy'ego, obrócił się i różnym krokiem ruszył przed siebie.

-Mielismy się spotkać w holu.

-Mamy gości - odparł Chuck, kiedy Teddy go dogonił i razem skreślił do ogromnego holu.

-O kim mówisz?

-Komendant i Cawley są tutaj. Musimy stąd wiać.

-Zauważyli cie?

-Nie wiem. Byłem w pokoju, gdzie trzymają akta, dwa piętra wyżej. Wychodzę i widzę ich w dole, w drugim końcu holu; Cawley odwraca głowę, a ja dopadam do drzwi i wyskakuję na klatkę schodową.

-Może nie zwrócili na ciebie uwagi.

-Jasne - skitował Chuck w biegu. - Posługacz w sztormiaku i kapeluszu na piętrze wyznaczonym dla administracji? Buszujący w kartotece? O tak, wszystko gra.

Nagle nad ich głowami zapaliły się światła przy wtorze łagodnych trzasków, które brzmiały jak odgłos pekających w wodzie kości. W powietrzu rozeszło się buczenie przeskakujących ładunków elektrycznych, po którym rozległy się wrzaski, wycia i zawodzenia. Teddy i Chuck przez chwilę mieli wrażenie, jakby budynek wokół nich wydzwignął się, a potem opadł. Rozdzwoniły się alarmy, niosąc się echem po korytarzach i przenikając ściany.

-Włączyli zasilanie. W sama porę, nie ma co - rzucił Chuck i ruszył schodami w dół. Do góry pędziło czterech strażników, Chuck i Teddy wtulili się w ściany, żeby ich przepuścić.

Przy stoliku nadal pełnił dyżur ten sam strażnik. Rozmawiał właśnie przez telefon, patrząc przed siebie zamglonym wzrokiem, lecz na ich widok jakby się ocknął.

-Chwileczkę - powiedział do słuchawki, a do nich, kiedy schodzili już z ostatniego stopnia, zawołał:- Hej, wy dwaj, zaczekajcie!

Przed drzwiami wyjściowymi klebił się spory tłumek - posługacze, strażnicy, dwóch ubloconych pacjentów w kajdanach - i Teddy z Chuckiem zaraz się w niego wmieszali, omijając po drodze faceta, który odsuwał się od stolika z napojami i podsunał przy tym Chuckowi niemal pod sam nos kubek z gorącą kawą.

-Hej! Wy dwaj! Hej! - wolał za nimi strażnik.

Teddy i Chuck szli równym krokiem, a pracownicy, słysząc głos dyżurnego, rozglądali się dookoła i zastanawiali się, do kogo się zwraca.

Jeszcze sekunda czy dwie, a zostaną wyłowieni z tłumu.

-Zatrzymać się!

Teddy pchnął reka drzwi na wysokości piersi. Ani drgnęły. - Hej!

Spostrzegł wielką mosięzną gałkę, zupełnie taką samą jak w domu Cawleya, zacisnął na niej dłoń; była śliska od deszczu.

-Musimy pogadać!

Teddy przekreślił gałkę i pchnął drzwi. Po schodkach wchodziło dwóch strażników i Teddy obrócił się i przytrzymał drzwi, przepuszczając Chucka, a strażnik po jego lewej podziękował mu kiwnięciem głowy. Wszedł do środka ze swoim towarzyszem, a Teddy puścił drzwi i zszedł z Chuckiem po schodkach.

Po lewej ujrzał gromadkę identycznie ubranych mężczyzn, którzy mimo mżawki palili papierosy i popijali z kubków kawę; niektórzy opierali się o mur, wszyscy głośno dowcipkowali i zawadiacko wydmuchiwali dym. Teddy i Chuck podeszli do nich, ani na chwilę nie oglądając się za siebie i nasłuchując odgłosu otwieranych drzwi i nawoływania.

-Znalazłeś Laeddisa? - spytał Chuck.

-Nie, ale za to trafiłem na Noyce'a.

-Co takiego?

-To, co słyszałeś.

Przywitali się z posługaczami, którzy uśmiechali się do nich i machali reka, a Teddy poprosił jednego o ogień. Potem poszli z Chuckiem dalej wzdłuż muru, który ciągnął się chyba przez pół kilometra. Szli, a w powietrzu niosły się okrzyki, które mogły być skierowane do nich; szli, widząc wysoko na murach, piętnaście metrów nad ziemią, sterczące groźnie lufy karabinów.

Dotarli do końca muru i skreśli w lewo na podmokłe pole porośnięte trawą.

Zobaczyli, że wyrwane odcinki ogrodzenia zostały wstawione na miejsce, a posługacze zalewali słupki betonem. Widac było, że ogrodzenie zostało naprawione na całej długości, i zrozumieli, że wtedy się nie wydostaną.

Zawrocili i tym razem odbili od muru, kierujac sie na otwarty teren. Teddy wiedzial, ze jedyna droga wyjścia prowadzi obok posterunku. Od razu wydaloby sie podejrzone, gdyby obrali inny kierunek.

-Poradzimy sobie, szefie, nie?

-Jasne.

Teddy zdjal kapelusz, a Chuck poszedl w jego slady; po chwili sciagneli sztormiaki i przerzucili sobie przez ramie. Czuli na sobie drobne kropelki deszczu. Na posterunku stal ten sam straznik i Teddy zwrocil sie do Chucka:

-Nie zwalniamy kroku.

-Robi sie.

Teddy probowal wyczytac cos z twarzy straznika. Byla zupełnie bez wyrazu i Teddy zadal sobie pytanie, czy jest tak beznamienna ze znużenia, czy dlatego, ze straznik szykuje sie do starcia.

Mijajac go, Teddy pomachal mu reka, a straznik powiedzial:

-Podstawili ciezarowki.

Szli dalej. Teddy odwrocil sie i idac tyłem, powtorzyl:

-Ciezarowki?

-Tak, zeby odwiezc was z powrotem. Radze wam zaczekac, jedna ruszyla piec minut temu. Zaraz powinna przyjechac.

-Nieeee. Potrzeba nam troche ruchu na swiezym powietrzu.

Twarz straznika jakby drgnela. Moze Teddy tylko to sobie uroil, a moze straznik polapal sie, ze wciskaja mu kit.

-Na razie. Czesc.

Teddy obrocil sie i ruszyl z Chuckiem w kierunku drzew. Wyczuwal na sobie spojrzanie straznika, wyczuwal spojrzania calej zalogi fortu. Cawley i komendant mogli stac juz przed brama albo na murach. I obserwowac.

Dotarli do linii drzew, nikt za nimi nie wolal, nikt nie oddal strzalu ostrzegawczego.

Weszli glebiej i wtopili sie w gestwine grubych pni, sponiewieranych galezi i lisci.

-Jezu - powiedział Chuck. - Jezu, Jezu, Jezu.

Teddy przysiadł na glazie. Cały był złany potem, miał przesiaknięta koszule i spodnie, ale czuł się radosnie podniecony. Serce wciąż waliło mu w piersi, oczy piekły, scierpla mu skóra na karku i szyi, ale rozpierało go najwspanialsze, poza miłością, uczucie na świecie.

Upojenie odzyskana wolnością.

Spojrzał na Chucka i nie odrywał wzroku od jego oczu, dopóki obaj nie wybuchnęli śmiechem.

-Mówię ci, Teddy, kiedy wyszedłem zza rogu i zobaczyłem, że ogrodzenie stoi na swoim miejscu, pomyślałem: Niech to szlag, już po nas.

Teddy oparł się plecami o skałę, rozkoszując się uczuciem swobody, jakiego nie zaznał od czasów dzieciństwa. Patrzył, jak siwe chmury na niebie przecierają się i przeswitują przez nie błękit; skóra owiewał mu wietrzyk. W powietrzu unosił się zapach wilgotnych liści, wilgotnej ziemi, wilgotnej kory. Cicho kapły ostatnie krople deszczu.

Miał ochotę zamknąć oczy i obudzić się po drugiej stronie zatoki, w Bostonie, w swoim łóżku.

O mało nie przysnął i to uswiadomiło mu, jak bardzo jest wyczerpany. Podniósł się, wyjął papierosa z kieszeni koszuli i poprosił Chucka o ogień. Oparł dłonie o kolana.

-Musimy założyć, że prędzej czy później dowiedza się o naszej wyprawie do fortu, jeśli już się nie połapali - powiedział.

-Baker puści farbę, jak go przycisną - odparł Chuck.

-Podejrzewam, że strażnik przy schodach został uprzedzony o naszym przybyciu.

-Albo po prostu chciał, żebyśmy się wypisali przy wyjściu.

-Tak czy siak, zapamiętał nas, zresztą nie on jeden.

Rozległo się wycie rogu mgłowego latarni bostonskiej, odgłos, który towarzyszył Teddy'emu przez całe dzieciństwo spędzone w Hull. Tchnęło przeraźliwym osamotnieniem. Sprawiało, że człowiek nagle pragnął się do czegoś przytulić, objąć drugiego człowieka, poduszkę, siebie samego.

-Noyce - powiedział Chuck. - Tak.

-Naprawdę tu jest.

-We własnej osobie.

-Na miłosc boska, Teddy, jak do tego doszło? - spytał Chuck.

Teddy opowiedział mu o tym nieszczęsniku, o jego zmiądzonej twarzy, wrogosci wobec Teddy'ego, o jego przerażeniu, roztrzesieniu, płaczu. Pominał tylko to, co dotyczyło osoby Chucka, wysunięte przez Noyce'a podejrzenia. Chuck słuchał, potakując, wpatrując się w Teddy'ego wzrokiem dziecka spoglądającego na wychowawcę, który przy obozowym ognisku snuje opowieść o duchach.

A Teddy'emu przemknęło przez myśl, że to, co mówi, brzmi równie fantastycznie.

-Wierzysz mi? - spytał Chuck, kiedy Teddy skończył.

-Wierze, że tu jest. To nie ulega wątpliwości.

-Przecież mógł przeżyć złamanie nerwowe. Mam na myśli prawdziwe. Z taką przeszłością? Wszystko mogło się odbyć zgodnie z prawem. Noyce rozkleja się w więzieniu, a oni na to: "Ten facet był kiedyś leczony w Ashecliffe. Wysłaliśmy go tam z powrotem".

-Możliwe - odparł Teddy. - Ale kiedy widziałem go ostatnim razem, wyglądał na całkiem zdrowego na umyśle.

-Kiedy to było?

-Przed miesiącem.

-Wiele się może zmienić w ciągu miesiąca.

-Też prawda.

-A co z tą latarnią? - spytał Chuck. - Wierzysz w to, że ukrywa się tam garstka obłąkanych naukowców, którzy w tej chwili wszczepiają Laeddisowi do mózgu antenki?

-Oczyszczalni wody raczej nie otacza sie żelazna siatka.

-Słusznie. Ale to wszystko zakrawa na jakiś Grand Guignol, nie uważasz?

Teddy zmarszczył brwi.

-A co to niby jest, do cholery?

-Cos makabrycznego - wyjaśnił Chuck. - Jak taki baśniowy potwór.

-Rozumiem, ale co to jest to "gra-gin"?

-Grand Guignol - odparł Chuck. - To z francuskiego. Przepraszam.

Teddy patrzył, jak Chuck z uśmiechem próbuje wyrwać z opalów, głowując pewnie, jak zmienić temat rozmowy.

-Podłapałeś sporo francuskiego, dorastając w Portland - zauważył Teddy.

-W Seattle.

-Racja. Proszę o wybaczenie - powiedział Teddy, bijąc się w piersi.

-Interesuje się teatrem. Co w tym dziwnego? To określenie związane z teatrem.

-Wiesz, znalazłem kiedyś faceta, który pracował u was w biurze w Seattle - oznajmił Teddy.

-Naprawdę? - odparł z roztargnieniem Chuck, przetrzasując kieszenie.

-Naprawdę. Pewnie go znasz.

-Pewnie tak. Załóż się, że nie możesz się doczekać, żeby zobaczyć, co wyciągnąłem z akt Laeddisa.

-Miał na imię Joe. Joe... - Teddy strzelił palcami i popatrzył na Chucka. - Mam to na końcu języka. Pomóż mi. Joe, Joe...

-U nas było na paczki facetów imieniem Joe - rzekł Chuck, sięgając do tylnej kieszeni spodni.

-A ja myślałem, że ten wasz wydział jest mały.

-O, mam. - Chuck wyszarpnął rękę z tylnej kieszeni spodni, ale jego dłoń była pusta. Teddy widział wystającą wciąż z kieszeni złożoną kartkę, która wyslizgnęła się Chuckowi z ręki.

-Joe Fairfield - powiedział Teddy, zastanawiając się nad ruchem, jakim Chuck wyciągnął rękę z kieszeni. Niezdarnym. - Znasz go?

-Nie - odparł Chuck, znowu sięgając do kieszeni.

-Jestem pewny, że go do was przeniesli. Chuck wzruszył ramionami.

-Nic mi nie mówi to nazwisko.

-A może chodziło o Portland. Portland i Seattle zawsze mi się myła.

-Tak, zauważyłem.

Chuck wyjął wreszcie kartkę i Teddy'emu stanął przed oczami jego partner w dniu przyjazdu na wyspę, kiedy oddawał strażnikowi rewolwer służbowy i plątały mu się palce przy

odpinaniu kabury. Z tym szeryf federalny raczej nie powinien mieć kłopotu.

Taka nieudolność mogła go na służbie kosztować życie.

Chuck wyciągnął do niego rękę z kartką.

-To formularz przyjęcia Laeddisa do szpitala. Nic więcej nie mogłem znaleźć oprócz formularza i jego karty. Żadnych raportów na temat jego wybryków, żadnych notatek z terapii, żadnych zdjęć. To niesamowite.

-Racja - odparł Teddy. - Niesamowite.

Chuck podsuwał mu kartkę powiewająca na wietrze.

-No weź - powiedział.

-Nie, zatrzymaj ją - rzekł Teddy.

-Nie ciekawi cię, co tu jest napisane?

-Zobaczę później - odparł Teddy.

Popatrzył na swojego partnera. Zaległo milczenie, którego celowo nie przerywał.

-Co? - odezwał się w końcu Chuck. - Nie znam jakiegoś Joe Pies-Mu-Morde-Lizal i dlatego mierzysz mnie podejrzliwym wzrokiem?

-Nie mierzę cię podejrzliwym wzrokiem, Chuck. Mówiłem już, że Seattle myli mi się z Portlandem.

-W porządku. No to...

-Idziemy - zarządził Teddy.

Wstał, a Chuck siedział jeszcze przez chwilę, wpatrzony w powiewającą na wietrze kartkę, którą trzymał. Spojrzał na drzewa, wznoszące się wokół nich. Popatrzył na Teddy'ego. Zerknął w stronę morza.

Znow zawył róg mgłowy.

Chuck wstał i z powrotem schował kartkę do tylnej kieszeni spodni.

-W porządku. Świetnie. Proszę bardzo, prowadź.

Teddy wszedł między drzewa, kierując się na wschód.

-Gdzie ty idziesz? - zdziwil sie Chuck. - Szpital jest w przeciwnym kierunku.

Teddy obejrzał się na niego.

-Nie wracamy do Ashecliffe.

Na twarzy Chucka pojawiło się zdenerwowanie, może nawet lek.

-To dokąd się wybierasz, do cholery?

-Do latarni, Chuck. - Teddy się uśmiechnął.

-Gdzie my jesteśmy? - zapytał Chuck.

-Trochę nas zniosło.

Kiedy wyszli z lasu na otwartą przestrzeń, wbrew przewidywaniom Teddy'ego nie natknęli się na ogrodzenie otaczające latarnie. Zboczyli mocno na północ. Wskutek obfitych opadów las zmienił się w mokradło, a droge tarasowały im zwalone lub pochylone drzewa. Teddy liczył się z tym, że nie uda im się utrzymać obranego kursu, ale z jego najnowszych obliczeń wynikało, że zapędzili się aż pod cmentarz.

Z tego miejsca latarnia była doskonale widoczna. Jej szczyt wystawał zza długiego wzniesienia, następnej kępy drzew i pasa brzozy i zielonej roślinności. Tuż za polem, przed którym stali, rozciągały się bagna, a za nimi sterczały poszarpane czarne skały - dodatkowa naturalna zaporę na drodze do wzniesienia. Teddy zrozumiał, że pozostało im jedynie ruszyć z powrotem przez las z nadzieją, że trafią na rozwidlenie, na którym skreślić nie tam, gdzie trzeba, i obędzie się bez znużającego przedzierania się z powrotem do punktu wyjścia.

Podzielił się tym spostrzeżeniem z Chuckiem.

Chuck, wymachując patykiem, stracił przyłączone do nogawek rzepy.

-Albo możemy zatoczyć koło i podejść do latarni od wschodu. Pamiętasz, kiedy jechaliśmy z McPhersonem wczoraj wieczorem? Kierowca korzystał z drogi dojazdowej, a przynajmniej z tego, co po niej zostało. Za tym wzgórzem musi być cmentarz. Idziemy dookoła?

-Brzmi bardziej zachęcająco niż perspektywa powrotu przez ten gąszcz - przyznał Teddy.

-Czyżby tobie też się to nie uśmiechało? - powiedział Chuck, traciąc dłoń o kark. - Bo ja wręcz uwielbiam komary. Myślę nawet, że na mojej twarzy uchwyciły się może ze dwa miejsca, gdzie nie zdążyły mnie jeszcze pokasać.

To była ich pierwsza wymiana zdań od ponad godziny. Teddy czuł, że obaj próbują

rozładowac napiecie, jakie naroslo miedzy nimi.

Ale Teddy zbyt dlugo sie nie odzywal i sprzyjajacy moment minal. Chuck ruszyl w droge, posuwajac sie skrajem pola mniej wiecej w kierunku polnocno-zachodnim.

Przez caly czas wyspa, jakby broniac do siebie dostepu, spychala ich w strone brzegu.

Szli, wspinali sie, szli dalej, a Teddy rozmyslal wpatrzony w plecy Chucka. Swojego partnera, jak wyrazil sie o nim w rozmowie z Noyce'em. Ktoemu ufal. Ale dlaczego?

Poniewaz nie mial innego wyjscia. Poniewaz zaden czlowiek nie uporalbysie z takim zadaniem w pojedynke.

Gdyby przepadl, gdyby nie wyrwal sie z tej wyspy, na pewno warto bylo miec sprzymierzenca w osobie senatora Hurly'ego. Bez dwoch zdan. Wszczalbysie dochodzenie.

Zwrocil uwage na znikniecie Teddy'ego. Ale czy bardzo bylobysie slychac glos raczej malo znanego senatora z niewielkiego stanu na wschodnim wybrzezu?

Poza tym wydzial poscigowy troszcysie o szeryfow. Na pewno wysle tu swoich ludzi. Ale pytanie kiedy - czy zdazylibysie tu dotrzec, zanim lekarze z Ashecliffe nieodwracalnie odmienilibysie Teddy'ego, zrobilibysie z niego Noyce'a? Albo co gorsza, faceta, ktory bawil sie w berka?

Teddy mial taka nadzieje, gdyz im dluzej wpatrywal sie w plecy Chucka, tym mocniej utwierdzal sie w przekonaniu, ze byl zdany na siebie. Wylacznie na siebie.

-Jezu, znowu stosy kamieni - wyjeczal Chuck.

Znajdowalibysie na waskim cyplu, ktory po prawej stronie opadal pod katem prostym do morza, a po lewej stromym zboczem do rozleglej rowniny. Wiatr przybieral na sile, niebo nabralo czerwono-brzowej barwy, a powietrze przesycone bylo sola.

Stosy kamieni rozmieszczone byly w dole na rowninie. Szesc, w dwoch rzędach, zewszad chronione od wiatru przez zbocza, ktore okalaly rownine niczym sciany ogromnej misy.

-Co? Tym razem darujemy sobie? - spytal Teddy.

-Za pare godzin zajdzie slonce - odparl Chuck, pokazujac reka niebo. - Na wypadek gdybysie nie zdawal sobie sprawy, do latarni jeszcze daleko. Jeszcze nawet nie dotarlismysie do cmentarza. Nawet nie mamy pewnosc, czy tedy w ogole mozna sie tam dostac. A ty chcesz zlac na dol i ogladac kamienie.

-A jesli to zaszyfrowana wiadomosc...?

-W tej chwili to juz bez znaczenia. Mamy dowod, ze trzymaja tu Laeddisa. Sam widziales

Noyce'a. Teraz musimy po prostu wrócić z tymi informacjami, z tymi dowodami. Zrobiliśmy swoje.

Miał rację. Teddy o tym wiedział.

Miał, ale pod warunkiem że obaj należeli do tego samego obozu.

A jeśli Chuck nie był po jego stronie i nie chciał dopuścić, żeby odebrał tę wiadomość...

-Dziesięć minut na zejście, dziesięć na wejście z powrotem - oznajmił Teddy.

Chuck przysiadł zmęczony na ciemnej skale, wyjął papierosa z marynarki.

-W porządku. Ale ja się na to nie pisze.

-Jak uważasz.

Chuck otoczył papierosa stulonymi dłońmi i rozpalil go. Teddy przyglądał się smudze dymu wijącej się między zgiętymi palcami Chucka, która wiatr porwał w stronę morza.

-Na razie - powiedział Teddy. Chuck odwrócił się do niego plecami.

-Tylko nie skrec karku.

Teddy dotarł na dół w siedem minut, trzy minuty szybciej niż przewidywał, ponieważ podłoże było sypkie, piaszczyste, i chwilami się ślizgał. Załował, że rano wypil tylko kawę, ponieważ z głodu przerazliwie burczało mu w żołądku, niski poziom cukru we krwi w połączeniu z niewyspaniem przyprawiał go o zawroty głowy, a przed oczami przelatwały mu ćetki.

Przeliczył kamienie w każdym stosie i zapisał w notesie liczby wraz z przyporządkowanymi im literami: 25(y)-20(t)-14(n)-15(o)-15(o)-20(t) Zamknął notes i schował go do kieszeni. Zaczął wspinać się po piaszczystym stoku, na najbardziej stromym odcinku wczepiając się w ziemię paznokciami, wrywając garściami trawę, kiedy tracił oparcie pod stopami i osuwał się. Wejście na górę zabralo mu dwadzieścia pięć minut i niebo zabarwiło się już na ciemny brąz. Obojętne, po czyjej stronie był Chuck, miał rację: dzień szybko chylił się ku końcowi i nieważne, co kryła zaszyfrowana wiadomość: Teddy zmarnował cenny czas.

Już pewnie nie zdąży dotrzeć do latarni, a gdyby nawet zdołali, co wtedy? Jeśli Chuck pracował dla nich, to Teddy znajdzie się w jaskini lwa.

Ujrzał szczyt zbocza, wystająca krawędź cypla i kopule brązowego nieba nad głową i pomyślał: Może na tym będzie musiał poprzestac, Dolores. Może nic więcej nie uda mi się teraz zdziałać. Laeddis dalej będzie żył. Szpital dalej będzie działał. Ale na pociechę zostanie myśl, że wprowadziliśmy w ruch proces, który ostatecznie doprowadzi do upadku

calego tego przedsięwzięcia.

Znalazł szczelinę u szczytu wzgórza, wąska wyrwa w miejscu, w którym stykało się z cyplem, wystarczająco wyłobiona przez erozję, żeby mógł stanąć, oprzeć się plecami o piaszczystą ścianę, wywindować się na rękach do góry, tak aby opasnąć pierś na skalny cyfel, a potem podciągnąć nogi. Leżał na boku, spoglądając na morze. Tak niebieskie o tej porze dnia, tak rozdrępane w świetle zmierzchu. Leżał, rozkoszując się tchnieniem wiatru i widokiem morza rozposcierającego się nieskonczenie pod mroczniejszym sklepieniem nieba, i poczuł się taki znikomy, taki skonczenie człowieczy, lecz nie było to wrażenie druzgocące. Napawało dumą. Być częścią tego wszystkiego. Malenka, owszem.

Ale stanąć z tym jedną. Oddychać.

Rozejrzył się po płaskiej powierzchni cypla, z policzkiem wtulonym w skałę, i dopiero wtedy uswiadomił sobie, że Chuck gdzieś zniknął.

17

Zwłoki Chucka leżały u stóp urwiska, omywane chlupoczającymi falami. Teddy najpierw wysunął za krawędź cypla nogi, sprawdzał skaliste podłoże podszewkami butów, aż nabrał pewności, że kamienie wytrzymają ciężar ciała. Wypuścił powietrze, które bezwiednie przetrzymywał w płucach, i zsunął łokcie z krawędzi, poczuł, jak stopy zapadają się w kamiennym podłożu. Jeden kamień się przesunął, wykrecając mu prawą nogę w kostkę, i Teddy złapał się krawędzi, przeniósł ciężar tułowia z powrotem na powierzchnię cypla i kamienie pod stopami znieruchomiały.

Obrocił się i opuścił niżej. Przyklejony do ściany urwiska jak krab zaczął schodzić.

Z konieczności posuwał się bardzo powoli. Niektóre kamienie były mocno zaklinowane i dawały pewne oparcie, jak sruby w kadłubie okrętu wojennego. Inne podtrzymywane były tylko przez te, które znajdowały się poniżej, i nie sposób było określić, które są które, dopóki nie postawiło się na nich nogi.

Po blisko dziesięciu minutach dostrzegł na wpol wypalonego papierosa Chucka, że już dawno przestał się tlić i sterczał czarny niczym czubek ołówka stolarskiego.

Co spowodowało upadek? Wiatr wzmagał się, ale nie był tak mocny, żeby zdmuchnąć człowieka z płaskiej polki skalnej.

Teddy pomyślał o Chucku, który tam u góry w ostatniej minucie swego życia cmił w samotności papierosa, i o wszystkich innych bliskich mu osobach, które ginęły, a on zmuszony był trwać na posterunku. Oczywiście o Dolores. O ojcu, który spoczywał gdzieś na dnie tego samego morza. O matce, która odeszła, kiedy miał szesnaste lat.

O Tootiem Vicellim, postrzelonym w usta na Sycylii, który uśmiechał się do Teddy'ego

dziwnie, jakby polknal cos o zaskakujacym smaku, a przez zeby saczyła mu sie krew.

Był jeszcze Martin Phelan, Jason Hill, ten olbrzymi Polak z Pittsburgha od karabinu maszynowego - jak on sie nazywał? - Yardak, tak, Yardak Gilibiowski. I ten blondynek, który tak ich rozsmieszał w Belgii. Oberwał w nogę: nie wygladało to groźnie, dopoki nie okazalo sie, ze nie można zatamowac krwotoku. No i Frankie Gordon, ten, ktorego tamtej nocy w Cocanut Grove zostawil na lasce losu. Dwa lata pozniej, kiedy Teddy pstryknal w niego niedopalkiem papierosa i nazwal zasranym dupkiem z Iowa, Frankie powiedzial: "Nie wiem, kto jeszcze potrafi tak przeklinac jak...", i nadeplnal na mine. Teddy'emu utkwil wtedy w lewej lydce odlamek, który nosi w sobie po dzis dzien.

A teraz przyszła kolej na Chucka.

Teddy juz pewnie nigdy sie nie dowie, czy powinien byl mu wierzyc. Czy powinien mimo wszystko udzielic mu kredytu zaufania? Chuckowi, który go rozweselal, który sprawial, ze latwiej bylo mu zniesc straszliwy nawal tych ostatnich trzech dni. Chuckowi, który jeszcze tego ranka zartowal, ze na sniadanie podaja jajka a la Benedict, a na lunch reubena z cienko pokrojonymi plastrami.

Teddy zadarł głowe, oceniając przebyta odleglosc. Na oko znajdowal sie mniej wiecej w polowie drogi w dol, a niebo przybralo ciemnoniebieska barwe i z kazda chwila ciemnilo coraz bardziej.

Jaka sila stracila Chucka z tego cypla?

Na pewno nie naturalna.

Chyba ze Chuck cos upuscil. Chyba ze ruszyl po cos na dol. Chyba ze, jak teraz Teddy, probowal zejsc ze skalnej sciany, czepiajac sie rekami i nogami kamieni, ktore mogly okazac sie obluzowane.

Teddy zatrzymal sie, zeby troche odsapnac; pot sciekal mu po twarzy. Ostroznie oderwal jedna reke od skaly i wytarl ja do sucha o spodnie. Chwycil sie nia wypuklosci w skalnej scianie i wytarl druga, a kiedy z powrotem zaciskal druga reke na spiczastym odlamku, zauwazyl kawalek papieru.

Kartka utkwila miedzy kamieniem a brazowa nitka korzenia. Powiewala lekko na morskim wietrze. Teddy zdjal reke z czarnego odlamka i zlapal ja palcami. Nie musial jej rozkladac, zeby dowiedziec sie, co to jest.

Formularz przyjecia Laeddisa.

Wsunal go do tylnej kieszeni. Przypomnial sobie, jak niepewnie ta kartka spoczywala w kieszeni Chucka, i zrozumial, dlaczego Chuck tak sie narazal. Zeby odzyskac te kartke.

Dla Teddy'ego.

Ostatni, szesciometrowy odcinek skalnej sciany pokrywaly wielkie, owalne, czarne glazy, porosniete brunatnicami. Teddy obrocil sie tak, ze ramiona mial wykrecone do tyłu i zapieral sie dlonmi. W ten sposob posuwal sie w dol po powierzchni glazow, widzac kryjace sie w szczelinach szczury.

W koncu stanal na brzegu morza. Wypatrzył zwłoki Chucka, podszedł bliżej i spostrzegł, że to wcale nie jest ludzkie ciało. Kolejny glaz, splowialy na sloncu, opleciony grubymi czarnymi warkoczami wodorostow.

Dzięki... nieważne komu. Chuck żył. To nie on tu leżał, tylko wąski, długi glaz oblepiony wodorostami.

Teddy zwinął dlonie w trabkę, przyłożył do ust i zaczął wołać Chucka. Krzyczał i krzyczał, a imię Chucka odbijało się od skal, niesło się w powietrzu i odlatywało hen w morze. Czekal, aż zza krawędzi cypla wyjrzy głowa jego partnera.

Może wtedy szykował się, żeby zejść i poszukać Teddy'ego.

Może teraz się do tego przygotowywał.

Teddy wykrzykiwał jego imię, aż zaczęło go drapać w gardle.

Przestał wołać i nasłuchiwał odpowiedzi. Szczyt urwiska ginal w szybko zapadającym zmroku. Teddy słyszał szum wiatru. Słyszał chrobot szczurow w szczelinach między glazami. Słyszał skrzek mewy. Chłupot morza. Kilka minut później znow doleciało go wycie rogu mgłowego latarni w Bostonie.

Wzrok przyzwyczail się do ciemności. Teddy ujrzał wpatrzone w niego oczy.

Dziesiątki par oczu. Szczury wylegiwały się na glazach i gapily się na niego bez leku.

W nocy plaża należała do nich.

Lecz Teddy bał się wody, a nie szczurow. Pieprzyć te małe oslizgłe paskudztwa.

Mógł je poczęstować ołowiem. Zobaczyć, czy spuszcza z tonu, kiedy rozwali kilka z nich.

Tylko że nie miał broni, a liczba szczurow wkrótce się podwoiła. Zamiatały powierzchnie skal długimi ogonami. Teddy czuł wodę omywającą mu obcasy i utkwione w nim spojrzenie niezliczonych oczu. Trudno powiedzieć, czy to ze strachu, ale po kregosłupie przechodziły go ciarki i swędziało w kostkach nog.

Ruszył powoli wzdłuż brzegu i zobaczył, że na kamieniach, niczym foki w sloncu, wylegują się w blasku księżycy setki szczurow. Patrzył, jak z plaskaniem zeskakują z glazow na

piasek, tam gdzie jeszcze przed chwileczką stał. Odwrócił głowę i spojrzal na odcinek brzegu, jaki się przed nim rozciągał. Nie był długi. Trzydzieści metrów dalej w wodzie wrzynano się następne urwisko przegradzające plażę. Po prawej Teddy ujrzał w morzu wysepkę, której nigdy wcześniej nie zauważył. Z tej odległości w księżycowej poświacie wyglądała jak kostka brązowego mydła, wisząca na cienkim włosku. Zaraz pierwszego dnia Teddy wybrał się na te urwiska z McPhersonem. Nie widział wtedy żadnej wysepki. Był tego pewny.

Więc skąd, do cholery, tam się wzięła?

Słyszał je za plecami: gryzły się między sobą, ale głównie strzelały ogonami i piszczały jeden na drugiego. Teddy poczuł, jak swędzenie w kostkach promieniuje coraz wyżej, ogarnia kolana i uda.

Spojrzał przez ramię na plażę: piasek całkowicie przesłonięty był przez chmury gryzoni.

Przeniósł wzrok na urwisko jasniejące w świetle księżyca, który tej nocy był niemal w pełni, i na nieprzeliczone gwiazdy, lśniące na niebie. I wtedy ujrzał lunę, której obecność była równie zagadkowa jak jeszcze nieistniejącej dwa dni temu wysepki.

Pomarańczowa luna. Mniej więcej w połowie wysokości urwiska. Pomarańczowa na tle czarnej skalnej ściany. O zmroku.

Teddy patrzył, jak migoce, przygasa i rozbłyskuje, przygasa i rozbłyskuje. Pulsuje...

Niczym płomień.

Jaskinia, domyślił się. Albo spora szczelina. Ktoś się w niej schronił. Chuck. To na pewno on. Może gonił tę kartkę, zranił się przy schodzeniu w dół - i postanowił posuwać się w poprzek skalnej ściany.

Teddy zdjął kapelusz i podszedł do najbliższego głazu. Widział wlepione w niego szczurze ślepią i trzepnął w nie kapeluszem. Obrzydliwe gryzonie poderwały się i zsunęły na piasek. Teddy wskoczył na opustoszały głaz, kopniakiem przepłoszył szcury z następnego i ruszył do przodu, sadząc susami z kamienia na kamień; za każdym razem coraz mniej gryzoni stawało mu na drodze, a na ostatnich głazach nie było ich już wcale. Dopadł do ściany urwiska i zaczął się wspinać; ręce pokaleczone przy schodzeniu wciąż krwawiły.

Tym razem szło mu łatwiej. Urwisko było wyższe i szersze od poprzedniego, ale wznosiło się wyraźnymi stopniami i miało więcej występów.

Wspinaczka w blasku księżyca zabrała mu półtorej godziny; piał się pod badawczym wzrokiem już nie szcurek, lecz gwiazd, a kiedy się wdrapywał, obraz Dolores zacierał się w jego pamięci. Nie potrafił przywołać jej wizerunku, twarzy, dłoni ani pełnych ust.

Czul, że uszła z niego, a jej brak był dla niego doznaniem zupełnie nowym. Wiedział, że sprawiło to fizyczne wyczerpanie, wyglodzenie, niedobór snu: Dolores się rozplynęła.

Rozplynęła się, kiedy wspinał się podczas tej księżycowej jasnej nocy.

Ale nadal ją słyszał. Choć Dolores była niewidzialna, jej głos brzmiał mu w głowie. Mówił: Przestanieś zadrezczać, Teddy. Masz jeszcze przed sobą całe życie.

Czy właśnie o to chodziło? Czy to naprawdę możliwe, że po tych dwóch latach, kiedy chodził jak bledny, godzinami w ciemnym pokoju słuchał płyt Tommy'ego Dorsey'a i Duke'a Ellingtona, wpatrzony w rewolwer leżący pod ręką na stoliku, gardził tym gównianym życiem i tęsknił za nią tak straszliwie, że raz, zaciskając zęby z żalu, ułamał sobie kawałek siekacza - czy to możliwe, że wreszcie nadeszła chwila, by pogodził się z jej stratą?

Nie wysnilem cię, Dolores. Wiem to. Ale teraz wydajesz mi się snem.

I słusznie, Teddy. Tak powinno być. Pozwól mi odejść.

Naprawdę?

Tak, kochanie.

Postaram się. Dobrze?

Dobrze.

Migocąca pomarańczowa luna była tuż-tuż. Teddy czuł bijące od niej ciepło, nikielco prawda, ale wyraźne. Położył rękę na polce skalnej nad głową, pomarańczowe światło odbijało się od jego nadgarstka. Podciągnął się i wsunął się tułowiem na polkę.

Zapierając się łokciami, wywindował do góry resztę ciała. Widział poszarpane skały skapane w pomarańczowym blasku. Podniósł się. Głowa niemal dosięgała sklepienia jaskini. Do wnętrza pieczary prowadził wąski przesmyk po prawej i tam Teddy się skierował. Wychodząc zza skalnego załomu, ujrzał płomień ogniska rozpalonego we wgłębieniu w kamiennym podłożu oraz kobietę stojącą po drugiej stronie z rękoma założonymi do tyłu.

-A ty kto? - spytała.

-Teddy Daniels.

Kobieta miała długie włosy i ubrana była w szpitalny strój: jasnoróżową koszulę, spodnie ściągane tasiemką w pasie, pantofle.

-Tak się nazywasz, ale czym się zajmujesz? - Scigam przestępców.

Przekrzywiła głowę, w jej włosach widoczne były siwe pasemka.

-Ty jesteś tym szeryfem.

Teddy skinął głową.

-Może mi pani pokazać ręce?

-Dlaczego? - spytała.

-Chciałbym wiedzieć, co pani w nich trzyma.

-Dlaczego?

-Chciałbym wiedzieć, czy może mnie pani tym zranic. Skwitowała to lekkim uśmiechem.

-To chyba słuszne zadanie.

-Ciesze się, że tak pani uważa.

Wyciągnęła ręce do przodu, pokazując długi, cienki skalpel.

-Zatrzymam go, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

-Alez skąd - odparł Teddy, unosząc ręce.

-Wiesz, kim jestem?

-Pacjentka szpitala Ashecliffe.

Znow przekrzywiła głowę i pogładziła się po koszuli.

-No, no, no. Po czym się domyśliła?

-Dobrze już, dobrze. Punkt dla pani.

-Wszyscy szeryfowie federalni są tacy bystrzy?

-Od dawna nie jadłem i mój umysł pracuje wolniej niż zwykle - bronił się Teddy.

-A jak spałeś?

-Co takiego?

-Jak ci się tu na wyspie spali?

-Kiepsko, jeśli to ma jakieś znaczenie.

-Oj ma.

Podciągnęła spodnie na kolanach i siadła na ziemi, dając mu znak, żeby zrobił to samo.

Teddy usiadł i przyjrzał się kobiecie w świetle płomieni.

-Ty jesteś Rachel Solando - rzekł. - Ta prawdziwa. Kobieta wzruszyła ramionami.

-Naprawdę zabiła swoje dzieci? - spytał. Traciła skalpelem polano.

-Nigdy nie miałam dzieci.

-Nie miałas?

-Właśnie. Nawet nie wyszłam za maz. Może ci to zaskoczy, ale byłam tu czymś więcej niż zwykła pacjentka.

-Jak to możliwe?

Przesunęła nieco drugie polano, które opadło z trzaskiem, a z ogniska wzbily się iskry i zgasły, zanim dosięgły sklepienia jaskini.

-Pracowałam w tym szpitalu - powiedziała. - Od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

-Jako pielęgniarka?

Popatrzyła na niego z drugiej strony ogniska.

-Byłam lekarzem, szeryfie. Pierwszym lekarzem płci żeńskiej w szpitalu Drummond w Delaware. Pierwsza lekarka tutaj w Ashecliffe. Masz przed sobą prawdziwą pionierkę.

Albo pacjentkę cierpiącą na urojenia, pomyślał Teddy. Podniósł wzrok i ujrzał utkwiony w nim wzrok, życzliwy, czujny, mądry.

-Na pewno pomyślałaś: A to wariatka.

-Nie - zaprzeczył.

-Co innego można sadzić o kobiecie ukrywającej się w jaskini?

-Uznałem, że ma pani po temu powód.

Uśmiechnęła się smutno i potrząsnęła głową.

-Nie jestem wariatka. Nie jestem. Ale rzecz jasna, każdy szaleniec zakłinałby się, że nim nie jest. Oto iscie kafkowski dylemat, w całej swej jaskrawości. Jeśli ktoś nie jest wariatem, ale inni ogłosili światu, że jest, wszystkie jego protesty tylko umacniają świat w przekonaniu,

ze zwariował. Rozumiesz, co mam na myśli?

-W pewnym sensie.

-Potraktujmy to jako sylogizm. Załóżmy, że sylogizm zaczyna się od twierdzenia: "Wszyscy wariaci zaprzeczają, że są wariatami". Nadasz?

-Jasne - rzekł Teddy.

-Teraz etap drugi: "Bob zaprzecza, że jest wariatem". Etap trzeci, wnioskowanie: "Z tego wynika, że Bob jest wariatem". - Położyła skalpel na ziemi i dorzuciła patyk do ognia. - Jeśli ktoś zostanie zaszklany jako szaleniec, wszystkie jego wysiłki, które w innych warunkach dowiodłyby, że nim nie jest, w tych okolicznościach mieszczą się w ramach działań osoby szalonej. Uzasadnione protesty stanowią zaprzeczenie. Słuszne obawy nazywane są paranoją. Instynkt samozachowawczy przemianowany zostaje na mechanizm obronny. W tej sytuacji jest się z góry skazanym na porażkę. To w gruncie rzeczy wyrok śmierci. Kiedy ktoś raz tutaj trafi, już się nie wydostanie. Nikt nie wychodzi z oddziału C. Nikt. No dobrze, kilku pacjentów opuściło oddział C. Ale najpierw wycieli im kawałek mózgu. Ciach - przez oko. To barbarzyński zabieg, niedopuszczalny. Mówiłam im o tym. Walczyłam z nimi. Wysyłałam listy do różnych instytucji. Mogli mnie po prostu wyrzucić, wiesz? Zwolnić z pracy, pozwolić mi podjąć pracę w szkolnictwie, wyjechać z tego stanu. Ale to ich nie zadowalało. Nie mogli mnie wypuścić, po prostu nie mogli. Nie, nie, nie.

Wzburzyła się podczas tej przemowy i dzgała zar patykiem, zwracając się bardziej do swoich kolan niż do Teddy'ego.

-Naprawdę była pani lekarka? - spytał.

-Owszem, byłam lekarka - odparła, podnosząc wzrok. - Właściwie nadal jestem.

Pracowałam w tutejszym szpitalu. Zaczęły mnie zastanawiać przychodzące regularnie duże dostawy barbitalu i środków halucynogennych na bazie opium. Zaczęły mnie dziwić - czemu niestety głośno dawałam wyraz - zabiegi chirurgiczne, dla których "eksperymentalne" jest bardzo łagodnym określeniem.

-Co oni tu wyprawiają? - spytał Teddy. Posłała mu szelmowski uśmiech.

-Nie domyślasz się?

-Wiem, że naruszają zasady norymberskie.

-Naruszają? Maja je w nosie.

-Wiem, że stosują radykalne zabiegi lecznicze.

-Radykalne, owszem, ale nie lecznicze. Tutaj nikogo sie nie leczy, szeryfie. Jak myslisz, kto finansuje dzialalnosc szpitala?

-Komisja do spraw Dzialalnosci Anty amerykanskej - odparl Teddy.

-Nie mowiac o tajnych funduszach - dodala. - Plynie tu nieprzerwany strumien gotowki. Odpowiedz mi na pytanie: w jaki sposob bol przenika przez cialo?

-To zalezy od polozenia rany.

-Nie - odparla, energicznie krecac glowa. - To nie ma nic wspolnego z tkankami.

Mozg wysyla neuroprzekazniki do ukkladu nerwowego. To mozg steruje bolem. Steruje lekiem. Snem. Empatia. Glodem. W rzeczywistosci mozg zarzadza wszystkim, co kojarzymy z sercem, dusza czy ukladem nerwowym. Wszystkim.

-No dobrze...

Jej oczy lsnily w blasku ogniska.

-A gdyby mozna bylo nim sterowac?

-Mozgiem? Skinela glowa.

-Stworzyc czlowieka na nowo, tak aby obywatel sie bez snu, nie czul bolu. Ani milosci. Czy wspolczucia. Czlowieka, z ktorego nic sie nie wyciagnie podczas przesluchania, bo jego banki pamieci sa wyczyszczone. - Podsycila ogien i spojrzala na niego. - To fabryka upiorow, szeryfie. Upiorow przeznaczonych do upiornych zadan.

-Ale umiejetnosc tego rodzaju, wiedza tego rodzaju to...

-Owszem, kwestia przyszlosci, ale nie tak dalekiej, kilkudziesieciu lat. Zaczeli na wzor Sowietow od prania mozgu. Doswiadczen z deprivacja. Podobnie jak hitlerowcy eksperymentowali na wiezniach, zeby poznac skutki dlugotrwalogo wystawienia na ekstremalne temperatury i na podstawie zdobytej wiedzy pomoc zolnierzom Trzeciej Rzeszy. Ale nie rozumiesz, szeryfie? Za piecdziesiat lat wtajemniczeni spojrze wstecz i co powiedza? - Kobieta wskazala palcem ziemie. - "To wszystko zaczelo sie tutaj".

Hitlerowcy wykorzystywali zydow. Sowietci mieli do dyspozycji wiezniow w gulagach.

A my eksperymentowalismy na pacjentach na Shutter Island.

Teddy milczal. Zadne slowa nie przychodzily mu do glowy. Kobieta zapatrzyla sie w ogien.

-Nie wypuszcza cie stad. Wiesz o tym, prawda?

-Jestem szeryfem federalnym - odparł Teddy. - Jak mogą mnie tu zatrzymać?

Uśmiechnęła się, rozbawiona tą uwagą, i klasnęła.

-Ja byłem cenionym psychiatrą z szanowanej rodziny. Kiedyś ludziłem się, że to wystarczy, żeby zapewnić mi ochronę. Z przykrością muszę cię powiadomić, że okazało się inaczej. Pozwól, że cię zapytam o doznane w przeszłości urazy.

-A czy ktoś jest od nich wolny?

-Owszem, ale my nie prowadzimy ogólnych rozważań o ludziach. Mówimy o konkretnych przypadkach. O tobie. Czy w twojej psychice są jakieś słabe punkty, w które mogą uderzyć? Czy w przeszłości przytrafiło ci się coś, co mogliby ogłosić światu jako przesłankę utraty przez ciebie poczucia? A kiedy cię tu zamkną, a na pewno cię zamkną, twoi przyjaciele i koledzy powiedzą: "Oczywiście. Złamał się."

W końcu. Kto by się nie złamał na jego miejscu? To przez te wojenne doświadczenia.

I utratę matki - czy innej bliskiej osoby". I co ty na to?

-To może dotyczyć każdego - zauważył Teddy.

-No właśnie. O to chodzi. Nie rozumiesz? Może dotyczyć każdego, ale oni powiedzą tak o tobie. Jak twoja głowa?

-Moja głowa? - zdziwił się Teddy.

Przygryzła dolną wargę i skinęła kilka razy głową.

-Ta bania przyczepiona do twojej szyi. Co z nią? Niekiedy ci ostatnio dziwne sny?

-Pewnie.

-Bole głowy?

-Cierpie na migrenę.

-Jezu. Tylko nie to.

-Niestety, to prawda.

-Podczas pobytu na wyspie brałaś leki, aspirynę, cokolwiek?

-Tak.

-Czujesz się trochę nieswojo? Jakbyś nie był w pełni sobą? Och, to nic takiego, mówisz, po

prostu spadek formy. Moze twój mózg pracuje ociupnie wolniej niż zwykle, nie kojarzysz faktów tak szybko, jak powinienes. Ale przeciez ostatnio kiepsko spales, mowisz. Nowe lozko, nowe miejsce, do tego jeszcze ten huragan. Tak sobie wmawiasz.

Mam racje?

Teddy potwierdzil skinieciem.

-Domyslalam sie tez, ze zywiles sie w stolowce. Piles kawe, ktora ci dawali. Ale przynajmniej papierosy paliles wlasne, co?

-Moj partner mnie czestowal - przyznal Teddy.

-I ani razu nie wziales papierosa od pracownika szpitala?

Teddy czul spoczywajace w kieszeni na piersi papierosy, ktore wygral w pokera.

Pamietal papierosa, ktorego dostal od Cawleya w dniu przyjazdu; zadne inne, ktore palil w zyciu, nie mialy tak slodkiego smaku.

Dostrzegla wypisana na jego twarzy odpowiedz.

-Przecietnie trzeba trzech do czterech dni, zeby stezenie Srodkow neuroleptycznych we krwi osiagnelo odpowiedni poziom. W tym czasie skutki ich dzialania sa niemal niedostrzegalne. Czasami pacjenci dostaja atakow, ktore na ogol przypisuje sie migrenie, zwlaszcza jesli pacjent w przeszlosci cierpial na migrene. W kazdym razie te ataki sa dosc rzadkie. Niekiedy jedynym zauwazalnym objawem jest wystepowanie u pacjenta...

-Niech mnie pani tak nie nazywa. - ...snow, dlugotrwalych i niezwykle wyrazistych, snow, ktore wiaza sie ze soba i przechodza jeden w drugi, a koncowy efekt jest niczym kubistyczna powiesc. Innym widocznym objawem jest to, ze pacjent czuje sie lekko zamroczony, tak. Nie myslisz zbyt skladnie, ale przeciez zle spal, i do tego te sny, mozna mu wiec wybaczyć te umyslowa ociezalosc. A gwoli scislosci, okieslenie "pacjent" nie odnosi sie do ciebie, szeryfie.

Jeszcze nie. To byl z mojej strony chwyt retoryczny.

-Jak bardzo te srodki zdazyly mi juz zaszkodzic? Jesli od tej pory nie tkne jedzenia, kawy, tabletek, nie zapale papierosa, czy te szkody da sie naprawic?

Odgarnela wlosy do tylu i zwiazala.

-Obawiam sie, ze sprawa zaszla juz za daleko.

-Przyjmijmy, ze zostane na wyspie jeszcze jeden dzien. Przyjmijmy, ze te srodki zaczely dzialac. Po czym to poznam?

-Najbardziej widoczna oznaka jest suchosc w ustach, polaczona - co dziwne - ze slinieniem sie. No i jeszcze postepujace porazenie nerwowe. Zauwazysz lekkie drzenie miesni. Zaczyna sie w miejscu, w którym kciuk styka sie z nadgarstkiem, potem powoli rozchodzi sie na caly kciuk, zanim wezmie we wladanie cala reke.

We wladanie.

-Co jeszcze? - spytal.

-Podwyszona wzraliwosc na swiatlo, bole po lewej stronie glowy, slowa wieznace w gardle. Zacziesz sie zacinac przy mowieniu.

Teddy slyszal dolatujacy z zewnatrz szum oceanu, odglos fal przyplywu rozbijajacych sie o skaly.

-Co znajduje sie w latarni?

Splotla ramiona na piersi i pochylila sie do ognia.

-Oddzial chirurgii.

-Chirurgii? Przeciez moga przeprowadzac operacje w szpitalu.

-Chirurgii mozgu.

-Na to tez jest miejsce w szpitalu.

Kobieta wpatrywala sie w ogien.

-Ich celem jest eksploracja. Nie mowimy tu o zabiegach otwierania czaszki po to, zeby cos w mozgu naprawic. Mam na mysli zabiegi w rodzaju: "Otworzymy czaszke i zobaczymy, co sie stanie, jesli pociagniemy za to". Niezgodne z prawem, szeryfie. Na wzor praktyk hitlerowskich - rzekla z usmiechem. - Tam wlasnie probuja powolac do zycia te upiory.

-Kto o tym wie? Tu na wyspie?

-O tym, co dzieje sie w latarni? - Tak.

-Wszyscy.

-Akurat. Poslugacze i pielegniarki tez?

Patrzyla mu prosto w oczy, a jej spojrzenie bylo czyste i spokojne.

-Wszyscy - powtorzyla.

Nie pamiętał, kiedy zasnął, ale musiał się zdrzemnąć, ponieważ potrzasła nim gwałtownie.

-Musisz już iść - mówiła. - Oni myślą, że nie żyje. Myślą, że się utopiłam. Nie chce, żeby mnie znaleźli, kiedy będą cię szukać. Przykro mi, ale musisz wracać.

Wstał i potarł skóre pod oczami.

-Na gorze jest droga - powiedziała. - Na wschód od urwiska. Potem zakreca na zachód. Po godzinie marszu doprowadzi cię na tyły dawnej siedziby komendanta tutejszego garnizonu.

-Jestes Rachel Solando? - upewnił się. - Wiem, że ta, która mi pokazała, tylko ja udawała.

-Po czym się domyśliłaś?

Teddy wrócił pamięcią do poprzedniej nocy, do chwili tuż przed zasnięciem.

Przyglądał się swoim zabrudzonym kciukom, kiedy kładli go spać. Gdy się obudził, były czyste. Pomyślał wtedy, że umazane były pastą do butów, ale teraz przypomniał sobie, że dotykał tamtej kobiety...

-Miała świeżo pofarbowane na czarno włosy.

-Ruszaj już - powiedziała i skierowała go delikatnie w stronę wyjścia.

-Może będzie musiał tu wrócić...

-Nie zastaniesz mnie. Przenoszę się z miejsca na miejsce. Co noc śpię gdzie indziej.

-Mogłbym przyjść po ciebie, zabrać cię z tej wyspy. Uśmiechnęła się do niego smutno i pogłaskała go po skroniach.

-Nie dotarło do ciebie nic z tego, co mówiłam, prawda?

-Owszem, dotarło.

-Nie wyrwiesz się stąd. Jesteś teraz jednym z nas. Napierając lekko na jego barki, przesuwiała go do wyjścia. Teddy przystanął na krawędzi i obejrzał się.

-Byłem wczoraj z przyjacielem, ale się rozdzieliliśmy. Nie widziała go pani?

Posłała mu ten sam smutny uśmiech.

-Ty nie masz tu przyjaciół, szeryfie.

Ledwo sie trzymal na nogach, kiedy wyszedl w koncu na tyly domu Cawleya. Obszedl dom i ruszyl droga prowadzaca do glownej bramy, ktora - mial wrazenie - czterokrotnie sie wydluzyła od wczorajszego dnia, gdy z ciemnosci tuż obok niego wynurzył sie mezczyzna.

-Ciekawilo nas, kiedy znow sie pan pokaze - powiedzial, wsuwajac Teddy'emu reke pod ramie.

Komendant.

Cere mial biala niczym wosk, gladka, jakby polakierowana, i lekko przeswiecajaca.

Teddy'emu rzucily sie w oczy paznokcie komendanta, biale jak jego skora, dlugie - jeszcze troche i zaczelyby sie zakrzywiac - i starannie opilowane. Ale jego najbardziej niepokojaca cecha byly oczy. Lsniace, blekitne, z malujacym sie w nich osobliwym zachwytem. Oczy niemowlaka.

-Ciesz sie, ze wreszcie pana poznalem, komendancie. Jak sie pan miewa?

-Och, znakomicie - odparl komendant. - A pan?

-Jestem u szczytu formy. Komendant scisnal go w ramie.

-Milo mi to slyszec. Wybralismy sie na przechadzke, tak?

-Skoro pacjentka sie znalazla, pomyslalem, ze zwiedze okolice.

-Ufam, ze wycieczka sie udala.

-Bardzo. - Swietnie. Spotkal pan naszych tubylcow?

Dopiero po minucie Teddy sie polapal. W glowie huczalo mu teraz bez przerwy.

Nogi sie pod nim uginaly.

-Ach, ma pan na mysli szczury.

Komendant poklepal go po plecach.

-Wlasnie, szczury! Maja w sobie cos dziwnie krolewskiego, nie uwaza pan?

-To tylko szczury - odparł Teddy, patrzac mu w oczy.

-Szkodniki, owszem, przyznaje. Ale to, jak dumnie siedza na zadkach i mierza człowieka wzrokiem, jezeli uznaja, ze sa w bezpiecznej odleglosci, i jak szybko sie poruszaja... Potrafia w mgnieniu oka wsliznac sie do nory i z niej uciec. - Komendant popatrzył na niebo. - Chociaz "krolewskie" nie jest chyba wlasciwym okresleniem. Moze "zdatne"? To wyjatkowo zdatne stworzenia.

Staneli przed brama. Wciaz sciskajac Teddy'ego za ramie, komendant obrocil sie na piecie i znow mieli przed soba dom Cawleya i morze.

-Ucieszyl pana ten nowy dar zeslany przez Boga? - spytal komendant.

Teddy spojrzal na niego i wykryl czajace sie w tych nieskazitelnych oczach zepsucie.

-Slucham?

-Dar zeslany przez Boga - powtorzyl komendant, zamaszystym gestem wskazujac na spustoszona okolice. - Jego gwaltownosc. Kiedy zszedlem na dol i ujrzałem to drzewo na srodku mojego salonu, bylo jak wyciagnieta do mnie boska reka. Nie doslownie, oczywiscie. Wyciagalo sie w przenosni. Bog uwielbia przemoc i gwalt. Pan to rozumie, prawda?

-Nie - powiedzial Teddy. - Nie rozumiem.

Komendant odszedl kilka krokow od Teddy'ego i odwrocil sie do niego twarza.

-A jak inaczej wytlumaczyc te wszechobecna gwaltownosc? Jest w nas.

Wydzielamy ja. Przemoc przychodzi nam latwiej niz oddychanie. Toczmy wojny.

Skladamy calopalne ofiary. Lupimy, rwiemy na strzepy ciala naszych braci. Pola naszych bitew uslane sa cuchnacymi trupami. A dlaczego to robimy? Zeby pokazac, ze bierzemy z Niego przyklad - oznajmil komendant z usmiechem, obnazajac zolte zeby.

Teddy obserwowal jego reke gladzaca grzbiet ksiazeczki, ktora przyciskal do brzucha.

-Od Boga pochodza trzesienia, huragany, tornada - mowil komendant. - Od Niego pochodza gory, ktore pluja nam na glowy ogniem. Oceany, ktore pochlanjaja okreta. Jego dzielem jest przyroda, a przyroda to potwor, ktory zabija z usmiechem. Bog zsyla na nas choroby po to, abysmy konajac, mieli swiadomosc, ze tylko po to wyposazyl nasze ciala w otwory, bysmy mogli czuc, jak przez nie wycieka z nas zycie. Wyposazyl nas w chuc, wscieklosc i chciwosc, i w plugawe serca. Abysmy na Jego czesc zadawali gwalt. Nie istnieje lad moralny w czystszej postaci niz ten sztorm, ktory nas nawiedzil. Nie istnieje zaden lad moralny. Liczy sie tylko jedno - czy moja gwaltownosc zdola pokonac twoja?

-Nie jestem pewny, czy...

-Zdola? - przerwal mu komendant, podchodzac tak blisko, ze Teddy czul jego nieswiezy oddech.

-Co? - spytal Teddy.

-Czy moja gwałtownosc zdola pokonac twoja?

-Nie jestem człowiekiem gwałtownym - powiedzial Teddy.

Komendant splunal na ziemie.

-Jestes drapiezca. Widze to, bo sam jestem drapiezca. Sam siebie zniewazasz, zaprzeczajac wlasnej zadzy krwi, synu. I zniewazasz mnie. Gdyby usunac wszelkie hamulce narzucone przez spoleczenstwo, a ja stalbym ci na drodze do pozywienia, rozlupalbys mi kamieniem czaszke i wyzarlbys ze mnie co lepsze kaski. - Nachylil sie do niego. - Gdybym teraz zatopil zeby w twoim oku, potrafilbys mnie powstrzymac przed tym, zebym cie oslepil?

Jego oczy niemowlaka palaly radoscia. Teddy wyobrazil sobie serce komendanta, tlukace sie mu w piersi - czarne.

-Przekonaj sie - powiedzial.

-Oto wlasciwa postawa - szepnal komendant.

Teddy przesunal stopy, czul krew pulsujaca mu w zylach na rekach.

-Tak, tak. "I stalo sie, zem sie zzył z kajdanami" - dodal cicho komendant.

-Slucham? - spytal Teddy mimowolnie szeptem; po calym jego ciele rozchodzilo sie dziwne mrowienie.

-To Byron - wyjasnil komendant. - Zapamietasz te slowa, prawda?

-Ale z ciebie okaz, niepowtarzalny - rzekl Teddy z usmiechem, kiedy ten cofnal sie o krok.

Komendant odpowiedzial mu niklym usmieszkiem.

-On uwaza, ze nie ma w tym nic zlego.

-W czym? - spytal Teddy.

-W tej twojej gierce. Uwaza, ze to nic groznego. Ale ja tak nie sadze.

-Nie?

-Nie - odparł komendant, opuszczając reke i podchodząc bliżej. Skrzyżował ręce za plecami, przyciskając teraz książeczkę do podstawy kregoslupa, rozstawił nogi po wojskowemu i wbił wzrok w Teddy'ego. - Twierdzisz, że wyszedles na przechadzkę, ale ja wiem swoje. Poznałem się na tobie, synu.

-To nasze pierwsze spotkanie - zauważył Teddy.

Komendant potrząsnął głową.

-Rasy, z których się wywodzimy, są sobie znajome od wieków. Przejrzałem cię na wylot. I myślę, że jesteś przygłębiony. Tak myślę. - Wydał usta i zapatrzył się w czubki swoich butów. - Nie przeszkadza mi twoje przygłębienie. Swoja droga to żalosne, ale nikomu nie szkodzi. Uważam też, że jesteś niebezpieczny.

-Każdy ma prawo myśleć, co mu się podoba - odparł Teddy.

Komendant pociemniał na twarzy.

-Nie zgadzam się z tym poglądem. Ludzie są głupi. Zra, pija, puszczają gazy, spolkują i mnożą się, a szczególnie niekorzystna jest ta ostatnia okoliczność, bo świat byłby dużo przyjemniejszym miejscem, gdyby żyło na nim znacznie mniej ludzi.

Niedorozwinięci, wykolejenci, wariaci, ludzie bez kregoslupa moralnego - oto, kogo powołujemy do istnienia. Zakale tej ziemi. Na Południu próbują teraz dojść do władzy z czarnuchami. Ale powiem ci coś: mieszkałem jakiś czas na Południu i wszyscy tam są czarni. Biali, Murzyni, kobiety - same czarnuchy. Gdzie się obejrzyś, czarnuchy, a tyle z nich pożytku co z psów chodzących na dwóch nogach. Ale pies potrafi przynajmniej od czasu do czasu zwiertzyć zwierzyne. Czarnuch z ciebie, synu, urobiony z podłej gliny.

Czuc to od ciebie.

Jego głos brzmiał zaskakująco miękko i dzwicznie, niemal kobieco.

-Ale niedługo przestane ci sprawiać kłopot, prawda, komendancie? - powiedział Teddy.

Komendant się uśmiechnął.

-Zgadza się, synu.

-Wsiadaj na prom i będziesz miał mnie z głowy.

Komendant zrobił dwa kroki w kierunku Teddy'ego, uśmiech znikł z jego twarzy.

Przekrzywił głowę i spojrzał mu prosto w oczy swoim wzrokiem noworodka.

-Nigdzie nie wyjedziesz, synu. - Smiem watpic.

-Wolno ci - rzekl komendant i nachylil sie do Teddy'ego. Obwachal go z lewej strony, potem z prawej.

-Wywieszyles cos? - spytal Teddy.

-Aha - mruknal komendant i cofnal sie. - Zapach strachu, synu.

-To radze ci wziac prysznic - odparl Teddy. - Zmyc z siebie ten smrod.

Przez chwile zaden z nich sie nie odzywial, wreszcie komendant powiedzial:

-Nie zapominaj o kajdanach, czarnuchu. Swoich nieodlacznym towarzyszach.

I wiedz, ze ciesze sie na mysl o naszej ostatecznej rozgrywce. Och, co to bedzie za rzez - dodal.

Odwrocil sie i ruszyl droga w kierunku swojego domu.

Kwatery meskiej czesci personelu byly opustoszone. Teddy poszedl do swojego pokoju, powiesil w szafie sztormiak i rozejrzal sie za sladami swiadczacyimi o powrocie Chucka, ale nic nie wskazywalo na to, ze wrocil.

Naszla go ochota usiasc na lozku, ale zdawal sobie sprawe, czym by sie to skonczylo: padlby bez czucia i spal jak zabity do rana. Orzezwil sie w lazience zimna woda i mokrym grzebieniem zaczesal do tylu krotko przyciete wlosy. Mial wrazenie, jakby ktos wyprobowywal niedawno na jego koscicach tarnik, a krew w zylach wydawala sie gesta jak maz. Oczy byly zapadniete, w czerwonych obwodkach, a cera zszarzala.

Ochlupal jeszcze kilka razy twarz zimna woda, wytarl sie i wyszedl z pokoju.

Na dziedzincu szpitalnym nikogo nie spotkal.

Powietrze juz sie ocieplalo, robilo sie parne i lepkie. Cykady i swierszcze powoli odzyskiwaly glos. Teddy obszedl teren w nadziei, ze mimo wszystko natknie sie na Chucka, ktory, powodowany ta sama mysla, tez mogl teraz krecic sie po okolicy, wypatrywac partnera.

Przy bramie stal straznik, a w pokojach palily sie swiatla, lecz poza tym nie widac bylo zadnych oznak ludzkiej obecności. Teddy skierowal sie do szpitala, wszedl po schodkach i szarpnal za klamke, lecz drzwi wejsciowe, niestety, byly zamkniete na klucz.

Wtem zaskrzypialy zawiasy, Teddy rozejrzal sie, lecz okazalo sie, ze to straznik wyszedl za brame, zeby pogadac ze swoim kolega stojacym na posterunku po drugiej stronie.

Usłyszał trzask zamykanej bramy. Szorując butami po betonowej nawierzchni, Teddy odsunął się od drzwi i usiadł na schodkach.

Nie potwierdziła się teoria Noyce'a. Ponad wszelką wątpliwość Teddy był teraz zupełnie sam. Owszem, był odcięty od świata. Ale wyglądało na to, że nikt go nie śledzi.

Poszedł na tyły budynku szpitala. Zrobiło mu się różnie na widok posługacza siedzącego na stopniach przed wejściem i cmiacego papierosa.

Teddy zbliżył się i posługacz, szczupły, czarnoskóry chłopak, spojrzał na niego.

Teddy wyciągnął papierosa z kieszeni.

-Masz ogień? - zapytał.

-Jasne.

Teddy pochylił się i przypalił od niego papierosa. Uśmiechnął się w podziękowaniu i wyprostował. Naraz przypomniało mu się, że kobieta w jaskini przestrzegła go przed paleniem tutejszych papierosów. Wypuścił powoli dym bez zaciągania się.

-Wszystko w porządku? - spytał.

-U mnie gra. A u pana?

-Nie narzekam. Gdzie się wszyscy pochowali?

-W środku - odparł chłopak, wskazując kciukiem za siebie. - Na jakimś ważnym zebraniu. Ale nie wiem, o czym gadają.

-Wszyscy lekarze i pielęgniarki?

Chłopak skinął głową.

-I kilku pacjentów. No i posługacze. A ja siedzę tutaj, bo kazali mi pilnować tych drzwi. Klamka się zacina. Ale poza tym jest tam prawie cały personel medyczny.

Teddy wydmuchiwał dym bez wciągania go do płuc. Miał nadzieję, że chłopak nie zauważy. Zastanawiał się, co ma zrobić w tej sytuacji. Spróbować dostać się do środka pod fałszywym pretekstem? W oczach chłopaka Teddy był pewnie zwykłym posługaczem z innego oddziału.

Dostrzegł jednak przez szyby w drzwiach za plecami posługacza, że w holu pojawili się ludzie, którzy kierowali się do drugiego wyjścia.

Podziękował chłopakowi za ogień i poszedł z powrotem do drzwi frontowych. Klebił się tam

spory tłumek ludzi, którzy rozmawiali i palili papierosy. Teddy spostrzegł siostrę Marino, która powiedziała coś Treyowi Washingtonowi, kładąc mu rękę na ramieniu, a ten się roześmiał wyraźnie ubawiony.

Teddy ruszył w ich stronę, lecz usłyszał Cawleya wołającego go od schodów.

Odwrocił się do niego. Cawley podszedł, ścisnął mu lekko łokieć na powitanie i wziął go na stronę.

-Gdzie się pan podziewał? - zapytał.

-Zwiedzałem waszą wyspę - odparł Teddy.

-Urządził pan sobie wycieczkę?

-Owszem.

-Widział pan coś ciekawego?

-Szczury.

-Tak, nie da się ukryć, że mamy ich tu mnóstwo.

-A jak naprawa dachu? - spytał Teddy.

-Postawiłem wiadra w miejscach, gdzie przecieka. - Cawley westchnął. - Poddasze zalane, zniszczone, podobnie podłoga w pokoju gościnnym. Zona się zaplaczę.

Przechowywała suknie ślubne na tym poddaszu.

-Właśnie. A gdzie teraz przebywa pańska małżonka?

-W Bostonie. Mamy tam mieszkanie. Zona i dzieci potrzebowały zmiany otoczenia, więc wyjechały na tydzień na wakacje. Czasami ma się po prostu dość tej wyspy.

-Ta wyspa i na mnie zaczyna źle działać, a jestem tu dopiero trzy dni, doktorze.

Cawley przyjął to z łagodnym uśmiechem.

-Ale to już długo nie potrwa - oświadczył.

-Słucham?

-Wraca pan do siebie, szeryfie. Przecież Rachel się znalazła. Prom zwykle przypluwa rano około jedenastej. Sądzę, że do południa dostarczy pana do Bostonu.

-Jak miło.

-Prawda? - odparł Cawley, pocierając głowę. - Powiem panu coś, szeryfie, tylko proszę się nie obrazac.

-Skąd my to znamy?

-Nie zamierzam osadzać stanu pańskiej psychiki - zastrzegł się Cawley, unosząc rękę. - Nie. Chodzi o to, że pańska obecność w szpitalu wywołała wzburzenie wśród pacjentów. Rozumie pan - "zawital do nas stróż prawa", i tak dalej. Niektórzy są z tego powodu nadmiernie pobudzeni.

-Przykro mi.

-To nie pańska wina. To raczej urząd, który pan reprezentuje, a nie pańska osoba, jest przyczyną.

-Coż, w takim razie nie ma o czym mówić.

Cawley oparł się o mur. Stał tak w pomiętym fartuchu i poluzowanym krawacie, a cała jego postać wyrażała skrajne wyczerpanie, takie, jakie w tej chwili odczuwał Teddy.

-Po oddziale C chodziły słuchy, że po południu przebywał tam niezidentyfikowany osobnik ubrany jak posługacz - rzekł nagle Cawley.

-Naprawdę?

-Naprawdę - odparł Cawley, spoglądając na Teddy'ego.

-Coś podobnego.

Cawley strzepnął klaczek, który przyczepił mu się do krawata.

-Otoż ów nieznajomy podobno wykazał się dużą wprawą w poskramianiu niebezpiecznych ludzi.

-Nie może być.

-Oj może, może.

-Coż jeszcze działał "ów nieznajomy"?

Cawley wygiął do tyłu ramiona, schował fartuch laboratoryjny i przewiesił go przez rękę.

-Widzę, że obudziło to pańską ciekawość.

-Nie ma to jak ploteczka od czasu do czasu.

-Zgadza się. Ow nieznanomy rzekomo - czego nie można jednak potwierdzić w stu procentach - odbył długą rozmowę z niejakim George'em Noyce'em, schizofrenikiem cierpiącym na dodatek na manie prześladowczą.

-Hmm - powiedział Teddy.

-Otoż to.

-Wiec ten, jak mu tam...

-Noyce - podpowiedział Cawley.

-Noyce - powtórzył Teddy. - No właśnie. Ten facet ma urojenia, tak?

-I to ostre. Plecie trzy po trzy, opowiada niestworzone historie, które wywołują u słuchaczy wzburzenie.

-Oho, znów to określenie.

-Przepraszam. Powiedzmy, że wywołują u słuchaczy drażliwość. Dwa tygodnie temu tak rozłósł pacjentów, że jeden z nich dotkliwie go pobił.

-Niesłychane.

Cawley wzruszył ramionami.

-Coż, zdarza się.

-Jakie bzdury wygaduje ten Noyce? - spytał Teddy.

Cawley machnął ręką.

-Fantazjuje, jak to mają w zwyczaju paranoicy. Że niby cały świat sprzysiął się przeciwko niemu i chce go zniszczyć, i tym podobne brednie.

Cawley spojrzał na Teddy'ego i zapalił papierosa, w jego oczach odbił się błysk płomienia zapalki.

-Ale wkrótce pan stąd wyjedzie.

-Na to wygląda.

-Najbliższym promem.

-Jesli ktos raczy nas obudzic - odparl Teddy, posylajac mu lodowaty usmiech.

Cawley odpowiedzial mu tym samym.

-To sie chyba da zalatwic - dodal. - Swietnie.

-Moze papierosa? - powiedzial Cawley i podsunal mu paczke.

-Nie, dziekuje - odparl Teddy, zaslaniajac sie reka.

-Rzuca pan palenie?

-Ograniczam.

-I slusnie. Czytalem w pismach fachowych, ze papierosy moga byc przyczyna wielu okropnych chorob.

-Czyzby?

Cawley kiwnal glowa.

-Na przyklad raka, z tego, co wiem.

-Tyle roznych rzeczy powoduje teraz smierc.

-Owszem, ale tez coraz wiecej chorob potrafimy wyleczyc.

-Tak pan uwaza?

-Inaczej nie zostalbym lekarzem - odparl Cawley, zadzierajac glowe i wydmuchujac dym.

-Mieliscie tu kiedys pacjenta nazwiskiem Laeddis, Andrew Laeddis? - spytal Teddy.

-Nic mi to nazwisko nie mowi - powiedzial Cawley, patrzac znow prosto przed siebie.

-Nie?

-A powinno?

Teddy potrzasnal glowa.

-Znalem go kiedys i...

-Skad?

-Co takiego?

-Skąd pan go znalazł?

-Z wojska - odparł Teddy. - Aha.

-W każdym razie slyszalem, że mu odbilo i trafil tutaj. Cawley zaciagnal sie powoli papierosem.

-Ktos wprowadzil pana w blad.

-Najwyrazniej.

-No coz, tak bywa. Ale zaraz... powiedzial pan przed chwila "nas", czy sie przeslyszalem?

-Slucham? - "Nas", jak w pierwszej osobie liczby mnogiej.

-Mialem na mysli siebie? - spytal Teddy, kladac reke na piersi.

Cawley potwierdzil skinieciem.

-Wydawalo mi sie, że powiedzial pan: "Jesli ktos raczy nas obudzic". Nas.

-Powiedzialem tak. Oczywiscie. A przy okazji, widzial go pan gdzies?

Cawley uniosl ze zdziwieniem brwi.

-Niech pan przestanie udawac. Jest tutaj? Cawley rozesmial sie, spojrzal na Teddy'ego.

-Co znowu? - spytal Teddy. Cawley wzruszyl ramionami.

-Po prostu nie moge sie w tym polapac.

-W czym polapac?

-Zgrywa sie pan, szeryfie, czy co?

-Ja sie zgrywam? Chce tylko wiedziec, czy on tu jest.

-Kto taki? - spytal Cawley z nuta rozdraznienia w glosie.

-Chuck.

-Chuck? - powtorzyl powoli Cawley.

-Moj partner - powiedzial Teddy. - Chuck.

Cawley odsunal sie od muru, opuszczajac reke z papierosem.

-Przecież przyjechał pan tu sam, szeryfie, bez partnera.

19

-Zaraz, chwileczkę... - powiedział Teddy. Jego wzrok napotkał Cawleya, który przyglądał mu się z bliska.

Teddy zamknął usta, czuł, jak na jego powieki napiera mrok tej letniej nocy.

-Proszę mi opowiedzieć o swoim partnerze - odezwał się Cawley, który utkwil w nim zaciękawione, zimne spojrzenie. Nigdy wcześniej nikt nie przyglądał się Teddy'emu w ten sposób: badawczo, rozumnie i straszliwie beznamietnie. Takim wzrokiem patrzył frant w bulwarowym przedstawieniu, wyrrywający się z głupia uwaga i udający, że nie wie, z której strony spodziewać się docinku.

A Teddy grał w tej farsie blazna, gamonia w za luznych szelkach i beczce zamiast spodni, który jako jedyny nie rozumie dowcipu.

-Szeryfie? - spytał Cawley, posuwając się krok do przodu, jakby Teddy był motylem, którego bał się spłoszyć.

Jeśli Teddy będzie się burzył, dopytywał się, gdzie jest Chuck, jeśli w ogóle będzie upierał się przy istnieniu Chucka, zda się zupełnie na ich łaskę.

Napotkał spojrzenie Cawleya i ujrzał malujące się w nich rozbawienie.

-Wariaci zaprzeczają, że są wariatami - powiedział Teddy.

-Słucham? - spytał Cawley, podchodząc krok bliżej.

-Bob zaprzecza, że jest wariatem. Cawley skrzyżował ręce na piersi.

-Ergo: Bob jest wariatem - dokończył Teddy.

Cawley odchylił się na piętach, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Teddy uśmiechnął się w odpowiedzi.

Stali tak chwile, nad ich głowami w koronach drzew na nocnym wietrze szeleszcili liście.

-Wie pan - odezwał się Cawley ze spuszczonej głową, ryjąc czubkiem buta w trawie.

-Udało mi się tu stworzyć coś naprawdę cennego. Ale cenne osiągnięcia mają to do siebie, że mało kto ze współczesnych potrafi się na nich poznać. Każdy chce efektów widocznych od razu. Zmęczeni jesteśmy lekami, zmęczeni smutkiem, zmęczeni bezsilnością, zmęczeni samym zmęczeniem. Marzy nam się, żeby znowu było jak za dawnych dobrych lat, chociaż

nawet ich nie pamiętamy, a przy tym, paradoksalnie, na leb, na szyje przemy w przyszłość. A cierpliwość i wyrozumiałość pierwsze padają ofiarami postępu. To żadna nowość. Taka>>jest i była kolej rzeczy. - Cawley podniósł głowę. - Więc chociaż mam wielu potężnych zwolenników, tyle samo mam potężnych wrogów. Ludzi, którzy chcą wydrzeć mi z rąk dorobek mojego życia. A do tego nie mogę dopuścić. Będę tego bronić ze wszystkich sił. Rozumie pan?

-Och, rozumiem, doktorze.

-To dobrze - powiedział Cawley, opuszczając ręce. - A co z tym pańskim partnerem?

-Jakim partnerem? Teddy zastał w pokoju Treya Washingtona, który leżał na łóżku i przeglądał stary numer czasopisma "Life".

Teddy spojrzał na łóżko, które zajmował Chuck. Pościel była zmieniona, a łóżko starannie posłane, i nikt by się nie domyślił, że dwa dni temu ktoś w nim spał.

W szafie wisiała świeżo wyprana, zapakowana w folię garderoba Teddy'ego: marynarka, koszula, krawat i spodnie. Teddy przebrał się w czyste ubranie.

-Jak samopoczucie, szeryfie? - zagadnął go Trey, wertując błyszczące czasopismo.

-W porządku, dziękuję.

-To dobrze, to dobrze.

Teddy zauważył, że Trey unika jego wzroku - zapatrzony w czasopismo przewraca w kolko te same strony.

Teddy przelożył zawartość kieszeni do nowego ubrania. Formularz przyjęcia Laeddisa wraz z notesem umieścił w wewnętrznej kieszeni marynarki. Usiadł na łóżku Chucka naprzeciwko Treya, zawiązał krawat i buty, a potem siedział w milczeniu.

-Jutro będzie upał - odezwał się Trey, przewracając kartkę.

-Naprawdę?

-Kurewski upał. Złe działa na pacjentów.

-Nie wiedziałem.

Trey pokiwał głową.

-Tak, tak. Są wyjątkowo podnieceni, nie mogą spokojnie usiedzieć na dupie. A do tego ta pełnia jutro. Fatalnie. Tylko tego nam trzeba.

-Dlaczego?

-Co takiego, szeryfie?

-Dlaczego fatalnie, że jutro wypada pełnia? Myślisz, że ludzie od tego dostają świra?

-Wiem, że tak jest - odparł Trey, wygładzając palcem zagięty róg kartki.

-Skąd?

-Niech pan sam pomyśli. Księżyc powoduje przyływ, zgadza się?

-No tak.

-Przyciąga wodę jak magnes czy coś w tym rodzaju.

-Racja.

-A połowę mózgu człowieka stanowi woda - oświadczył Trey.

-Poważnie?

-Poważnie. A jeśli stary, poczciwy pan księżyc może zawrócić ocean, to nie potrafi zawrócić nam w głowie? Niech się pan zastanowi.

-Jak długo tu pracujesz, Trey?

Trey skończył rozprostowywać kartkę, przewrócił następną.

-Oj, długo. Od czterdziestego szóstego. Jak tylko wypuscili mnie do cywila.

-Byłeś w wojsku?

-Jasne. Zaciągnąłem się, żeby walczyć, a wylądowałem przy garach. Walczyłem ze szkopami podłym zarciem.

-Zrobili nas w balona.

-O tak. Wciągnęli nas do wojny, obiecywali, że do czterdziestego czwartego się skończy.

-Nie da się zaprzeczyć.

-Pan to był w świecie człowiek, co, szeryfie?

-Widziało się to i owo.

-I jak tam jest w szerokim świecie?

-To samo gówno, tylko inne języki. - Święta prawda, no nie?

-Wiesz, Trey, jak nazwał mnie dziś komendant?

-Zamieniam się w słuch.

-Czarnuchem.

-Co takiego? - powiedział Trey, odrywając wzrok od czasopisma.

-Powiedział, że na świecie rozplenili się podludzie. Nizsze rasy. Czarnuchy.

Niedorozwinięci. Powiedział, że ja jestem dla niego zwykłym czarnuchem.

-Na pewno się to panu nie spodobało - zachichotał Trey, ale śmiech zaraz zgasł na jego ustach. - Nie ma pan pojęcia, co to znaczy być czarnuchem.

-Zdaje sobie z tego sprawę. Ten człowiek jest twoim przełożonym, Trey.

-Nie jest moim szefem. Ja należę do personelu medycznego. A Biały Diabeł?

Rządzi służba więzienna.

-Tak czy siak, jest twoim szefem.

-Nie jest - oświadczył Trey, podnosząc się na łokciu. - Słyszysz, człowieku? To znaczy, czy wyjaśnilismy sobie tę sprawę ponad wszelką wątpliwość, szeryfie?

Teddy wzruszył ramionami. Trey zsunął nogi z łóżka i usiadł.

-Probuje mnie pan wyprowadzić z równowagi?

Teddy potrząsnął przecząco głową.

-To dlaczego nie przyzna mi pan racji, kiedy mówię, że ja nie pracuję dla tego białego skurwysyna?

Teddy zbył to pytanie kolejnym wzruszeniem ramion.

-Ale gdyby przyszło co do czego - powiedział - i komendant zaczął wydawać rozkazy? Kicałbys aż miło.

-Co takiego?

-Kicałbys. Jak krolik.

Trey potarł szczękę, wpatrywał się w Teddy'ego z niedowierzaniem.

-Tylko bez urazy - powiedział Teddy.

-Alez skad.

-Po prostu zauwazyłem, że ludzie tutaj lubia tworzyć własną prawdę. Mowia sobie, że tak jest, powtarzaja to w kolko, aż wydaje im się, że tak musi być i koniec.

-Ja dla niego nie pracuje.

-No własnie - odparł Teddy, wskazując na niego reka. - Oto tutejsza prawda, która znam i uwielbiam.

Trey wyraźnie miał ochotę go rabnac.

-Posluchaj - mowil Teddy - dzis w nocy odbyło się ważne zebranie, a potem doktor Cawley przychodzi do mnie i wmawia mi, że przyjechałem tu bez partnera. A jeśli zapytam ciebie, powiesz mi to samo. Zaprzeczysz, że siedziałeś z tym człowiekiem przy jednym stole, grales z nim w pokera, śmiales się razem z nim. Zaprzeczysz, że kiedykolwiek dał ci radę, jak trzeba było postąpić z tą twoją jedzowatą ciotką - uciec od niej jak najdalej. Zaprzeczysz, że spał w tym własnie łozku. Mam racje, panie Washington?

Teddy spuścił wzrok.

-Nie wiem, o czym pan mowi, szeryfie.

-Rozumiem, rozumiem. Przecież nie miałem partnera, a on nie utknał gdzieś na tej wyspie ranny. Albo martwy. Albo, co gorsza, nie tkwi teraz pod kluczem na oddziale C czy w latarni. Przecież nie miałem partnera. Dalej, przecwiczymy to.

-Nigdy nie miałeś partnera - rzekł Trey, patrzac na niego.

-A ty nie pracujesz dla komendanta - powiedział Teddy. Trey splotł rece na kolanach. Spoglądał na Teddy'ego i widac było, że walczy z sobą. Oczy miał wilgotne i drżał mu podbrodek.

-Musisz stad uciekac - wyszeptal.

-Zdaje sobie z tego sprawe.

-Nie - odparł Trey, potraszając energicznie głowa. - Nie masz pojęcia, co naprawdę jest grane. Zapomnij wszystko, co slyszales. Zapomnij wszystko, co wydaje ci się, że wiesz o tym miejscu. Oni chcą się do ciebie dobrac. A jak się do ciebie dobióra, to po tobie. Nie będzie dla ciebie ratunku. Zadnego.

-Powiedz mi, powiedz mi, co tutaj jest grane - nalegal Teddy, ale Trey potraszal głowa.

-Nie moge. Popatrz na mnie - zwrocil sie do Teddy'ego, z uniesionymi brwiami i rozszerzonymi oczami. - NIE MOGE TEGO ZROBIC KONIEC KROPKA. Jesteś zdany tylko na siebie. Ale ja na twoim miejscu nie czekałbym na żaden prom.

-Nie moge nawet wydostac sie poza teren szpitala, a co dopiero z wyspy - parsknal Teddy.
- A nawet gdybym mogl, moj partner...

-Zapomnij o nim - syknal Trey. - Jego nie ma. Kapujesz? I juz nie wroci, czlowieku. Musisz uwazac na siebie i tylko na siebie.

-Trey - powiedzial Teddy. - Trzymaja mnie tu w zamknieniu.

Trey wstal i podszedl do okna; wpatrywal sie w mrok czy we wlasne odbicie, Teddy'emu trudno bylo osadzić.

-Nigdy nie mozesz tu wrocic. Nigdy nie mozesz nikomu powiedziec, ze ja ci pomoglem.

Teddy milczal.

Trey obejrzal sie na niego przez ramie.

-Umowa stoi?

-Stoi - odparl Teddy.

-Prom przyplywa tu o dziesiatej rano. Rusza z powrotem do Bostonu punkt jedenasta. Gdyby komus udalo sie ukryc na pokladzie, moze przeprowilby sie przez zatoke. Inaczej musialby odczekac dwa, trzy dni, az kuter rybacki Betsy Ross doplynie od poludniowej strony wyspy i rzuci na lad troche rzeczy. - Trey odwrocil sie i spojrzal na Teddy'ego. - Takich, co to w ogole nie powinny sie znalezc na tej wyspie. W kazdym razie kuter nie przybija do brzegu. Trzeba do niego doplynac.

-Nie wytrzymam trzech dni na tej pieprzonej wyspie - powiedzial Teddy. - To dla mnie obcy teren. A komendant i jego ludzie na pewno znaja tu kazdy zakatek. Wytropia mnie.

-No to pozostaje prom - rzekl Trey po chwili.

-Pozostaje prom. Ale jak mam sie stad wydostac?

-Cholera, mozesz mi nie wierzyc, ale naprawde masz fart. Huragan wszystko rozpieprzil, a szczegolnie zabezpieczenia elektryczne. Naprawilismy juz prawie wszystkie przewody na murach. Prawie wszystkie.

-Ktore odcinki nie sa jeszcze pod napieciem? - spytal Teddy.

-W poludniowo-zachodnim narozniku. Te dwa odcinki, dokladnie tam gdzie mur zalamuje sie

pod kątem prostym, nie zostały jeszcze podłączone. W innych miejscach usmazysz się jak na ruszcie, dlatego radzę ci pod żadnym pozorem nie dotykać tam przewodów. Słyszysz?

-Słysze.

Trey skinął głową swojemu odbiciu w oknie.

-No to jazda. Czas ucieka.

-A Chuck? - powiedział Teddy, podnosząc się.

-Nie ma żadnego Chucka - zirytował się Trey. - Jasne? Nigdy nie było. Jak się stąd wyrwiesz, możesz gadać o Chucku ile wlezie. Ale tutaj? Ten facet po prostu nigdy nie istniał.

Kiedy stanął u południowo-zachodniego kranca muru, przyszło mu do głowy, że Trey mógł klamać. Gdyby Teddy dotknął tych przewodów, zacisnął na nich rękę i okazałoby się, że są pod napięciem, rano znaleźliby jego zwęglone zwłoki u podnoża muru, czarne jak stek sprzed miesiąca. I po kłopotach. Trey zostałby wybrany na pracownika roku, może nawet dostałby w nagrodę ładny złoty zegarek.

Rozejrzał się i poszukał długiej gałazki, a potem przesunął się trochę w prawo od narożnika. Wzjął rozbieg, skoczył jedną nogą na mur i wybił się do góry. Uderzył gałazką w przewód; z przewodu z trzaskiem wzbil się płomień i gałazka się zapaliła.

Teddy opadł na ziemię i przyjrzał się kawałkowi drewna w ręku: płomyk zgasł, ale gałazka jeszcze się tliła.

Spróbował jeszcze raz, tym razem w narożniku po prawej stronie. Nic.

Stał pod murem, łapiąc oddech, potem skoczył na mur po lewej stronie, uderzył gałazką w przewód. Znowu nic się nie stało.

W miejscu, gdzie mur się załamywał, na gorze sterczał metalowy pret. Dopiero za trzecim razem Teddy zdołał go dosięgnąć. Trzymając się mocno, wspinał się na górę.

Zahaczył barkami o przewód, zahaczył kolanami o przewód, zahaczył rękami o przewód, i za każdym razem myślał, że już po nim.

Ale zył. A kiedy znalazł się na szczycie muru, nie pozostało mu nic innego, jak opuścić się na ziemię po drugiej stronie.

Podniósł się i raz jeszcze spojrzął na Ashecliffe.

Przybył tu, żeby poznać prawdę, ale jej nie odkrył. Przybył tu, żeby rozprawić się z Laeddisem, ale jego również nie znalazł. Jednocześnie stracił partnera.

W Bostonie będzie czas, żeby załować tego, co się stało. Czas na obwinianie się i na wstyd. Czas na rozważenie istniejących możliwości, na naradę z senatorem Hurlym i na opracowanie planu ataku. Bo Teddy tu powróci. Szybko. To nie ulegało wątpliwości.

I jeśli dobrze pójdzie, uzbrojony w nakazy sądowe i zezwolenia. I przyplynie własnym promem. Wtedy okaze swój gniew. Wtedy obróci przeciw nim karzący miecz sprawiedliwości.

Teraz jednak czuł tylko ulgę - ważne, że uszedł z życiem i jest po drugiej stronie tego cholernego muru.

Ulgę. I strach.

Dotarcie z powrotem do jaskini zajęło mu półtorej godziny, ale nie zastał w niej nikogo. Ognisko już dogasało. Teddy usiadł przy tłącym się żarze, chociaż powietrze było nadzwyczaj ciepłe jak na te pory roku i z godziny na godzinę robiło się coraz parniej.

Teddy czekał w nadziei, że ta, która rozpałała to ognisko, wyszła na chwilę nazbierać drewna, ale w głębi duszy wiedział, że nie doczeka się jej powrotu. Może doszła do wniosku, że go schwytali, a on zdradził jej kryjówkę komendantowi i Cawleyowi. Może - Teddy wiedział, że tylko się ludzi, ale nie mógł się oprzeć - natknęła się na Chucka i oboje przenieśli się w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

Ognisko się dopaliło, a Teddy zdjął marynarkę, okrył nią ramiona i piers i oparł się plecami o ścianę jaskini. Tak jak poprzedniej nocy jego uwaga tuż przed zasnięciem skupiła się na kciukach.

Nim zapadł w sen, spostrzegł, że zaczynają drzeć.

Dzisiaj czwartego Marny żeglarz

20

Wszyscy zmarli, prawdziwi i domniemani, sięgali po swoje płaszcze. Byli w kuchni, a płaszcze wisiały na kolkach. Ojciec Teddy'ego wziął swoją starą marynarską kurtkę, wsunął w nią ręce, potem pomógł włożyć płaszcz Dolores i zwrócił się do Teddy'ego:

-Wiesz, co chciałbym dostać na Gwiazdkę?

-Nie, tato.

-Dudy.

Teddy domyślił się, że chodzi mu o kije do golfa w worku.

-Tak jak Ike - powiedział.

-Wlasnie - odparl ojciec i podal Chuckowi plaszcz.

Chuck nalozyl go na siebie. To byl piekny plaszcz z przedwojennej kaszmirskiej welny. Po bliznie na twarzy Chucka nie bylo sladu, ale nadal mial te delikatne, pozyczone rece. Podsunal je Teddy'emu pod nos i przebieral palcami.

-Spotkales sie z ta lekarka? - spytal Teddy.

Chuck potrzasnal glowa.

-Jestem stanowczo zbyt gruntownie wykształcony - powiedzial. - Poszedlem na wyscigi.

-Wygrales?

-Stracilem mnostwo forsy.

-Fatalnie.

-Pocaluj zone na dobranoc - powiedzial Chuck. - W policzek.

Teddy wsunal sie miedzy swoja matke i Tootiego Vicellego, ktory usmiechal sie, ukazujac zakrwawione usta. Pocalowal Dolores w policzek i powiedzial:

-Skarbie, dlaczego jestes cala mokra?

-Jestem wyschnieta na kosc - zwrocila sie Dolores do ojca Teddy'ego.

-Gdybym byl o polowe mlodszy, ozenilbym sie z toba, dziewczyno - odparl jego ojciec.

Wszyscy byli przemoczeni, nawet matka Teddy'ego i Chuck. Woda sciekala z ich plaszczy strumieniami i rozlewala sie po podlodze.

Chuck podal mu trzy klody, mowiac:

-Doloz do ognia.

-Dzieki. - Teddy wzial od niego klody, ale zapomnial, gdzie je polozyl.

-Pieprzone kroliki - oznajmila Dolores, drapiac sie po brzuchu. - Sa do niczego.

Do kuchni weszli Laeddis i Rachel Solando. Nie mieli na sobie plaszczy. Nic na sobie nie mieli. Leaddis podal Teddy'emu butelke whisky, a potem wzial w ramiona Dolores. Teddy poczulby zazdrosc, ale Rachel uklekla przed nim, rozpiela mu spodnie i zaczela go piescic ustami. Chuck, ojciec Teddy'ego, matka i Tootie Vicelli pomachali im na pozegnanie, wychodzac, a Laeddis i Dolores, spleceni w uscisku, wycofali sie do sypialni. Teddy slyszal, jak baraszkuja na lozku, zrywaja z siebie ubrania, ciezko dyszac.

To wszystko wydawało się na swój sposób słuszne, cudowne, i dzwignął się klęcząc przed nim Dolores - slychac było, jak Rachel i Laeddis rzną się w sypialni na całego - i pocałował zone. Zakrył dłońmi dziurę w jej brzuchu, a ona mu podziękowała. Wszedł w nią od tyłu, spychając z kuchennego stołu kłody. Komendant i jego ludzie nalali sobie whisky, którą przyniósł Laeddis. Komendant mrugnięciem wyraził swoje uznanie dla techniki, jaką Teddy posuwał zone, i oświadczył:

-A to jurny biały czarnuch. Jak go zobaczycie, od razu strzelac. Słyszycie? Bez namysłu. Jak ten ptaszek wyfrunie z wyspy, mamy przesrane, panowie.

Teddy zsunął marynarkę, pod którą spał, i podpełzł na skraj jaskini.

Komendant i jego ludzie stali u góry nad krawędzią urwiska. Świeciło słońce. Darły się mewy.

Teddy zerknął na zegarek: była osma rano.

-Tylko bez brawury - mówił komendant. - Facet ma za sobą szkolenie bojowe i doświadczenie w walce. Został odznaczony Purpurowym Sercem, i to kilkakrotnie.

Golymi rękami zabił na Sycylii dwóch żołnierzy wroga.

Teddy wiedział, że te informacje pochodzą z jego akt osobowych. Do cholery, jakim cudem wpadły im w ręce jego akta osobowe? - Świetnie włada nożem i jest mistrzem w walce wręcz. Nie zbliżać się do niego.

Przy pierwszej okazji zastrzelić go jak dwunogiego psa.

Mimo powagi sytuacji Teddy nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Ciekawe, ile już razy ludzie komendanta zmuszeni byli wysłuchiwać jego "psych" porównan?

Po scianie niższego urwiska schodziło na linach trzech strażników. Teddy odsunął się od krawędzi. Strażnicy dotarli na dół do poziomu plaży. Po kilku minutach wspieli się z powrotem. Teddy usłyszał, jak jeden z nich mówi: "Nie ma go tam, panie komendancie".

Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, kiedy przeczesywali okolice w pobliżu cypla i drogi. Potem odeszli, ale zanim Teddy opuścił kryjówkę, odczekał całą godzinę, by upewnić się, że nikt z tyłu nie zamyka pochodu, a grupa pościgowa wystarczająco się oddaliła i na nikogo się nie natknie.

Kiedy stanął na drodze, było dwadzieścia po dziewiątej. Zaraz ruszył nią z powrotem w kierunku zachodnim. Starał się utrzymywać szybkie tempo, ale wciąż nasłuchiwał odgłosów, które zdradzałyby obecność strażników z przodu lub z tyłu.

Trey miał rację co do pogody - było obrzydliwie gorąco. Teddy zdjął marynarkę i przewiesił

ja przez reke. Rozluznil krawat, sciagnal go przez glowe i wlozyl do kieszeni. Palilo go gardlo z pragnienia, a oczy piekly od potu.

Stanal mu przed oczami Chuck ze snu, wkkladajacy plaszcz, i ten obraz porazil go mocniej niz widok Laeddisa oblapiajacego Dolores. Do czasu pojawienia sie Rachel i Laeddisa snily mu sie osoby, ktore juz nie zyly. Z wyjatkiem Chucka. Ale Chuck wzial plaszcz z tego samego wieszaka i wyszedl za nimi. Wymowa tej sceny dreczyla Teddy'ego. Jesli dopadli Chucka na cyplu, to pewnie zabrali go ze soba wtedy, kiedy Teddy po zejsci na rownине wspinal sie z powrotem na gore. Ten, kto sie podkradl do Chucka, musial miec w tym nie lada wprawe, bo Chuck ani pisnal.

Jakimi srodkami trzeba dysponowac, zeby pozbyc sie nie jednego, lecz dwoch szeryfow federalnych?

Poteznymi.

A jesli zamierzali wpedzic Teddy'ego w obled, nie mogli tego samego uczynic z Chuckiem. Nikt nie uwierzylyby w to, ze w ciagu dwudziestu czterech godzin dwoch szeryfow naraz postradalo zmysly. Chuck musial wiec ulec wypadkowi. Przypuszczalnie podczas burzy. W gruncie rzeczy, jesli byli naprawde cwani - a wszystko na to wskazywalo - to przedstawia smierc jego partnera jako krople, ktora przelala czare i doprowadzila Teddy'ego do nieodwracalnej utraty poczytalnosci.

Nie mozna bylo odmowic temu rozwiazaniu swoistej symetrii.

Ale jesli Teddy stad sie nie wydostanie, wydzial poscigowy na pewno nie przyjmie na wiare miejscowej wersji wydarzen, chocby byla jak najbardziej przekonujaca, i wysle ludzi, zeby na miejscu sprawdzili jej wiarygodnosc.

A co ci wyslannicy zastana na wyspie?

Teddy przyjrzel sie swoim kciukom i nadgarstkom. Drgawki sie nasilaly. I pomimo snu nic mu sie nie rozjasnilo w glowie. Czul sie zamroczony, jezyk mial odretwialy. Do czasu kiedy przybeda szeryfowie, zeby zbadac sprawe, leki zadzialaja. Jego koledzy zobacza na wlasne oczy, jak Teddy slini sie bez przerwy i robi pod siebie. I wersja szpitalna zostanie potwierdzona.

Uslyszal ryk syreny i wyszedl na wzgorze w sama pore, zeby zobaczyc, jak prom konczy robic zwrot i podchodzi tylem do przystani. Przyspieszyl kroku i dziesiec minut pozniej ujrzal przeswitujacy miedzy drzewami tyl domu Cawleya.

Zszedl z drogi do lasu. Z oddali dolatywaly odglosy rozladunku, dudnienie zrzucanych skrzyń, szczek podnosnikow na kolkach, stukot krokow na drewnianym pomoscie. Teddy dotarl na skraj lasu i zobaczyl poslugaczy uwijajacych sie na przystani, dwoch pilotow przy sterze na promie i straznikow, mnostwo straznikow. Kolby karabinow mieli oparte na

biodrach i stali zwroceni twarza w strone wyspy, lustrowali wzrokiem las i odkryty teren prowadzacy do Ashecliffe.

Po rozladowaniu promu poslugacze odjechali wozkami, lecz straznicy pozostali na miejscu i Teddy zrozumial, ze ich jedynym zadaniem tego ranka jest dopilnowanie, zeby pod zadnym pozorem nie dostal sie na prom. Cofnal sie w glab lasu i skierowal do palacyku Cawleya. Zobaczył na dachu jednego straznika, odwroconego do niego tyłem.

Teddy domyslil sie po halasie, ze w srodku na gorze kryja sie jeszcze inni. Po zachodniej stronie domu w przybudowce stal samochod. Buick roadmaster rocznik 1947. Koloru lososiowego, z biala skorzana tapicerka. Prawdziwe cacko, wypucowane i wypolerowane dzien po przejsciur huraganu. Ukochany pojazd.

Teddy otworzil drzwi. Skorzana tapicerka w srodku pachniala nowoscia. W schowku znalazl kilka pudelek zapalek i zabral wszystkie.

Wyciagnal krawat z kieszeni, podniosl kamyk z ziemi i zawiatal dookola niego wezszy koniec krawata. Podniosl tablice rejestracyjna, odkrecil korek wlewu paliwa, a potem wepchnal owiniety krawatem kamyk az do samego zbiornika. Z otworu rury jak z ludzkiej szyi zwisal szeroki, pokrytym kwiecistym wzorkiem przod krawata.

Teddy przypomniał sobie, jak Dolores podarowala mu ten krawat - trzymal ja na kolanach, a ona zawiatala mu nim oczy.

-Przykro mi, kotku - szepnal. - Jest mi drogi, bo dostalem go od ciebie. Ale nie oszukujmy sie: ten krawat jest po prostu ohydny.

Poslal jej do nieba usmiech na przeprosiny i zapalil zapalke, a od zapalki cale pudelko, a od plonacego pudelka krawat.

A potem pognal jak oszalaly.

Teddy byl w polowie drogi przez las, kiedy samochod eksplodowal. Zaraz potem uslyszal nawolywania, odwrocil sie i miedzy drzewami ujrzal wzbijajace sie w powietrze plomienie. Potem nastapila seria cichszych wybuchow, jak na pokazie sztucznych ogni, kiedy z samochodu wylecialy szyby.

Na skraju lasu przystanal, zwinal marynarke w kule i wepchnal ja pod kamienie.

Widzial straznikow i marynarzy z promu pedzacych w strone domu Cawleya. Zrozumial, ze jesli ma to zrobic, to tylko teraz, nie bylo juz chwili do namyslu. I dobrze, bo gdyby zaczal sie zastanawiac, na co sie porywa, nigdy by sie nie odwazyl.

Wyszedl zza drzew i pobiegl wzdluz brzegu. Lecz tuż przed zatoka, gdzie bylby widoczny dla wracajacych na przystan straznikow, skrecil gwałtownie w lewo i rzucil sie w morze.

Jezu, woda była lodowata. Teddy miał cicha nadzieje, że nagrzała się trochę od upalu, ale ziąb poraził całe jego ciało jak prąd elektryczny i zaparło mu dech w piersiach.

Mimo to brnął przed siebie, starając się nie myśleć o tym, co kryje morze - o wegorzach, meduzach, krabach czy nawet rekinach. Można by się uśmiechać, ale Teddy czytał kiedyś, że rekiny zwykle atakują ludzi w wodzie głębokości około metra, a on właśnie brodził po pas i zapuszczał się dalej. Słyszał wrzaski dolatujące od strony domu Cawleya i nie zważając na walące mu młotem serce, zanurzył się pod powierzchnię.

Ujrzał dziewczynkę ze swoich snów, która unosiła się w wodzie tuż pod nim; w jej otwartych oczach malowała się rezygnacja.

Potrząsnął głową i dziewczynka zniknęła. Z przodu dostrzegł stepkę, szeroki, czarny pas falujący w zielonej wodzie. Podpłynął do niej, chwycił ją oburącz. Przesunął się po stepce bliżej dziobu i odbił się w stronę drugiej burty. Zmusił się, żeby powoli wynurzyć się z wody, wystawić nad powierzchnię tylko głowę. Poczul na twarzy ciepło słońca, wypuścił powietrze z płuc i wziął głęboki oddech, starając się nie dopuszczać do świadomości wizji swoich nóg zawieszonych w głębinie morskiej, morskich stworów zaintrygowanych ich widokiem, podplywających, żeby obwachać je z bliska...

Drabinka była dokładnie tam, gdzie się spodziewał: miał ją tuż przed sobą. Uczepił się trzeciego szczebla i czekał. Słyszał, jak strażnicy wracają na przystan, tupocą po drewnianym pomostcie.

-Przeszukac prom - rozległ się głos komendanta.

-Ależ panie komendancie, nie było nas tylko...

-Zeszliście z posterunku i macie czelność się ze mną kłócić?

-Nie, panie komendancie. Przepraszam.

Drabinka zanurzyła się nieco głębiej w wodzie, gdy na pokład weszło kilkunastu chłopów. Teddy słyszał, jak przeszukują prom - odgłosy otwieranych drzwi, przesuwanych mebli i sprzętów.

Coś wsunęło mu się między uda, niczym dłoń. Teddy zacisnął się, chwycił się mocniej drabinki i siłą woli wyparł z umysłu wszelkie myśli, żeby nie wyobrazić sobie, jak to coś wygląda. Cokolwiek to było, przesliznęło się między jego udami; Teddy mimowolnie syknął.

-Mój samochód. Kurwa, wysadził w powietrze mój samochód.

To Cawley, sędziąc po głosie, przybity i zdyszany.

-Sprawy zaszły za daleko, doktorze - odezwał się komendant.

-Ustaliliśmy, że decyzja należy do mnie.

-Jeśli ten człowiek ucieknie z wyspy...

-Nie ucieknie z wyspy.

-Tak samo był pan pewny, że nie pusi z dymem panskiego auta. Mam racje?

Musimy przerwac te operacje. Nie mozemy narazac sie na dalsze straty.

-Zbyt wiele mnie to kosztowalo, zebym teraz dal za wygrana.

-Jeśli ten człowiek nam się wymknie, to będzie nasza klęska - rzekł podniesionym głosem komendant.

-Nie wydobędzie się z tej choleryjnej wyspy! - odparował Cawley równie głośno.

Ani jeden, ani drugi nie odzywali się przez całą minutę. Słychać było skrzypienie desek pomostu pod ich ciężarem. - Świetnie, doktorze. Ale prom zostaje. Nie odpłynie stąd, dopóki go nie znajdziemy.

Teddy trzymał się drabinki; zimno przeszywało mu stopy, paliło je.

-W Bostonie będą domagać się wyjaśnień - rzucił Cawley.

-No to im pan wyjaśni. Prom zostaje. Coś traciło Teddy'ego w lewą nogę.

-Zgoda, komendancie.

Znow napało na jego nogę i Teddy odpowiedział kopniakiem. Plusk przeciał powietrze niczym wystrzał. Na rufie rozległy się kroki.

-Nie ma go na pokładzie. Szukaliśmy wszędzie.

-To gdzie się podział? - odparł komendant. - Czy ktoś ma jakiś pomysł?

-Cholera!

-Co takiego, doktorze?

-Latarnia!

-Przeszło mi to przez myśl.

-Ja się tym zajmę.

-Niech pan weźmie ze sobą ludzi.

-Powiedziałem, że się tym zajmę. Rozstawiliśmy straż wokół latarni.

-Za mało.

-Zajmę się tym, powiedziałem.

Buty Cawleya załomotały na pomostach, kiedy ruszył w stronę brzegu. Potem odgłos jego kroków stłumił piasek.

-Nieważne, czy jest w latarni, czy nie - oświadczył komendant podwładnym. - Ta łódź nie odpłynie. Znajdźcie pilota i przyniescie mi klucze do silnika.

Niemal całą drogę przebył pod wodą.

Odbił się od promu i popłynął w stronę brzegu. W pobliżu brzegu opadł na piaszczyste dno i posuwał się naprzód, orząc palcami piasek. Kiedy pokonał w ten sposób znaczną odległość, wynurzył głowę i odważył się spojrzeć za siebie. Oddalił się już o kilkaset metrów i widział strażników otaczających pierścieniem przystan.

Zanurzył głowę z powrotem i brnął dalej, wczepiając się w dno palcami, ponieważ gdyby płynął kraulem czy nawet pieskiem, nieunikniony plusk mógłby przyciągnąć na niego uwagę. W końcu dotarł do miejsca, gdzie linia brzegowa łagodnie się załamywała. Za cyplem wyczołgał się z wody na piasek i trzesąc się z zimna, usiadł na słońcu. Dalej szedł pieszo, dopóki nie natrafił na skały przecinające plażę. Nie pozostawało mu nic innego, jak znów zanurzyć się w wodzie. Związał razem buty, zawiesił je na szyi i popłynął dalej.

Wyobrażał sobie kości ojca spoczywające gdzieś na dnie tego oceanu, wyobrażał sobie rekiny z płetwami i długimi spreżystymi ogonami, barakudy z białymi zębiskami.

Zdawał sobie sprawę, że musi przez to przebrnąć, inne wyjście nie istniało. Był cały odretwiący z zimna, ale nie miał wyboru, musiał płynąć naprzód i może będzie musiał uczynić to ponownie za dwa dni, kiedy Betsy Ross rzuci swój ładunek u południowego kranca wyspy. Wiedział, że jedynym sposobem na przezwycięzenie strachu jest stawienie mu czoła - tyle nauczyło go wojenne doświadczenie - ale mimo to, jeśli będzie to zależało tylko od niego, nigdy więcej, przenigdy nie zanurzy się w oceanie. Czuł go wokół siebie i na sobie, jego spojrzenie, dotyk. Czuł jego wiek - istniał, nim narodzili się bogowie i pochłonił ofiar więcej niż oni.

Kiedy zobaczył latarnie, musiało być około pierwszej. Nie miał pewności, gdyż zegarek zostawił w marynarce, ale mniej więcej na te godziny wskazywało położenie słońca na niebie. Wyszedł na brzeg u stop urwiska, na którym się wznosiła. Położył się na skale i wygrzewał na słońcu, aż przestał się trząść, a jego skóra straciła upiornie swoją barwę.

Jeżeli Chuck tam był, nieważne, w jakim stanie, Teddy wyciągnie go stamtąd. Nie zostawi go na ich łasce, nawet martwego.

Wiec zginiesz.

To byl glos Dolores i Teddy nie mogli odmowic slusznosci jej slowom. Nie uda mu sie przeczekac na wyspie dwoch dni, do czasu az u jej brzegow pojawi sie Betsy Ross, jesli Chuck bedzie daleki od pelnej sprawnosci umyslowej i fizycznej.

Zostana wytropieni...

Teddy sie usmiechnal.

...jak dwunogie psy.

Nie moge go porzucic, oswiadczył Teddy Dolores. Po prostu nie moge. Jesli go nie znajde, to co innego. Ale to moj partner.

Dopiero co sie poznaliscie.

Nie szkodzi. Jesli go tam trzymaja wbrew jego woli, znecaja sie nad nim, musze go uwolnic.

Nawet gdybys mial przyplacic to zyciem?

Nawet gdybym mial przyplacic to zyciem.

Obys go tam nie znalazl.

Zsunal sie ze skaly i ruszyl uslana muszlami, piaszczysta sciezka, ktora wila sie wsrod trawy morskiej. Uzmyslowil sobie nagle, ze Cawley, mowiac o jego sklonnosciach samobojczych, nie mial do konca racji. To raczej bylo z jego strony pragnienie smierci.

Prawda, od lat daremnie szukal przyczyny, dla ktorej warto byloby zyc. Ale nie widzial tez powodu, zeby sie zabijac. Samemu odebrac sobie zycie? Nawet w najczarniejszych godzinach wydawalo mu sie to zalosnym rozwiazaniem. Wstydliwym. Nedznym.

Ale tez...

Nagle stanal oko w oko ze straznikiem, ktory nie mniej od Teddy'ego zaskoczony byl tym nieoczekiwanym najsciem. Straznik stal z otwartym rozporkiem, karabin przewieszony mial przez ramie. W pierwszym odruchu probowal zapiac rozporek, ale sie rozmyslil, i ta chwila wahania wystarczylo, zeby Teddy ugodzil go kantem dloni w grdyke. Straznik zlupal sie za gardlo, a Teddy w przysiadzie podcial mu noge i straznik runal do tylu. Teddy podniosl sie i silnie kopnal go w prawe ucho, a temu galki oczne obrocily sie do gory i rozdziawil usta.

Teddy pochylil sie nad nim, zsunal mu z ramienia pasek od karabinu i wyszarpnal spod niego bron. Slyszal, jak oddycha. Czyli go nie zabil.

I byl teraz uzbrojony.

Wykorzystał to przy spotkaniu z następnym strażnikiem, który trzymał wartę przy ogrodzeniu. Teddy go rozbroił, był to młody chłopak, wyrostek właściwie.

-Zabijesz mnie? - spytał.

-Jezu, nie, chłopaku - odparł Teddy i trzasnął go kolba w skron.

Za ogrodzeniem stał mały barak i Teddy najpierw skierował się do niego. W środku nie znalazł nic oprócz kilku pryczy, pisemek z gołymi panienkami, kociolka ze starą kawą i paru mundurów wiszących na haku na drzwiach.

Wyszedł z baraku i ruszył w stronę latarni. Naparł kolba na drzwi i ustąpiły.

W środku było tylko jedno wilgotne, betonowe pomieszczenie, zupełnie puste, jeśli nie liczyć pleśni na ścianach, a dalej krotki schody wykonane z tego samego kamienia co ściany.

Wszedł po schodach na pierwsze piętro, które okazało się tak samo ogolone jak parter. Musiały tu być jakieś podziemia, rozległe i połączone ze szpitalem korytarzami, ponieważ jak dotąd to miejsce wyglądało na... zwyczajną starą latarnię.

Usłyszał jakieś szuranie na gorze, wrócił na schody i wspinał się na następny poziom, gdzie natknął się na masywne żelazne drzwi. Przytknął do nich lufę i poczuł, że ustępują.

Znow usłyszał to szuranie, wyczuł zapach palonego papierosa, zza drzwi dolatywał szum morza i świst wiatru. Teddy wiedział, że jeśli komendant był na tyle sprytny, żeby w środku po obu stronach drzwi postawić strażników, to położy go trupem, gdy tylko ukaze się w progu.

Uciekaj, najdroższy.

Nie mogę.

Dlaczego?

Bo wszystko sprowadza się do tego właśnie.

Co się sprowadza?

Cała ta sprawa. Wszystko.

Me rozumiem, w jaki sposób...

Ty. Ja. Laeddis. Chuck. I Noyce, ten biedny popapraniec. Wszystko sprowadza się teraz do tego. Albo ta sprawa znajdzie tam swój koniec, albo ja.

Chodziło o jego rece. Rece Chucka. Nie rozumiesz?

Nie. Co z nimi?

Me pasuja do niego, Teddy.

Teddy wiedzial, co Dolores ma na mysli. Wiedzial, ze wiaze sie z tym cos waznego, ale nie na tyle waznego, zeby marnowac teraz czas na rozmyslanie o tym.

Musze wejsc przez te drzwi, kochanie.

Dobrze. Ale badz ostrozny.

Teddy przykuczal z lewej strony drzwi. Przycisnal kolbe karabinu do zeber i podparl sie prawa reka o posadzke, zeby nie stracic rownowagi. Lewa noga kopnal drzwi, ktore otworzyly sie szeroko, a Teddy w tym czasie kleknal na jedno kolano, przylozyl karabin do ramienia i wycelowal.

W Cawleya.

Doktor siedzial za stołem, zwrócony plecami do małego kwadratowego okna, za którym rozposcieral sie srebrzystoniebieski ocean. Zapach morza roznosil sie po calym pokoju, a wiatr delikatnie rozwiewal Cawleyowi wlosy na skroniach.

Nie bylo widac po nim zaskoczenia. Nie bylo widac po nim strachu. Cawley otrzasnal popiol z papierosa do popielniczki i patrzac na Teddy'ego, powiedzial:

-Skarbie, dlaczego jestes caly mokry?

21

Sciany po obu stronach okna zasloniete byly rozowymi przescieradlami, przyklejonymi w rogach pomarszczona tasma. Na stole Cawley rozlozyl wczesniej skoroszyty, wojskowa radiostacje polowa, notes Teddy'ego, formularz przyjecia Laeddisa i marynarke Teddy'ego. W kacie pomieszczenia na krzesle stal magnetofon szpulowy; tasmy obracaly sie, a doczepiony do niego u gory malenki mikrofon skierowany byl do srodka pokoju. Cawley mial przed soba czarny skorzany notes. Zapisal cos w nim i zwrocil sie do Teddy'ego:

-Usiadz.

-Co pan powiedzial?

-Zaproponowalem, zebys usiadl.

-A przedtem?

-Dobrze wiesz, co powiedzialem.

Teddy zdjął kolbę z ramienia, ale wchodząc do pokoju, wciąż celował w Cawleya.

Cawley wrócił do swych zapisków.

-Jest nienaladowany.

-Słucham?

-Karabin. W komorze nie ma naboju. Dziwię się, że nie zauważyłeś. Przy twoim doświadczeniu z bronią palną.

Teddy odciągnął zamek i sprawdził komorę. Pusta. Dla pewności wymierzył w ścianę i nacisnął spust, ale jego wysiłki wynagrodził jedynie suchy trzask kurka.

-Postaw broń w kacie - polecił Cawley.

Teddy położył karabin na podłodze, odsunął krzesło, ale nie usiadł.

-Co zakrywają te przescieradła?

-Dowiesz się w swoim czasie. Siadaj. Zrzuc z siebie ten ciężar. - Cawley podniósł z podłogi grubego ręcznik i rzucił go Teddy'emu. - Weź. Osusz się trochę. Jeszcze się przeziebiesz.

Teddy wytarł włosy i sciągnął mokra koszulę. Zwinał ją w kule i cisnął w róg pokoju. Wytarł ręcznikiem tors i sięgnął po marynarkę leżącą na stole.

-Może?

-Proszę bardzo - odparł Cawley, podnosząc wzrok znad notatek.

Teddy włożył marynarkę i usiadł na krześle.

Cawley notował coś skrzątnie, skrobiąc piórem o papier.

-Ciężko zraniles strażników? - spytał.

-Wyliza się.

Cawley skinął głową, odłożył pióro i wziął radiostację. Pokrecił korbką, żeby ją ożywić. Podniósł słuchawkę, przełączył na nadawanie i powiedział:

-Tak, zjawil się tutaj. Niech doktor Sheehan opatrzy pańskich ludzi, a potem proszę go przysłać do mnie.

Odłożył słuchawkę.

-Nieuchwytny doktor Sheehan - odezwał się Teddy. Cawley potwierdził ściąganiem brwi.

-Niech zgadnę, przyplynał promem dziś rano. Cawley potrząsnął głową.

-Przez cały czas był na wyspie.

-Ukryty na samym widoku - zauważył Teddy. Cawley unosił ręce w obronnym geście.

-To znakomity psychiatra - odparł, lekko wzruszając ramionami. - Młody, ale świetnie się zapowiada. To był nasz wspólny pomysł. Razem to obmyśliliśmy, on i ja.

Teddy poczuł, jak pulsuje mu żyłka na szyi, tuż pod lewym uchem.

-I co? Jest pan zadowolony z wyników? - zapytał.

Cawley przewrócił kartkę w notesie, rzucił okiem na te pod spodem.

-Nie bardzo. Więcej sobie obiecywałem.

Spojrzał na Teddy'ego, a ten wyczytał z jego twarzy coś, co dostrzegł już raz podczas ich krótkiego spotkania na schodach następnego ranka po przyjeździe, a potem na odprawie przed spodziewanym przejściem huraganu. Nie pasowało to do reszty osoby Cawleya, nie pasowało do tej wyspy, do latarni, do okrutnej gry, jaka ze sobą prowadzili.

Współczucie.

Przysiągłby, że właśnie to malowało się na twarzy Cawleya, gdyby nie wiedział, jak się mają rzeczy.

Teddy obejrzał to niewielkie pomieszczenie, ściany zasłonięte przescieradłami.

-Więc to jest to?

-To jest to - powtórzył Cawley. - Latarnia w całej swojej okazałości. Twój święty Graal. Ta wielka prawda, do której dążyłeś. Spełniła twoje oczekiwania?

-Nie widziałem jeszcze podziemi.

-To latarnia. Tu nie ma podziemi.

Teddy spojrzał na swój notes, który leżał na stole oddzielającym go od Cawleya.

-Tak, to twoje notatki z dochodzenia. Znaleźliśmy je razem z marynarką w lesie niedaleko mojego domu. Zniszczyłeś mi samochód.

Teddy wzruszył ramionami.

-Przykro mi, że tak się stało.

-To był mój ukochany wóz.

-Domysliłem się.

-Pamiętam, jak wiosną czterdziestego siódmego zobaczyłem go na wystawie, a kiedy go kupowałem, pomyślałem sobie: John, możesz odhaczyć ten punkt na swojej liście. Ten samochód posłuży ci co najmniej przez następne piętnaście lat. Z jaką radością odhaczałem ten punkt - westchnął Cawley.

-Jeszcze raz przepraszam - powiedział Teddy, podnosząc ręce.

Cawley pokręcił z niedowierzaniem głową.

-Naprawdę sądziłeś, że pozwolimy ci wsiąść na ten prom? Nawet gdybyś dla odwrócenia uwagi wysadził w powietrze całą tę wyspę, jak myślisz, co by się wtedy stało?

Teddy zbył to wzruszeniem ramion.

-Jesteś sam - mówił Cawley - a wszyscy pracownicy mieli dziś rano tylko jedno zadanie: nie dopuścić ci do promu. Po prostu nie rozumiem logiki, którą się kierowałeś.

-To była jedyna droga. Musiałem zaryzykować - odparł Teddy.

Cawley przyglądał mu się ze zdziwieniem, a potem mruknął: - Jezu, jak ja kochałem ten samochód - i spuścił wzrok.

-Nie ma pan przypadkiem wody? Chce mi się pić - oznajmił Teddy.

Cawley rozważał przez chwilę jego prośbę, potem odsunął się w bok, odsłaniając dzbanek i dwie szklanki stojące na parapecie. Nalał im obu wody i podał Teddy'emu szklankę.

Teddy wypił wodę duszkiem.

-Suchość w ustach, tak? - zauważył Cawley. - Przygłnęła do języka niczym swędzenie, którego nie można usmierzyć, choćby się wypilo całą beczkę?

Przesunął dzbanek w jego stronę i patrzył, jak Teddy napełnia swoją szklankę.

-Drzenie rąk. Coraz bardziej się nasila. A jak głowa? Mocno boli?

W chwili kiedy Cawley go o to zapytał, Teddy poczuł ból przeszywający mu czaszkę niczym rozgrzany pret. Jego ognisko umiejscowione było za lewym okiem, a stamtąd rozchodził się na skronie i w dół aż do szczęki.

-Mozna wytrzymac - powiedzial.

-To dopiero przedsmak. Teddy napil sie wody.

-No jasne. Ta lekarka zdazyla mnie uprzedzic.

Cawley rozsiadl sie w krzesle i z usmiechem postukal piorem w notes.

-Jaka znowu lekarka?

-Nie wiem, jak sie nazywa, ale pracowala u was - rzekl Teddy.

-Aha. I co dokladnie ci powiedziala?

-Wyjasnila mi, ze neuroleptyki zaczynaja dzialac po czterech dniach, gdy ich stezenie we krwi osiaga odpowiedni poziom. Przewidziala wszystkie objawy: suchosc w ustach, bole, drgawki.

-Madra kobieta.

-Nie da sie ukryc.

-Ale to nie sa skutki neuroleptykow.

-Nie?

-Nie.

-To w takim razie czego?

-Odstawienia - rzekl Cawley.

-Odstawienia czego?

Cawley znow sie usmiechnal, zapatrzyll przed siebie i podsunal mu notes, otwarty na stronie, na ktorej Teddy zapisal swoje ostatnie notatki.

-To twoj charakter pisma, zgadza sie? - spytal. Teddy zerknal w dol.

-Zgadza sie.

-Ostatnia zaszyfrowana wiadomosc?

-Przeciez widac, ze to szyfr.

-Ale nie zadasz sobie trudu, zeby to odczytac.

-Nie miałem okazji. Sprawy nabraly ostatnio szalonego tempa, jak sam pan pewnie zauważył.

-Jasne, jasne. No to może teraz znajdziesz czas, żeby rozszyfrować tę wiadomość? - zaproponował Cawley, stukając zachęcająco w kartkę.

Teddy spojrzał w dół, na sześć liczb i przyporządkowane im litery: 25(y)-20(t)-14(n)-15(o)-15(o)-20(t) Goracy pret napiął na jego oko.

-Nie czuję się w tej chwili najlepiej.

-Przecież to proste - ocenił Cawley. - Tylko sześć liter.

-Najpierw niech przestanie mnie tak lupać w skroni.

-W porządku.

-Odstawienia czego? - powtórzył pytanie Teddy. - Czym mnie nafałszowaliście?

Cawley naciągnął z trzaskiem knykcie i opadł na oparcie krzesła z rozdzierającym ziewnięciem.

-Chloropromazyna. Niestety, ma uboczne skutki. I to całkiem sporo. Osobiście nie przepadam za tym lekiem. Miałem nadzieję, że obędzie się bez tego, że wystarczy imipramina, ale ostatnie wypadki dowiodły, że się myliłem. - Pochylił się do przodu. - Nie jestem zwolennikiem leczenia farmakologicznego, ale w twoim przypadku jest ono konieczne.

-Imipramina?

-Znana też pod nazwą handlową Tofranil.

Teddy uśmiechnął się. - I chloropro... - ...mazyna - dokończył Cawley. - Chloropromazyna. To właśnie skutki jej odstawienia tak bolesnie odczuwasz. Podawaliśmy ci ją przez ostatnie dwa lata.

-Chyba się przesłyszałem.

-Przez ostatnie dwa lata.

Teddy parsknął śmiechem.

-No nie. Wiem, że macie potężny wpływ. Ale to ostatnie twierdzenie to jawna przesada.

-Ja nie przesadzam.

-Przez dwa lata faszzerowaliście mnie prochami?

-Lekami, jeśli laska.

-I co? Mieliscie swojego czlowieka w biurze wydzialu poscigowego, ktory mial za zadanie przyprawiac mi kanapke kazdego ranka? Albo nie, wsadziliscie go do kiosku z gazetami, gdzie zawsze kupuje kawe po drodze do pracy. Tak byloby sprytniej. Wiec przez dwa lata wasz czlowiek w Bostonie niepostrzezenie podsuwal mi leki?

-Nie w Bostonie - odparl cicho Cawley. - Tutaj.

-Tutaj?

Cawley skinal glowa.

-Tak, tutaj. Jestes naszym pacjentem. Leczymy cie w tym szpitalu od dwoch lat.

Teddy slyszal narastajace fale przyplywu, rozgniewane, tlukace o podstawie urwiska.

Splotl dlonie, zeby opanowac ich drzenie; staral sie nie zwracac uwagi na pulsujacy bol za lewym okiem, coraz bardziej piekacy i uporczywy.

-Jestem szeryfem federalnym - rzekl Teddy.

-Byles szeryfem federalnym.

-Jestem - powtorzyl Teddy. - Jestem szeryfem federalnym, w sluzbie rządu Stanow Zjednoczonych. Wyplynałem z Bostonu w poniedzialek rano dwudziestego drugiego wrzesnia tysiac dziewiecset piecdziesiatego czwartego roku.

-Czyzby? - odparl Cawley. - A jak dotarles do portu? Samochodem? Gdzie go zaparkowales?

-Przyjechalem metrem.

-Przeciez metro tak daleko nie dojezdza.

-Przesiadlem sie do autobusu.

-A dlaczego nie samochodem?

-Bo jest w naprawie.

-Aha. A niedziela? Pamietasz, co robiles w niedziele? Mozesz mi opisac ten dzien?

Czy w ogole potrafisz powiedziec mi cokolwiek o tym, jak wygladalo twoje zycie, zanim

przebudziles sie w lazience na promie?

Teddy potrafil, to znaczy, moglby powiedziec, gdyby ten pieprzony pret za okiem nie wwiercal mu sie w zatoki.

Niech mu bedzie. Przypomnij sobie. Powiedz mu, co robiles w niedziele. Wrociles z pracy do domu. Do apartamentu przy Buttonwood. Nie, nie. Nie Buttonwood. Przeciez tamten budynek, podpalony przez Laeddisa, doszczetnie splonal. Nie, nie. Gdzie ty teraz mieszkasz, czlowieku? Jezu. Mial to przed oczami. Tak, tak. Mieszkanie przy... mieszkanie przy... Castlemont. Wlasnie. Castlemont Avenue. Nad rzeka.

No dobrze. Wyluzuj sie. Wrociles do siebie, do mieszkania przy Castlemont, zjadles kolacje, napiles sie mleka i poszedles spac. Zgadza sie? Zgadza sie.

-A to? Zdazyles sie temu przyjrzec? - spytal Cawley, przesuwajac w jego strone formularz przyjecia Laeddisa.

-Nie.

-Nie? - Cawley zagwizdal ze zdziwienia. - Przeciez tak ci zalezalo na zdobyciu tego dokumentu. Gdybys go dostarczyl senatorowi Hurly'emu - dowod istnienia szescdziesiatego siodmego pacjenta, ktory oficjalnie nie figuruje w ewidencji - bys nas zdemaskowal.

-To prawda.

-Pewnie, ze prawda, do cholery. I przez ostatnie dwadziescia cztery godziny nie znalazles czasu, zeby na ten swistek zerknac?

-Powtarzam, sprawy nabraly...

-Szalonego tempa, wiem. No coz, to rzuc okiem teraz.

Teddy spojrzal na dokument: zawieral wlasciwe nazwisko, wiek pacjenta, date sporzadzenia notatki z przyjecia Laeddisa. W rubryce "Uwagi" Teddy przeczytal:

Wysoce inteligentny. Rozpoznany ostry zespol urojeniowy, idacy w parze z silnymi sklonnosciami do agresji. Pacjent jest niezmiernie pobudzony. Nie okazuje skruchy za popelniona zbrodnie, poniewaz nie przyjmuje do wiadomosci, iz taki czyn w ogole popelnil. Pacjent stworzyl niezwykle wymyslana, fantastyczna konstrukcje fabularna, ktora w tej chwili uniemozliwia mu dopuszczenie do siebie prawdy o swoich czynach.

U dolu widnial podpis Dr L. Sheehan.

-To by sie zgadzalo - rzekl Teddy.

-Tak sadzisz?

Teddy potwierdził skinieniem głowy.

-W odniesieniu do kogo?

-Laeddisa.

Cawley wstał. Podeszedł do ściany i zdarł jedno z przescieradeł, odsłaniając cztery imiona i nazwiska, wypisane wielkimi drukowanymi literami:

Edward Daniels - Andrew Laeddis Rachel Solando - Dolores Chanal Teddy czekał, ale Cawley najwyraźniej nie spieszył się z wyjaśnieniem. Nie odzywali się przez minutę.

-Rozumiem, że chce pan mi coś przez to powiedzieć - przemówił w końcu Teddy.

-Popatrz na te nazwiska.

-Widzę je.

-Twoje nazwisko, sześćdziesiątego siódmego pacjenta, zaginionej pacjentki i twojej żony.

-Nie jestem ślepy.

-Oto twoja Zasada Czterech - oświadczył Cawley.

-Jak to?

Teddy zawzięcie tarł skronie, próbując wyluskać stamtąd ten pret.

-Ty mi powiedz. Przecież jesteś specem od szyfrów.

-Co mam ci powiedzieć?

-Co mają ze sobą wspólnego Edward Daniels i Andrew Laeddis?

Teddy przyglądał się przez chwilę nazwisku Laeddisa i własnemu.

-Oba składają się z trzynastu liter.

-Tak jest - rzekł Cawley. - Tak jest. Co jeszcze? Teddy wpatrywał się w niego jakiś czas.

-Nic - oświadczył wreszcie.

-Próbuj dalej.

Cawley zdjął fartuch lekarski, przewiesił go przez oparcie krzesła.

Teddy usiłował się skupić, ale ta zabawa zaczynała go męczyc.

-Nie spiesz sie.

Teddy wpatrywał się w litery, aż ich kontury zaczęły mu się rozmazywać w oczach.

-No i co? - spytał Cawley.

-Nic. Nie widzę żadnego podobieństwa poza tym, że mają po trzynaście liter.

-No dalej! - zachęcał Cawley, uderzając w ścianę wierzchem dłoni.

Teddy potrząsa głową. Zrobiło mu się słabo. Litery tańczyły mu przed oczami.

-Skup się.

-Jestem skupiony.

-Co łączy te litery? - spytał Cawley.

-Ja nie... I tu, i tu jest ich trzynaście. Trzynaście.

-Co jeszcze?

Teddy wyteżal wzrok, aż litery mu się rozplynęły.

-Nic.

-Nic?

-Nic - rzekł Teddy. - A co pan chce ode mnie usłyszeć? Nie mogę odpowiedzieć, skoro nie znam odpowiedzi. Nie...

-To są te same litery! - krzyknął Cawley.

Teddy pochylił się do przodu, próbując osadzić w miejscu plasujące mu przed oczami litery.

- Co?

-To są te same litery. - Nie.

-Te imiona i nazwiska to anagramy.

-Nie - powtórzył Teddy.

-Nie? - odparł Cawley, marszcząc brwi i przesuwając ręką wzdłuż napisów. - Składają się z tych samych liter. Popatrz. Edward Daniels. Andrew Laeddis. Te same litery, tylko przestawione. Przecież masz głowę do szyfrów, szkoliles się nawet w tym kierunku w wojsku, prawda? I próbujesz mi wmówić, że nie dostrzegasz tych samych trzynastu liter w

imieniu i nazwisku swoim i Andrew Laeddisa?

-Nie! - zawołał Teddy, przyciskając pięści do oczu, żeby zetrzeć z nich bielmo czy też odgrodzić je od światła, sam nie wiedział. - "Nie" oznacza, że to nie są te same litery? Czy raczej ty "nie" chcesz, żeby to były te same litery?

-Nie mogą być te same.

-Otwórz oczy. Przekonaj się sam.

Teddy otworzył oczy, ale nadal krecił głową i rozrzucone litery chwiały się na boki.

Cawley chłaskał wierzchem dłoni w drugi rząd liter.

-No to sprawdź te imiona i nazwiska. "Dolores Chanal" i "Rachel Solando". Mają po trzynastu literach. Nie chcesz mi powiedzieć, co je łączy?

Teddy nie mógł zaprzeczyć świadectwu własnych oczu, a zarazem nie mógł uwierzyć w to, co widział.

-Nie? Tego też nie dostrzegasz?

-To niemożliwe.

-Owszem, możliwe - oświadczył Cawley. - Znowu te same litery. Tworzą anagram.

Przybyłeś tu, żeby poznać prawdę? Oto twoja prawda, Andrew.

-Teddy - poprawił go Teddy.

Cawley przyglądał mu się z tym samym znajomym wyrazem fałszywego zaniepokojenia na twarzy.

-Nazywałeś się Andrew Laeddis - rzekł Cawley. - Szesćdziesiąty siódmy pacjent szpitala Ashecliffe? To ty, Andrew.

22

-GÓWNO PRAWDA! Teddy wykrzyknął to, a krzyk rozniósł się echem w jego głowie.

-Nazywałeś się Andrew Laeddis - powtórzył Cawley. - Trafiliś do nas na mocy wyroku sądowego dokładnie dwadzieścia dwa miesiące temu.

Teddy skwitował to machnięciem ręki.

-Nawet jeśli bym nie posadzał o taki tani chwyt.

-Spójrz na dowody. Proszę cię, Andrew. Skierowano cię...

-Nie nazywaj mnie tak. - ...tutaj, ponieważ popełniłeś straszliwą zbrodnię. Niewybaczalna w oczach społeczeństwa, ale ja ci wybaczam. Andrew, popatrz na mnie.

Wzrok Teddy'ego powędrował od wyciągniętej w jego stronę ręki doktora, przez ramię i piers, do jego twarzy: oczy Cawleya znowu promieniowały tym obłudnym współczuciem, tą pozorowaną troską.

-Nazywam się Edward Daniels.

-Nie. - Cawley pokręcił głową ze znużeniem człowieka pokonanego. - Nazywałeś się Andrew Laeddis. Zrobiłeś coś strasznego i za nic nie potrafisz sobie tego wybaczyć, dlatego udajesz kogoś innego. Wymyśliłeś misterna i zawila intrygę, w ramach której wyznaczyłeś sobie rolę bohatera, Andrew. Wmówiłeś sobie, że wciąż jesteś szeryfem federalnym i prowadzisz tu dochodzenie. I odkryłeś spisek, co oznacza, że nasze zaprzeczenia potwierdzają tylko twoje urojenia, w myśl których my wszyscy przysięgliśmy się przeciwko tobie. I może machnelibyśmy na to reka, pozwolili ci żyć w tym wymyślonym świecie. Mnie by to odpowiadało. Gdybyś był nieszkodliwy, chętnie bym na to przystał. Ale ty jesteś człowiekiem gwałtownym, bardzo gwałtownym.

A twoje doświadczenie bojowe i wprawa w obezwładnianiu przestępców jeszcze pogarszają sprawę. Jesteś naszym najgroźniejszym pacjentem. Nie możemy sobie z tobą poradzić. Decyzja już zapadła - spójrz na mnie.

Teddy podniósł oczy i ujrzał Cawleya, który pochylał się w jego stronę nad stołem i patrzył na niego błagalnym wzrokiem.

-Zapadła decyzja, że jeśli nie zdołamy wyrwać cię z tej urojonej rzeczywistości - zaraz, teraz - zostaną zastosowane trwałe rozwiązania w celu zagwarantowania, że już nigdy nikogo nie skrzywdzisz. Rozumiesz, co próbuje ci wytłumaczyć?

Przez sekunde - przez ułamek sekundy, nawet nie przez całą - Teddy niemal mu wierzył. Ale potem się uśmiechnął.

-Niezłe przedstawienie urządziliście, doktorku. A kto gra złego gline - Sheehan? - Teddy zerknął do tyłu na drzwi. - Powinien lada chwila pojawić się na scenie.

-Spójrz na mnie - powiedział Cawley. - Spójrz mi w oczy.

Teddy posłuchał. Cawley miał oczy zaczerwienione i zapadnięte z braku snu. Ale wyrażały one coś jeszcze oprócz skrajnego wyczerpania. Co takiego? Teddy wpatrywał się w nie badawczo. I naraz go oślniło - gdyby nie wiedział, jak sprawy stoja, przysięgliby, że doktor ma złamane serce.

-Posłuchaj - mówił Cawley - jestem twoją jedyną szansą. Możesz liczyć tylko na mnie. Od dwóch lat wysłuchuję twoich urojeń. Znam każdy ich szczegół, każdy rys - wiem o szyfrach, zaginionym partnerze, burzy, kobiecie ukrywającej się w jaskini, potwornych eksperymentach w latarni. Wiem o Noycie i zmyślonym senatorze Hurlym.

Wiem, że wciąż śni ci się Dolores, z jej brzucha leje się woda i jest cała przemoczona.

Wiem o kłodach w jeziorze.

-Chrzaniś - odparł Teddy.

-Skąd bym znalazł takie szczegóły?

Teddy wyliczał po kolei argumenty na trzesących się palcach:

-Jadłem w waszej stolicy, piłem waszą kawę, paliłem wasze papierosy. Niech to cholera, zaraz po przyjeździe wziąłem od ciebie trzy "aspiryny". A następnego dnia czymś mnie odurzyłeś. Siedziałeś przy mnie, kiedy się ocknałem. Od tamtej pory nie jestem sobą. Od tego wszystko się zaczęło. Od tamtej nocy po ataku migreny. Co mi wtedy dałeś?

Cawley się odsunął. Skrzywił się, jakby przełknął coś kwaśnego, i wyjrzał przez okno.

-Czas ucieka - wyszeptał.

-Co takiego?

-Czas - powiedział cicho Cawley. - Dostałem cztery dni. Niewiele mi go zostało.

-To wypuść mnie. Wróć do Bostonu, złożę na was doniesienie w wydziale policyjnym, ale spokojna głowa - przecież masz wpływowych przyjaciół i sprawa na pewno rozejdzie się po kosiach.

-Mylisz się, Andrew. Moi zwolennicy opuścili mnie niemal co do jednego. Od osmiu lat toczę walkę, ale szala zwycięstwa przechyliła się na stronę przeciwnego obozu.

Jestem na przegranej pozycji. Stracę stanowisko, stracę fundusze. Zareczyłem radzie nadzorczej, że wystawię psychodramę o niespotykanym w dziejach psychiatrii rozmachu i w ten sposób uda mi się cię uratować. Ze dzięki niej odzyskasz poczytalność. Ale jeśli okaże się, że byłem w błędzie...

Cawley wytrzeszczył oczy i podparł ręką brodę, jakby wpychał szczękę z powrotem na swoje miejsce. Opuścił rękę i spojrzał na Teddy'ego.

-Nie rozumiesz, Andrew? Wszystko zależy od ciebie. Twoja klęska pociągnie za sobą moją. A jeśli ja przegram, to koniec.

-Ojej, to smutne - podsumował Teddy.

Za oknem skrzeczały mewy. W powietrzu czuć było sól, słońce i wilgotny, nadmorski piasek.

-Spróbujmy inaczej - powiedział Cawley. - Czy twoim zdaniem to zbieg okoliczności, że Rachel Solando, wytwór twojej wyobraźni, nawiasem mówiąc, nosi nazwisko złożone z tych samych liter co twoja nieżyjąca żona i tak samo jak twoja żona ma na sumieniu śmierć własnych dzieci?

Teddy zerwał się; jego rękami od barków w dół targaly wstrząsy.

-Moja żona nie zabiła własnych dzieci. My nie mieliśmy dzieci.

-Nie mieliście dzieci? - odparł Cawley i podszedł do ściany.

-Nie mieliśmy, ty głupi sukinsynu.

-Aha. No dobrze. - Cawley zdarł drugą zasłonę.

Na ścianie widac było szkic miejsca zbrodni, zdjęcia jeziora, zdjęcia zwłok trojki dzieci. Imiona i nazwiska wypisane wielkimi drukowanymi literami:

Edward Laeddis Daniel Laeddis Rachel Laeddis Teddy opuścił wzrok i przyglądał się swoim dloniom; podrygiwały, jakby żyły własnym życiem, odłączone od reszty ciała. Gdyby mógł je przydepnąć, z chęcią by to zrobił.

-Twoje dzieci, Andrew. I co? Wyprzesz się własnych dzieci? Będziesz zaprzeczał, że kiedykolwiek żyły? Będziesz?

Teddy wyciągnął w stronę Cawleya rozdygotaną rękę.

-To dzieci Rachel Solando. To rysunek miejsca zbrodni w jej domu nad jeziorem.

-To wasz dom. Przeniesliście się tam, bo tak doradzili ci lekarze ze względu na żonę. Pamiętasz? Po tym, jak "przez przypadek" podpaliła wasze mieszkanie? Niech pan zabierze ją z miasta, mówili, zapewni jej sielskie otoczenie. Może wtedy wydobrzeje.

-Ona nie chorowała.

-Ona była niepoczytalna, Andrew.

-Przeestan mnie tak nazywać, do kurwy nędzy. Ona nie była wariatką.

-Twoja żona cierpiała na depresję wymagającą leczenia szpitalnego. Rozpoznano u niej psychozę maniacko-depresyjną. Ona była...

-Nieprawda - wtracił Teddy.

-Była niedoszła samobojczynią. Znecała się nad dziećmi. A ty przymykałeś na to oczy. Uważałeś po prostu, że jest słaba. Ubzdurałeś sobie, że zdrowie psychiczne to kwestia wyboru i wystarczyło tylko, żeby pamiętała o swoich obowiązkach. Względem ciebie. Względem dzieci. Pograżałeś się w pijanństwie. Zamknąłeś się w swojej skorupie.

Coraz więcej czasu spędzałeś poza domem. Lekcewazyłeś wszystkie oznaki. Puszczasz mimo uszu słowa nauczycieli, księdza z waszej parafii, jej krewnych.

-Moja żona nie była wariatką!

-A dlaczego? Bo się wstydzisz.

-Moja żona nie była...

-A kiedy w końcu trafiła do psychiatry, to tylko dlatego, że próbowała odebrać sobie życie i wylądowała w szpitalu. Nawet ty nie miałeś na to wpływu. I powiedzieli ci, że ona zagraża samej sobie. Powiedzieli ci...

-Nigdy nie byliśmy u żadnego psychiatry! - ...że stanowi zagrożenie dla dzieci. Wszyscy cię ostrzegali.

-Nigdy nie mieliśmy dzieci. Planowaliśmy, ale Dolores nie mogła zajść w ciążę.

Chryste Panie! Czuliście się tak, jakby ktoś wtykał mu walkiem odłamki szkła w głowę.

-Podejdź tu - powiedział Cawley. - Mówię poważnie. Podejdź bliżej i przyjrzyj się nazwiskom na zdjęciach z miejsca zbrodni. Przekonasz się na własne oczy, że...

-Takie zdjęcia można podrobić. Można wszystko zainscenizować.

-Ty snisz. Ciągłe snisz. Nie możesz się uwolnić od snów, Andrew. Zwieryłeś mi się z nich. Snily ci się ostatnio dzieci, dwójka chłopców i dziewczynka? A dziewczynka zaprowadziła cię na cmentarz i pokazała ci twój nagrobek? Jesteś "marnym zeglarzem", Andrew. A wiesz, co to oznacza? To znaczy, że okazałeś się marnym ojcem. Nie umiałeś przeprowadzić swoich dzieci przez życie, Andrew. Nie uratowałeś ich w porę. Może porozmawiamy o kłodach w jeziorze, co? No chodź tu i popatrz na te zdjęcia. Powiedz, że nie rozpoznasz na nich dzieci ze swoich snów.

-Przestanieś pieprzyć.

-No to chodź. Podejdź i popatrz.

-Odurzacie mnie, zabijacie mojego partnera, wmawiacie mi, że nigdy go tu nie było.

Chcecie mnie zamknac w waszym wariatkowie, bo wiem, co sie tu wyprawia. Wiem, czym faszerujecie schizofrenikow, wiem o waszych eksperymentach, o stosowaniu lobotomii lekka reka, o tym, ze macie w dupie zasady norymberskie. Przejrzałem was, doktorku.

-Czyzby? - Cawley oparl sie o sciane i zalozyl rece. - No to oswiec mnie, prosze.

Przez ostatnie cztery dni buszowales po calym naszym zakladzie. Przetraszales wszystkie zakamarki. No i gdzie sa ci oprawcy w fartuchach lekarskich? Gdzie sale operacyjne, w ktorych dokonuje sie zbrodniczych zabiegow?

Cawley podszedl do stolu i zajrzal do swoich notatek.

-Nadal wierzysz, ze robimy naszym pacjentom pranie mozgu, Andrew?

Urzeczywistniamy pionierski eksperyment zakrojony na dziesiatki lat, ktorego celem jest stworzenie - jak to ich kiedys nazwales - upiorow do wykonywania upiornych zadan?

Skrytobojcow? - Cawley zachichotal pod nosem. - Musze ci to przyznac, Andrew, nawet w tych czasach szalejacej paranoi twoje pomysly nie maja sobie rownych.

Teddy wymierzyl w niego trzesacy sie palec.

-Jestescie eksperymentalna placowka stosujaca radykalne rozwiazania...

-Owszem, jestesmy.

-Przyjmujecie tylko najbardziej agresywnych pacjentow.

-Zgadza sie. Z jednym zastrzezeniem - najbardziej agresywnych i jednocześnie najbardziej podatnych na urojenia.

-I do tego... - Co?

-Przeprowadzacie eksperymenty.

-Tak jest! - Cawley klasnal w dlonie i uklonil sie. - Jestesmy winni zarzucanych nam czynow.

-Chirurgiczne.

-Co to, to nie - odparl Cawley, podnoszac palec. - Nie robimy eksperymentalnych operacji na mozgu. Zabiegi chirurgiczne stosowane sa tylko w ostatecznosci i to mimo moich stanowczych protestow. Jestem jednak w tym sprzeciwie osamotniony i nawet ja nie potrafie z dnia na dzien zmienic naroslych przez dziesieciolecia przyzwyczajen.

-Klamiesz.

-Podaj mi jakis fakt swiadczacy o tym, ze twoja teoria spiskowa nie jest wyssana z palca. -
Cawley westchnal. - Chociaz jeden.

Teddy sie nie odzywial.

-Natomiast ty po prostu nie przyjmujesz do wiadomosci dowodow przedstawionych przeze mnie.

-Bo to nie sa zadne dowody, tylko stek bzdur.

Cawley zlozyl rece i podniosl je do ust jak w modlitwie.

-Wypuscie mnie stad - oswiadczył Teddy. - Jako oficjalny przedstawiciel prawa zadam, abyscie umozliwili mi powrot do Bostonu.

Cawley przymknal na chwile oczy. Kiedy je otworzyl, w jego spojrzeniu pojawil sie nowy, twardszy wyraz.

-W porzadku, w porzadku. Postawiles na swoim, szeryfie. Prosze, to ci ulatwi zadanie.

Podniosl z podlogi skorzana torbe, rozpijal ja, wyjal z niej rewolwer Teddy'ego i rzucil go na stol.

-To twoja bron, tak?

Teddy wpatrywial sie w rewolwer.

-To twoje inicjaly wygrawerowane na rekojesci, zgadza sie? Teddy wytezal wzrok, pot zalewal mu oczy.

-Tak czy nie, szeryfie? To twoja bron?

Teddy dostrzegal wgniecenie na lufie, ktore powstalo tamtego dnia, kiedy Philip Stacks, strzelajac do niego, trafil w rewolwer i zginal od rykoszetu wlasnej kuli.

Dostrzegal inicjaly E. D. wyryte na rekojesci, dowod uznania za wytropienie Brecka.

A na kablaku spustowym od spodu metal byl wytarty i odrapany od czasu, kiedy upuscil rewolwer, goniac bandyte w St. Louis zima czterdziestego dziewiatego.

-To twoj rewolwer?

-Tak.

-Podnies go. Upewnij sie, ze jest naladowany. Teddy przeniosl spojrzenie z powrotem na Cawleya. - Smialo, szeryfie. Podnies go. Teddy wzial rewolwer trzesaca sie reka.

-Jest naladowany? - spytał Cawley. - Tak.

-Na pewno?

-Poznaję po cieżarze. Cawley skinal głowa.

-No to wal. Bo tylko w ten sposób wydostaniesz się z tej wyspy.

Teddy próbował użyć drugiej ręki jako podporki, ale to niewiele dało, gdyż ona też dygotała. Wziął kilka głębokich oddechów, powoli wypuszczając powietrze. Próbował wycelować w Cawleya pomimo wstrząsów, jakie targaly jego ciałem, pomimo potu zalewającego mu oczy. Miał Cawleya na celowniku, nie dalej niż metr od siebie, ale ten podskakiwał i kołysał się z boku na bok, jakby płynęli łodzią po wzburzonym morzu.

-Daje ci pięć sekund, szeryfie.

Cawley podniósł słuchawkę radiostacji i pokręcił korbką.

-Jeszcze trzy sekundy - mówił Cawley, przykładając słuchawkę do ucha. - Pociągnij za spust, bo inaczej dokonasz zywota na tej wyspie.

Chociaż Teddy cały się trząsał i rewolwer ciążył mu w ręce, jeszcze miał szansę, pod warunkiem że spróbuje teraz. Zabije Cawleya, zabije jego współników czających się za drzwiami.

-Komendancie, proszę przysłać go na górę - powiedział Cawley.

Nagle Teddy ujrzał wszystko wyraźniej, ręce przestały mu drzeć, czuł w nich jedynie mrowienie. Teddy wymierzył w Cawleya, gdy ten odkladał słuchawkę. Doktor miał dziwną minę, jakby dopiero teraz uzmysłowił sobie, że Teddy się na to zdobył.

Cawley podniósł rękę i powiedział:

-Dobrze, już dobrze.

Teddy strzelił mu w sam środek piersi.

Potem uniosł rękę o centymetr i strzelił Cawleyowi w twarz.

Woda.

Cawley zmarszczył brwi. Potem zamrugał kilka razy. Wyjął chustkę z kieszeni.

Za plecami Teddy'ego otworzyły się drzwi. Teddy natychmiast się obrócił i wycelowował w stojącego w progu mężczyznę.

-Oszczedz mnie - powiedzial Chuck. - Zapomnialem wziac parasol.

23

Cawley wytarl twarz i usiadl na swoim miejscu. Chuck obszedl stol i do niego dolaczyl. Teddy wpatrywyl sie w rewolwer, ktory obracal w dloni. Podniosl wzrok i zobaczyl, ze Chuck siada obok Cawleya. Dopiero teraz Teddy zauwazyl, ze Chuck ma na sobie fartuch lekarski.

-Myslalem, ze zginales - powiedzial Teddy.

-Jak widac, nie - odparl Chuck.

Slowa przychodzily Teddy'emu z trudem. Zacinal sie, jak przewidziala ta lekarka.

-Ja... ja... bylem... ja bylem gotow poswiecic wlasne zycie, zeby cie stad wyciagnac.

Ja...

Teddy rzucil rewolwer na stol, poczul sie nagle zupełnie wyczerpany. Opadl ciezko na krzeslo, byl u kresu sil.

-Szczerze nad tym boleje - powiedzial Chuck. - Doktor Cawley i ja z ciezkim sercem i po dlugich namyslach zdecydowalismy sie wprowadzic ten pomysl w zycie. Chcielismy oszczedzic ci niepotrzebnych cierpien, poczucia, ze zostales zdradzony.

Musisz mi wierzyc. Ale widzielismy jasno, ze innego rozwiazania nie ma.

-Czas ucieka - wtracil Cawley. - To nasza ostatnia rozpaczliwa proba ratowania ciebie, Andrew. Nietuzinkowe przedsiwziecie, nawet jak na tutejsze warunki, ale zywilismy nadzieje, ze sie uda.

Teddy probowal zetrzec pot z oczu, ale tylko bardziej go rozmazal. Spojrzal na rozmyta postac Chucka.

-Kim ty wlasciwie jestes? - spytal.

-Doktor Lester Sheehan - przedstawil sie Chuck, podajac mu reke nad stolem.

Teddy udal, ze jej nie widzi, i po chwili Sheehan cofnal reke.

-A wiec - zaczal Teddy i wciagnal nosem wilgotne powietrze - pozwalales mi w kolko gadac o tym, jak to musimy znalezc Sheehana, a przez caly czas mialem go tuz pod nosem.

Sheehan skinal glowa.

-Nazywales mnie "szefem". Opowiadales dowcipy. Zabawiales mnie. Pilnowales mnie bez przerwy, mam racje, Lester?

Teddy popatrzył na niego.

Sheehan probowal spojrzec mu w oczy, lecz nie mogl, spuscil wzrok i skubal krawat.

-Musialem miec cie na oku, czuwac nad twoim bezpieczenstwem.

-Tak, bezpieczenstwem - rzekl Teddy. - W takim razie jestes usprawiedliwiony.

Rozgrzeszony.

Sheehan puscil krawat.

-Znamy sie juz dwa lata, Andrew.

-To nie jest moje imie.

-Dwa lata. Jestem twoim psychoterapeuta. Dwa lata. Spojrz na mnie. Nie poznajesz mnie?

Teddy otarl oczy rekawem marynarki i tym razem poskutkowalo. Widzial wyraznie Chucka siedzacego za stolem. Poczciwego Chucka, ktory nie umial obchodzic sie z bronia, z rekami, ktore nie pasowaly do szeryfa federalnego. Bo byly rekami lekarza.

-Traktowalem cie jak przyjaciela - powiedzial Teddy. - Ufalem ci. Zwierzalem ci sie. Zszedlem po ciebie z tego pieprzonego urwiska. Obserwowales mnie wtedy?

Czuwales nad moim bezpieczenstwem? Traktowalem cie jak przyjaciela, Chuck. Ach, przepraszam. Lester.

Sheehan zapalil papierosa i Teddy z zadowoleniem spostrzegl, ze jemu tez drza rece.

Niezbyt mocno. Nie tak strasznie jak Teddy'emu, o nie. I gdy wyrzucil zapalke do popielniczki i zaciagnal sie papierosem, zaraz przestaly mu sie trzasc. Ale mimo wszystko...

Mam nadzieje, ze tobie tez sie dostalo, pomyslal Teddy.

-Owszem - odparl Sheehan (Teddy musial sie pilnowac, zeby przestac myslec o nim jako Chucku) - czuwalem nad twoim bezpieczenstwem. A moje znikniecie sam wymysliles. Tylko ze miales zobaczyc formularz przyjecia Laeddisa na drodze, a nie na dole urwiska. Spadl mi przez przypadek, kiedy wyciagalem go z kieszeni i porwal go wiatr. I zaraz ruszylem po niego na dol, bo wiedzialem, ze jesli ja tego nie zrobie, to ty na pewno. I dwadziescia minut pozniej zamarlem w bezruchu pod nawisem skalnym, bo zobaczylem, ze ty schodzisz. Byles ode mnie na wyciagniecie reki. Ledwo sie powstrzymalem, zeby cie nie chwycic. Cawley odchrzaknal.

-Niewiele brakowało, byśmy odwołali akcje, kiedy zobaczyliśmy, że szykujesz się do zejścia z urwiska. I kto wie, może trzeba było tak zrobić.

-Byście odwołali akcje - powtórzył Teddy, zmuszając się, żeby nie parsknąć śmiechem.

-Tak jest - rzekł Cawley. - To było przedstawienie, Andrew.

-Na imię mam Teddy.

-Ty napisałeś scenariusz do tego widowiska, a my pomogliśmy ci je wystawić. Ale bez zakończenia całe przedstawienie byłoby na nic, a rzecz kończy się twoim przybyciem do latarni.

-Bardzo dogodnie - podsumował Teddy i rozejrział się po pomieszczeniu.

-Opowiadasz nam to od dwóch lat. O tym, jak zostałeś wysłany na wyspę w sprawie zaginionej pacjentki i odkryłeś nasze nieczne eksperymenty chirurgiczne, inspirowane hitlerowskimi wzorcami, a także pranie mózgow w sowieckim stylu, jakie urządzamy pacjentom. O tym, jak Rachel Solando usmierciła trojke swoich dzieci w taki sam sposób, jak twoja żona zabiła wasze. A kiedy byłeś niemal u celu, twój partner - wspaniałe go nazwałeś, słowo daje, Andrew. Chuck Aule. Spróbuj to kilka razy szybko wypowiedzieć. To twój kolejny żart, Andrew - zginał, a ty zostałeś sam i wpadłeś nam w ręce. Nafaszerowaliśmy cię prochami i wsadziliśmy do celi, zanim zdążyłeś o wszystkim powiadomić swojego urojonego senatora Hurly'ego. Podaj ci nazwiska obecnych senatorów ze stanu New Hampshire, Andrew? Mam tutaj listę.

-To wszystko było na niby? - powiedział Teddy.

-Tak.

Teddy się rozesmiał. Śmiał się tak głośno, jak nie zdarzyło mu śmiać się od czasu śmierci Dolores. Ryczał ze śmiechu i słyszał, jak całe pomieszczenie rozbrzmiewa echem jego śmiechu, echem, które łączyło się z wciąż nowymi salwami śmiechu dobywającymi się z jego ust, rozlewało się po ścianach i ulatywało przez okno, stapiając się z loskotem fal.

-A jak podrobiliście huragan? - zapytał, uderzając dłoń w stół. - Chętnie posłucham, doktorze.

-Nie można podrobić huraganu - odparł Cawley.

-No właśnie - rzekł Teddy i znowu walnął ręką w stół. Cawley spojrzał na jego rękę, potem podniósł wzrok i popatrzył mu w oczy.

-Ale można huragan przewidzieć. Szczególnie na wyspie.

Teddy potrzaskał głową, czuł, że wciąż się szeroko uśmiecha, chociaż uszły z niego siły i pewnie wydawał się głupawy i słaby.

-Czy wy nigdy nie dajecie za wygraną? - spytał.

-Sztorm odgrywał istotną rolę w twoich urojeniach - oświadczył Cawley. - Czekaliśmy, aż nadejdzie.

-Brednie - skwitował Teddy.

-Brednie? A jak wyjaśnisz anagramy? Jak wyjaśnisz to, że dzieci na tych zdjęciach - dzieci, których nie mogłeś widzieć, skoro były dziećmi Rachel - to te same dzieci, które występują w twoich snach? Jak wytłumaczysz, Andrew, słowa, którymi cie przywitałem, kiedy stanąłeś w progu: "Skarbie, dlaczego jesteś cały mokry?". Skąd je znam? Myślisz, że jestem jasnowidzem?

-Nie - odparł Teddy. - Myślę, że byłem mokry, to wszystko.

Przez chwilę wydawało się, że głowa Cawleya zaraz oderwie się od szyi. Doktor wziął głęboki oddech, założył ręce i pochylił się nad stołem.

-Woda w rewolwerze. Te twoje szyfry. To wszystko aż bije po oczach, Andrew.

Zajrzyj do notesu. Ostatni zapis. Szesc liter. Trzy rzedy. Odczytanie go powinno być dla ciebie dziecinnie proste. Popatrz.

Teddy spojrzal na kartkę w notesie: 25(y)-20(t)-14(n)-15(o)-15(o)-20(t) - To wyścig z czasem - odezwał się Lester Sheehan. - Zrozum, wszystko się zmienia. W psychiatrii też. Od lat toczy się tu walka, a wygląda na to, że my przegrywamy.

Y-T-N-O-O-T

-Czyżby? - odparł z roztargnieniem Teddy. - Jacy "my"?-My - rzekł Cawley - czyli ci, którzy wierzą, że do umysłu dociera się nie za pomocą szpikulców albo konskich dawek niebezpiecznych leków, tylko przez uczciwy rozrachunek jawni samej z sobą. - "Uczciwy rozrachunek jawni samej z sobą" - powtórzył Teddy. -ładnie powiedziane.

Trzy rzedy, powiedział Cawley. Pewnie wypada po dwie litery na każdą.

-Posłuchaj mnie - odezwał się Sheehan. - Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to przepadliśmy. Nie chodzi tylko o ciebie. W tej chwili przewaga jest po stronie chirurgii, ale nie na długo. Wkrótce zaczną rządzić farmakologia i wbrew pozorom nie będzie to wcale rządy mniej barbarzyńskie. Dalej się będzie otepiać i skazywać na wegetację, tylko że pod szyldem łatwiejszym do zaakceptowania dla opinii publicznej. Ale tutaj, w tym szpitalu, o wszystkim rozstrzygnie twój przypadek, Andrew.

-Jestem Teddy. Teddy Daniels.

Teddy domyslił się, że pierwszy rząd stanowi słowo "on".

-Naehring zarezerwował już dla ciebie salę operacyjną.

Teddy podniósł wzrok znad notatek.

Cawley skinął głową.

-Wywalczyliśmy dla ciebie cztery dni. Jeśli nam się nie uda, pojedziesz na operację.

-Jaka operacja?

Cawley spojrzał na Sheehana, a ten wpatrywał się w czubek swego papierosa.

Cawley już otwierał usta, ale Sheehan go uprzedził.

-Przezoczodolowa lobotomia.

Teddy zamrugnął i zerknął w dół na kartkę. Odgadł drugie słowo: "to".

-Tak jak Noyce - rzekł. - Zaraz pewnie usłyszysz, że nie macie takiego pacjenta.

-Noyce jest naszym pacjentem - powiedział Cawley. - I w tej historii, którą opowiedziałeś doktorowi Sheehanowi, tkwi wiele prawdy. Ale nigdy nie wrócił do Bostonu. Nigdy nie odwiedzałeś go w więzieniu. Noyce przebywa w naszym szpitalu od sierpnia pięćdziesiątego roku. Wydobył na tyle, że przenieśliśmy go z oddziału C i zakwaterowaliśmy na oddziale A. Do tego stopnia można było mu zaufać. A potem na niego napadłeś.

Teddy oderwał wzrok od ostatnich dwóch liter.

-Co zrobiłem?

-Napadłeś na niego. Dwa tygodnie temu. O mało nie zatłukłeś go na śmierć.

-Niby z jakiego powodu? Cawley spojrzał na Sheehana.

-Bo mówił do ciebie "Laeddis" - wyjaśnił Sheehan.

-To nieprawda. Widziałem się z nim wczoraj i... - I co?

-Na pewno nie nazywał mnie "Laeddis".

-Nie? - odparł Cawley, wertując swój notatnik. - Mam tu zapis waszej rozmowy.

Tasmy zostawilem w gabinecie, ale mysle, ze na razie wystarczy nam zapis. Proszę mi powiedziec, czy to brzmi znajomo. - Cawley poprawil okulary i pochyлил glowe. - Cytuje: "Liczysz sie tylko ty. I Laeddis. Zawsze tak bylo. A mnie traktowales jak srodek prowadzacy do celu".

Teddy potrzasnal glowa. - Wcale nie nazywa mnie "Laeddis". Inaczej rozlozyliscie akcenty. On mowil, ze licze sie tylko ja - tutaj "ty" - i Laeddis.

-Jestes rozbrajajacy - parsknal Cawley.

-Dokladnie to samo pomyslam o tobie - odparl z usmiechem Teddy.

-A co powiesz na to? - rzekl Cawley, zagladajac do notatek. - Pamietasz, jak zapytales Noyce'a, kto go pobil?

-Jasne. Spytalem go, kto byl za to odpowiedzialny.

-A dokladnie: "Kto cie tak urzadzil?". Zgadza sie? Teddy skinal glowa.

-Noyce odpowiedzial wtedy - cytuje: "To twoje dzieło".

-No tak, ale...

Cawley przygladal mu sie niczym owadowi pod szklem.

-Ale co?

-Mial na mysli...

-Zamieniam sie w sluch.

Teddy'emu z trudem przychodzilo skladanie slow tak, zeby wiazaly sie ze soba, zeby nastepowaly po sobie sprzezony niczym wagony towarowe.

-Chodzilo mu o to - mowil Teddy wolno, z namyslem - ze przyczynilem sie do jego pobicia w sposob posredni przez to, ze nie uchronilem go przed powrotem do szpitala.

Nie twierdzil, ze to ja go pobilem.

-Powiedzial: "To twoje dzieło". Teddy wzruszyl ramionami.

-Owszem, ale roznie interpretujemy znaczenie jego slow.

-A to? - Cawley przewrocil kartke. - Kolejna wypowiedz Noyce'a: "Oni o wszystkim wiedza. Nie rozumiesz? Znaja twoje zamiary. Caly plan. Prowadza z toba gre. To wszystko to przedstawienie, zainscenizowane specjalnie dla ciebie".

Teddy rozsiadł się w krzesle.

-I co? Zaden z tych pacjentow, zadna z tych osob, ktore rzekomo znam juz dwa lata, nie zdradzila sie przede mna ani jednym slowem, kiedy przez ostatnie cztery dni odgrywalem te, niech wam bedzie, maskarade?

Cawley zamknal notes.

-Przywykli do tego. Od roku wymachujesz im przed oczami ta plastikowa odznaka.

Z poczatku sadzilismy, ze to bedzie miarodajny sprawdzian - damy ci odznake i zobaczymy, jak zareagujesz. Ale twoja reakcja przeszla moje najsmielsze oczekiwania.

No dalej. Otworz portfel, Andrew. Powiedz mi, czy twoja odznaka jest z plastiku, czy nie.

-Najpierw odcyfruje te wiadomosc.

-Niewiele ci zostalo. Jeszcze dwie litery. Pomoc ci, Andrew?

-Teddy.

Cawley potrzasnal glowa.

-Andrew. Andrew Laeddis.

-Teddy.

Cawley patrzyl, jak Teddy stawia kolejne litery.

-Co tam jest napisane? Teddy sie rozesmial.

-Powiedz nam. Teddy potrzasnal glowa.

-Zdradz nam to, prosze.

-To wasza sprawka. Te zaszyfrowane przekazy pochodza od was. Wymysliliscie Rachel Solando, biorac litery z imienia i nazwiska mojej zony. To wy sie za tym wszystkim kryjecie.

-Co mowi ta ostatnia wiadomosc? - spytal Cawley, starannie artykulujac kazde slowo.

Teddy odwrocil notes w ich strone, zeby mogli zobaczyc: on to ty - Zadowolony? - spytal Teddy.

Cawley wstal. Sprawial wrazenie skrajnie wyczerpanego. Czlowieka bedacego u kresu wytrzymalosci. Kiedy przemowil, Teddy wychwycil w jego glosie nute przerazliwego smutku, ktorej nigdy wczesniej u niego nie slyszal.

-Mielismy nadzieje. Mielismy nadzieje, ze zdolamy cie uratowac. Postawilismy na szali swoja reputacje. A teraz rozejdzie sie wiejsc, ze pozwolilismy pacjentowi odegrac wymyslana szopke, ktora sobie uroil, a jedynym tego skutkiem jest kilku rannych straznikow i spalony samochod. Jesli o mnie chodzi, moze przelknac upokorzenie na polu zawodowym. - Cawley wyjrzał przez male prostokatne okno. - Moze ten szpital stal sie dla mnie za ciasny. Albo ja juz do niego nie pasuje. Ale pewnego dnia, szeryfie, i to w niedalekiej przyszosci, farmakologia sprawi, ze ludzkie doswiadczenie stanie sie nieludzkie. Rozumiesz, co chce powiedziec?

-Raczej nie - zbyl go Teddy, pijany, ale zdolal jeszcze przeczytac jej bajke na dobranoc - jego Rachel zapytala: - Tatusiu?

-Tak, kotku? - odparl.

-Mama czasami tak dziwnie na mnie patrzy.

-Jak to dziwnie?

-Po prostu dziwnie.

-Robi tak dla zartu?

Rachel pokrecila przeczaco glowa. - Nie?

-Nie - powiedziala.

-Wiec jak na ciebie patrzy?

-Jakby byla przeze mnie smutna.

A on przykryl ja koldra, ucalowal na dobranoc, wtulil sie w jej szyje i powiedzial, ze taka dziewczynka jak ona nikogo nie zasmuca. Nie moze nikogo zasmucic. Nigdy.

Ktorejs nocy kladl sie do lozka, a Dolores rozcierala sobie blizny na nadgarstkach, popatrzyła na niego i powiedziala:

-Kiedy odchodzisz w to drugie miejsce, czastka ciebie nie wraca.

-Jakie drugie miejsce, kochanie? - spytal, kladac zegarek na nocnym stoliku.

-A ta czastka, ktora wraca? - Przygryzła wargi i przybrala poze, jakby zaraz miala zdzielic sie piesciami w twarz. - Nie powinna.

Posadzala rzeznika prowadzacego sklep na rogu o to, ze jest szpiegiem. Mowila, ze usmiecha sie do niej, trzymajac w reku tasak ociekajacy krwia, i na pewno zna rosyjski.

Powiedziała, że czasami czuje ostrze tego tasaka w piersiach. - Fajnie byłoby tu mieszkać - rzekł raz maly Teddy, kiedy wybrali się razem do Fenway Park i oglądali dzieci grające w piłkę.

-Przecież mieszkamy tutaj.

-Ale tu, w parku.

-Nie podoba ci się tam, gdzie teraz mieszkamy?

-Za dużo wody.

Teddy pociągnął łyk z piersiówki. Zmierzył syna wzrokiem. Był wyrosniętym, silnym chłopcem, ale za bardzo płaczkliwym na swój wiek i lekliwym. Tak teraz chowało się to najmłodsze pokolenie, miękkie, rozpieszczone dzieci okresu prosperity. Szkoda, że matka Teddy'ego już nie żyła; ona wpoilałaby swoim wnukom, że trzeba być twardym, silnym. Świat jest bezwzględny. Nic nikomu za darmo nie daje. Raczej odbiera.

Takie nauki może przekazać dzieciom mężczyzna, ale to kobieta je w nich utrwala.

Tymczasem Dolores karmiła je marzeniami, fantazjami, stanowczo zbyt często chodziła z nimi do kina, do cyrku, na parady i widowiska uliczne.

Pociągnął z butelki i zwrócił się do syna:

-Za dużo wody. Czy coś jeszcze ci się nie podoba?

-Nie, tato.

-Co jest nie tak? - pytał ją. - Co masz mi do zarzucenia? Czego ci nie zapewniam?

Jak mogę cię uszczęśliwić?

-Ja jestem szczęśliwa - odpowiadała.

-Nie jesteś. Powiedz mi, co mam zrobić. Spełnij każde twoje życzenie.

-Czuje się świetnie.

-Wciąż się denerwujesz. A kiedy się nie złościsz, wpadasz w euforie i chodzisz po ścianach.

-I co z tego?

-Dzieci się boją, ja się boję. To nieprawda, że czujesz się świetnie.

-Prawda.

-Ciagle jestes smutna.

-Ja nie - odpowiadala. - To ty. Rozmawial z ksiezbem i ksiadz odwiedzil ich w domu raz czy dwa. Rozmawial tez z jej siostrami i starsza z nich, Delilah, przyjechala do nich z Wirginii na tydzien i to jakby troche pomoglo, ale na krotko.

Obje unikali wszelkiej wzmianki o lekarzach. Lekarze zajmowali sie wariatami.

Dolores nie byla wariatka. Byla po prostu spieta.

Spieta i smutna.

Teddy'emu snilo sie, ze Dolores wyrwala go kiedys ze snu i kazala wziac rewolwer.

Rzeznik wlamal sie do ich domu, oswiadczyla. Jest na dole, w kuchni. Rozmawia przez telefon po rosyjsku.

Tamtego wieczoru przed Coconut Grove, kiedy stal przed taksowka, przyklejony niemal do szyby, a ich twarze dzielily zaledwie centymetry...

Spogladal do srodka i myslal:

Znam cie. Znalem cie cale moje zycie. Czekałem na ciebie. Czekałem, az sie zjawisz.

Przez wszystkie te lata czekałem na ciebie.

Znalem cie, zanim jeszcze przyszedlem na swiat.

To bylo wlasnie to.

Nie palil sie, zeby pojsc z nia do lozka, zanim wysla go na front, poniewaz wiedzial, juz w tej chwili, ze wroci z wojny caly i zdrowy. Wroci, poniewaz bogowie nie kierowali biegiem gwiazd po to, aby spotkal swoja bratnia dusze i zaraz ja utracil.

Nachylil sie do srodka taksowki i wyznal to Dolores.

-Nie martw sie - dodal. - Zobaczysz, ze wroce do ciebie. Musnela reka jego twarz.

-Trzymam cie za slowo - powiedziala. Snilo mu sie, ze wrocił do domu nad jeziorem.

Przez dwa tygodnie tropil faceta od portowej dzielnicy Bostonu az do Tulsy w Oklahomie, zatrzymujac sie po drodze w dziesieciu roznych miejscach. Przez caly czas deptal mu po pietach i doslownie wpadl na niego na stacji benzynowej, kiedy ten wychodzil z meskiej ubikacji.

Byla jedenasta rano, gdy wszedl do domu. Cieszyl sie, ze to srodek tygodnia i dzieciaki sa

w szkole. Czul w kosciach trudy poscigu i niczego tak nie pragnal, jak wyciagnac sie we wlasnym lozku. Zawolal Dolores, nalewajac sobie podwojna whisky, a ona przyszla z podworza i oznajmila:

-Za malo tego bylo.

Odwrocil sie ze szklanka w reku i zapytal:

-Czego za malo, kochanie?

Spostrzegl, ze Dolores jest przemoczona, jakby wlasnie wyszla spod prysznic, tylko ze miala na sobie stara ciemna sukienke w splowiale kwiatki. Byla boso, woda splywala jej z wlosow, sciekala z sukienki.

-Skarbie - zapytal. - Dlaczego jestes cala mokra?

-Za malo tego bylo - powtorzyla i postawila butelke na kuchennym blacie. - Wciaz jestem przytomna.

I wyszla z powrotem na podworze.

Patrzyl, jak idzie w kierunku altanki dlugimi, chwiejnymi krokami, zataczajac sie.

Odstawil drinka, podniosl butelke, poznal, ze to laudanum, ktore zapisal jej lekarz po powrocie ze szpitala. Kiedy Teddy wyjezdzal na dluzej, odmierzal jej tyle lyzeczek, ile jego zdaniem potrzebowała na okres jego nieobecności w domu, i przelewal do mniejszej buteleczki, ktora zostawial w apteczce. Duza butelke trzymal pod kluczem w piwnicy.

Zawartosc butelki powinna wystarczyc Dolores na szesc miesiecy, a ona oproznila ja do dna.

Patrzyl, jak potyka sie na schodach prowadzacych do altanki, upada na kolana, podnosi sie.

Jakim cudem dobrala sie do tej butelki? Piwniczny kredens nie byl zaopatrzony w zwyczajny zamek. Nie sforsowalby go silny mezczyzna, nawet gdyby mial narzedzia.

Wytrychem nie mogla go otworzyc, a jedyny klucz Teddy nosil przy sobie.

Patrzyl, jak jego zona siada na hustawce ogrodowej posrodku altanki, potem spojrzal na butelke. Przypomnial sobie, jak stal w tym samym miejscu tego wieczoru przed wyjazdem. Byl juz wtedy po kilku glebszych, popatrzył na jezioro, potem poszedl na gore pocalowac dzieci na dobranoc, zbiegl na dol, kiedy zadzwonil telefon. Wydzial poscigowy wzywal go w trybie pilnym, totez chwycil plaszcz i neseser, wychodzac, pocalowal Dolores i ruszyl do samochodu...

...i zostawił w kuchni dużą butelkę laudanum.

Pchnął tylne drzwi, poszedł przez trawę do altanki, stanął przy schodkach, a ona przyglądała mu się, cała mokra, i huśtała się leniwie, odpychając się nogą.

-Kochanie, kiedy wypilaś całą butelkę? - spytał.

-Dzisiaj rano - odparła i pokazała mu język, potem ni z tego, ni z owego uśmiechnęła się marzycielsko i zapatrzyła się w lukrowany sufit altanki. - Ale to i tak za mało. Nie mogę zasnąć. Chcę zasnąć. Jestem taka zmęczona.

Dostrzegł unoszące się na powierzchni stawu kłody, ale wiedział, że to wcale nie są kłody, i zaraz oderwał od nich wzrok i popatrzył na żonę.

-Dlaczego jesteś zmęczona?

Wzruszyła ramionami, potrząsając rękami zwieszonymi bezwładnie u boków.

-Mam już dość tego wszystkiego. Chcę wrócić do domu.

-To jest twój dom. Wskazała na sufit.

-Tam, skąd przyszliśmy.

Teddy znów spojrzał na trzy kłody, obracające się z wdziękiem na wodzie.

-Gdzie jest Rachel?

-W szkole.

-Przecież ona jest jeszcze za młoda.

-Ale do mojej szkoły się nadaje - rzekła jego żona, obnazając zęby.

I Teddy zawył. Zawył tak przeraźliwie, że Dolores spadła z huśtawki, a on przeskoczył przez nią, przesadził balustradę z tyłu altanki i pognał jak oszalały, wyjąc "nie", wyjąc "Boże", wyjąc "tylko nie moje dzieci", wyjąc "Jezu", wydając z siebie nieartykułowany skowyt.

Rzucił się do wody. Potknął się i upadł na twarz. Pograżył się w wodzie, która zakryła go, gesta niczym olej, i płynął przed siebie, płynął, aż wynurzył się między nimi.

Między kłodami. Między swoimi dziećmi.

Edward i Daniel przewróceni byli na brzuch, ale Rachel unosiła się na wodzie twarzą do góry, miała otwarte oczy i spoglądała na niebo. W jej zrenicach utrwaliła się rozpacz matki,

jej spojrzenie utkwione było w chmurach.

Wynosił je po kolei i złożył ich ciała na brzegu. Obchodził się z nimi ostrożnie.

Trzymał je mocno, lecz delikatnie. Wyczuwał ich kości. Glaskał po policzkach, ramionach, zębach, nogach. Obsypywał je pocałunkami.

Padł na kolana i wymiotował, aż paliło go w piersi i opróżnił cały żołądek. Podszedł do dzieci, skrzyżował im rączki, zauważył, że Daniel i Rachel mają na nadgarstkach otarcia od sznura, i domyślił się, że Edward zginał pierwszy. Dwoje młodszych czekało, słysząc wszystko, wiedząc, że zaraz przyjdzie ich kolej.

Ucałował każde z nich w oba policzki i w czoła i przymknął Rachel powieki.

Czy wierzyły, kiedy niosła je do wody? Wrzeszczały? A może pogodziły się z losem i tylko pochlipywały?

Przed oczami stał mu obraz zony w fioletowej sukience, w której zobaczył ją po raz pierwszy, wyraz jej twarzy, w którym zakochał się od pierwszego wejrzenia. Wtedy sadził, że to z powodu sukni, że czuła się oniesmielona w takiej wystrzałowej sukience w eleganckim klubie. Ale tak naprawdę była przerażona i nie potrafiła tego do końca ukryć. Strach nigdy jej nie odstępował - strach przed pociągami, przed bombami, przed loskoczącymi tramwajami i młotami pneumatycznymi, ciemnymi alejkami, Sowietami i okretami podwodnymi, przed zlorzeczającymi mężczyznami przesiadującymi w knajpach, przed rojącymi się w morzach rekinami, skosnookimi Azjatami z czerwonymi książeczkami w jednej ręce i karabinami w drugiej.

Panicznie bała się tego wszystkiego i wielu innych rzeczy, ale najbardziej przerażało ją to, co tkwiło w niej samej: zmyslny czerw, który zagnieździł się w jej mózgu, zerował na nim całe życie, igrał z nim, grasował po nim, według własnego widzimisie zrywał połączenia.

Teddy zostawił dzieci i wrócił do altanki. Siadł na podłodze i długo przyglądał się, jak jego zona się husta, a najgorsze w tym wszystkim było to, że tak bardzo ją kochał.

Gdyby mógł poświęcić własny umysł, żeby uchronić ją przed szalenstwem, nie wahałby się. Oddać za nią ręce albo nogi? Proszę bardzo. Była jedyną miłością, jakiej w życiu zaznał. To ona sprawiła, że wrócił cały z wojny, że odnalazł się w tym strasznym świecie. Kochał ją nad życie, bardziej niż własną duszę.

Ale on ją zawiodł. Zawiodł własne dzieci. Zaprzepascił wszystko, co udało im się wspólnie zbudować, gdyż nie chciał dostrzec, jaka Dolores jest naprawdę, nie chciał zrozumieć, że szalenstwo nie wynikało z jej winy, że nie miała na to wpływu, że nie świadczyło to bynajmniej o słabości charakteru czy moralnej ułomności.

Nie chciał tego przyjąć do wiadomości, ponieważ jeśli była prawdziwą miłością jego życia,

jego niesmiertelna druga polowa, to co w takim razie nalezalo sadzic o jego umysle, jego poczytalnosci, jego moralnej ulomnosci.

I dlatego odsunal to od siebie, odsunal sie od niej. Zostawil ja, swa jedyna milosc, zeby sama zmagala sie z toczacym ja od wewnatrz czerwim szalenstwa, patrzyl, jak jej umysl idzie w rozsypke.

Dolores hustala sie leniwie, a on pomyslal: Chryste Panie, jak ja cie Kocham.

Kochal ja bardziej (przyznawal to ze wstydem) niz swoich synow.

Ale czy bardziej niz slodka, mala Rachel?

Chyba nie. Chyba nie.

Widzial w wyobrazni Rachel w objeciach matki, ktora niesie ja do wody. Widzial, jak jej oczy rozszerzaja sie, gdy pograza sie w jeziorze.

Spojrzal na zone, z obrazem Rachel wciaz przed oczami, i pomyslal: Ty okrutna, zwyrodniala, pomylona suko.

Siedzial w altance i plakal. Stracil poczucie czasu. Plakal, a przed oczami stanela mu Dolores witajaca go z werandy, kiedy wracal do niej z kwiatami, Dolores spogladajaca na niego przez ramie podczas ich podrozy poslubnej, Dolores w fioletowej sukni, w ciazy z ich pierworodnym, zdejmujaca mu z policzka swoja rzese, wrywajaca sie z jego uscisku, a kiedy indziej znowu wtulajaca sie w niego, glaszczaca go po rece, rozesmiana, posylajaca mu te wymowne niedzielne usmiechy, spogladajaca na niego, a jej twarz zanika wokol tych jej duzych oczu i pozostaja tylko one, z tym nieustannym wyrazem leku i osamotnienia, zawsze to tkwiace gdzies na dnie osamotnienie...

Wstal, nogi trzesly mu sie w kolanach jak galareta.

Usiadl obok niej, a ona powiedziala:

-Jestes moim rycerzem.

-Nieprawda.

-Jestes. - Wziela jego dlon. - Kochasz mnie. Ja wiem. Wiem, ze masz swoje wady.

Co sobie pomysleli - Daniel i Rachel - kiedy wyrwal ich ze snu ucisk sznura owijanego wokol nadgarstkow? Kiedy zajrzeli jej w oczy?

-O Boze.

-Masz swoje wady. Ale jestes moj. I starasz sie.

-Skarbie, przestan, prosze.

A Edward? Edward na pewno uciekal. Musiala go scigac po calym domu.

Byla teraz taka rozpromieniona, szczesliwa.

-Przeniesiemy je do kuchni - oswiadczyla.

-Co?

Usiadla na nim okrakiem, przywarla do niego cala mokra.

-Posadzimy je przy stole, Andrew.

Ucalowala go w powieki. Przycisnal ja z calych sil do siebie i lkal w jej ramionach.

-Beda naszymi lalkami. Wytrzymy je - powiedziala.

-Co takiego? - zapytal stlumionym glosem. - Przebierzemy je w suche ubranka - szepnela mu do ucha.

Wyobrazil ja sobie w pudle z bialymi, gumowymi scianami i malym okienkiem w drzwiach. Nie mogl zniesc tego widoku.

-Polozymy je dzisiaj do naszego lozka.

-Nie mow tak, prosze.

-Tylko na te jedna noc.

-Blagam.

-A jutro zabierzemy je na piknik.

-Jesli kiedykolwiek mnie kochalas... - Nie dokonczyl, zapatrzony w trzy ciala ulozone na brzegu.

-Zawsze cie kochalam, najdrozszy.

-Jesli kiedykolwiek mnie kochalas, blagam cie, nic nie mow - zaklinal ja Teddy.

Chcial pojsc do dzieci, ozywic je, zabrac je stad, jak najdalej od niej.

Dolores polozyla reke na jego rewolwerze. Zacisnal na niej dlon.

-Pokaz, ze mnie kochasz - powiedziala. - Uwolnij mnie.

Szarpnęła za rewolwer, ale odsunął jej reke. Spojrzał jej w oczy. Ich blask aż raził.

To nie były oczy człowieka. Raczej psa. Albo wilka.

Po tym, co przeszedł na wojnie, co widział w Dachau, przysiągł sobie, że już nigdy nikogo nie zabije, chyba że nie będzie miał wyjścia. Chyba że zobaczy wycelowany w siebie rewolwer. Tylko wtedy.

Nie mogłby żyć, mając na sumieniu śmierć jeszcze jednego człowieka. Nie mogłby.

Dolores pociągnęła za rewolwer, a jej oczy błyszczały jeszcze jasniej. Znowu odsunął jej reke.

Spojrzał w stronę brzegu i zobaczył je, starannie ułożone, jedno obok drugiego.

Wyszarpnął rewolwer z kabury. Pokazał go żonie.

Dolores zagryzła wargi i skinęła głową, a z oczu płynęły jej łzy. Zadarła głowę.

-Będziemy udawali, że wciąż są z nami. Będziemy je kapać, Andrew.

Przyłożył lufę do jej brzucha. Drżała mu reka i drżały mu usta, kiedy mówił:

-Kocham cię, Dolores.

I nawet wtedy, trzymając rewolwer przycisnięty do jej ciała, był przekonany, że się na to nie zdobyje.

Spojrzała w dół, jakby zdziwiona, że wciąż jeszcze jest na tym świecie, a on pod nią.

-Ja też cię kocham. Kocham cię jak...

Nacisnął spust. Huk wystrzału odbił się w jej oczach, ustami z cichym pyknięciem wyleciało powietrze. Przyłożyła reke do rany i patrzyła na niego, druga reka trzymając go za włosy.

A kiedy z rany wylała się krew, przycisnął Dolores do siebie i zwiotczała mu w rekach, a on trzymał ją, trzymał ją i płakał, wypłakiwał tę straszną miłość w jej spłowiałą sukienkę.

Podniósł się. Otaczały go ciemności; poczuł dym z papierosa, zanim dojrzał zarzuty się ognik, który rozblił nagle, kiedy czuwający przy nim Sheehan się zaciągnął.

Siedział na łóżku i łkał. Nie mógł się powstrzymać. Powtarzał jej imię.

-Rachel, Rachel, Rachel - mówił.

I widział jej oczy zapatrzone w chmury i jej włosy unoszące się na wodzie.

Kiedy ustaly spazmy, kiedy obeschly lzy, Sheehan zapytal:

-Ktora Rachel?

-Rachel Laeddis - powiedzial. - A ty jestes...?

-Andrew. Nazywam sie Andrew Laeddis.

Sheehan zapalil mala lampke, ktora wydobyła z mroku stojace na zewnatrz celi postaci Cawleya i straznika. Straznik odwrocony byl do nich plecami, ale Cawley, z rekami opartymi o prety, zagladal do srodka.

-Dlaczego tu jestes?

Wzial od Sheehana chusteczke i wytarl sobie twarz.

-Dlaczego tu jestes? - powtorzyl pytanie Cawley.

-Bo zabilem zone.

-A dlaczego ja zabiles?

-Bo zamordowala nasze dzieci i musialem polozyc kres jej udrece.

-Jestes szeryfem federalnym? - spytal Sheehan.

-Nie. Kiedys bylem, ale juz nie jestem.

-Od jak dawna przebywasz w tym szpitalu?

-Od trzeciego maja piecdziesiatego drugiego roku.

-Kim byla Rachel Laeddis?

-Moja coreczka. Miala cztery lata.

-Kto to jest Rachel Solando?

-Nikt. Ona nie istnieje. Wymyslilem ja.

-Po co? - spytal Cawley. Teddy potrzasnal glowa.

-Po co? - ponowil pytanie Cawley.

-Nie wiem. Nie wiem...

-Owszem, wiesz, Andrew. Powiedz mi.

-Nie moze.

-Mozesz.

Teddy chwycil sie za glowe i kiwal sie na lozku.

-Niech pan mnie nie zmusza. Blagam, blagam, doktorze! Cawley zacisnal rece na pretach.

-Musze to od ciebie uslyszec, Andrew.

Spojrzal na Cawleya przez kraty, mial ochote skoczyc na niego i odgryzc mu nos.

-Poniewaz - zaczal i urwal; odchrzaknal i splunal na podloge. - Poniewaz nie moze zyc ze swiadomoscia, ze pozwolilem zonie zabic nasze dzieci. Lekcewazyłem wszystkie oznaki. Ludzilem sie, ze jesli bede dobrej mysli, wszystko sie poprawi. Jestem odpowiedzialny za ich smierc, poniewaz opuscilem je w potrzebie.

-I?

-I ta swiadomosc jest dla mnie nie do zniesienia. Nie moze z nia zyc.

-Ale musisz. Zdajesz sobie z tego sprawe.

Skinal glowa. Podciagnal kolana pod brode.

Sheehan spojrzal przez ramie na Cawleya, ktory obserwowal ich przez kraty. Cawley zapalil papierosa i zmierzyl Teddy'ego wzrokiem.

-Powiem ci, czego sie boje, Andrew. Juz to kiedys przerabialismy. Dziewiec miesiecy temu doszlismy z toba dokladnie do tego samego etapu. A potem nastapila regresja. Blyskawiczna.

-Przykro mi.

-Doceniam to, ale w tej chwili przeprosiny na nic sie nie zdadza. Musze miec pewnosc, ze pogodziles sie z rzeczywistoscia. Nie mozemy sobie pozwolic na kolejna regresje.

Teddy spojrzal na Cawleya, wychudzonego mezczyzne z podkrazonymi oczami.

Czlowieka, ktory probowal go ocalic. Czlowieka, ktory pewnie byl jego jedynym prawdziwym przyjacielem.

Widzial huk wystrzalu odbijajacy sie w jej oczach, czul dotyk przemoczonych nadgarstkow, ktore skrzyzowal synom na piersiach, mial przed oczami wlosy corki, ktore odgarnal jej z twarzy.

-Tym razem nie będzie regresji - powiedział. - Nazywam się Andrew Laeddis.

Zamordowałem moją żonę, Dolores, wiosną pięćdziesiątego drugiego roku.

25

Kiedy się obudził, do pokoju zaglądało słońce. Podniósł się i spojrzał w stronę krat, ale krat nie było. Tylko okno, które wydawało mu się dziwnie niskie, dopóki nie spostrzegł, że to ono leży wysoko, na górnym łóżku w pokoju, który dzielił z Treyem i Bibbym.

Był sam w pokoju. Zeskoczył z łóżka, otworzył szafę z ubraniami, zobaczył swoje świeżo uprane rzeczy i zaraz je włożył. Podszedł do okna i postawił nogę na parapecie, żeby zawiązać sznurowadło. Z okna rozciągał się widok na teren szpitala, po którym uwijali się pacjenci, posługacze i strażnicy. Jedni krecili się przed szpitalem, drudzy sprząkali teren, a jeszcze inni zajmowali się tym, co pozostało z krzewów rozranych posadzonych wzdłuż fundamentu.

Przyglądał się swoim ręką, kiedy zawiązywał drugi but. Ani drgnęły. Wzrok miał ostry, a umysł jasny; czuł się jak nowo narodzony.

Wyszedł na dziedziniec. Po drodze spotkał siostrę Marino, która uśmiechnęła się na jego widok.

-Dzień dobry - powiedziała.

-Zapowiada się piękny.

-Cudowny. Chyba ten sztorm sprowadził nam pogodę.

Oparł się o barierkę i spojrzał na niebo, błękitne niczym oczy niemowlęcia.

Powietrze pachniało świeżością, której tak brakowało przez całe lato.

Siostra Marino życzyła mu miłego dnia i odeszła, a on z przyjemnością patrzył, jak kolysze biodrami; najwyraźniej wracał do zdrowia.

Szedł dalej i minal posługaczy, którzy mieli wolny dzień i grali w piłkę. Pokiwali mu i powiedzieli: "Dzień dobry", a on odpowiedział tym samym.

Usłyszał wycie syreny, którym prom oznajmiał, że podpływa do pomostu. Pośrodku trawnika przed budynkiem szpitala stali Cawley i komendant, zajęci rozmową. Przywitali go skinieniem głowy, a on nie pozostał im dłużny.

Przysiadł z boku na schodkach przed wejściem do szpitala i patrzył na to wszystko.

Dawno już nie czuł się tak dobrze.

-Prosze.

Wzial papierosa, wlozyl go do ust, pochyлил sie w strone ognia i zdazyl jeszcze poczuc odor benzyny, zanim zapalniczka Zippo zamknela sie z trzaskiem.

-Jak sie czujemy tego pieknego ranka?

-W porzadku. A ty? - spytal, wciagajac dym do pluc.

-Nie narzekam.

Spostrzegl, ze Calwey i komendant przygladaja sie im.

-Dowiemy sie kiedyś, co to za ksiazeczke komendant tak ze soba nosi?

-Nie. Chyba zabierze te tajemnice ze soba do grobu.

-Wielka szkoda.

-Moze pewnych spraw na tej ziemi po prostu nie dane jest nam poznac. Spojrz na to od tej strony.

-Ciekawy punkt widzenia.

-No coz, staram sie.

Zaciagnal sie drugi raz, zauwazyl, ze dym ma wyrazisty, slodki smak, i lgnie do podniebienia.

-I co teraz? - spytal.

-Ty decydujesz, szefie.

Uśmiechnal sie do Chucka. Siedzieli sobie w promieniach porannego slonca, na luzie, jak gdyby nigdy nic, jakby na swiecie wszystko bylo w najlepszym porzadku.

-Trzeba by sie stad wyrwac - rzekl Teddy. - Wracac do domu.

Chuck skinal glowa.

-Spodziewalem sie, ze to powiesz.

-Masz jakis pomysl?

-Daj mi minute - powiedzial Chuck.

Teddy skinal glowa i oparl sie o schody. Czekal minute, moze nawet kilka minut.

Widział, jak Chuck podnosi reke i jednocześnie kreci glowa. Cawley skinal Chuckowi glowa, a potem powiedzial cos komendantowi i obaj ruszyli w strone Teddy'ego, a za nimi czterej poslugacze. Jeden z nich niosl biale zawiniatko i Teddy'emu wydawalo sie, ze dostrzegl blysk metalu, kiedy poslugacz rozwinal biala plachte i padly na nia promienie slonca.

-Sam nie wiem, Chuck - powiedzial. - Myslisz, ze nas przejrzel?

-Gdzie tam. - Chuck odchylil glowe do tylu i mruzac oczy w sloncu, usmiechnal sie do niego.
- Jesteśmy dla nich za sprytni.

-Wlasnie - pochwycil Teddy. - Nie da sie ukryc.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-19

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/